PISMA POŚMIERTNE
JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Tom II.

PISMA POŚMIERTNE

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM DRUGI.

LWÓW.
STARANIEM A. MAŁECKIEGO.
Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
1866.

Prawo własności na rzecz mającego się utworzyć stypendyum dla młodzieży zastrzega się.

BENIOWSKI.

CIĄG DALSZY.

PIEŚŃ VI.

Z téj części poematu pozostały tylko urywki, które się z sobą w całość nie wiążą. Prawdopodobnie było osnową téj pieśni, co następuje:

Do futoru Sawy przybywa oddział Kozaków, przysłanych jemu przez hetmana Kozyrę, prowadzony przez dwóch lirników. Ci zaczynają namawiać Sawę, ażeby stanął przeciwko szlachcie i przyłączył się do hajdamaków, którzy już rozpoczęli rzeź panów i żydowstwa. Sawa nic na to nie odpowiada, ale spaja lirników winem, toż i resztę starszyszny; a potém dosiada swego rumaka i wyprowadza Kozaków w pochód, ażeby się z panami połączyć. W lesie jednakże powtarza się naleganie mołojców i znachorów na Sawę, ażeby stanął na czele rzezi... a kiedy ten stawił ich woli tym razem stanowczy opór, wiążą go i spętanego porzucają samotnie w lesie. Sami zaś idą — złączyć się z Żeleźniakiem. Po ich odejściu, na drugi dzień, wyzwala Sawę z pęt Wernyhora, który przejeżdżał tamtędy. Hajdamacy zaś tymczasem roznoszą po kraju mordy i pożogi. Między innemi, napada pewien ich oddział na wieś jednego szlachcica, który się był przyłączył do konfederatów, dom zaś i rodzinę swoję pozostawił bezbronnie, nie przewidując dla nich żadnego niebezpieczeństwa. Nazwisko tego szlachcica — Gruszczyński, a wioski jego — Gruszczyńce. Otóż w nieobecności pana domu, napadają rze-

zunie dwór gruszczyniecki i okrutnie mordują wszystkich jego mieszkańców, żonę, dzieci i domowników Gruszczyńskiego. Jedna tylko z córek pozostawiona przy życiu; ale i ta zabrana w niewolę i oddana Tatarom, w końcu dostaje się do Krymu. — Na inném znowu miejscu, przychodzi niezwłocznie potém do walnéj potyczki pomiędzy wojskiem polskiém (konfederackiém) a hajdamakami. Szlachcie przywodzi Potocki Podczaszy, a jednym z podkomendnych jego jest i Gruszczyński; zbuntowanego zaś chłopstwa hersztem jest Żeleźniak. Zrazu zwycięstwo w téj bitwie jest po stronie szlachty, tak iż Żeleźniak ocalenia swoich szukać zmuszony w taborze, który tworzy z wozów i ostrokołów. Jednakże niezadługo przybywa mu w posiłek ów hufiec Sawy, zbuntowany przeciwko dowódcy swojemu; a na domiar nieszczęścia dla szeregów szlacheckich, pojawia się zaraz potém na polu bitwy i trzecia siła, z którą im walczyć potrzeba — czerń jakiéjś zbieraniny pijanego pospólstwa obojéj płci, zbrojnego w noże i opasującego razem z Żeleźniakiem ów szczupły zastęp polski ze wszystkich stron, tak iż się ten widzi wzięty w trzy ognie. Rozpoczyna się walka zawzięta i rozpaczliwa na nowo. Do zupełnego przechylenia jednakże szali zwycięstwa na stronę Kozaków i rzezuniów nie przychodzi. Albowiem zjawia się na siwym koniu wśród walczących Wernyhora i powstrzymuje zaciętość pospólstwa. Pod wływem wrażenia, jakie na niém znachor ten sprawia, znajdują konfederaci sposobność odejścia bez szwanku z placu; po czém jedna część ich udaje się na Podole, druga zaś wkracza w granice posiadłości tureckich...

Teraz dajemy urywki, pozostałe z całości téj pieśni, w kolei jak prawdopodobnie następowały po sobie.

I.

Widzieliście Pana Sawę
Pośród stepów ze Swentyną...
Burzanami szyki płyną
Jak brąz czarne, słońcem krwawe,
I proporce wieją złote
I czerwone z Archaniołem...
Przyjechali po przed grotę,
Wyszli z tłumu dwaj lirnicy,
Uderzyli Sawie czołem,
Uśmiechnęli do dziewicy...

— „Bóg nam ciebie bohatéra
Niechaj chowa po wsze czasy!
Przysłał tobie pan Kozyra,
Hetman Siczy... pułk kozacki,
Szczob ty z Rusią szedł w zapasy,
Hulał jak syn hajdamacki...“
. . . . . .
. . . . . .

II.

Przybył więc Sawie gdzieś z po nad Limanów
Kureń kozacki, i wnet się przed grotą
Rozłożył; sotkę zawiesił saganów,
Ogień zapłonął piramidą złotą.
Tysiąc spis, tysiąc szabel, jataganów,
Łyska na słońcu; lecz jakąś tęsknotą
Zafarbowane niebiosa nad niemi
I także jakaś tęsknota na ziemi.

Lirnicy siedli na wyższym kamieniu,
Bajda i Znachor — lecz nie dzwonią w liry;
Konie się włóczą i szukają cieniu,
Wysokich orłów dolatują skwiry.

Swentyna stoi przy jednym płomieniu,
Rzęsami oczu nakryła szafiry —
Duma... jak kwiaty wpół zwiędłe jesienne;
Na jéj ramionach dwa gołębie senne.

Wszystko ponure; choć bliska wyprawa,
Choć pójdą bić się — śnią, nie wiedzą sami
O czém... Na szabli oparty pan Sawa
Rozmawia cicho, ważnie — ze starcami.
„Gdzież nas powiedziesz?—mówią—to rzecz krwawa
Bić się z naszymi braćmi rzezuniami!
Co za nagroda? co za przyszłość nasza?
Wiszniowieckiego pomnij Jeremiasza!

„Oj! ta mogiła kiedyś się otworzy,
Gdzie zasnął stary kat, i miecz wykinie;
Na naszych głowach ten się miecz położy
I naszą znowu krwią gorącą spłynie.
Gdy wychodziły pułki, to na zorzy
Cztéry świéciły słońca w Ukrainie
Pozadnieprzańskiéj! — wojna będzie krwawa,
A tobie w głowie co? — grób, czy buława?

„Jeśli mogiła... to dobrze! — pójdziemy,
Z jańczarek hukniem Lachom i z moździerzy;
My chcemy ginąć z tobą — i bić chcemy,
Każdemu serce w pałaszu uderzy!
Mieczami tobie kurhan wykopiemy,
Jeśli chcesz spać, jak wódz, co we krwi leży.
Lecz może lepiéj krwawéj czekać doby,
A tobie przyjdzie kłaść... na ziemi groby.

„Z mohyły na mohyłu, taj zalecisz
Aż na hetmaństwo! — Ej podumaj Sawa!
Komu ty szablą pod okiem zaświécisz,
Ten na trybunał nie pójdzie do prawa;

Rozkaż — a pożar ty taki zaniecisz,
Że go zobaczy z okien aż Warszawa!
Stepowy ty król!“ Tutaj na kolano
Klęknął, i z ognia dobywszy polano,

Podał je Sawie; gdy z żarzącéj głowni
Szły iskry, mruknął: „Weź, niech Lachy giną!“
Słysząc, jak byli kozacy wymowni,
Sawa z samotną poszeptał Swentyną;
Ta szła do groty zaraz, i z lodowni,
W któréj Calińskich było stare wino,
Dawny zabytek szlacheckiego mienia,
Dostała spoić czém głowę kurenia —

To jest poetów i starszyznę. Potém
Poszła osiodłać rumaka Sawynie.
Grzywę mu białą przeplatała złotem
Oraz kwiatkami, co na eglantynie
Kwitną. — Pod żadnym Araba namiotem
Żaden koń taką lotnością nie słynie,
Jak ów koń srebrny Sawy, koń jedyny,
Zmyślny jak człowiek, drugi brat Swentyny.

Z grzywy mu polne róże pełne rosy
Spadają, parska jak płomień czerwono;
Zna różne dźwięki i rozumie głosy,
Wié, kiedy głowę spuścić zamyśloną.
Teraz wargami wziął Swentyny włosy
I niby gryzie, lecz gryzienie ono
W kolory usta ubrało dziewicze
I przeszedł przez nią dreszcz. Są tajemnicze

Błyski, szmery krwi, nieznane szelesty
W głębi dziewiczych ciał, i te się budzą
Bóg wie jak — są to anielskie incesty
Dusz bratnich. — Ale rymy znów marudzą

I znów się ze strof tych robią Oresty
Szalone z włosem rozczochranym, z cudzą
Krwią na obliczu, znów jestem gotowy...
Lecz wróćmy lepiéj nad kureń stepowy.

Potém na konia wskoczył Sawa rzesko,
Rycerskie bardzo zamyślając czyny...
A był pod nieba otchłanią niebieską
Jako archanioł Michał, Ukrainy
Patron. — Choć młody — z powagą króleską
Przemówił do téj kozackiéj starszyzny
Tak dobrze, że miał echo w setnych głosach
I widział w szablach step — jak w złotych kłosach...

O matko Polsko, jak dawno nie grzmiało
Na twoich stepach takie dzikie hasło!
Jak dawno ludziom na stepie nie dniało
Krwawo — i słońce na szablach nie gasło!
Co dnia się mijasz z twoją dawną chwałą,
Zło się na twoich obszarach rozpasło; —
Zaledwo chłopek dawną wiarę chowa
I serce... A ty się już rodzisz nowa,

W żłobku serc naszych biédnych położona
Na zwiędłym kwiecie marzeń i popiołów;
Matki my biedne... bo z naszego łona
Płynie ci ogień — roztopiony ołów,
A ty tak jesteś karmi upragniona,
Że ci za matki my — i za aniołów
I za obrońców, za dom — i za szańce
Musimy dziś być... my — sami wygnańce...

. . . . . .
. . . . . .

III.

Dawna ojczyzno moja! o jak trudno
Zakochanemu w twéj śmiertelnéj twarzy
Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
Wabił na dawnych opłotki cmentarzy.
Inni już pieją twoję przyszłość cudną;—
Ja zostawiony gdzieś na mogił straży,
Jak żóraw, abym nie spał śród omamień,
Trzymam me serce w ręku... serce kamień —

Biedne uwiędłe serce! — Inni mogą
Płomieniem twojéj przyszłości oddychać;
Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.
Proszę cię w moję duszę, jak w ubogą
Chatę, co już się zaczęła rozsychać,
Rozpadać, tylu wichry rozerwana,
Biedna, tak dawno stojąca, gliniana.

Dawniéj... o! dawniéj mogłem ja cię darzyć
Różami, listki maczanymi w złocie.
Teraz ja muszę chować się i marzyć,
I w coraz większéj schroniony prostocie
Podług natury sądnéj, szale ważyć
I dbać o ciebie — gdy jesteś w polocie
Ku siedmiu gwiazdom strzałą wyprawiona,
Choć masz na krzyżu ciało i ramiona.

Najbielsza moja! najsmutniejsza! — w tobie
Śpiewają jakieś pieśni — i nad tobą;
Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie
I uczcić grób twój dawny tą ozdobą,
Którą widziałem na rycerzy grobie
Kamienną dużą rycerską osobą,
Dla któréj kilka lamp grobowych spalisz,
A potém z grobu wstająca — rozwalisz.

I nie pamiętaj o mnie w téj godzinie,
Gdy cię Bóg wielkim darem uweseli...
Lecz póki Ikwa ma rodzinna płynie
Wezbrana łzami po tych, którzy mieli
Serce i ducha, póki w Ukrainie
Dziad chodzi z pieśnią, a z Dniepru topieli
Ciągle niby gwar smętnych duchów mgli się
I Puławskiego spieszny rumak śni się;

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach
Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu:
Dopóty ja mam prawo na mogiłach
Stanąć i śpiewać — srogi, lecz bez gniewu;
Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach
I kazać w niebo iść ściętemu drzewu
I z tęczami się połączyć na niebie,
Ja, co nie mogłem wskrzesić — nawet siebie!

Dla tego w dawnych ludziach złotą wiarę
I złote serce miłuję nad własne.
Daléj więc! — mówcie mi znów serca stare,
Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne!
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
Pokażcie mi się duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące!..

Sawa, co w pieśni méj gra Dyjomeda
Rolę, i może zająć długie księgi,
A który także trochę ma z Tankreda,
Pół kozak, a pół szlachcic, ale tęgi —
Krzyczał jak waryat, że się wiązać nie da,
A już był mocno różnymi popręgi
Przez swoich własnych ludzi skrępowany
Za to, że niechciał iść i rzezać pany.

Długo prosili go lirniki sępy,
Z Żeleźniakiem mu obiecując księstwo:
Ale Sawa był na to słuchem tępy
I rzucił z gniewem w znachory przekleństwo.
Takim sposobem utracił zastępy
I Potockiemu wydarte zwycięstwo:
A ten, co króla miał wiązać w Warszawie,
Sam leżał w lesie związany na trawie.

Pachły mu wprawdzie gwoździki i smołki
I miodnik miód przypomniał kapucynów
I wyzierały z pod trawy fijołki,
Poziomki także oczkami z rubinów
Patrzały, i brzóz lekkie się wierzchołki
Kłaniały, lejąc nad nim łzy bursztynów;
Ale te jasno lasy malowane
Rzucały nań swój wdzięk, jak groch na ścianę.

Tak noc przeleżał bezsenny — i słyszał,
Jak brzozy o czémś tajemném szeptały,
Jak się las cały by czarem uciszał
I pod księżycem stał spokojny, biały.
Potém znów wiatrem jutrzenki zadyszał
I śpiewem ptasząt rannym zagrał cały,
I na zorzowych każda brzoza łunach
Była — jak harfa o stu złotych strunach.

Ale to wszystko nic, i ranny chłodek
Napróżno rzeźwił twarz; Sawa się wściekał —
Próżno się targał, bo na żaden środek
(Litewski ten tryb mówienia tu czekał,
Aby się cicho wkradł i na rozpłodek
Został) — choć powróz mu bardzo dopiekał,
Choć szamotaniem się bardzo rozniemógł,
Na żaden środek więzów stargać nie mógł.

Nareszcie w pomoc wezwał — nie wiém kogo —
Lecz wiém, że skoro wezwał, upior szary
Na białym koniu przeniknął go trwogą:
Bo jeszcze w lesie mrok perłowo szary
Panował; — upior twarz ma wielce srogą,
Koń po kolana gdzieś w piekielne żary
Albo w krew wstąpił i tak farbowany
W mgle czerwonemi rzucał się kolany.

Czémś przestraszony był — może czuł Sawę,
Człowieka, a sam niosący upiora,
Chciał się zawrócić gdzieś w mgły słońcem krwawe;
Czy go brzóz białych przestraszyła kora?—
Cofał się, wspinał, i taką postawę
Miał, jak posążny koń tryumfatora,
Co zda się leci i w lot z oczu zginie,
A nigdy ruin stojących nie minie.

Kto inny, w ludu wierzący podania,
Pewnieby wolał leżeć tak związany,
Niż by mu duchy do więz rozerwania
Pomogły, jasną ręką rwąc kajdany.
Lecz Sawa, który duszę miał do dania
I chętnie by ją dał za kraj kochany,
Nie dbał. Stąd wielka bardzo dramatyczność
Poezyi, wdać się z upiorami w styczność.

Zaczął więc krzyczeć: „Hej pomoży bat'ku!“ —
I wnet ów stary człowiek koniem kinął,
A Sawa mu więc o swoim przypadku
Powiedział krótko; a że bardzo słynął,
(Tę awanturę czytałem w dodatku
Dumourierowskiéj depeszy; czas minął,
Sawy cień już mgły pamięci zasnuły,
A ten kawałek ówczesnéj bibuły

Jeszcze dziś gada o złotéj młodości
Rycerza. Boże! gdzież proch jego ciała?
Gdzie potrzaskane wprzód kulami kości?
Gdzie jest mogiła? — Oto w pieśni wstała
I nie brak jej gwiazd ani zieloności,
Jak na wesele znowu się ubrała,
I w tęczowych się darń kolorach skąpał,
Bo wie, że po niéj duch znów będzie stąpał

Tensam... ale już o stopień mogiły
Wyższy i mędrszy swą grobową wiedzą)
Tymczasem więzy zerwawszy, nim siły
Odzyskał, usiadł; on i lirnik siedzą,
Gdzie w lesie wzgórek był lekko pochyły,
Z którego źródła swe perełki cedzą;
Między brzozami usiedli i gwarzą
Na złote słońce obróceni twarzą.

O czém? — o Polsce; ona jako zmora
Trzymała wtenczas we śnie wszystkie duchy.
Ten lirnik był to stary Wernyhora,
Sławny podówczas, tak że i kożuchy
I karmazyny przed nim drżały wczora
I step przed jego twarzą stanął głuchy
I krew wybuchła parami białemi
I wcześniej srebrny miesiąc wyszedł z ziemi.

. . . . . .
. . . . . .

IV.

Potém ściemniało, bo mglistéj natury
Był dzień — a już się tłuszczą Żeleźniaka
Po brzegach wzdęte najeżały góry,
Sypiąc się jako plewiny z przetaka;
I step się od nich nagle stał ponury
I w obu wojskach była cisza taka,
Że tylko koni słyszano parskanie
I wiatr w chorągwi — albo w szarafanie.

Tu mimowolnie mi duch jakiś boju,
Czujący tych wojsk szalonych zbliżenie,
Głos mój nagina do lepszego stroju
I moim piersiom daje szersze tchnienie;
Opiszę ten bój, ale niepokoju
Nie będzie w rymach, choć strofę odmienię;
Bój ten batalie przypominał rządne
Sobieskich — trąby zagrały już sądne.

Pomnę, że wtenczas Potocki na sobie
Szarafan letni miał — czerwone buty...
. . . . . .
. . . . . .

V.

Do ostrokołów przyparci, rąbani
Jak pod kowala młotem, pod szablicą,
Cięci i nigdy niepardonowani,
Choć złożą ręce i żelazo schwycą —
Przez łeb tak cięci, że porozwalani
Na dwie połowy mieczów błyskawicą
Jęczą. Szlachciców obłok coraz bliższy,
A nad obłokiem pan Potocki wyższy.

Jeszcze mu swoi ludzie są na przedzie,
On się już naprzód zapalony ciska,
Czasem na człeka lub na trupa wjedzie,
I od całego wyższy bojowiska —
Nad głową obuch, co okuty w miedzi
Zda się, jak piorun Jowiszowy błyska
I wnet poleci ogniem z rąk Polaka,
A oczy jego w oczach Żeleźniaka.

A wkoło pełno spis, które drużyna
Wkoło, dbająca o hetmańskie zdrowie,
Szablami łamie, odwraca, odcina;
A on — z tym jasnym piorunem na głowie —
Gdy Żeleźniaka ujrzy, to się wspina
I czasem cicho coś do swoich powie,
I znowu wspięty, cichszy, coraz bladszy
Żeleźniakowi w oczy ciągle patrzy.

Wreszcie się zaczął pan Żeleźniak trwożyć,
Bladnąć i cofać się na ostrokoły;
Nim się obuchem mógł Potocki złożyć,
On już przeskoczył i biegł na wądoły,
By Lachom tabor oporny utworzyć.
Zebrawszy w łańcuch konie, maże, woły,
Kobiéty, popy, wszystko w kupę spędził,
Zwinął, wozami wkoło okrawędził

I siadł na wozie; a tymczasem Lachy
Lecieli — bijąc w trąby, tnąc od ucha.
Tu kozak, wzięty na dzidy pod pachy,
Podleciał w górę, krew z pod ramion bucha,
A pod nim złote proporce i blachy,
A pod nim cała boju zawierucha —
A on w téj chwili za chorągiew służy,
Ten trup, na spisach wyrzucony z burzy...

A tam w taborze wozy płoną, dymią,
Tam zapalone siano wstaje z jaru
Nad ginącymi pochodnią olbrzymią;
Tam świécą resztki tęczowe sztandaru...
Spokojne tylko trupy... zda się, drzymią —
Na rękach leżą krwawe śród czaharu —
Bez ruchu — zda się, że z wielką rozpaczą
Padli na ziemię i śpią — albo płaczą.

A tam na wzgórzu, patrz, dziwna korona
Téj straszliwości, stoją trzy osoby:
Był to w kolasie pop, sotnicza żona,
I jedna, którą będę od téj doby
Pamiętał, bo mi błysła tak czerwona
Nad polem pełném jęku i żałoby,
I tak od słońca miała piękne barwy,
Jak najpiękniejsze snów straszliwych larwy.

Rozbójniczka to była, co po drogach
Wprzód rozbijała ludzi nad limanem;
Nigdy na pańskich nie postała progach
I nigdy może nie mówiła z panem;
W czerwonych była bótach, przy ostrogach,
I wydawała się wielkim draganem,
Tak ją to wzgórze oczom powiększało
I koń — i popa przy niéj liche ciało.

Hudymą zwana, smagła, lecz rumiana —
Widmo malarskich pędzli pewnie godne,
Wesoła, śmiała, niepohamowana,
Wyższa nad wszystkie dziewice dorodne;
Usta jak karmin, oczy jak szatana
Czarne, a piersi krągłe takie chłodne
Jakby z marmuru, a brwi jak dwa łuki,
Czarne, jak piórka zgubione przez kruki.

Wszakże to Sawy kureń leci, spada!
Myśli, że Sawę zobaczy na czele;
O pana Sawę wszystkich pyta, bada —
Nikt nie wie, ani śmie zaręczyć wiele;
Tymczasem kureń ów... zapewne zdrada —
Na Piwnickiego wpada karabele,
A tak się z góry wielkim pędem toczył,
Że potratował szlachtę i przeskoczył

I biegł. Żeleźniak także z drugiéj strony
Wstaje i zbiera lud, rozpina wozy.
Wtenczas Potocki widzi, że zgubiony,
Że przeciw sobie ma już dwa obozy:
Zwołał więc trąbą goniące szwadrony,
I lejąc prawie z oczu gniewu ślozy
Wracał na dawne swoje stanowisko,
Na owo smętne przy kapliczce rżysko.

Lecz tam trzeciego widzi wroga! Spity
Lud zbrojny wkoło kapliczkę oblewa;
Z nożami stoją chłopy i kobiety,
Kapucyn zdjęty i Szmigielski z drzewa,
Z obu odarte szaty, grzbiet odkryty,
Kilku zakłutéj szlachty także ziewa,
Słowem — z trzech stron . . . . .
. . . . . .

Działko kieruje chłop, na szlachtę samą
Obraca, szyki znów Żeleźniak zbiera —
Wkrótce to pole będzie krwawą plamą,
Zwierciadłem, gdzie się śmierci trup przeziera...
Słońce się zdaje wielką dla dusz bramą —
Większeje... zda się, płomienie roztwiera
I czeka na bój drugi, jeszcze krwawszy,
By poszło... duchy rycerzy zabrawszy...
. . . . . .
. . . . . .

VI.

I patrzcie, co to jeden człowiek może,
Gdy duchem, gwiazdą na świata się kirze
Zapali. Jechał przez burzanów morze
Kozak już stary; na mglistym szafirze
Rysował się tak, jak upior — a boże
Wiatry mu grały u siodła na lirze;
On jechał zda się obumarły, śpiący,
Blady — na białym koniu trup grający.

Bo rąk nie ruszał ani ust... natężył
Ducha i prosto szedł na walki pole;
Zda się, że myśli swe wszystkie zorężył,
Ubrał w pioruny i w skrzydła sokole
I wysłał... i duch kozacki zwyciężył
I przeląkł — sobą samym. Miał na czole,
Zdaje się, jakąś gwiazdę upiornika,
Oczy jako dwie pieczęcie z krwawnika.

Możeto słońce o szkło się źrenicy
Odbiło, i tak łyskało straszliwie,
Że się Śmilańscy zlękli rozbójnicy
I stali, w strachu błądzący i dziwie.
U hajdamackiéj się tylko dziewicy
Znalazła śmiałość, że się sama chciwie
Naparła jechać, by donieść najwierniéj,
Czego ten straszny znachor chce od czerni.

Potocki także jednego dragana
Wysłał, by starca obronił w potrzebie.
Tymczasem młoda Hudyma, rumiana
Jako brusznica, rzucając za siebie
(Pewnie w parobku jakim rozkochana)
Oczy i śmiechy, którym nie pochlebię
Mówiąc, że były tak głośne i śpiewne,
Jak w lasach kiedy jękną nimfy drzewne,

W uszach dwie wielkie długie z pereł dynie
Wiszą, zdaje się, że łzy rusałczane
Kapiące cicho po jagód karminie,
Zmrożone, białe, świéże i świetlane.
Taka ta była sławna w Ukrainie
Rycerka, widmo straszne, choć rumiane —
Wesołe, chociaż gotowe na szkodę,
Na mord — krew umie rozlewać, jak wodę.

Otóż na górze ta śród kilku cierni,
Na samym grzbiecie, tam gdzie błękit kona,
Stała, a na nią jacyś dwaj pancerni,
Przeciwko słońcu złote niosąc łona,
Jechali. Widząc, że są nie od czerni,
A śmierć jéj niosą, wnet się też i ona
Ruszyła, lecąc czarnym jaru grzbietem
Przeciw dwom, z szablą swą i pistoletem.

I prędzéj, niźli wam w oczach to błyśnie,
Nim serca wasze jasne się rozczulą,
Nim je ból po tych podczaszycach ściśnie,
Co się dziś pod płaszcz Chrystusowy tulą,
Pierwszemu, co się naprzód ku niéj ciśnie,
W pancerzem złotą pierś uderza kulą;
A on drgającą ręką ściągnął źrebię
Własne i grzbietem wywrócił na siebie.

A ta drugiemu już sięgała grzbietu
Szablą, który już stał prawie oniemion,
Strzaskała jemu ramię z pistoletu,
Tak że nieborak wyleciał ze strzemion,
Swój zgon dając jéj do zgonów bukietu
Jak najpiękniejszy narcyz lub anemon;
Młody był bowiem syn wdowy, sierota —
Wspomniał o matce i prosił żywota.

I byłaby mu piękna rozbójniczka
Młode i miłe zostawiła życie,
Gdy nagle owa przypadła sotniczka —
W siermiędze, jak ten strach, co stoi w życie—
A tak ją ona tam w dole potyczka
I hajdamaków mordowanych wycie
Do krwi podżegło, że myśląc nie wiele
Toporem siekła tak, że w Lacha ciele

Został. I właśnie pan Potocki, który
Stanął był wtenczas, czoło swoje chłodził
I patrzał na te trzy widma u góry
I widział topor, jak błysł i ugodził —
Choć był zajęty tabornymi mury,
Spojrzał na szwadron, co samopas chodził,
I wzgórze szabli ukazawszy krzywcem
Rzekł: mój Piwnicki, wziąć te baby żywcem!

Wnet się Piwnicki, człowiek bardzo żywy,
Wyprawił, z sobą niosąc strach niemały;
Gdy oto nagle owe jaru grzywy
Grzywą się ludzi ogirlandowały —
W kołpaki i w kłos jasnych szabel krzywy
Porosły, w słońca zachodniego strzały,
Co błysły nakształt Mojżeszowych rogów...
Słowem, na grzbiecie stanął kureń wrogów.

Stanął, i zrazu jakby w okolicy
Nowo zjawiony — zdawał się zachwiany;
Wtém pokazali się jacyś lirnicy,
Podnieśli ręce na niebieskie ściany...
Widziałeś ich gest — od lir błyskawicy,
Słyszałeś hasło straszne: reży pany!
I jako po niém lud straszny zaszumiał: —
Potocki widział, słyszał — nie rozumiał.

O jak im smutno! bo oni nie mogą
Odlecieć daléj, aż odlecą z nami —
Taki takt w locie, nim się loty wzmogą,
Poeci muszą uczynić pieśniami,
Jak tym wróbelkom czyni Bóg... O! srogo,
Srogo nas uczy Bóg i krwią i łzami
Latać nad domy i pola i sady,
Wydając jeden boży ton z gromady.

Lecz do powieści!.. Gdzież mój stary Grusza,
Cześnik? Co zrobił z oddzielną komendą?
Czy się gdzie w boju jeszcze zawierusza?
Czy mu już Parki wrzecionami przędą?
Choć szorstkie ciało, piękna w sercu dusza!
Byłaby szkoda, gdyby ci, co będą
Jak on na stratę komenderowani,
Tak nie umieli jak on paść... nieznani!

Z hufcem się swoim wyprawił, i w długi
Jar wjechał ówto za Sasów dygnitarz;
Więc jar ów ciemny, wzięty we dwie smugi
Gór, tak się ciągnął, jak czarny korytarz;
We środku strumień srebrny, co kolczugi
Odbił, a daléj... jak to sam wyczytasz,
Były przez chłopów położone tamy
Wodzie, co w srebrne rozlała się plamy.

. . . . . .
. . . . . .

PIEŚŃ VII.

Cieszmy się w Bogu, i niech ta pociecha
Poematowi mojemu odbierze
Te smutku wiecznie wtórujące echa,
Gdy o przeszłości grzmi harfa. Grabieże,
Mordy — rzeź, krwawa Gruszczyniecka strzecha —
To wszystko są sny... Korsuńscy rycerze
Także nie więcéj mają życia w sobie,
Jak ognik z trupów tańczący na grobie.

A jednak dziwna jest piękność w oddali
I w perspektywie poetycznéj. — Sawy
Kozacy szli po moście i błyskali,
Bo zachód słońca właśnie świécił krwawy;
Lirnicy w liry swoje dziko grali,
W Korsuniu pełno zgiełku, gwaru, wrzawy,
Dziedziniec pełny żydów i cyganów,
Szlachty, kozaków, żebractwa i panów.

Pod śliwą właśnie stoi prosta ława,
Na niéj Potocki regimentarz siedzi,
Jak Sułtan, z wielkim burstynem — pan Sawa
Zdjął kołpak, stanął jak wykuty z miedzi;
Twarz jego smutna i od słońca krwawa;
Chciał mówić... z własnym językiem się biédzi,
Spojrzał w około... o Boże litości!
Gruszczyński siedzi stary pośród gości...

Na jego twarzy spokojność wesoła,
Zapewne nie wie nic o własnym domu;
Pewno wyjechał przed porankiem z sioła.
Żeleźniak z wieścią nie dał ujść nikomu...
Nad spokojnością srebrzystego czoła
Zdała się wisieć chmura pełna gromu.

A potém echo gra kaskadą dużą
Tonów — śmiejąc się za siebie, zjechała,
Gdzie lirnik stary nad krwawą kałużą
Stał, a klacz jego srebrna w krew patrzała.
Tamże się słońca jakieś we krwi nurzą,
Tamże z czerwieni para jakaś biała
Wychodzi, długich pilnując łańcuchów,
Jako girlanda straszna srebrnych duchów.

I coraz bardziéj czar się ten czuć dawał,
I coraz szerzéj rozchodził po jarach;
I zda się księżyc wywołany wstawał,
I zda się, mocniéj czerwienił w oparach;
Zda się, że starzec tam konia napawał,
A z koniem jedno był, oczy miał w żarach,
Coraz straszniejsze, a coraz mgła biała
Gęściejsza przed nim i za nim wstawała.

W tych mgłach, któremi już byli okryci,
Zaczęły polskie szyki rzucać pole,
A nie gonieni byli i nie bici
I poszli zaraz, jedni na Podole,
Drudzy — już boju z kozakami syci —
Do Turek . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

VII.

Dzisiaj podróżny przejeżdża te stepy
I nie wie o krwi, co się na nich lała
Przed laty ścieżką, gdzie dziad ciągnie ślepy
I skrzypią maże, pył ćmi, słońce pała,
Rzeki gdzieś daléj błękitnieją, krepy
Z czarnéj szarańczy ćmią się... Dawna chwała
Już zapomniana; serce tylko nuży
Pól jednostajność, tęsknota podróży.

Duchy gdzieś poszły i nie powiedziały
Swoich boleści tym, co po nich wstaną —
Ach! nie dlatego, by zemsty nie chciały;
Ale że z myślą bolem obłąkaną
Nie mogły mówić — albo by jęczały
Mówiąc; lub chwaląc się serdeczną raną,
U Boga by swe straciły zasługi
I swój anielski rząd. Dziś wiek już drugi

Zaczął się: oni jeszcze zadziwieni,
Że nikt nie wspomniał imion; nikt nie słucha,
Co oni mówią, gdy zorza rumieni
Laski brzozowe, kiedy się głos ducha
Z aniołem pańskim na stepach ożeni
I ciągle płacze; kiedy wiatr odmucha
Osiny, i liść ów srebrny pokaże,
Co tak w księżycu lśni, jak duchów twarze...

Ach! kiedy także wyjdą w step i staną
I gdzieś na wioskę spojrzą, dawniéj swoją,
Gdzie żyto gnie się falą kołysaną,
Gdzie ciche dwory pod lipami stoją,
Gdy ujrzą dziatki rumiane pod ścianą,
Które się dziada z lirą srebrną boją,
A już nie wiedzą, ce to dawne lutnie: —
O! jak im cicho... tym duchom, jak smutnie!

Nawet gdy ujrzą zaszczepione drzewko
Przez siebie w sadzie, a dziś już stuletnie;
Nawet gdy wróble ze srebrną podszewką
Lecą — i słońcu w takt migają świetnie,
Jak gdyby jaką niewidzialną śpiewką
Takt miały dany — i w gorąco letnie
Spadają w gęste korony czerechów,
By harfy srebrne, pełne swarów, śmiechów:

Sawie się zdało, że trupa zobaczył —
Odszedł — białego konia rozkulbaczył.

Łzy strąca z oczu i klnie — a tymczasem
Potocki wielką gotuje wyprawę
Na hajdamaków, co pod bliskim lasem
Obozy swoje rozłożyli krwawe.
Z ranną mgłą myśli napaść i z hałasem,
Jak wrony, kiedy lecąc czynią wrzawę.
Ledwo na zamek spadły mgły wieczora,
Zaczął czarować kule Wernyhora.

Zamek zabłysnął we środku czerwono
Od wielkich ogni, gdzie lano ołowie;
Skry ognia, Nimfy, ognistą koroną
Wirzą się, wieżom siadają na głowie —
Płynących się chmur oczerwienia łono;
Czasami gwiazdy — jako aniołowie
Przez czerwień chmury spojrzą srebrną twarzą,
Czasami skrzydło albo miecz pokażą.

Starzec trze lirę krwawą i wybucha
Z strun nieruszonych jakaś pieśń złowroga,
Tajemniczego pełna w sobie ducha,
Zakrwawionego pełna w sobie Boga...
Szlachta na szablach swych oparta słucha,
Kozactwo czasem odwrzaśnie; aż trwoga
Pada na pany, co przy stole siedzą
I smaczno chłodnik zabielany jedzą,

Jak Leonidas — co czarną polewkę
Jadł... w Termopilach. To mi porównanie
Przerwało nagle moję dziką śpiewkę
I zmudne ludzkiéj gliny pozłacanie.
Żupan tych ludzi musiał mieć podszewkę,
Albowiem złoto było na żupanie;
A jednak widząc, co jest dziś z narodem,
Boję się... aby wiatr nie był pod spodem

Żupanów. — Ja sam pilnie się otulam,
Aby nie podjął wiatr żupanu ducha —
Dlatego z myślą gdy najbardziéj hulam,
Pod myślą są łzy... łzy — nie żadna skrucha!
Nad zabitymi ja się nie rozczulam,
Chyba że ogień z mogił ich wybucha,
Jak te Mojżesza iskier piramidy,
Co do ojczyzny wiodły nowéj — Żydy...

Z tych ciał otrutych przezemnie zgnilizny
Sądzę, że taki słup płomienny wstanie
I zaprowadzi żywych do Ojczyzny
Prędzéj, niż prorok... i wyspowiadanie
Emigracyjnych wnętrz... Są różne blizny,
Których rozcięcie i poodmykanie
Więcéj dobrego zrobi, jak ja sądzę,
Niż dowiedzenie przez księży, że błądzę.

Wreszcie potrzeba czasu w różnych rzeczach;
Już jedni leżą, drudzy jeszcze klęczą
Na wulkanowych czołach i na mieczach
Przed jakąś dziwną niewidzialną tęczą;
Co do mnie, ufam w słowiańskich narzeczach,
Że Boga w służbie wojskowéj wyręczą,
I Narodowy Dziennik z całym dworem
Nie będzie nigdy niebios Monitorem,

Ani wojskową gazetą... Sam nie wiem,
Dlaczego mówię tak... lecz mam przeczucie;
Czuję trumnianym pachnący modrzewiem
Naród, i w trumnie grające zepsucie...
A jednak — pod tym mogił chwastem, plewiem,
Jest jakieś dziwne, ciągłe, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło.

W północy — wstają mi włosy na głowie,
I zadziwiony słucham — i to słyszę,
Co muszą boscy słyszeć aniołowie —
Jakąś okropność przyszłą, co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie
Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi)
Ludy, bo wkrótce będziecie jak Bogi.

Co rozwiążecie wy w żelaznéj dłoni,
To rozwiązaném będzie... już na wieki.
A kto odejdzie od was — gdzie się schroni?
Z was będą góry, doliny i rzeki
I morza, które wiatr na słońce goni;
Z was port zatraty będzie i opieki,
Z was będą cienie jak morza rozlane,
Z was nad morzami słońca latarniane!..

Czujcie! bo tętno już waszego chodu
W uszach wysokich ludzi — grzmi wyraźnie.
Na górach z cegieł i na igłach z lodu
Słuchałem... a duch swoję wyobraźnię
Przestroił wówczas na harfę narodu,
Me nienawiści dawne i przyjaźnie
Poddając twardéj jedności... dla tego
Myśli me same się gryzą i strzegą.

Nie wy, Cheruby, co miecze z łuczywa
Macie, z papiéru złotego przyłbice,
Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa,
I wami sławy wysokiéj kaplice
Oszyldwachuje... przed tym, co się wrywa
Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice,
Nie wy, brytany, wejścia mi bronicie!
Ja jestem gwiazdą życia — co o świcie

Skąpana w krwawéj jutrzence wychodzi
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę. — Duch w cierpieniach rodzi
I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały,
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
W najwyższe czoła alpejskie i skały.
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czém śnię... niech przy mnie stanie!

Na tych wyżynach ducha jest ponura
Dla serc stroskanych cisza; tu ja czerpię
Ogień i maczam w ogniu orle pióra;
Tu na księżyca rumianego sierpie
Piękności dawnych nieśmiertelna córa
Rozwidnia oczy me, a kiedy cierpię,
Przeszłości dawnéj cień na szczycie skalnym
Stawia i czyni przedemną widzialnym.

Tak widzieliście próchnem wysrebrzone
Dębów umarłych wnętrza — i kaplice,
Rumaki białe w polach wystrzelone —
Kozaków — księży — szlachtę i dziewice.
Ariost by patrzał sam na te szalone
Miłostki, boje, szturmy, nawałnice,
Rycerzy przy kielichu i w podróży,
Którym za cały czar — fantazya służy.

Zaczarowanych palm tu nie ma wcale;
Dęby i sosny i brzozy rodzime
Odbite w stawów podolskich kryształe
Reprezentują mi nową Solimę.
Z krzyżami złotych miast i wież nie walę,
Dla prawdy nagiéj wielką mam estymę,
Do rymu nigdy sensu nie naginam,
Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam.

Więc Mnemozyno, pomóż... niech przypomnę,
Gdzie mój bohater został? — Rzecz nie lada!
Człowiek, co takie podróże ogromne
Odbył, ten musi jeździć jak ballada
Na upiorowym koniu: siodło skromne,
Dwie kości na krzyż, a tam gdzie się siada,
Mała czaszeczka ludzka, co wyszczérza
Oczy błyszczące, jak żar, z pod rycerza.

Siodła dziś takie w modzie, oraz z czaszek
Robione w modzie są dzisiaj puhary;
Ja sam się złowić raz dałem jak ptaszek
I piłem z trupiéj głowy tokaj stary;
O czém tak wiele już było baraszek,
Że... daléj, pani Muzo — okulary
Tęczowe włóż mi na nos; niech wypatrzę
Znów bohatera mego na teatrze

Wypadków. — Szekspir mówi, że to życie
Scenicznym bardzo jest podobne zmianom;
Bóg, jako wielki widz, siedzi w błękicie;
Suflerstwo dawnym zostawił kurhanom.
Mimo to jednak jest bardzo obficie
Złych dram... a piérwsze role, dane panom,
Najgorsze! — smętną uderzeni stalą,
Bez żadnéj rzymskiéj gracyi z nóg się walą.

I gdyby u nóg kochanek, wpatrzeni
W oczy błękitne albo w czarne oczy,
Rzucali duszę swą pełną płomieni
Z harfy westchnieniem—Lecz nie... czerw ich toczy!
Śmierć ich zastaje w szambelańskiéj sieni
W zielonym fraku!.. czasem ich przeskoczy
W biegu tańcząca królowa szkieletów,
Takie zrobili niskie progi z grzbietów!

Ale czas wrócić już i do porządku
Przywołać rymy, chodzące samopas;
Poemat mój szedł tak dobrze z początku,
Kiedy był głodny — teraz, kiedy popas,
Zdaje się, że mu znów zabrakło wątku.
Każda z tych moich strof jak blady topaz
Oszlifowany w różne kostki rymu...
Lecz muszę z panem Beniowskim do Krymu.

Gdzieżem zostawił go? — Tak! przy księżycu
Ujrzał rycerzy błędnych koczowisko;
Zbroja błyszczała na jednym szlachcicu —
Zbyt rzadkie na ten już wiek widowisko.
Beniowski z miłym uśmiechem na licu,
Widząc, że kuchnia była bardzo blisko,
Zsiadł z konia i rzekł: — Czy wolno zapytać,
Kogo mam honor i przyjemność witać?

Na to pancernik gruby, lecz ostrożny,
Jak Litwin: — A Wać kto sam, Mości Panie?—
— Jestem Beniowski, rzekł, patrząc na rożny
Rycerz. — Tu drugi rozpoczął śpiewanie
Opowiadając, że się zwie Wielmożny
Borejsza, że ma wielkie zachowanie
U Radziwiła i wieś do przeżycia
I bardzo grzmiącą w Litwie sławę — z picia.

Dodał, że posłem jest, do Krymu jedzie
Zaprosić Khana w całe sto tysięcy
Tatarów, wrzkomo tylko na niedźwiedzie,
Tylko na białe niedźwiedzie, nic więcéj.
W tym sensie książę Karol po obiedzie
Ręki swéj własnéj mordując książęcéj,
Napisał list do Khana, w najdziwniejsze
Esy... i z listem wyprawił Borejszę.

Przydał mu także Tatara z pod Waki,
Syna jednego Mołły, na tłómacza.
Są to od dawna zagnieżdżone ptaki
W Litwie: lud prosty, lecz jeszcze oracza
Pozłota wschodnia trzyma się — i znaki,
Które na twarzach rycerstwo wytłacza,
Widome dotąd, z wieśniaczego lica
Błysną, jak krzywych mieczów błyskawica.

Gdy ostrzy kosę taki Tatar stary,
To nieraz stanie i w dźwięk się zasłucha;
Sosny mu wtenczas szumią, jak sztandary,
A chmury w oczach, jakby skrzydłem ducha
Mahometańskich wojsk pędzone mary,
Idą na północ; a gdy kosa krucha,
Osełką tarta, na puszczę zabrzęczy —
Allach! il Allach! z puszcz, jak echo jęczy.

W Tatarze wtenczas jak w ognistym ptaku
Palą się oczy — stepy przypomina
I słone jakieś jeziora Kipczaku,
O których tylko wieść z ojca do syna
Przeszła po mglistym i tęczowym szlaku,
Który nad głową ludu już zaczyna
Gasnąć i zorzę zdejmować różaną —
Aż w ciemnéj nocy — bez pamiątek wstaną.

To wtenczas próżno już śród mogił pola
Głupim poetom budzić lutnię smętną;
Zostawić lepiéj ją skrzydłom Eola,
Nieprzewidziane z niéj dobędzie tętno;
Lub skowronkowa ją przyszłości rola
Zaśpiéwa pieśnią dziwną, nienamiętną
I tak spokojną, jak wiośniane szmery,
I tak wysoką, jak grające sfery.

Taką pieśń dziwnéj do smutku podniety
Śpiewają czarny modrzew z czarnym cisem,
Tuląc skrzydłami wygnańce. Meczety
I groby z dawnym koranu napisem,
Kamienie z ziemi tak podniosły grzbiety,
Jakby wstawały na sąd przed Eblisem,
Wszystkie na słońce obrócone wschodnie,
O wschodzie błyszczą z trawy, jak pochodnie.

W powietrzu smutny półksiężyc blaszany
Do nieba zda się wznosić śrebrne ręce,
Za grobowcami prosząc, co z pod ściany
Meczetu, jako pochodnie jarzęce
Palą się ogniem do Pana nad Pany,
O jego życiu i ranach i męce
I o tém, jako z ludzi był najkrwawszy,
Piérwszy raz głucho w ziemi usłyszawszy.

Każda tych liter nieznajomych zgłoska
Zda się w ten kamień coraz głębiéj wrywać.
Jeśli to prawda, Rodzicielko Boska,
Że umiem serca zranione odkrywać:
Ty na ten księżyc, który się tak troska
O groby swoje, musisz przylatywać
I w ogniu zorzy, jak róża Jerycho,
Na tym meczecie smętnym kwitnąć cicho.

Z twarzą do nieba wzniesioną, śród lasu,
Nad muzułmańskim cmentarzem ty stoisz
I słuchasz sosen smętnego hałasu,
A złotą z twych rąk rosą kwiaty poisz,
Aż groby życia płaczące i czasu
Ty spokojnością swoją uspokoisz,
Jak smutny obóz kamiennych namiotów,
Ten smutny cmentarz bez bram i bez płotów.

Przy jednym z takich cmentarzy syn mołły,
Pan Abdulewicz Hamet się wychował.
Potém go ojciec dał, by pańskie stoły
Nakrywał, pańskie kolana całował.
Młodzieniec wyszedł z Radziwiła szkoły
Jak flet przedęty; dzikie serce schował
Głęboko w piersi przed szlacheckim gminem;
Pierś — Radziwiła nakrył karmazynem.

I myślał, że już jako kuropatwa,
Gdy głowę w śniegu pochowa i oczy,
Myśli, że już ją pies ani też dziatwa,
Idąc z podjazdem nie dojrzy, przeskoczy;
Tymczasem w śniegu skryć się rzecz niełatwa,
Ani też rybie w lodowéj przezroczy
Znaléść schronienie przed rybaka ością,
Ni wśród pijaków ukryć się — z miłością.

Łatwiéj wulkanom wybuchnąć na morzu
I znowu cicho stać pod falną skałą;
Łatwiéj kwitnącym różom na bezdrożu
Niebiosom liście i woń oddać całą,
Niźli na pańskiém pijackiém przydworzu
Przed ludźmi miłość jasną i nieśmiałą
Ukryć! Tém bardziéj tę strofę zaostrzę,
Mówiąc że w księcia się zakochał siostrze...

Przypadki takie są zbyt gęste: Tasso —
Żukowski, ruski belfer i poeta,
Który balladę odział wielką krasą —
Podług mnie jeszcze nie wielka zaleta...
W rosyjskich rymach trąci skwierne miaso,
A wiersze są — jak pasy zdarte z grzbieta
Knutem... prześliczny język, ale razem
Pachnie mi żywém mięsem i Kaukazem!

Lecz język piękny, pełny dyjamentów
W Puszkinie, w panu Sękowskim podłości.
Dziś, jak słyszałem, pisze pan Lermentów,
Który pół życia na Kaukazie gości —
Takich do niego car doznaje wstrętów,
Do niego i do laurowéj parości,
Która nietknięta nożem i nożycą
Może róść i być kiedyś — . . . . . .

To o poetach ruskich. — Car jest wspólnik
Poetów, jest Minosem, Estetyką,
Szleglem; na niego patrzy pan Kukólnik,
Tragedyą jaką zamyślając dziką,
Za sceną bowiem stoi Karaulnik
Z ogromną pałką, szablą lub motyką,
Z kibitką, z wielkim budników ogonem,
Jak Debattes i Jules Janin z felietonem.

Benkendorf-Review, pismo zdrowych sądów,
Największy robi ruch w czasowych gwarach,
I sądzę, że ta konnica z wielbłądów
I z krzywych bladych ludzi w okularach,
Którą zjadł piasek nadkaspijskich lądów
I ziemia w spiekłych pochłonęła szparach,
Owa konnica do Chiwy dramatów
Posłana, była wojskiem z literatów.

Czysty Furyeryzm i zastósowanie
Falang do krajów nieznanych zdobycia!
Szkoda, że w piasku zginęli bałwanie
Ci w kutach ludzie biedni, co odkrycia
Mogli porobić ważne. — O! Słowianie!
Długoż pod knutem wytrzymując bicia,
Drżąc jak otruty pies, co tylko skomli,
Będziecie słuchać grających na dromli

Poetów?! — Piszczą, jak pod korkiem szklanka,
Na jakąś dziwną nutę, niby świeżą;
Prawda i piękność stoi jak wygnanka,
Harfa się stała skrzypką, urna dzieżą.
Tam znów uczony miły Czech, pan Hanka
Pieczętuje się... tu mi nie uwierzą
Hermafrodyty Słowiano-Polacy,
Że na pieczątce Hanki są — Kozacy!

Pod kozakami służy mu za motto
Słóweczko małe, lecz bardzo dobitne:
Въ передъ... Nadzieja jest nadzwyczaj złotą
I mędrca w sfery unosi błękitne.
Chciałbym, ażeby — nim mu Parka Kloto
Nić życia i badania starożytne
Przetnie — ażeby mu zrobili rajem
Ten świat kozacy jego dwaj — z nahajem!

Nie wiele żądam: aby w jego domu
Postojem tylko stanęli dwaj Dońce!
Bóg widzi, złego nie życzę nikomu
I tych, co ludom zapalają słońce
Laurami, radbym ochronić od gromu;
Innych, co jako piekła są obrońce,
Radbym uczynić na tém lauru drzewie
Liściami... Strofę tę pisałem w gniewie —

Czy zmazać?—nie na Boga! niechaj stoi
W dantejskich moich strof gryzącym tłumie!
Czech, co kozaków myślą w Renie poi,
Choć Niemiec, może głos ludzki zrozumie.
Ja wracam pod las, gdzie rycerze moi
Jedzą—przy dębów rozwahanych szumie,
Siedząc na srebrnéj księżycem lewadzie,
Kwiatami wonnéj. Już miesiąc się kładzie

Do snu, a oni jeszcze zgodnie gwarzą,
Jakito będzie wiek dla Polski złoty,
Gdy z niéj Barszczanie całą hańbę zmażą,
Wyrzucą Moskwę i króla za płoty.
Tatar, na księżyc obrócony twarzą
Przemawia hymnem czarownym tęsknoty
Do miesięcznego blasku, i uśmierza
Serce słowami wielbłądów pasterza.

O! ileż razy, ognisty proroku
Boga, śród twoich wielbłądów klęczących,
Z księżycem srebrnym w rozgorzałém oku,
Musiałeś dumać tak, gdy z fal gorących
Wychodził krwawy par nakształt obloku
I szedł po stepie... Królu konających,
Wiara twa odlatuje i zostawi
Hymn taki smutny, jak echo żórawi!

Wkrótce Słowianin z twoich wież postrąca
Śpiewaki, Boga śpiewające imię;
Z wież twoich zrzuci białe półmiesiące,
Na piersiach twoich odalisk zadrzymie.
Na falach twoich twoja flota drżąca
Stoi, jak wojsko upiorów olbrzymie;
Chciałaby zakryć twoje piersi całe
Spruchniałym żaglem — królestwo spruchniałe.

Próżno — o próżno! rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało;
Twoje mi śmiercią już blade oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało
I tę godzinę, gdy byli pod bicze
Dani, jak Chrystus... i gdy w nich konało
Serce... i gorszą jeszcze, niż skonanie,
Tę — gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.

Przez podobieństwo śmierci, przez tę ciszę,
Co się nad tobą teraz rozpostarła,
Zabłądzonemu w twoich palm zaciszę
Serceś mi wzięła, moje łzy wydarła!
Meczetów twoich płacz wieczorny słyszę,
I po tym śpiewie wiem, żeś nie umarła,
Ani się podłém ulęknieniem spodlisz,
Bo patrzysz w słońce i o śmierć się modlisz!

Niech ci zgon będzie słodki — a w pustyni
Pod namiotami kiedyś Arab stary
Powieścią swoją wielki płacz uczyni,
Twe księżycowe śpiewając sztandary,
Gdy z wiatrem nieśli je Salahedyni
Przeciwko złotym krzyżom innéj wiary.
Araby ogień obsiędą stepowy
I będą słuchać, smutne chyląc głowy;

Lub zapatrzeni w jasnych gwiazd orszaki,
Które od wieków nie zmieniły chodu
I są dla ludów rodzonych, jak znaki,
I takie same po zgonie narodu.
Tymczasem płomyk wstający z kulbaki
Palcami gasi olbrzymi król lodu —
I gaśnie państwo białego księżyca,
Jak w poemacie Dziadów druga świéca.

Pieśń moja gaśnie także, z téj posępnéj
Barwy nie mogąc wyjść na blaski świtu;
Smutek ma w sobie tyle siły wstępnéj,
Że coraz wyżéj w krainy błękitu
Prowadzi — a więc do pieśni następnéj
Odsyłam wszystkich ciekawych pobytu
Ambasadorów moich śród meczetów
I gór, co mają wszystkie kształt sonetów.

Więc tu, kochany czytelniku, chciéj się
Zatrzymać nieco, odpocząć wraz ze mną.
Jeśli wesoły jesteś — z ludzi śmiéj się;
Jeżeliś smutny, wiédz że się daremno
Smucisz. Gotuj się być na Kikinejsie
I Czatyrdachu: w noc zupełnie ciemną
Samego z moją Muzą cię zostawię,
Jeśli przyrzeczesz, że... (żałuję prawie,

Żem wyrzekł) jeśli przyrzeczesz na cienie
Ojców, że... zresztą, jako chcesz: dość stara
I panna!.. zaraz mówi o hymenie,
Za gorsem kontrakt ma ślubny; Ikara
Złowiłaby za skrzydła i sumienie;
Zaraz się pyta, jaki twój ród, wiara,
Majątek... i wnet łączy się akordem;
Mówią, że już raz była za milordem.

Tak mówi Dziennik Narodowy; — przeczę!
Ostrzegam wszystkich was, że jest dziewicą!
Nawet zaręczam... Lecz oczyma piecze,
A głowę nosi swą pod błyskawicą.
Dlatego chociaż mnie przed ołtarz wlecze,
Wolę w ciemności żyć, niż z taką świécą
Usque ad mortem... kirielejson kirie!
Nie żonę mieć przy sobie — lecz Walkiryę.

PIEŚŃ VIII.

Jak zajechali me ambasadory
Do Krymu, nie wiém; ale pan Borejsza
Mówił, że spotkał na stepie upiory,
Dropie, limany, a rzecz najdziwniejsza,
Z bodiaków wielkich i kolących bory,
Od których puszcza białowiejska mniejsza;
W téj puszczy wielkie skrzydlate połosy
I ludzie, którzy mają płaskie nosy.

Późniéj to w Litwie o swojéj podróży
Mówiąc, jak Ariost jaki nierymowy,
Mówił, jak okręt pośród wielkiéj burzy
Płynąc podpiérał i dopłynął zdrowy.
Jak spotkał rybę, co łeb miała kurzy,
A zresztą była kobiétą prócz głowy,
A ogon wielki gdyby u Sylena —
Szlachta krzyknęła wnet, że to Syrena!

Na co Borejsza zgodził się — u stołu
To było — wtenczas wszystko prawdą zda się;
Mówił, jak chciano go chmurą popiołu
Zdusić na wieży, a on się po pasie
Spuszczał, tnąc w górze ten pas, a u dołu
Sztukując; potém napomknął w nawiasie
I od niechcenia, że téj sztuki sztucznéj
Przyczyną był — mąż jeden trzy-buńczuczny

I rogal; bowiem o jednę godzinę
Spóźnił się ze swą popiołową wieżą.
Tak mówiąc, wino połykał i ślinę,
Mrugał oczyma: Niechaj mnie uderzą
Pioruny, jeśli kłamię! — niechaj zginę!
Zaklęcia, którym dziś nie wszyscy wierzą...

Lecz w owym czasie dobre i bezpieczne
Śród ludzi, którym już dziś światło wieczne

Przyświéca. — Mówi wszakże pan Trentowski,
Że nie należy kłamać... ja tak sądzę;
I ten poemat drukując bez troski
O duszę moję, nigdy w nim nie błądzę;
Wszystko jest albo prawda, lub sen boski,
Przez odemknięte słoniowe wrzeciądze
Jak mara z tęczy z niebios wychodząca
O cichéj porze, przy blasku miesiąca.

Zamykam oczy i widzę i piszę,
Co widzę. W jednym zrujnowanym kanie,
Przy którym smutna palma się kołysze.
I źródło szmerem swym radzi na spanie...
— Wszystko na wschodzie ma ogromną ciszę,
Wszystko ze światła złotego ubranie,
Mury ze złota zdają się, choć gliną
Są oblepione i grożą ruiną.

Na murach dziwne desenie lekkości
Przydają wieżom i ruinom wdzięku;
Wszystko się zdaje ze słoniowéj kości,
Że od nimf było niesione na ręku
I postawione śród palm zieloności
Cudownie, śród harf aniołowych dźwięku,
Jak ta w Lorecie Matki Boskiéj skała,
Która na skrzydłach złotych przyleciała.

W kanie więc, który dawniéj był moskitą,
Dziś kanem (tak się zwie karczma na wschodzie)
Pod jedną wielką framugą rozbitą,
Gdzie wiérzchem niebo w słonecznéj pogodzie,
Jak turkusowy szlak, albo koryto
Szklane, zrobione wodociągów wodzie,
Spokojnie płynie nad głową podróżnych:
Ambasadory w kształtach bardzo różnych

Ci leżą, inni siedzą — trzech ich było,
I czas spędzali swój nienajzabawniéj;
Serce w nich troską, utrapieniem biło,
I chléb swój własny jedli najniestrawniéj.
Polskę czuć było już wtenczas mogiłą,
Nie przyjmowano już posłów jak dawniéj,
Lecz jak żebraka albo jak natręta,
Witały małe w ruinach ptaszęta.

Wróbel wesołém witał świergotaniem,
Może dlatego, że jadł kiedyś zboże
Polskie; jaskółka, że pod stalowaniem
Polskiém rodziła się przy jakim dworze;
Jeżeli żóraw — to z powinszowaniem
Przyleciał, spytać na cudzym ugorze
Posłów w podartym chodaku i szacie,
I smutnym śpiewem wrzasnął: — jak się macie?

O! miecza w ręce... jeszcze raz! i na te
Krainy dajcie runąć z krzykiem Huna!
Wróćcie nam, groby, husarze skrzydlate,
Niech nam Czarnieckich całych odda truna!
Godzinę tylko, Boże, niech brodate
Z mogił powstaną dzieciny Peruna
I hej! przez dawne Atyli bezdroże,
Godzinę tylko życia, wielki Boże!

Próżno! — w téj ciemni, w tym grobowym lesie)*
Głos ludzki nie ma echa. — Hej szlachcice!
Poemat mój wam laur na tacy niesie
Jak lokaj. — Chciałbym także, aby fryce
Warszawscy, którym dziś tańcować chce się,
Mogli w me wiersze spojrzeć, jak w miednicę
Pełną różanéj wody — dziś usiadłem
Z chęcią, ażebym był wody zwierciadłem.

*) Te dwie strofy odmiennie drukowane autor po napisaniu przekréślił.

Zamyślam kilka krawieckich przepisów
W mym poemacie dać — dla was, dandysy
Polskie, podobni dziś jeszcze do flisów
Ubranych w Gdańsku; będą to przepisy,
Które przemienią was prosto w Narcysów.
Jeśli z was który ślepy, krzywy, łysy,
Niech się nie skarży na los bardzo twardy;
Poniatowski miał cudze bakiembardy...

Za tę godzinę, ja oddam ci... Nie wiem,
Co mógłbym oddać Bogu?.. Anioł zgonu
Przyjdzie po wszystko i pod różokrzewiem
Albo pod liściem drżącego jesionu
Położy żądzy spalone zarzewiem
Ciało, bez żadnéj myśli i bez tonu,
Serce bez bicia, oczy bez światłości,
I zostawi tu nad niém... duszę kości.

Dwie są albowiem podług Niemców: jedna
Duchowa, leci od ciała daleko;
Druga się błąka tu nad ciałem, biedna
Płacze, Styxową przedzielona rzeką
Od siostry... aż kto pacierzem wyjedna
Lub ją anieli od ciała odwleką
Za włosy z cichéj różanéj mogiły:
Tak kocha ten dom młodości i siły...

Ten wiersz z Homera kradnę, ten ostatni.
Niegdyś płakałem nad nim... Zdaje mi się,
O Sarpedonie mówi śpiewak, bratni
Mickiewiczowi — ale miał w kirysie
Rycerzy, którzy byli bardzo stratni
I szafowali siłą, życiem; gdy się
Zmienili trochę Litwini dzisiejsi,
Będąc troszeczkę lepsi — ale mniejsi!

Jednak w téj cudnéj epopei żyją:
W ich lasach trąba gada... boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją:
Patrzcie, jak ten żubr od pękniętéj bomby
Cofa się: patrzcie, jakie wianki wiją
Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewosłęby;
Słuchaj i patrzaj, bo jako zjawienie
Litwa ubrana w tęczowe promienie

Wychodzi oto z lasu. — Z taką chwałą
Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
Iż myślisz dotąd, że to echo grało,
A to anielskich był głos serafinów.
Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!
Chociaż Gofredów nie miał i Baldwinów,
Ani mógł morza wiosłami zamącić,
Ani księżyca z wież krzyżowych strącić:

Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica:
Coś pada... myśmy słyszeli — słuchali:
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takiemi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem...
Idźmy — znów czasu Bóg postąpił krokiem.

Ale ten napis łatwo startéj krédy
Niechaj zostanie! a ten co przeczyta,
Niech sobie wspomni, żem na piramidy
Wchodził i deptał to, na czém czas zgrzyta;
Że nieraz końcem Pelidowéj dzidy
Zrobiona trumna jest — albo rozbita.
Wąż Laokoński, który gryzł bez przerwy,
Syty—wlazł znowu pod tarczę Minerwy.

Nie budźcie, niech śpi! — Mówiłem więc w rymie,
Jak moje posły w starym siedzą kanie;
Borejsza w upał południowy drzymie,
Hamet się w ptaszków zasłuchał śpiewanie;
Beniowski wielkie zamiary, olbrzymie
Buduje w myśli: — dziś ma posłuchanie
U Khana Krymu, u Kierym Giraja;
Gotuje się więc z mową i zaczaja.

Przypomniał sobie wszystkie z retoryki
Figury; Khana chce podejść wymową —
Przypominając, wyszedł na brzeg dziki,
Gdzie słońce było mu nad samą głową.
Z dala szum morza i żórawiów krzyki
I Bakczysaraj z koroną palmową,
Z minaretowym lasem, stał pod górą,
Lekką gołębi migocących chmurą.

Owiany. — Smutno! o smutno samemu
Na morskim brzegu, gdzie się fale kładą
Śpiewając ciągły hymn nieśmiertelnemu,
Który pustynię rozeświéca bladą
Gorącém słońcem! smutno tam jednemu
Z europejskich pamiątek gromadą
Śród gorącego pustyni kobierca
Błądzić z strzaskaném sercem, lub bez serca...

Jednak jest jakaś duma, co podnosi
Czoło północnych ludzi, gdy po świecie
Wicher nieszczęścia ich jak liście nosi —
Zniszczyć nie może. Pan Zbigniew był przecie
Kochany; wiedział, że ktoś Boga prosi
Za nim, że go wiatr pustyni nie zmiecie
Bez śladu, wziąwszy pod swych skrzydeł loty,
Jak zwiéwa błędne w pustyni namioty.

Wiedział, że w Polsce ktoś pamiętać będzie
Błądząc nad stawem, gdzie srebrna topola
Osłania groblę; że zawsze i wszędzie
Dusze kochanków, jak harfy Eola
Albo pod niebem gdzieś jak dwa łabędzie,
Latają razem, choć je smutna dola
Rozłącza tu na ziemi i rozgania;
Wiedział to, i te wszystkie porównania.

Pełny więc melancholii szedł po brzegu;
Wtém ujrzał dziwną rzecz i zbladł na twarzy
Patrząc... I mój rym także stanął w biegu,
A nim opisze tę rzecz, słowa waży.
Niech mi żórawie zabrzmią hymn noclegu,
Niech pełny księżyc krwawo się rozżarzy
I stanie jedną czerwoną pochodnią
Nad wiedźmy temi z piekła i tą zbrodnią!

Arabki dwie, w koszulach czarnych, z pod zasłony
Patrzące na świat dziko i jaszczurczo,
Siedzą na ziemi, jak dwie czarne wrony
Albo jak żaby w ogniu, gdy się skurczą,
Śpiewają dziwnie i dziwnymi tony
Albo zaklęcia jakieś ciemne burczą,
I palą dzikie bladym ogniem zielska.
Pomiędzy niemi główeczka anielska.

Główeczka tylko leży, ale żywa:
Oczki błękitne w niéj ciągle latają,
Czasem się z ziemi jak gołąbek zrywa,
Złote jéj włoski już powietrze krają
Jak dwa skrzydełka; ale rzecz straszliwa,
Zlęknione złote piórka opadają,
Nie mogły podnieść z ziemi białéj róży,
Która zasypia — i znów oczka mruży.

Anioł lub jakaś nieszczęsna istota
Leżała w mocy czarownic zaklęta;
Rzucały ciągle na nią garści błota,
Mogiła z piasku, jak bąbel wydęta
Wstawała... z ogni piramida złota
Lub jak kręcony miecz, z płomieni kręta
Stała z ogromną powagą ogniową
Nad Arabkami dwiema i tą głową.

Pan Zbigniew dobył szabli — brzęk żelaza
Spłoszył dwa widma czarne, i z wybrzeża
Odlatywały żółte jak zaraza,
Jakby na skrzydłach czarnych nietoperza;
Na piasku żadna nie została zmaza,
Tylko ten ogień, jak piekielna wieża,
Tylko ta główka leżąca na ziemi
Z oczkiem niebieskiém i z koralowemi

Ustami... Oczki otworzyła, żywa
Na Beniowskiego głos; ten leciał z krzykiem,
Jak rycerz, który do szańca się wrywa,
Wołając... polskim wołając językiem:
Stójcie! to zemsta jest jakaś straszliwa!
To pewnie jaki Basza z sercem dzikiém,
Syryjczyk, lub Cylijczyk, lub Natolak!..
Na to krzyknęła główka: —Ach! Pan Polak?

Beniowski stanął i otworzył usta.
Gdyby weń piorun uderzył, nie więcéj
Zląkłby się; ale trwoga była pusta,
Poznał to zaraz rycerz najgoręcéj
Zagrzany; wnet mu stanęła Prokusta
W myśli — Medea — Cyrce, jeszcze więcéj
Kobiét z historyi dawnéj starożytnéj,
I na szabli się oparłszy błękitnéj,

Rzekł: Polak jestem... tak, i Podolanin,
A ty kto, biédna? — Ja także z Podola,
Rzekła; targuje mnie teraz poganin,
W haremie ciężka czeka mnie niewola!
Obaczył mnie już także Moskal Panin
U tutejszego na poselstwie króla.
I ten mnie także kupić chce, targuje;
Ale ja skonam albo się otruję.

Jestem szlachecką córką, dom nasz cały —
Może słyszałeś o Gruszczyńskich dworze?
Hajdamaki nas w dzień napadli biały,
Ojca nie było, my same w komorze
Kobiéty, kiedy rznęli, my krzyczały,
Matkę i babkę i maleńkich — Boże!
Nie mogę o tém ja oświécić Pana,
Ja patrząc, byłam sparaliżowana.

Kozak mnie jeden, jak kawałek drzewa
Wyprostowaną wziął, i dał popowi;
Pop kupił, teraz przedać się spodziewa,
Jeśli mnie piasek ten wrący uzdrowi.
Codzień mnie błotem, jak widzisz, odziewa;
Codzień mnie straszny dreszcz przechodzi mrowi
I we łzach oczy się nieszczęsne topią,
Gdy mnie w ten piasek włożą i zakopią.

A jednak biédna lękam się ozdrowieć,
Udaję zawsze martwą i kamienną.
Oto jest cała moja, Panie, spowiedź.
W tém błocie skwarném leżąc, jestem senną;
Od słońca tego lękam się osowieć,
Taką ma dla mnie straszną twarz płomienną,
A jeszcze gorzéj, gdy noc, chociaż zdrowa,
Nie śpię — w mogile mnie pop na noc chowa.

Stary turecki jakiś domek trupa
Na górach stoi z okrągłą kopułką,
Tam jest nademną nietoperzów kupa
I gniazda z ciągle piszczącą jaskółką:
Na drzewie także coś ciągle kołupa,
A okno jedno nad glinianą półką,
Gdzie mnie położą, a drzwi zawsze strzegą,
Świeci księżycem, jak twarz umarłego.

O Panie, ratuj mnie! choćby potrzeba
Saméj się bronić, w noc uciekać ciemną...
Beniowski przerwał: niech ogniste nieba!
Wstawaj Acanna z ziemi i chodź ze mną,
Znajdziesz schronienie i kawałek chleba,
A ja przybyłem tutaj nie daremno,
Jeśli Bóg przez mię sierotę wspomaga...
Wstawaj! A ona rzekła: jestem naga —

To rzekła cicho i głoskiem dzieciny;
A rzekłszy, cała się ogniem zażegła,
I krew, jak jeden za drugim rubiny,
Po ustkach wstydem rozpalonych biegła;
Szyja się także stała u dziewczyny
Różaną — ale ziemia reszty strzegła,
Ziemia ognista, i nie pokazała,
Czy była cała różana, czy biała.

Beniowski także spłonął, potém zbielał —
Widać, że szukał w głowie prędkiéj rady;
Oczyma smętny w różne strony strzelał,
Czuł, że rycerzem był dziwnéj ballady.
Czy grób rozkopać?... Jakby się ośmielał,
Postąpił naprzód, wdaje się w układy
Z młodzieńczym wstydem, z rozwagą człowieka;
Wtém główka wrzasła: Aj! niech Pan ucieka!

Na ten wrzask rycerz obrócił się, patrzy —
Z pospólstwa chmurą leci pop na czele;
Rycerz za pasem miał naboi na trzy
Głowy; pomyślał sobie, że nie wiele.
Obejrzał szablę, jak człowiek, co patrzy
Pierwéj na siebie, niż nieprzyjaciele;
I stanął patrząc srogo na pohańce —
Byłato chmura kobiét i rzezańce.

Turecki jeden święty, cały nagi
I krzywy, oczów pokazywał białka,
A w ręku jego była wielkiéj wagi
Sękata z drzewa Darfurskiego pałka;
Tłum cały sobie dodawał odwagi
Wrzaskiem; lecz w tłumie tym nie było śmiałka:
Beniowski więc stał z rycerskim wyrazem
Na twarzy, gotów siéc po grzbietach płazem.

Wtém niespodziana rzecz! Gdzie indziéj błoto
Rzucają, albo kamień, lub kartofel
Chmury — w krainie, gdzie między hołotą
Zjawi się jaki szary Mefistofel:
Na wschodzie biała płeć, która jest złotą,
Babusz (tak się zwie czerwony pantofel)
Zdejmuje z pięknéj nóżki, i zwycięża
Pantoflem gacha, lub wroga, lub męża.

Coby powiedział pan Trentowski, który
W swych Aforyzmach ostrzega małżonka,
Że każda piękność nowa téj struktury,
Jakiéj Klorynda była Amazonka,
Chociażby piękną była jak Ahury,
A miała tyle cnót, co Jagiellonka,
Dla tego właśnie, że jest taka chrobra,
Nie jest na żonę zdatna ani dobra.

Coby powiedział — widząc tę gromadę
Z bocianią czarną na nosie kitajką,
Z którejby każdą wziąć mógł za Palladę,
Zwłaszcza że dzida jest u Niemców fajką!
Niech mówi, co chce — a ja daléj jadę
Z tym poematem, powieścią czy bajką
I w miniaturze ten bój, jak Izabej,
Dam — lecz z szacunkiem zawsze dla płci słabéj.

Więc jak mówiłem, już chmura babuszów
Czerwonych nagle zaćmiła powietrze;
Świstać zaczęły smutnie koło uszów
Jak afrykański tuman, gdy się zetrze
Z tumanem. Nakształt pierwszych karteluszów
Pantofle naprzód przyleciały leksze,
Potém ze starych nóg, ciężkie, schodzone,
Podbite ćwiekiem, żółte i czerwone,

Jak bomby w ogniu rozgrzane, lub w burzy
Z wulkanów głazy, lub aerolity.
Gdyby z kochanek nóg — listkami róży
Takiemi chciałbym być nawet zabity;
Jeden mi taki trzewik teraz służy
Za lampę; płomień wspomnień w nim ukryty
Gore... w różowym ujęty atłasie,
A tak maleńki jest, jak oko w asie.

O! gdyby takie, z listków róż robione
Sylfów trzewiczki padały mu w oczy...
Pewnie by krzyknął: niech w różach utonę,
Niech mnie nakryją, niech mnie blask zamroczy!
Ale ogromne babusze czerwone,
Jak ogień albo grad, co żyto tłoczy,
Albo pioruny z alpejskich obłoków,
Albo też chmura latających smoków,

Z dołu i z góry krzyżują się, lecą —
Świata nie widać, słońce nawet ćmi się.
Próżno w nim gniewy się gorące niecą,
Zęby o zęby zgrzytają tygrysie;
Zamyka oczy — one ciągle miecą
Ten grad, za którym wszystko w oczach mgli się;
Zrazu się wahał — potém się ośmielił
I z pistoletu na wiatr w górę strzelił.

Wrzasnęło wojsko wiedźm, turecki święty
Upadł i zaczął wić się, paralityk;
Lecz pop prowadzi znowu na bój wszczęty
Baby — szanowny pop — jakiś polityk,
Który chciał, aby pan poseł był wzięty,
A stąd przed Khanem by uniknął krytyk
I kar na popy we wschodnim kościele,
Których oskarżą de raptu puellae.

„Jaki wstyd będzie, krzyczy, gdy Giaurowi,
Co widział Khana małżonkę w kąpieli,
Zostaną oczy we łbie! Co Khan powie?
Jak się z was będą małżonkowie śmieli!
Ranioną babę święty wnet uzdrowi;
Ja dam na tytoń.“ — Tu blask karabeli
Mignął mu w oczach; uderzony płazem
Padł okręcony jak wężem — żelazem.

Taka w niéj była giętość, w owéj szabli,
Którą Beniowski przypasał do boku
Mścić się Ojczyzny. Więc nakształt korabli,
Łamał się rycerz śród szarego tłoku;
Aż uczuł coś we włosach nakształt grabli
I coś kociego razem uczuł w oku,
I coś cięższego obciążyło łokcie —
Były to ręce kobiet — i paznokcie...

Reszta téj walki i rycerza wzięcie
Nie opisane jest w mojéj kronice;
Sądzę, że gdyby nie miał był na wstręcie
Rąbać pałaszem takie czarownice,
Byłby zwyciężył. Więc na dyjamencie
Ryć tę szlachetność lwią! Jeśli krytyce
Jaki bok słaby tu w tych rymach podam,
To odwołuję się wnet zaraz do dam.

Niech sądzą, niech się litują, niech płaczą,
Niech utyskują na los, piszą treny:
Niech ten kawałek paznokciem naznaczą
I odczytują w dzień słoty, migreny.
A pewnie same sobie wytłómaczą,
Dla czego dał się wziąć przez te Syreny;
I rzekną: ach nieszczęsny — to go broni,
Że na tę biedną płeć nie podniósł dłoni!

Tak, to go broni — bo ja mam ważniejsze
Rzeczy i muszę rzucić bez obrony:
A sam do Khana prowadzę Borejszę,
Lutnię na wyższe nastroiwszy tony.
Gdzie o Ojczyznę chodzi, rzeczy mniejsze
Muszą ustąpić — więc choć zasmucony
Rycerza mego wzięciem... kropki kładę,
A sam Borejszy śpiewam ambasadę.

Khan krymski Kierym Giraj, jak cytryna
Żółty... wąsy miał długie jak sum, kare,
Ciało na szyi, jak czerwona glina,
A oczu kocich, jasnych, takich parę,
Jak u tygrysa — dobry starowina.
Ale o buńczuk bardzo dbał i wiarę;
Ministra także miał przy swoim boku,
Oba siedzieli jak duchy — w obłoku.

Rzekłbyś, że Pluton z brodatym Charonem
Siedzą i palą tytoń — w środku sali
Rozkwitła fajka wywróconym dzwonem,
Jak kocioł, gdzie się dusz tysiące pali.
Dwa węże w kocioł wetknięte ogonem
Do ust im lazły, a oni je ssali
Smakując bardzo to, co bursztynową
Szyją wziął z kotła gad i oddał głową.

Oba siedzieli niby na przydworzu,
Choć nad głowami wisiała framuga:
Widać im było i błękit na morzu,
Gdzie lekkie skiby szły od wiatru pługa;
Widać meczety, w których to dwurożu
Dyjamentowe światło wiecznie mruga,
Jak wiersz Bohdana, gdzie w ciągłym przymusie
Pała różowy brylant — na turkusie.

Jak turkus bowiem, było niebo wschodnie,
A turkus nawet taki bardzo rzadki.
Tatary moje więc siedzą wygodnie,
Nie ściany mając wkoło, ale kratki
Z drzewa, przez które czasem jak pochodnie
Łysnęły... oczy panny lub mężatki,
Oczy gruzyjskie, pełne, skrzące, duże —
I usta, czasem nie usta, lecz róże.

Ciekawość taka żonom pozwolona
Na wschodzie, byle twarz zakryły samę.
Pokazać czasem wolno trochę łona,
Przez rozciętego wskróś gorsetu bramę —
Ale twarz zawsze ściśle zasłoniona,
Jak miesiąc, gdy nań ziemia rzuci plamę.
Szczęściem, że teraz nawet już na Wschodzie
Ten obskurantyzm twarzy nie jest w modzie.

U nas trwa jeszcze... nie w kobiecym stroju,
Lecz w poetycznych szkołach; ale szkoda
Na świergocące te wróble naboju.
Niech katolicka płynie sobie woda!
Niechaj używa wiersz dawnego kroju!
Niech epopeję nam piszą z Heroda,
Z biblii całéj porobią obrazki
I o potopie téż napiszą... skazki!

Co do mnie — wolę Rafaela loże
I te sufity, gdzie nad ludzką głową
Wisi w tęczowych blaskach dzieło boże,
A taką sztuką odświeżone nową,
Tak nieśmiertelną, że umrzéć nie może,
Lecz o Jehowie będąc — jest Jehową,
Iskierką jego treści dotykalną,
Ludzkim filarem wspartą i widzialną.

I kiedym w górę spojrzał, to przestrachem
Zdjęty myślałem, że w braku sufitów
Niebiosa wiszą otwarte nad gmachem
I te kolumny są bez żadnych szczytów.
I chciałem myśli tytańskiéj zamachem
Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,
Gdzie powtórzone wisi boskie dzieło
I trwa... a nasze co chwila — zginęło.

O tymto cudnie malowanym gipsie
Mówił Jan święty: że będzie zwinięte —
Mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie.
Gdy trąby zagrzmią, fale wstaną wzdęte,
A Bóg światowi powie: w gruzy syp się!
A grobom powie: stójcie odemknięte!
A tym sufitom: skrzydłami się nieście
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!

O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina
Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!
Na tożto przysłał Bóg Atyli syna,
Aby gitary tam dźwięk taki marny
Rzucił na wiatry?... a tam jednak glina
Z Grachów... i z duchów stoi obłok czarny
Na koloseum; księżyc je upiększa,
Lecz jest jak tylko jedna z tarcz, nie większa

Od Brutusowéj. Z takąto koroną
Stoją ruiny, czarne i zębate.
O! prawda, że tam ptaszków pełne łono,
Że im powoje stanęły za szatę;
Że tam krzyż duma — i gromnice płoną;
Że tam, kędy lwom odmykano kratę,
Dzisiaj (widziałem sam biedny wygnaniec)
Wypada jakiś ksiądz, mnich, obłąkaniec --

Rzuca się, pieni, klnie i Carbonari
Krzyczy, la gente d' inferno! i zgrzyta —
Sam jak hyena jest albo wilk szary,
Na żar położy więźnia i wypyta;
Do domu nakształt dymu albo pary
Wciśnie się, zyzem tygrysim powita,
Pieczenię zawsze nadybie gorącą,
Spowiada panią... uwodzi służącą.

I taki brudny czart czasem się chyli
I z pyłu lice odsłoni pomnika,
Z pyłu, co leciał przed wojskiem Atyli,
Przed kopytami Hunnów, Alaryka
I nakrył dawne miasto, nim przybyli;
I jako ten grób, co się sam zamyka,
Zniknęło, cudzéj uchodzące właści
I utonęło przed mieczem — w przepaści.

Dzisiaj dobyta kolumna niecała
Pyta się biedna cicho: a co w Rzymie?
Czy mi czas było, abym zmartwychwstała?
Czy macie jakie na grobowcu imię,
Abym go strzegła ja i nad nim stała,
Ja, co widziałam mogiły olbrzymie
I wiém, co dola ludzi niepowrótna,
I jeszcze po nich jestem dzisiaj — smutna...

Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi
I stawią znowu czołem na gwiazd wianek.
O mój Bohdanie — ja ci tam posągi
Pokażę smutne piękniejszych poganek;
Ja ci pokażę dawne wodociągi,
Co idą jako tłum Samarytanek
Niosąc na głowie dzbany, korowody
Dzbanów! lecz wszystkie na głowach bez wody...

Choćbyś był jako Chrystus upragniony,
Pić ci nie dadzą, zostawią u studni;
Ja ci pokażę od Tybrowéj strony
Rzym, co się myciem swéj bielizny trudni,
A nie trudni się obmyciem korony.
A syczy, kiedy się dzień rozpołudni
I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,
Jak wąż, co głowę ma na kłębku ciała.

O miserere! jam go widział z góry
Et de profundis — wiém, jak widać z grobu!
Zielony on jest, a w płaszczu z purpury,
A w ręku uschły kwiat — z świętego żłobu;
Nad nim z ognistych smoków lecą chmury,
A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,
Dominikańskim mieniący się jadem,
A każda w nim nić — czartem albo gadem.

O mój Bohdanie! pod ten, co się skłębia
Płaszcz, i sam przez się jest wiecznie ruchawy,
Ty lecisz z dziwną prostotą gołębia,
Chciwy napoju — i blasku i strawy...
I myśli się twój koń trwogą nie zdębia!
Żeś jest niewinne dziecko — znać z postawy;
Dlatego piecza i strach mi o ciebie,
Bo ten okropny duch żegnaniem — grzebie...

I byłem mędrszy z żórawi łańcucha,
Kiedym się zerwał sam i poszedł przodem;
A byłem, gdzie dwie srebrnych fontan bucha,
Przed gmachem wielkim i kolumn ogrodem;
Ja wtenczas silną różdżką mego ducha,
Co w środku ma kwiat — choć okryta lodem,
Zakląłem źródła, tak że w téj potrzebie
Anioły złote mi dwa dały z siebie.

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta
Skrzydła fontannom i włos im ubiela,
Wyszły Anioły przewodne, bliźnięta,
Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela;
I tę kopułę, która już pęknięta
Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,
Wzięły na skrzydła złote, nad tułaczem,
Abym nie zwalił jéj echem i płaczem.

Więc póki stałem pod ogromną banią,
To ją trzymała para jasnolica:
Wysokość — z niebios równałem otchłanią,
Bo ta kopuła — to Alp rówieśnica!
Chmury stukają w okna, idąc na nią,
I do kościoła wchodzi błyskawica,
Za nią pioruny, te nawałnic wodze,
Spotkawszy kościół powietrzny — na drodze.

Potém bóg Perun, wróciwszy w Łotysze,
Puszczom i sosnom blady opowiada:
Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,
I kościół w chmurach stoi i nie spada —
Choć ja i wichry, moi towarzysze,
Ja i me dzieci, piorunów gromada,
Bierzem go w ręce, w skrzydła, z kolumn rwiemy
I tu na puszcze litewskie niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,
Tu na piorunach czerwonych przyleci;
Marzanny w nim się zagnieżdżą łabędzie
I orły będą w czerepie mieć dzieci...
— Tak mówi Perun — ja wiem, że zdobędzie
Błyskawicami to, co próchnem świéci;
Dlategom bronił gmach od zaginienia
I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybacz, Cezarów mogiło,
I wy, Piotrowych fontan Świtezianki,
I ty, wisząca na powietrzu bryło,
I wy kolumny, jak Pelejad wianki
Stojące w chmurach... i ty, świata siło,
Krzyżu pokorny! i wy dawne szranki,
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem,
Wybaczcie, żem się na was oparł czołem...

Strudzony byłem i smętny — lecz znowu
Wielkim popiołem posypawszy ciemię,
Znów do mojego powrócę narowu,
Do pieśni, ludzi malować i ziemię;
Znów do krymskiego pójdę półostrowu,
Rycerzy moich posadzić na strzemię
I nieść w pożarne Ukrainy łuny
Tych, którzy na mój głos powstali z truny.

PIEŚŃ IX.

1 Więc gdy Borejsza przed czerwonym Khanem
Stanął: przeżegnał się naprzód dwa razy
I stanął prosty jak drąg przed Dywanem
Z tłómaczem, który czekał na rozkazy.
Potém się ze swą godnością i mianem
Zaprodukował i rzekł te wyrazy,
Które w lot muza nieśmiertelna chwyta:
„Daj temu psu list księcia — niech przeczyta!“

2 To mówiąc, papier wydobył z cholewy
I podał ów list dziwny przez tłómacza;
Minister, który stał jak anioł lewy,
Wziął list i wejrzał weń okiem puhacza.
Litery były w nim rajskiemi drzewy;
Pomalowany był, jak pasmo tkacza,
Gdy na czołenka różnych blasków bierze
I nicią złotą przerabia szkaplerze.

3 Dyabełki miasto liter, dziwolągi,
Floresy, różnym świécą atramentem:
Z tych arabesków były różne ciągi,
A list fantazyi był dziwnym odmętem.
Książę się Karol pisząc klął, że ongi
Sam u Sułtana z młodu był skrybentem;
Na słowo szlachta zaręczyła dziarska,
Że po turecku pisze — lecz z tatarska.

4 Ale minister Khana na kulasy
Spojrzawszy i te dziwne malowidła
Ujęte w różne klucze i nawiasy,
Gdzie A chwytało wielkie B za skrzydła:
Skręcił na palec wąsy dwa jak pasy,
I twarz mu dziwnie pomarszczona zbrzydła,

I ząb mu koci zaczął o ząb zgrzytać;
Na co pan poseł rzekł: — nie umie czytać!

5 Ani przypuścił, by pan na Nieświeżu
Nie umiał pisać: czekał więc responsy.
Wtém przyniesiono wielki pilan ryżu;
Minister kręcił papier — a Khan wąsy.
W Krymie nie spieszą się tak, jak w Paryżu;
Gardzą tam słowy prędkiemi i pląsy;
Wypadkom bożym otworzona brama,
Rzecz każda robi się... aż zrobi sama.

6 Tymczasem ludzie jedzą ryż, sorbety
Piją, i palą czarny tytoń dżebel;
U pasa noszą złote amulety,
Świat uważają ten za smutny szczebel
Do nieba. W myślach nie grzebią jak krety,
Pod katolicki też nie biorą hebel
Mądrości; lubią wiersze pełne słońca
I poemata trwające bez końca.

7 Wniesiono więc ryż i przyszły śpiewaki;
A pan Borejsza do Abdulewicza:
To polityki wielkie te sobaki!
Niechcą od razu nam trzasnąć, jak z bicza;
Co odpowiedzieć, myślą, na list taki.
Ja zaś z mojego pokażę oblicza,
Że nie dbam o nich; lecz proszę Acana,
Wyzwij odemnie ich na próbę dzbana.

8 Jeśli nie szelmy i nie knują zdrady,
Niech w wino zajrzy ta wąsata morda!
Zwyciężonemu ja podam układy,
Do mnie należeć będzie złota Orda;
Ochrzcę psów, będę chrzcił całe gromady,
A potém wprawię do polskiego korda,
Potém i haracz na tych psów nałożę.
Wyzwij — bo gotów jestem wypić morze.

A że, jak sądzę, ten pies niepozorny
Nie ma u siebie takiego kielicha,
Jakim jest sławny kielich mój klasztorny,
Który raz tylko był przez skórkę mnicha
Wypit aż do dna... łajdak był pokorny,
Ale to była tylko skryta pycha,
Bo zadrwił ze mnie, a z jego obrotów
Widać, że wypić piwnicę był gotów —

Jeśli więc taki kielich nie istnieje
W państwie, które zjeść można jak piernika,
Niechaj w ten kocioł węgrzyna naleje
(Wskazał na lulkę) — sądzę, że zamyka
Trzy garnce... nie upoi... lecz rozgrzeje...
Cóż Waćpan czekasz? czy mnie masz za ćwika?
Wyzwij! — że niosę mu bój, już zobaczył,
A Waćpan jesteś na to, byś tłómaczył.

Jak to wyzwanie w tatarskim języku
Brzmiało, ja nie wiém; musiało nieść trwogę.
Khan chwilę siedział jak na wężowniku,
Gryzł wąsy — nogę założył na nogę;
Potém na Galiun spojrzał, jak do krzyku
Otworzył usta i rzekł: — Pić nie mogę.
Samby Saladyn, Omar ni Hilderim
Nie wypił takiéj beczki — Allah Kerim!

W Koranie także stoi, że człek spity
Jest jak na ludzi waląca się wieża,
Albo wieprz skórą Adama przykryty,
Lub miecz, co w oczy ojcowskie uderza.
Więc ten pies wartby zostać wnet ubity
Na miazgę w głębi wielkiego moździerza,
Który w Stambule stoi — gdzie Salamon
Nasz Sułtan, tłucze Muftych jak cynamon.

13 Ale ja Giaurów, psów min belud, Lachy
Oszczędzam jeszcze z wielkiéj wspaniałości
I wziąłem nawet ich pod moje pachy,
By nie zginęli: — więc nawet z litości
Zagram z tym starym mopsem w święte szachy;
Albo niechaj się tu jak pies umości
I z jednéj lulki piersi poi własne,
A tak się spije, jak pies... nim ja zasnę. —

14 Tu klasnął: czarny zaraz wszedł rzezaniec
I galiun szarym nasypał haszyszem.
Litwin wyzwany rzekł:—Tylko pohaniec
Pies dymem poi — musi być hołyszem!
Niechno przyjedzie do mnie ten za.....
Ja go z ministrem jego towarzyszem
Tak spoję kiedyś, krupników gorących
Dawszy, że nawet tych psów ochrzcę śpiących.

15 A teraz będę palić, co on pali.
Choćby piekielny tytoń był, nie spoi.
To mówiąc, usiadł; cybuch mu podali
W środku już szysze zapalone stoi.
Tymczasem Hamet wzrok wodzi po sali,
Coś mu się w oczach miga, coś się roi,
Jakieś wspomnienia, których się sam wstydzi:
To, o czém w Litwie roił — teraz widzi.

16 Przez złote kratki zajrzał do ogrodu,
Stamtąd go miła, cicha woń zawiewa;
Kwietnego na twarz coś zachwycił chłodu,
Usłyszał — coś mu jak w dzieciństwie śpiewa,
Coś szumi, jak pieśń własnego narodu.
Ujrzał fontanny, jak trzy srebrne drzewa
Stojące cicho między zielonemi,
Zda mu się, że on kiedyś spał pod niemi.

Może złudzenie duszy, którą zdala
Piękność ojczyzny czarodziejstwem wabi,
W czar zaprowadzi i wyjść nie pozwala,
Jak gąsienicę całą ojedwabi
Tęczami. — Spojrzał: księżyc się zapala
Na Czatyrdachu, i źrenicę słabi
Ogromnym kręgiem, w którym nieco róży...
Jakby zjawisko nowe, taki duży.

Witaj mi, gwiazdo! właśnie w téj altanie,
Którą buduję z duchów i rycerzy,
Twoje mi srebrne potrzebne błyskanie;
Czasem twój promień jako miecz uderzy
I przez zieloność do nimf się dostanie
Alabastrowych; nawet do téj wieży,
Gdzie śpi Danae, oczki mrużąc ładne,
Nawet tam deszczem strof lunę i wpadnę.

O! świéć księżycu! bo mi czas z rycerzem
Do Polski wrócić, do rycerskich szyków,
I moje orle piskle odziać piérzem.
Więc wam opowiém z dawnych pamiętników,
Jak mu cud przyszedł w pomoc nad wybrzeżem
Euxynu, i z rąk wydobył Krymczyków.
O uwolnieniu jego z rąk Tatarek
Z ambony ludziom powiadał ksiądz Marek.

Téj saméj nocy, gdy w Borejszy głowie
Kręcił dyabelski haszysz bardzo mocno,
Téj saméj nocy jedni pastuszkowie
W poleskiéj puszczy swą wigilią nocną
Odprawowali; — noc była w połowie,
Godzina, w któréj bardzo jest pomocną
Zdrowaś Maryja śpiewana żałośnie
Za duszę w czyścu, i ogień przy sośnie.

21 Mieli więc ogień i głośno śpiewali
Pacierz — a blisko strumień mruczał srebrny,
Właśnie jak dusza, co się w czyścu żali,
Że tych pastuszków pacierz jest potrzebny,
I wierzba srebrna kąpała na fali
Złote listeczki. — O tém ksiądz wielebny
Mówiąc z ambony, płakał; wierzba biała
Także, choć mówić nie mogła — płakała.

22 Konwalie białe, cicha mgła i rosa,
Trawy zapachem dyszały od kwiecia:
Gdy oto z wierzby trefionego włosa
Wybiegły jedna, potém druga, trzecia
Gwiazdy błękitne, i nie szły w niebiosa
Po niebie latać i trwać przez stulecia,
Ale nad wierzbą stanęły w lazurze
Dwie obok siebie stojąc — trzecia w górze.

23 I tak w żórawi klucz uszykowane
Jaśniały, aż las zajaśniał w promyki.
I przyszły panie dwie w błękit ubrane,
I pod wierzbami ucichły strumyki,
Jak ja — gdy nagle brzmiąc na lutni stanę
Słuchać czy oklask przyjdzie albo krzyki,
A potém znowu zaczynam nierychły:
Tak właśnie owe strumienie ucichły.

24 A one smutne przez ów strumień złoty
Podały sobie ręce, mówiąc: Ave!
A obie były tak pełne tęsknoty,
Jak strumień i las; a miały postawę
Lekką, jak gdyby mogły iść w poloty,
Lecz oswojone były i łaskawe;
Jedna twarz miała czarną, druga bladszą;
Pastuszkom zdało się, że we śnie patrzą.

I wszystko zdało się snem w cichym lesie
Na mchach i białéj konwalii, pod drzewem
Płonącém w światła cudownym okresie,
Gdy się witały te łzami i śpiewem.
Jedna pytała drugiéj — co ją niesie?
A każda rzekła: Jestem krwi wylewem
I ogniem grodów owiana gorących
I drżę, królową będąc konających.

Królestwo moje, rzekła matka czarna,
Wyniszczone jest mieczem i płomieniem;
Ptaszęta małe, gdy lecą po ziarna,
Znajdują pola siane kul nasieniem.
Ja jestem matka ludzi gospodarna,
Zbiéram, co sieję, i nad pokoleniem
Umarłych — moje wysłałam anioły,
Męczennikami napełniać stodoły.

Przyjdzie godzina, że ich dzieci dzieci
Nad plonem tego czasu wzniosą lament;
Lecz teraz wszystko jak liść z drzewa leci,
Kościołów krew nie broni i sakrament;
Kagańcem swoim śmierć kościana świeci,
A przed nią czarne dusze lecą w zamęt;
I nad tém wszystkiém stoję — ja królowa,
I patrzę ze skał moich z Poczajowa.

Przychodzą matki w śmiertelnéj koszuli
I przed ołtarzem moim klęczą krwawe;
Ta krzyczy: wczoraj syn mój legł od kuli,
O! wskrześ go, wskrześ go! — druga woła: ave!
Płód mój nożami z żywota wypruli,
Poskarz się za mnie! — trzecia mi na ławę
Rzuciła parę niedoszłego płodu
Prosząc: nakarm je, bo umarły z głodu...

We mgłach srebrzystych, gdy stepem przechodzę,
Spotykam jakieś jęczące gromady:
Ludzie okropni bez rąk są, jak wodze
Tym, co na rękach pełzają jak gady;
Inni umarli zostają na drodze
I są zabójcom strasznym jako ślady;
Inni bez twarzy wzdychają z rozpaczą,
Bez ust się modlą i bez oczu płaczą.

O siostro moja! morem ja owiana
I czarna dymem smętnego jałowcu,
Do mego dziecka krwawego i Pana
Każę się często nieść, i na grobowcu
Siedząc, mam dziatek umarłych kolana
Pełne — nie mówię, na jakim manowcu
Zbierałam kwiaty ludzkie nieszczęśliwe,
Lecz on je widzi u nóg — te nieżywe.

I taką ma twarz, jaką w Nazarecie,
Kiedy się żegnał ze mną mówiąc: Matko,
Idę już umrzeć!... a mnie zorze trzecie
Pod oliwami zastały i chatką,
A jego już nie było... i na świecie
Stał krzyż, nad uczniów płaczących gromadką,
I słońca ani księżyca nie było
I grób był krwawą, lecz pustą mogiłą...

Tak się skarżyła siostrze, a zadana
Turecką szablą na twarzy obraza,
Po któréj uśmiech pozostał i rana,
Stała się teraz widną, jako skaza
Nowo boląca. Druga zadumana
I w sercu niosąc mieczów trzy żelaza,
Oczu z mlecznego nie spuszczała pasa.
Wtém ciche, krągłe światło wyszło z lasa.

Pastuszki patrząc niby w jasnowidzie,
Rzekli do siebie, tuląc swe kożuchy:
Czy widzisz? do nich z lasu słońce idzie...
Potém zamilkli — bo przytomne duchy
Głos odebrały. Więc jak na Egidzie
Minerwy widać jakąś twarz i ruchy
Oczu i włosa, co w stalnym błękicie
Świadczą, że środek téj tarczy ma życie:

Tak w słońcu owém był środek i plama
Światłu owemu czyniona z człowieka.
Był to ksiądz Marek — twarz jego tasama,
Jak zawsze, wielka otwarta powieka;
Ale szedł we śnie — i straszliwa szrama
Od dyscypliny krwią gorącą ścieka,
Otwartéj piersi tworząc straszny przerys
W krople pół zaschłe... długie, jak berberys.

Widać, że będąc na nocnéj modlitwie
Wpół obnażony, może na pół senny,
Po jakiéj rzezi widzianéj lub bitwie
Zasnął — a jego duch tylko promienny
Wyszedł i w słońcu złotém szedł po Litwie
Przez czarne smutne lasy, do Gehenny
Wędrując może — lecz to, co go niosło
Słońce, stanęło przy wierzbie i rosło.

A ksiądz znalazłszy pod nogami ziemię,
Na kolana się rzucił na konwalii,
Tak że pokazał już nie twarz, lecz ciemię,
I krzyknął: — Idę z rzezi i z batalii.
Zwątpiłem, piérwszy raz poczuwszy brzemię
Mogił na sobie — O! wołajcie z Galii,
Z Rzymu i z Azyi... i tych, co za morzem,
Bo nas mordują, rzną mieczem i nożem!

37 Królowy niebios! wy nad strumieniami
Cicho w lilije białe rozkwitnięte;
A miecz nad nami i pożar nad nami!
Dzieło upada, choć mądrze poczęte.
Duma rozerwie wszystko, wszystko splami!
Panięta nasze, jak pawie nadęte!
Ja do pacierzy nastroiłem wargę,
Lecz będąc u stóp waszych, niosę skargę.

38 Potocki bruździ — nic więcéj nie powiem;
Ale Potocki bruździ, w czarty wierzy,
Regimentarzem chce być — nad pustkowiem!
Będzie! bo pustka się na wszędy szerzy.
Niechże upadnie przed księżyca nowiem,
Na którym wasza srebrna stopa leży!
Niechże się schyli duszą cichą, szczérą,
Przed Bogiem — nie przed szatanem i lirą!

39 Ta lira... w trumien znaleziona rdzeniach!
Już jéj głos serce narodu osłabił,
A na niéj szatan czarny gra w płomieniach
I luda już pół z Baru mi wywabił!
Jak wąż, co błyszczy swą koroną w cieniach
I blaskiem ściąga słowika, by zabił:
Tak ów kozacki pół-duch na złe radzi
I swoją smętną pieśnią gdzieś prowadzi

40 Na zaginienie! Brońcie od pożarów
I od powietrza nas, ach! i od głodu!
I brońcie jeszcze nas Panny od czarów
I od téj dumy, co z Barskiego grodu
Już oberwała wichrem las sztandarów,
A sama chce być zbawczynią narodu.
Nadłamcie dumie miecza, skruszcie rogów,
Zostawcie Boga nad nami — nie Bogów!

41 Dajcie mi jednę przynajmnéj szablicę
Świętą, a ja z niéj wielką tęczę zrobię,
Tęczę i wiecznie trwałą błyskawicę,
Świécącą teraz i późniéj na grobie,
Gdy położymy w proch zmęczone lice,
Nie zostawiwszy nic jak proch po sobie,
I duszę w Boże oddawszy ramiona,
A nasze długo słyszane imiona

42 Od lawszy dzieciom. — Poseł mój szwankował
W Krymie, i pewnie ciężkie więzy dźwiga;
I tego brońcie, bom go umiłował!..
Na tém zakończył mój ksiądz pacierz wiga
Papisty; potém w księżyc pocałował,
Co pod nogami Matek Boskich miga,
I był od swojéj złoto-jasnéj ściany
Wzięty, weselszy już, bo wysłuchany.

43 Nazajutrz słońce strzałą brylantową
Zajrzawszy w celę cichą Karmelity,
Obudziło go z bardzo ciężką głową,
A był na kwaśne jabłko ciężko zbity
I pokapany nie berberysową
Jagodą, ale własną krwią okryty,
I dyscypliny także znalezione
Przy nim, leżały mokre i czerwone.

44 I zdało mu się, że śpiąc chodził lasem,
A nic nie wiedział, że chodził istotnie
W koronie złotéj, z wielkim tęczy pasem.
Wreszcie zapomniał. — Jakiś pan tnie-po-tnie
Do jego celi cichéj wszedł z hałasem
I z wódką — było na dworze wilgotnie;
Ksiądz się nie bronił, łyknął gorzaliny —
I ten sen w duchów uleciał krainy.

Lecz skutek?— skutek, jak się to pokaże,
Był na tym nawet świecie dotykalny.
Wkrótce będziemy z moją pieśnią w Barze,
Wtenczas ujrzycie sami, że fatalny
Był pacierz księdza. Runęły ołtarze,
Kościoł, i z niemi ten ksiądz runął mszalny;
Lecz ksiądz przez swoje to dokazał cudy,
Że regimentarz z czartem runął wprzódy,

Ut videbitis. — Jak pięknie owiewa
Woń cudów młodość mego bohatéra!
Anieli patrzą przez palmowe drzewa,
Jego więzienie w blaski się ubiéra,
Hymn Betlejemski nad głowami śpiewa,
Z duchów się złotych wiąże jakaś lira
Pod sklepieniami i blask bursztynowy,
W tym blasku róże, światełka i głowy.

Był to sen tylko — ale nie zepsuta,
Wrąca młodości krew sny takie daje.
Pan Zbigniew leżał w jednym Marabuta
Grobowcu. — Wschodnie przebiegając kraje,
Kiedy mnie noga wielbłądów niekuta
Niosła w piekielne stepy albo raje,
Stanąłem na noc raz w grobie, i dobrze
Spałem na martwych pościeli i ziobrze.

Była to wielka w żywocie pociecha
Zasnąć, a jeszcze większa, wstać o wschodzie
I otrząść włosy senne z prochu Szecha
I zostawić go w mogilnéj gospodzie,
Nie dawszy mu za nocleg nic — prócz echa
Z téj pieśni, w obcym dalekim narodzie
Śpiewanéj. Ludzie z księżycową twarzą
W mogiłach swoich wschodnich gospodarzą.

Przyjmują na noc smętne wędrowniki,
Czasem przez wieczne nakażą zapisy
Karmić ptaszęta — skąd są ciągłe krzyki
Wróblów, i ciągle pełne ziarna misy
I ciągle różom miłosne słowiki
Na cmentarzowe latają cyprysy,
I ciągle szpaki po grobach gawędzą
O trupach, którzy karmią i nie spędzą.

Lubiłem widzieć takie gospodarstwa
Umarłych, szpaków podsłuchać rozmowy,
I słyszeć różne ich o zmarłych łgarstwa,
Bo pochlebiają; a posępne sowy,
Grobów latarnie, senatory carstwa,
Z grobów posępne pokazują głowy
I zégarowe wielkie krągłe lice
I oczy, co się palą, jak dwie świéce.

W mogiłce Szecha — był to grób osobny
Na górach, z białą kopułą glinianą —
Leżał mój rycerz, nadzwyczaj podobny
Do męczennika, bowiem go związano;
A nad nim śpiewał nocy ptak żałobny
Smutniejszy jeszcze, bo śpiewał za ścianą,
Zrobiwszy wieczną z słowikami ligę,
Oddawszy cyprys im, a czarną figę

Wziąwszy za pałac. Jéj ogromne liście
Ciągle po głowie grobowca łopocą;
Ptak umiłował ją sercem ogniście
I nie opuszczał nigdy, nawet nocą.
W grobie podwójne także było wniście
I dwie izdebki; w jednéj się szamocą
Owe Tatarki strzegące dziewczyny,
W drugiéj Beniowski skrępowany, siny,

Sam jeden leży na glinie i wzdycha,
Któż mu w nieszczęściu srogiém dopomoże?
Nad nim okropna zemsta, zemsta mnicha!
Pod nim umarły! Wspomniał o upiorze,
Potém (weselszą myślą myśl odpycha)
O téj dziewczynie, co w drugiéj komorze
Leży i rączki może białe poda,
Lecz ma rumatyzm w rękach — jaka szkoda!

W kamień członeczki białe Bóg zastudził;
Chociażby chciała wstać i przyjść — nie wstanie,
Chociażby wstała, toby się obudził
Pop, lub Tatarki wiedmy. Chryste Panie!
Także Cię rycerz méj powieści znudził,
Żeś mu dał rozpacz, grobowe posłanie,
Więzy na rękach, łzę, co się nie leje,
I odebrałeś w grobowcu nadzieję?

A jeszcze gorzéj: jakiś gorączkowy
Sen przyszedł, zamknął gorące źrenice;
Czarne Arabki postawił u głowy,
Ubrał je w brody jako czarownice,
Zamiast warkocza z włosów, dał wężowy,
Zamiast paznokci, ubrał tygrysice
W ohydne i krwią kapiące pazury,
Zęby przemienił w kły, zawoje w chmury.

Stanęły nad nim, pierś mu obnażyły;
Chce krzyczeć... głos mu stanął w gardle kołem;
Chciał westchnąć — w sercu pękły wszystkie żyły,
Chciał zgrzytnąć — usta zawiane popiołem;
Wszystkie uczucia ludzkie ma — prócz siły...
Leży, z widmami strasznemi nad czołem.
Gdyby już uczuł wreszcie ból serdeczny —
Lecz że strach tylko ma, i zda się wieczny,

Do omdlałości przychodzi. A owe
Wiedmy do siebie szeptają: On słyszy...
Odrąbmy jemu, rzekły, mieczem głowę
I posłuchajmy, jak krew pluska w ciszy.
A druga rzekła: Mam krupy perłowe
I dorzucimy nieco szarych myszy,
I masła nam da jaki kat przekupnik
I da nam sadła z psów — zrobimy krupnik...

Beniowski słyszał, czarne gospodynie
Jak naradzały się, i uczuł zimno
W kościach. Wtém jedna rzekła: Mam naczynie,
Ale jak zrobię tę rzecz... mury hrymną!
Czekaj; czoło mu językiem poślinię
I zrobię nasz znak nad nim samym i mną...
W Beniowskim serce aż przez sen zakrzepło,
Uczuł przy twarzy bowiem twarz i ciepło,

Nareszcie usta — ale o! dziwaczne
Sny... usta były świeże, miłe, młode,
Jako dwie wiśnie, co się zdają smaczne,
Choć okiem tylko rubinową wodę
Pijesz. — O ustach więc tych śpiewać zacznę
I wejdę z niemi poeta w ugodę,
Aby za wiersz mój lotny bezrozumnie
Tak obudziły mnie tu — albo w trumnie.

Panny Gruszczyńskiéj to były usteczka!..
Ona w grobowcu leżąc z drugiéj strony
Biedna, w Tatarek rękach jak owieczka,
Która na wełnie ma już krzyż czerwony,
A często jednak zachodziła sprzeczka
Między leśnymi Idyll Korydony,
Na któréj owcy były śmierci krzyże —
Bo matka często je całując zliże,

61 I sama nie wie, że swym pocałunkiem
Od śmierci małe dziecko obroniła.
Tak właśnie dziwnym to było trafunkiem,
A pewnie temu winna ta mogiła,
Że się przed Matki Boskiéj wizerunkiem,
Przed tęczą swojéj myśli pomodliła
Panna Gruszczyńska idąc na spoczynek;
Wtém ją obudził wiatr z niezapominek,

62 Z róż, z tulipanów, z lilii i z bratków,
I otworzyła na pół senne oczy
I ujrzała się w zawierusze z kwiatków,
Które latały w błękitnéj przezroczy.
Środek powietrza tego był z bławatków,
W bławatkach był blask od czarnych warkoczy,
Które przechodząc z jaśni do ciemnoty,
Brały blask dziwny, rubinowo-złoty.

63 Twarz także była téj przecudnéj bieli,
Co od błękitu także coś pożycza;
Pod pachą byli skrzydlaci anieli,
A co dziwniejsza, szata tajemnicza
Z aniołów tkana — a na karabeli
Trzymała stopy ta postać dziewicza —
Stopki tak małe, że z tamtego świata
Idąc, zapewne nie chodzi — lecz lata.

64 Przed nią na ziemi niemocą złożona
Panna Gruszczyńska smętne oczki mruży,
Jak alabaster, w którym zapalona
Lampa rzuciła coś blasku, coś róży;
Wtém święta rzekła do niéj: wstań! — a ona
Uczuła, że jéj ruch i życie służy,
I wnet rączkami, które już nie słabną,
Zebrała na pierś koszulę jedwabną.

Potém usiadła, a potém uklękła,
A potém płakać zaczęła w tym grobie.
I wnet ta jasność przecudowna pękła
I znikła — sennéj podobna osobie.
Ciemność dzieweczkę klęczącą przelękła,
Nie prędko światło ujrzała przy sobie —
Był to kaganczyk, który tam szczęśliwie
Płonął w żelaznéj czarce — knot w oliwie.

Wziąwszy więc lampę, wyszła; księżyc w górze
Świécił, lecz zdało się małéj dziewczynce,
Że księżyc ćmiły fijołki i róże,
Rzucając nań blask i pył albo sińce;
W powietrzu czuła dziwną kwiatów burzę,
Widziała różne tęczowe gościńce,
Po których odszedł pewnie anioł biały;
Potém ujrzała dwie Arabki — spały!

Ohydna ich twarz — bowiem te upiorki
Miały zasłonę na czole i brodzie,
A po nosach szły z koralów paciorki
I dwie zasłony te trzymały w zgodzie.
Musiały pływać po wierzchu jak korki
Te czarownice, pławione na wodzie;
Musiały latać jako nietopérze,
Wziąwszy pod siodło łopaty lub krzyże.

Lecz teraz spały chrapiąc głośno obie,
A tak ohydnie chrapią i śmiertelnie,
Tak się pazurem jedna w udo skrobie,
A druga przez sen tak szczeka piekielnie,
Że panna światło trzymając przy sobie,
Paluszkami je osłoniła szczelnie
I stała — srebrna dziewczyna w lazurze,
Już nie kaganiec niosąc, ale róże.

Nagle ją strach wziął, obróciła twarzy
I do grobowca szła nazad powoli,
Jak smętna dusza, co się na to skarży,
Że wrócić musi do smętnéj topoli
I grobowcowi ciała być na straży,
Aż ją pokuta albo czas wyzwoli
I znów odeśle w światy przedstworzenia,
Gdzie wyrastają znów dusze z płomienia.

Szła więc pod swoje sklepione framugi
I schyliwszy się weszła. Już mówiłem,
Że w tym grobowcu był katakomb drugi,
Gdzie krwią okryty i potem i pyłem
Mój rycerz leżał na ziemi, jak długi.
Szczęściem, że lampy mojéj nie zgasiłem,
Prowadząc moje biedne dziewczę ciche
Do tego grobu po nocy, jak Psychę.

Od lampy płomyk tak się nad nią schyla,
Tak się od knota w powietrzu odrywa,
Jak duch miłości na skrzydłach motyla,
Piękniejszy wtenczas, kiedy dogorywa,
Kiedy ostatnia w nim zachwytu chwila
Płomieniem buchnie — piękna i straszliwa
I nad kochanki czołem się rozwinie
Jak płomyk, potém uleci — i zginie...

Tak weszła, światło w zmierzch ulatujące
Niosąc nad głową—potém go spostrzegła...
O! jakie wtenczas jéj modły gorące!
Jak krew po żyłach szafirowych biegła!
Chciała go zbudzić, więc usta płonące
Na czole jemu kładąc, sama legła
I jęła więzy rozwięzywać duszkiem,
Ustami mówiąc mu: cyt! — i paluszkiem.

On też obudził się — lecz patrzcie chłopca!
Zaraz zrozumiał, że to nie z jasełek
Jaki aniołek, ani z mogił kopca
Duch, chociaż stała z koroną światełek.
Twarz ta i postać nie była mu obca;
Leżał więc cicho, a ona perełek
Ząbków bielutkich jak szczurek używa
I przegryzione na pół więzy zrywa.

Już wolny!.. wstaje, otrząsa się z prochu,
Ona z kagańcem złotym naprzód leci;
Oboje wyszli z grobowego lochu.
Tatarki chrapią, księżyc srebrny świeci...
O! pomóż ty mi Dante, i ty Włochu
Z Sorentu... dwoje tych różanych dzieci
Przez te parowy wieść okropne, sine,
Tam, na błękitną jak niebo dolinę...

Olbrzymie skały zastępują drogę.
Tam nagle potok jęknie i zaszczeka;
Świat taki dziki naprzód wziął pod nogę
Jehowa, wprzód nim postawił człowieka,
Dawszy stworzonym skałom na załogę
Węże, co lały się ze skał, jak rzeka,
I po dolinach, gdzie szła noga boża,
Ze swych błękitnych ciał czyniły morza.

Wystawcie sobie w tym świecie połosów
Duszki dwie, które czekały na ciało,
A jeszcze słońca się trzymały włosów,
Aby nie upaść na świat, co był skałą,
Węży królestwem i bezładem ciosów,
Gdzie od świstania wielkich gadzin grzmiało;
Wystawcie sobie, że nad tym odłogiem
Te duszki drżące dwie idą za Bogiem:

77 A obaczycie moję smętną parę
Po skałach wianą wietrznymi poloty.
Wszystko lub białe jak kość, albo szare;
Zdaleka wiszą czarne wielkie groty,
Gdzie pastuch Tatar śpiewa pieśni stare,
I trzody beczą, i na księżyc złoty
Szczekają głucho psy, — potoków fale
Huczą — i płaczą w dolinach szakale.

78 Jak zarzynane dzieci przez Heroda,
Szakale płaczą — psom jakby na sprzeczkę.
Beniowski zbiega z gór, jak srebrna woda,
Na ręce już wziął zmęczoną dziéweczkę;
Czasem mu powój kwietny ręce poda,
Czasem i ona pomoże troszeczkę,
Oczkami skalne przeszywszy obłędy
I mówiąc jemu cicho: idź Pan tędy.

79 Tę skałę się Pan, mówi, obejść staraj —
Tu mnie puść — sama ten potok przeskoczę —
Ostrożnie, mówi, tu mi nierozparaj
Koszulki o cierń (było to przezrocze
Jedwabne). Nagle wrzasła: Bakczysaraj!
Puść mię! — Zwinęła na czole warkocze,
Koszulę także poprawiła z letka —
Jeszcze dziewczyna mała, już kokietka!

80 Do miasta wchodząc, myślała o stroju;
Przyszły jéj na myśl jakieś myśli grzeczne,
Miejskie — a miasto było w świateł roju,
I różne wieńce nad niém jak słoneczne
Wisiały — różne z tatarskiego łoju
Ramazanowe lampy i świąteczne,
Z różnych szkieł różnie na niebie świecące,
Jak wieńce z kwiatów na szafiru łące.

Bo Minarety, co je w niebo niosły,
Tak były lekkie, jakby owe kwiaty
Bez żadnych łodyg i pni same rosły
Albo latały: a tak był bogaty
Nimi horyzont, że oczy nie zniosły
I odwracały się na bledsze światy,
Na morze, co swój włos jak owca wełni
I srebrem błyska, lub na księżyc w pełni.

Czasem piękniejszy tém, że stał na stronie,
Minaret, jakby jaki anioł smętny,
Stał w swéj ognistéj z różnych gwiazd koronie,
Tém milszy oczom, że nie był natrętny.
Beniowski widząc, jak powietrze płonie,
Jak miasto gwary różnymi i tętny
Spokojność nocy lazurowéj miesza,
Jak motyl nocny w blask i brzęk pospiesza.

Wpada w ulice gliną i rogożą
Sklepione. Pełno świécących sklepików;
Osiołki gości po ulicach wożą,
Radosnych pełno tłumów i okrzyków.
Strzeż się! bo zdepcą i w błocie położą,
Gdzie pełno leży zgubionych trzewików...
Rzekłbyś, że pod tą żydowską hołotą
Drogim krwawnikiem brukowane błoto.

Rycerz z dziéweczką ani się ogląda,
Leci a dziéwczę swe zasłania młode;
Niekiedy spotka wielkiego wielbłąda,
Wschodnich ubogich krajów woziwodę,
Okręt pustyni — jako struś wygląda,
Skrzydła ma z worków, a gdy przed gospodę
Przyjdzie i stanie, to skórzane boki
Leją fontany dwie i dwa rynsztoki.

Czasami wielkim robrontem skrzydlata
(Bowiem kobiety wschodnie chcą być grube)
Leci ogromna czarna trumna, chata,
Jak okręt, co ma parę albo śrubę
Ukrytą wewnątrz i blisko przelata;
Ujrzałeś tylko widmo, czarną szubę,
Oczy świécące przez dwa białe kołka,
Na dole głowę i ogon — osiołka.

Z jedwabnym ciebie minęła szelestem,
Oczyma tylko łysnęła — lecz okiem
Już myślisz, że cię spytała: kto jestem?
Już myślisz, że to Wenus pod obłokiem,
Że to jest ogień, który pod azbestem,
Pod niespaloną szubą i szlafrokiem
Płonie — i z drogi cię cnoty oddali,
A jeśli dotkniesz go, na popiół spali...

Jednak... częstokroć tak nie jest! Rendez-vous
Gdzieś na cmentarzu dane — dyable myli.
Cyprysowemu ją zostawiasz drzewu
Cieszyć — i klniesz wiatr, co szubę odchyli.
Lecz wtenczas tyle jest wschodniego gniewu,
Taki jest wybuch, że dla krotochwili
Wrócisz i ogień hamujesz powoli.
Dalibóg, Muza moja znów swawoli!

Gawędzi — a wiem, żeście już ciekawi,
Dlaczego miasto illuminowane
I co mój rycerz lecąc gniewny sprawi?
Więc tu, ponieważ ta pieśń długa, stanę.
A gdy Apollo mi pobłogosławi,
Znów nowe laury zasadzę różane,
Których mi powieść dostarczy szlachetna.
Dosyć — bo strofa to już blisko setna.

PIEŚŃ X.

Kto widział tylko swój dach i swój kurnik
I swoje grzędy i swoję parafią,
Ten nie wie, co czuć może awanturnik,
Kiedy go różne losu gromy trafią;
Kiedy poduszką czasem ma jaszczurnik —
Dziś wodę pije, a jutro ratafią.
Ta strofa bardzo szanowna i prosta
Przetłómaczona dosłownie z Ariosta.

Dant także, drugi poeta epiczny,
Mówi: O! szczęsny, szczęsny, co się rodzi
I nigdy w życiu za obręb graniczny
Swoich zegarów miejskich nie wychodzi!
W tym wierszu słychać dźwięk melancholiczny
Rodzinnéj wieży, który starce wodzi
W około domu... piastunki sposobem
I nie pozwala oddalić się — grobem.

Ale kto zawsze chodził tak, zda mi się
Na starca dobry, lecz na czytelnika
Zły bardzo; w oczach mu książeczka ćmi się,
Niedoczytawszy strof, często zamyka.
O różach jemu mówisz i cyprysie —
Woli w drużbarta zagrać albo w ćwika.
Patrz, jaki los był biédnego Torkwata:
Ledwo gdzie o nim wie dom albo chata.

Dziś jeszcze jego głos harmonią szklaną
Ślizga się, jako Syrena tęczowa,
Po złotym płacząc kanale Orfano
W ciemnym szpitalu wyjęczane słowa.
Lecz moje... i tych dźwięków nie dostaną,
I czas je w długim grobowcu pochowa...

Więc — a więc piszmy, niech rym będzie świeży!
Reszta od Boga i ludzi zależy.

Beniowski więc mój, przebiwszy się w tłumie,
Dopadł pałacu, drzwi stały otworem;
Wschód się w pałacach zamykać nie umie,
Lecz dwór jest karczmą, a karczma jest dworem.
Więc obłąkany trochę na rozumie
Nocną przeprawą, i sennym upiorem
Zmęczony, pełny rozpaczy i troski —
Wpadł do pałacu Khana pan Beniowski.

Za rękę trzymał dziewczynę oblaną
Wstydu rumieńcem, lecz nadzwyczaj ładną;
Spojrzał — Khan siedział na sofie pod ścianą,
Przy nim ministry, co lud drą i kradną,
A czasem z brody gęstéj coś dostaną
I wcale tego na paznokć nie kładną,
Ale puszczają wolno i z uśmiéchem,
Bowiem zabijać rzecz żywą — jest grzéchem.

Ministry stali w kaftanach z czerwieni,
Na wszystkich twarzach była dziwna radość;
Świateł tysiące, woń drogich korzeni,
I wszystkim ludzkim zmysłom było zadość.
Almeje także, te córki płomieni,
W szat przezroczystych osłonięte bladość,
Tańczą przy fontan lazurowych chłodzie
Blisko, a drugie daleko w ogrodzie.

Zda się, że ciągle się roją i rodzą
Z krzewów, z jaśminów, z róż, i znowu nowe
Przez rozwidnione aleje przechodzą,
Lecąc przez słońca różnokolorowe.
W tych słońcach giną smętne, z tych się płodzą
I szybkim tańcem zawracają głowę;
Królowa tańca, młodziutka dziewczyna,
Płeć miała żółto-ciemną, jak cytryna,

Włosy jak węgiel czarne, Indyjanka!
Oczy jak dwoje czarnéj kawy ziarek,
Na głowie nakształt kręconego wianka
Koronę, z chińskich jajek i latarek;
Zmęczona, tańca szybkiego sułtanka,
Siadła na czarnym Khanie, jak kanarek,
A Khan maleńkie złote brał khiryje,
Na twarz przylepiał spotniałą i szyję.

Muzyka także grała; muzykanty
Na różnokwietnéj siedzieli rogoży
U drzwi, i grali okropne drabanty,
Zachowując się z taktem jak najgorzéj —
Piekielne jakieś muzykalne Danty,
Na których ucho się dziś moje sroży...
Pomiędzy nimi siedział muzyk dworu,
Który w urzędzie był — turbator choru.

Więc śpiewał — przy nim siedział cymbalista,
Przy cymbaliście siedział bardzo blisko
Skrzypak, a raczéj Orfeusz lutnista
Z wielką glinianą ostrunioną miską,
Na któréj szczypał struny nakształt Lista,
Wysoko biorąc ton, a potém nisko;
Trzeci — co bardzo mały efekt czyni
Na smyczku, smyczkiem grał, jak Paganini...

Wszyscy z ogromną artystów powagą,
Jak gdyby czuli, że świat dzisiaj cały
Muzykami jest jak Mojżesza plagą
Skarany—Włochy od rulad zgłupiały,
Europa także z polityczną wagą
Rusza się na głos lutni, nakształt skały —
Po bizantyńsku swoje ciało kruszy
I serca więdną w niéj, a kwitną uszy.

Ten wziąwszy opium zapału — dopóki
Włoch kastrat krzyczy o patria! w ruladach —
Czuje się w sercu bohaterem sztuki,
Radby w podziemnych być zaraz naradach
I wnet jak wulkan rzucić w górę bruki
I z mieczem jasnym w ręce iść po gadach,
Strawiony takim serdecznym pożarem,
Jutro znów głupcem jest, nie karbonarem.

Zwłaszcza jeżeli na świecie pochmurno,
Klnie świat... i nerwy! O! o! z krakowiaka
Zróbcie mi jakie posępne notturno,
Z notturna zróbcie coś alla polacca,
Bo mi na świecie tym nadzwyczaj durno!
Przyszła mi także z poczty cała paka
Lirycznych wierszy — O! orędowniczko
Polski! Najświętsza Panno! o! kantyczko!

Zmiłuj się, proszę, proszę — nie nademną,
Ale nad Polską miéj Ty zmiłowanie!
Więcéj nie mówię, bo mi od łez ciemno,
I pod oknami także mam płakanie
Drzéw, które słońca wołają daremno
I mają z liścia złotego ubranie...
Jesień z liryzmem smutnym przyszli w parze
Na moję duszę, jako dwaj grabarze.

Chciałbym coś pisać tym niby zachwytem,
Co niby z Boga jest; lecz nie pozwala
Ta pieśń, która jest koroną i szczytem
Awantur krymskich. Potém przyjdzie fala
Nowym czerwonym ozłocona świtem,
Szumiąca krzykiem, czarna krwią Moskala.
Lecz teraz wiersze są śmiechem przesute,
Albowiem śpiewam tatarską redutę.

Mimo całego blasku na tym dworze,
Gdzie wzlatywały tancerki motyle,
Czuć było jakąś dzikość straszną; może
Mléko i świéże kotlety kobyle...
Mléko to stało w ogromnéj amforze,
Gdzie ametysty, szmaragdy, beryle,
Migały w różne ogniste kolory,
Ale kwas było gorzki czuć z amfory.

Dym także z lulek w kłęby się olbrzymie
Mieszał; Beniowski więc wpadłszy do sali,
Jak olimpijski bóg, w błękitnym dymie
Krył się. Wtém ujrzał w rogu kawał stali...
O bogi! poznał, pan Borejsza drzymie!
Jak dąb litewski, kiedy się powali,
Leżał i w tłumie małych charcic krył się,
Które lizały mu twarz — poseł spił się.

Charciczki małe Khana stoją wkoło,
Każda ma pyszczek długi jak gadzinka;
Ta liże uszy posła, druga czoło —
W mrowisku się zda, uwędzon jak szynka
W dymie. W ręku ma jeszcze szablę gołą,
Postrzegł się widać, że to była drwinka —
Ów haszysz; nie chciał więc odwlekać,
Wydobył krzywą szablę i chciał siekać.

Ale sen, śmierci brat, kochanek maku,
Ujął go w swoje ramiona. Charcice
Uczuły także coś na twarzy smaku,
Więc mu lizały, jak mówiłem, lice.
Beniowski widząc go w takim orszaku,
Wziął go i wstrząsnął, jak siana kopicę,
Potém o ziemię nim jak beczką trzasnął,
Lecz pan Borejsza chrapnął — i znów zasnął.

Wtenczas Beniowski do Khana — po włosku:
Jakże to posłów przyjmujesz, Giraju?
Krzyknął, nad nami śmierć jest jak na włosku!
Przylatujemy tu z krwawego kraju!
A ty... Khan siedział z cybuchem, jak z wosku,
I pół spity był w zachwycenia raju;
Więc bełknął tylko, zawróciwszy białka
W oczach: Il Allach! stłuc w moździerzu śmiałka!

Rzekł; i wnet cały tatarski paszalik
Wydobył noży, szabel, atagany,
A Khan odwrócił oczy, gdzie Moskalik
Mały, od Kasi ruskiéj darowany,
Kozaczka trzepał i nakształt się kalék
W powietrzu rzucał, cały połamany,
Zda się, że osa lub torban ruchawy,
Mający czapkę, bóty i rękawy...

W Khana się oczach spitych zdaje czasem,
Że torban skacze sam — w różne prysiudy,
Że czworo goleń ludzkich ma za pasem,
A wszystkie w torban chowa, jak do budy;
Raz piątką się zda, znowu zda się asem;
Kiwa więc tylko głową na te cudy
I potakuje; czasem jak z butelki
Huknie mu z gardła czkawką: Bóg jest wielki!

Tak, Allach kerim! Musi być nie mniejszy
Od tatarskiego — możny Bóg Moskali!
Beniowski szablę chwycił, z rąk Borejszy
Wydarł ją, potém zaczął taniec w sali
Od kozackiego tancerza skoczniejszy;
Rąbie na oślep i po karkach wali —
Podłoga już krwią gorącą spluskana,
Wszyscy go czują i słyszą — prócz Khana.

Ten, ciągle małym kozaczkiem zajęty,
Oczy zamruża i takt ręką bije;
Kozaczek czasem mu pokaże pięty,
A czasem nogi zarzuci na szyję;
Khan myśli, że to ruski derwisz święty,
Który tym tańcem swoje grzechy myje,
Tańcem, co z serca idąc, zda się szczerym;
Po raz więc setny krzyknął: Allach kerim!

Jest to tatarskie brawo. Pan Beniowski
Myślał, że jemu należy wykrzyknik.
Z Tatarów robił już makaron włoski,
Tak że rozchodził się już bal lub piknik
Przez drzwi i okna; miecz się zdawał boski,
A gdzie uderzył skrami, cały szyk nikł.
Ten wiersz ostatni zły, lecz go podeprze
To, że w następnéj strofie będą lepsze.

Śród gorącego po komnatach boju
Beniowski mieczem robi peryferyum,
Tego po plecach, tego po zawoju
Siecze, a naprzód wpadł na ministeryum
I tego, co miał departament łoju,
Ministra oświecenia, Achmet Derium,
Po garbie mieczem siekł, tak że minister
Utracił cały swój garb, jak tornister.

Lecz guz strącony zmienił tylko pana,
Bo wziął go zaraz na czoło koniuszy,
Wielki statystyk także Giraj Khana,
Który obliczał ścięte giaurom uszy,
Potém na sznurki nizał — dla Sułtana,
Który je marynuje albo suszy,
Właśnie jak w Litwie grzyby borowiki —
A czasem żonom daje na kolczyki.

Po takiéj sprawie ministeryum całe
Cofaniem się podało do dymisii.
Wymowie szabli przypisać tę chwałę,
Że z rządu ludzie ustąpili łysi;
A łatwiéj zmusić do odwrotu skałę,
Kaskadzie kazać — niech stanie i wisi!
Powstanie całe kraju przysposobić,
Nawet wybuchnąć łatwiéj — niż to zrobić.

Ministeryum więc całe już w odwrocie
I muzykanci wszyscy, pole czyste!
Mój rycerz chwilę stanął cały w pocie,
Wtém ujrzał szabel girlandę — O Chryste!
Już na jednego człeka idą krocie,
Po nad głowami niosą szable szkliste
W rząd ułożone, razem w tył zagięte,
Jak fale upaść gotowe i wzdęte.

Rząd jeden żółtych twarzy, płaskich nosów,
Rząd jeden szabel, idą krągłe koła,
Jakby rząd jeden wielkich srebrnych włosów,
Które lwom żółtym wyrastają z czoła.
W téj błyskawicy podniesionych ciosów
Beniowski śmierci zobaczył anioła,
Który się zdawał strasznym i wspaniałym
I stał w tych mieczach, jak w zierciedle białém.

Już idą! rycerz wpoprzek się nad głową
Mieczem zasłonił i czekał z powagą;
Już idą — prędzéj niż wymówisz słowo,
Śmierć spadnie; jednak i tu jest odwagą
Mieć podniesione czoło, twarz surową,
Błyszczące oczy i pierś wzdętą, nagą.
Beniowski takim był pod tą framugą:
Gdy ktoś mu nakrył głowę — szablą drugą.

33 Spojrzał, lecz nie mógł widzieć dobrze twarzy,
Bo ten, co zakrył go, stał odwrócony;
Na turbanie się drogim kita waży,
Którą wziął bryłant wielki wschodni w szpony;
Kaftan miał drogi — i rzekł coś do straży,
A nad Beniowskim trzymał miecz obrony,
Tak że dwie szable razem miały włosy
I klingi dwie samotne, jak dwa kłosy.

34 Wahała się straż — wtém ów rycerz nowy
Do Beniowskiego rzekł: potrzeba zdać się!
Po polsku to rzekł, lecz odwracał głowy,
Jak gdyby jego oczów musiał bać się;
A potém dodał cicho: będziesz zdrowy
I wolny — teraz to nie może stać się;
Wyrok na ciebie jest srogi wydany
I nie odwoła go wnet Giraj pijany;

35 Ale się poddaj! — Tu ręką łagodnie
Z rąk mu wyjmował szablę, ale zawsze
Twarz swą zakrywał, a mógł to wygodnie
Zrobić, bo pan Beniowski widział krwawsze
Grożące sobie oczy, wielkie, wschodnie —
I damasceńskie i nienajłaskawsze
Szable stojących w około Janczarów,
I do ostatka chciał się bić przez narów.

36 Ciągle więc groził; gdy mu tamten drugi
Szalem tureckim nagle nakrył czoło;
Chciał się szamotać rycerz, ale sługi
Pomogły temu panu z szablą gołą.
Wydarto mu miecz; potém legł jak długi,
I słyszał cichy gwar tatarski w koło,
Potém go niosły z lekka owe straże
Długo przez długie kręte korytarze.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym:
Na skały igle, na ruin terasie,
W usposobieniu umysłu wehmicznem;
Gdy wołasz szczęścia, stojąc na parnasie,
A echo głosem ci melancholicznym
Ze wszystkich skalnych kątów odpowiada
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

Gdy skończysz wszystkie szkoły i nauki
I za rękę cię uściśnie sam rektor;
Gdy jesteś wybran posłem, gdy cię wnuki
Obsiędą, gdy kraj obronisz jak Hektor;
Gdy depcesz dawne Herkulanum bruki;
Gdy twój poemat czyta dobry lektor,
Gdy sam rozmyślasz o zbawieniu Lachów;
Gdy wygrasz partyą bilardu lub szachów;

Gdy cię zapyta kto — jaka grafini,
Czyś był w Paryżu; gdy patrząc w obłoki,
Kochanka tobie wyznanie uczyni,
Że kocha... albo rzuci się w potoki
Jaka dziewczyna, która ciebie wini
O zapomnienie, potém ją w głęboki
Dół kładą, sadzą na grobie kamelie
I pokrywają piaskiem, jak Ofellię.

Gdy w tańcu jesteś pierwszym koryfantem
I kręcisz kołem młode pokolenie;
Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświécenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w Napolionskie wierząc przeznaczenie,
Słuchasz z powagą kul lecących świstu;
Gdy Comte przeczytasz na kopercie listu...

Z tych i podobnych wrażeń pono żadne
Nie urodziło się w duszy rycerza;
Utracił swoję piękną Aryadnę —
Wzięty, więzieniem jego była wieża,
Co zewnątrz miała desenie tak ładne,
Jak rozkwiecona palma śród wybrzeża,
Wieża ceglana, o wysokiém piętrze;
Lecz wewnątrz... bardzo miała smutne wnętrze.

Okna okrągłe bez szyb, gdzie czerwone
Lub srebrne światła upadały snopy;
Z jaskółczych gniazdek uwitą koronę,
A w suchym piasku po nad morzem stopy;
Huczał w niéj sufit, gdy morze szalone
Rzucało wrące na piasek ukropy.
W takiéj to wieży smutnéj przebył trzy dni,
Czwartego... tu się poemat rozwidni —

Czwartego ranka skrzypnęły zawiasy,
A jeszcze ranna panowała szarza,
Dopiéro morskie srebrzyły się pasy
Srebrem od wschodu; gdy ktoś z korytarza
Wszedł — cały strojny w tyftyk i atłasy,
Ktoś niepodobny wcale do grabarza
Ani do kata — miał z baraniéj skóry
Kołpak, przyłbicę takąż, w niéj dwie dziury.

Z kołpakiem razem ta maska futrzana
Kryła mu lice i twarz, oprócz oczu.
Beniowski poznał w nim wschodniego pana,
Choć ze snu oczy odemknął w przymroczu;
Poznał, że tensam, który go u Khana
Bronił i był mu z szablą na przyboczu,
A potém zdradził, niby wróg ukryty,
A mówił jako Polak rodowity.

Porwawszy się więc z ziemi, głosu grzmotem
Zawołał: zdrajco, czego chcesz? i po co
Przychodzisz do mnie? czy z moskiewskiém złotem?
Czy chcesz mnie kupić? czyli wziąć przemocą?
Niedam się ja krwią zalać ani błotem!
Nim szable twoich katów zamigocą,
Samego ciebie do walki przymuszę;
Chociaż bezbronny, zwalę i uduszę!

To mówiąc, stanął w szermierza postawie;
A drugi... nie rzekł nic, ani się ruszył
I nie wydawał się wcale w obawie,
Choć go Beniowski mową już ogłuszył.
Więc rycerz znowu: strojnyś jest, jak pawie!
Aleś tu próżno w ogon się napuszył.
Jak mi Bóg miły, jak słońce na niebie,
Walcz — bo sam pierwszy porwę się na ciebie!

Na to tatarski rycerz rzekł: przychodzę
Uwolnić ciebie; poznasz za godzinę,
Że jestem tobie bratem i nie szkodzę,
Owszem za ciebie i za kraj nasz zginę.
A teraz zdaj się ty na moję wodzę!
Oto masz ubior — lubisz barwy sine,
Oto masz kaftan, pistoletów dwoje,
I strzelbę oraz pałasz — wszystko twoje.

Zwrot to jest tylko, a nie podarunek—
Więc weź i za mną chodź, bo jesteś wolny —
Beniowski kaftan wdział i wziął rynsztunek,
Z gniewnego stał się, jak owca powolny.
Gniéw mu wywietrzał wnet, jak lekki trunek,
Dziw tylko został. Więc jak młokos szkolny,
Ciesząc się w kaftan błękitny ubiérał,
Potém próbował broni i obziérał.

Broń była cudna: rubinów płomienie
Po pistoletach szły jak iskier sznurek;
Rura u strzelby z drutów, a w desenie
Kuta, i bardzo fantastyczny kurek;
Nie byłto Lepaż, lecz taką na ścienie
Wolałbym wieszać dziś, niż sto dwururek
Paryskich. Szabla także była krzywa,
A tak się zdała żądać krwi, jak żywa.

Pod wieżą stały dwa piękne rumaki;
Do Beniowskiego znowu rzekł przewodnik:
—Wybierz! obydwa latają jak ptaki,
Obydwa z Neżdów, i mają swój rodnik
W złotym woreczku na przodzie kulbaki;
Jeden drugiemu jest jak współzawodnik
Równy: więc wybór zostawuję Waści —
Weź, który lepiéj się podoba z maści.

Czarnego wybrał Beniowski i skoczył
Na siodło drogim sadzone kamieniem;
Potém na piasku koło nim zatoczył —
Koń szedł jak fala lekko pod siedzeniem
I piasku wcale morskiego nie tłoczył,
Dumny szlachetném swojém urodzeniem
I tą metryką, co go z Neżdów wiodła,
W złotym woreczku wiszącą u siodła.

Tatarzyn — zawsze pod szarą przyłbicą,
Szary był bowiem na masce baranek —
Pospieszył przodem; za nim błyskawicą
Jechał pan Kaźmierz wesół, a już ranek
Palił się w ogniach nad krymską stolicą,
Którą mijali. Cmentarz i palm wianek
Minęli także — oba stepem lecą
Tam, gdzie nad Polską smutne gwiazdy świecą.

A jedna większa, smutniejsza nad inne,
To się błękitem, to się krwią zalewa,
Jakby złociła jakie czoło, winne
Przed Panem Bogiem — bo ciągle omdlewa
I ciągle oczy zamyślone gminne
W daleki Sybir prowadzi, jak mewa
Białemi skrzydły lecąca i przodem
Przed nieszczęśliwym już dawno narodem.

Mimo galopu i drogich jedwabi
I broni, wtenczas nawet rycerz młody
Patrząc w tę gwiazdę, myślał, że go wabi,
Jak smętny anioł, gdzieś na jakieś lody,
Gdzie umierają prędko ludzie słabi,
A mocni stoją długo, jak śród wody
Utopionego okrętu iglice,
I długo widzi lud ich smętne lice

We mgłach; więc nawet gdy się cały skarli
I życia szczęście bierze, jak się zdarza:
O tamtych jeszcze wie, że nie umarli
I jeszcze cierpią; i to go przeraża,
Że się już w wichrach ciągłych nie podarli
I nie spruchnieli, jak krzyże cmentarza
I nie opadli, jak dawne sztandary
Ci ludzie — w lodach gdzieś błądzące mary.

Taka jest piękność, taka posągowość
Niedoli, ona jest naszym marmurem!
Motyle tylko wabi każda nowość
I ludzi każdy krzyk śpiewany chórem.
Twarz większa, w ogień i w twardą surowość
Ubrana, z kluczem żórawi i sznurem
Nie chodzi, ale na ustroniu błyska,
A czasem śmiechem z ust, jak krwią, wytryska.

O Dante! czy ty marzyłeś te kręgi,
Gdzie człowiek dobry chciałby ludzkich twarzy,
A wkoło takie figury, ciemięgi,
Taka gromada szara gospodarzy?..
Tak w sznury wzięta dobrze i w popręgi,
Na takie głupstwa się wierszami skarży,
Tak porobiła gdzieś w niebie otwory
I takie do nich mosty ma — z pokory:

Że człowiek, choćby chciał... by nie być z niemi,
Musi się oddać dyablu — eheu smutno!
Ale już słońce włosami złotemi
Rzuca na białe mych namiotów płótno.
Beniowski ujrzał siedzący na ziemi
Obóz. — Tu muza nie chce być okrutną
I zaraz (bowiem już do końca dążę)
Wschodni poemat mój cały rozwiąże.

Na złotym stepie — byłto niby parów
Pomiędzy dwiema piaszczystemi góry —
Ujrzał Beniowski dwa sotka Tatarów
Nie bardzo pięknéj tuszy i struktury;
Przypominali coś dawnych Khazarów
Lub Hunnów: kość im przyrosła do skóry,
Mięsa nie mieli wcale, tylko żyły —
Namioty z czarnéj skóry, jak mogiły.

Kociołki mieli czarne przy ognisku,
Wielbłądów chudych i starych z dziesiątek;
Chudzi rycerze, w oczach pełni błysku —
Poszliby nawet na rzeź niewiniątek.
Stanąwszy przy tém dziwném koczowisku,
Rzekł nieznajomy rycerz: Na początek,
Panie Beniowski, oczu nie otwiéraj!..
Daje ci dwieście Tatarów Khan Giraj.

Weź ich! Ten obóz zaraz z tobą ruszy;
Wódz jego El Dżin, patrz — ten Tatar stary,
To wąż; do jego ciała, kości, duszy
Masz prawo. Końskie im zostaw sztandary,
Pozwól obcinać wszystkim trupom uszy,
A służyć będą lepiéj niż huzary;
Kosztu ci także wiele nie przyczynią,
Zdechliną ich karm wszystkich, lecz nie świnią.

Potém arabskim coś mówił językiem;
Allach! wrzasnęli mu, gdy skończył mowę.
Beniowski wielkim ogłuszony krzykiem
Stał, a zaś wojsko stanęło w podkowę
I ogłosiło go wraz pułkownikiem;
A El Dżin, sam wódz, pokazał na głowę
I szyję, mówiąc mu jak najszlachetniéj:
— Jeśli nie będę słuchał, to mnie zetnij!

Potém Tatarzyn ów i dobroczyńca
Wiódł Beniowskiego, gdzie stał wóz z namiotem,
Wóz jakby wielka maża Ukraińca
Wokoło wielkim ogrodzona płotem —
I rzekł: — Khan Giraj daje ci gościńca,
Ten wóz; a nie sądź, że napełnił złotem
Skórzane łono owego namiotu;
Jestto wóz pełny trudu — i kłopotu.

Podnieś to skrzydło wielbłądowéj skóry,
A sam hojności Khana będziesz skarżył. —
Radością pan Beniowski aż ponury —
Wahał się chwilę, potém się odważył
I podniósł skrzydło namiotu do góry;
Potém się cały w ciemny namiot wtwarzył,
I powtórzyło łono tajemnicze
Namiotu — dwoje Ach!.. jedno dziewicze...

I długo głowa mojego młokosa
W namiocie owym była na gościnie.
Ani z garełka uczonego kosa
Taki dźwięk słychać po ciemnéj kalinie,
Choć kos — to lutnia ptaszków różnogłosa,
A w przedrzeźnianiu żadnego nie minie,
Lecz wszystkie tony w swym głosie zamyka,
Wszystkie, i nawet śpiewanie słowika;

Ani więc w drzewie, kędy on zasiądzie,
Tak wszystkie listki świszczą i szczebiocą,
Jako te skóry wydęte wielbłądzie,
Na których gałki się mosiężne złocą.
Lecz co w nich było... to chyba na sądzie
Wydam i wielką przymuszony mocą;
Bo mnie obchodzi los dawnych pamiątek,
Aniela... oraz dalszych pieśni wątek.

Gdy więc Beniowski stał jak kuropatwa,
Co głowę swoję pochowała w śniegu...
Jak widzę, rzecz się znowu trochę gmatwa,
A pisząc, stanąć znów nie mogę w biegu.
Sztuka rozwiązań jest bardzo niełatwa,
Przedemną nie mam ubitego ściegu,
Bo nikt nie śpiewał z nas na taki temat,
Ażeby musiał rozwiązać poemat.

Gdy więc Beniowski pogwarzywszy długo
Z namiotem, oczy wydobył nareszcie,
Spotkał się nagle ze starą kolczugą
Pana Borejszy: ten był widać w mieście
I teraz przybył z Perkunasem sługą;
Bowiem usłyszał, że Tatarów dwieście,
Których ojciec czart, mać Tatarka rodzi,
Z jednym Polakiem do Polski wychodzi.

Zabrawszy więc manatki, pełen troski,
Że nic u Khana nie sprawił, Krym rzucał.
—Jakto?! więc to jest, krzyknął, pan Beniowski,
Którego mnie los smętny tak zasmucał?
A to prawdziwy widzę wyrok boski!
A! dajże mi twarz, dajże, niechaj ucał...
Zamiast syllaby ustami go w usta
Cmoknął, aż jękło, tak jak beczka pusta,

Gdy z niéj wystrzeli czop. A potém wkoło
Obejrzawszy się: Cóżto za wędzonki?
Spytał — ubrani wszyscy prawie goło,
Którychby można wszystkich na postronki;
Złodzieje jacyś? — Na to mu wesoło
Rzekł rycerz: Są to rycerze i członki
Konfederacyi Barskiéj, moi ludzie —
Ci co na koniach są, i ci, co w budzie.

Poprowadzimy ich w ogień Mospanie! —
El Dżin, każ niechaj wskakują na juki! —
Kazał, i wnet się surm ozwało granie,
Namioty nikły — błysły szable, łuki,
Wielbłądy wstały na panów chrapanie:
Krz! krz!—za starym ojcem idą wnuki;
Obdarty, stary jakiś Abdel-Kader
Prowadzi, wielbłąd dziś, dawniéj dromader.

Beniowski widząc, że już w pogotowiu,
Rzekł obróciwszy się do Tatarzyna,
Który go przywiódł i był w złotogłowiu
Strojny jako gil, a wiotki jak trzcina:
—Bądźże mi, jasny panie, w dobrém zdrowiu!
Szlachetna dusza łask nie zapomina:
Tyś mi tak serce swą dobrocią spętał,
Że póki będę żył, będę pamiętał. —

Nic nie rzekł Tatar; z głową pochyloną
Stał i na błękit ku Polsce pozierał...
Widać pod szatą, że pracuje łono,
Że się płacz w sercu zatrzymany zbierał.
Więc Pan Borejsza: — Cóżto jest za ono
Stworzenie? cóż to za krymski jenerał?
Jam go nie widział wprzód, czy z niebios spada?
Czy nasz przyjaciel? czy po polsku gada?

Jeżeli gada, powiédz mu, że w Krymie
Został się jeden Tatarzyn z pod Waki,
Pan Abdulewicz; niech się o to imię
Rozpyta! poszedł gdzieś, jak zając w krzaki;
Może gdzie spity od haszyszu drzymie,
Może nas przedał za szczyptę tabaki,
Przed posłem Moskwy na łapkach, jak pieski,
Może zapomniał, że jadł chléb litewski.

Porzucać tak się wcale nie godziło
Braci w nieszczęściu, zostawiać ich w trosce;
Z jednéj się razem szklanki nieraz piło,
W jednéj się prawie wychowało wiosce...
Myślałem, że mój grób z jego mogiłą
Będą się widzieć, choć on miał dwurożce
Postawić sobie w straż u śpiącéj głowy,
A ja oblany krwią krzyż Chrystusowy.

Ale tak nie jest! odbiegł nas jak trądem
Rażonych, widząc że Khan patrzy krzywo.
Sumienie własne niech mu będzie sądem;
Nie będę o nim gadał — bo to dziwo,
Że Tatar zdradził. Niechże się z wielbłądem
Błąka po stepach, i ma starość siwą.
Lecz kiedyś, kiedyś... oj! westchnie on z cicha
Do litewskiego stołu i kielicha!....

Podczas téj mowy nieraz na rumaku
Wzdrygnął się Tatar. Raz już podniósł dłoni
I miał ją prawie na swoim kołpaku;
Myślał Borejsza, że mu się ukłoni,
Lecz nie zdjął czapki. Potém jak na ptaku,
Na koniu swoim, który rżał do koni,
Na bliskie piasku odleciał pogórze
I stanął w pyłu złocistego chmurze.

Tak uleciawszy od rycerzy kawał,
Pyłem omglony słonecznego blasku,
Znak pożegnania, wzniosłszy rękę, dawał;
Kiedy się wojsko już grzebało w piasku,
Widział, jak z wału wychodzili na wał;
Słuchał dzikiego hord niknących wrzasku —
Znikli, on słyszał jeszcze, jak anieli
Niebios, gdy w stepach Alla hu! krzyknęli.

Alla hu! miłéj krzyknęli ojczyźnie,
Idą na boje, gdzie los pędzi ślepy;
Może niejedna głowa się rozbryźnie
I koń powróci sam na złote stepy,
Gdzie go źrebięta powitają bliźnie
I palmy, niebios trzymające sklepy,
A pan zostanie pod brzozą wieśniaczką,
Która umarłych jest nimfą i płaczką.

Tymczasem Kaźmierz za wojskiem ostatni
Gonił, obziérał się często za siebie
I często patrzał, gdzie ów rycerz bratni
Stał jako mara tęczowa na niebie,
A potém mniejszy, jak sztandar bławatni;
I słychać było pod nim rżące źrebię...
Spojrzał ostatni raz pod słońca blaski,
A już ów rycerz jasny stał bez maski.

Lecz taka była czerwień i płomyki
W powietrzu, które z ziemi idąc parzy,
A tak daleko ze swymi łuczniki
Już był Beniowski, że nie dojrzał twarzy;
Więc dogoniwszy swoje tylne szyki,
Spytał jednego z namiotowéj straży,
Kto był ów rycerz pożegnany z rana?
Ten odpowiedział: Syn Gireja-Khana.

PIEŚŃ XI.

Beniowski z swoim hufcem tatarskim przybywszy na ukraińskie stepy, spotyka się z nieznanym jakimś starcem, który mu mówi o dawnych czasach i przepowiada smutną przyszłość. Potém prowadzi go do pobliskiéj groty, w któréj zwykł czasami przemieszkiwać wraz z drugim jeszcze towarzyszem, ze Suchodolskim. Bliższe szczegóły o Wernyhorze. Od téj pory, zdaje się, że lirnik towarzyszy już Beniowskiemu w dalszym jego pochodzie — ku Barowi. Przyłącza się do nich po drodze jakiś oddział konfederatów, nad którymi główne dowództwo, równie jak i nad Tatarami, bierze Beniowski. Pewnéj nocy lirnik wróży z księżyca, że się zbliża chwila krwawéj potyczki. Jakoż niezwłocznie spotyka się ta cała Beniowskiego komenda z liczném wojskiem moskiewskiém, obozującém pod lasem. Nocna utarczka — nie bez korzyści; a potém dalszy pochód Polaków taborem ku Barowi — wśród nieprzyjaciół otaczających do koła, lecz nie mających odwagi zaczepiać.

Luźne urywki, które się zdawały jakikolwiek mieć związek z częścią poematu obecną, zamieszczamy poniżéj; nie ręcząc atoli za to, czy rzeczywiście wszystkie te ustępy wnijść miały w skład téj właśnie pieśni.

I.

Liro żebracka! słyszałem i słyszę
Twój głos, przez lasy lecący brzozowe;
I robię w moich myślach dziwną ciszę,
Aby cię słyszeć... Ty miałaś perłowe
I wydeptane palcami klawisze,
Po których pieśni chodziły stepowe
I w twoje łono — pochylając czoła —
Szły smętne, jak do starego kościoła.

Nie palce ciebie, liro, wydeptały,
Ale te pieśni ciężką nogą ducha,
Który wywraca zbrojne zamki, skały,
I naród gotów oderwać z łańcucha;
Taki jest silny i taki wspaniały,
Gdy się obudzi z grobu i wybucha!
On stare czasy żebrakowi szeptał,
Żył z nim i srebrne klawisze wydeptał.

Rozłamać nie mógł liry starzec siwy
I rzekł: — Oj bat'ku pane — tak nazywał
Suchodolskiego — wielkie będą dziwy...
Kto inny będzie na téj lirze grywał...
Kto inny będzie u téj szaréj śliwy
Grał tobie pieśni złote... i używał
Twojéj przyjaźni... ja wże idu spaty,
Kto ynszyj tobi bude pane hraty...

Koń suchą nogą zatętni po Rosi,
Zarży, a lira w trumnie mu odpowie;
Stamtąd koń..... Widząc, że proroctwo głosi,
Pan Suchodolski oczy wylśnił sowie;
Lecz starzec zamilkł... i ta śmierć, co kosi,
Ścięła go; ale zjeżone na głowie
Włosy — powieki, które się otwarły,
Świadczą, że na coś się patrzał — umarły.

Nazajutrz piątek był — szare kolumny
Żebractwa snuły się po stypne grosze;
W dziedzińcu starca włożono do trumny,
Trumnę na czarne postawiono nosze.
Pan Suchodolski sam — choć starzec dumny,
Czarny wdział żupan i czarną wołoszę...
Wyszedł pogrzebów czarny regimentarz,
Diak — cały pogrzeb stepem wiódł na cmentarz.

W stepie jęczały głosy niezbyt śpiewne,
A jednak piękne harmonią płaczliwą;
Jasną girlandą chorągwie cerkiewne
Szły — burcząc z wiatrem; świéce nieśli krzywo
Chłopięta... Nieraz widziałem te rzewne
Pogrzeby, stepem idące i niwą...
Dawno już świata ogłuszony zgrają,
A jeszcze teraz słyszę — jak śpiewają.

O Hamletowe życie! — raz przez kładkę,
Pod którą wrzała czarna Alpów woda,
Widziałem taką żałobną gromadkę.
Szli — a pod nimi most, rzucona kłoda,
Drżała... Słyszałem cmentarza sąsiadkę,
Kaskadę — księdza głos głuszącą... Szkoda
Pacierzy, skalnéj porzuconych ścianie
I na szalonych kaskad urąganie!

Myślałem sobie, że ten człowiek młody
Ten most, co wiedzie smutek z łąk na łąki,
Wyrwał z korzenia i rzucił przez wody,
Ścigając dzikie po górach jelonki
Lub do dziewczyny trzód pędzając trzody
I dzwoniąc miłą piosnkę jak skowronki.
Wtenczas mu drżała pod stopami giętka,
Teraz — pod trupem drży... Brała mnie chętka

Apostrofować ją, jak prorok stary
Zebrane kości umarłych na polu...
Ale powróćmy na stepowe jary,
Błękitne od bławatków i kąkolu.
Stał na cmentarzu pogrzeb, a sztandary
Stały tak dumnie, jak na Kapitolu,
W małe mogiłki żebrackie wetknione,
Błękitne, białe, żółte i zielone,

Na kijach czarnych rozpięte, a gałki
Błyszczały w słońcu. Cmentarz stał przy Rosi;
Rzekłbyś, że wodą pluskały Rusałki —
Tak w takt opada, tak się w takt podnosi,
I na czerwony brzeg swe srebrne wałki
Kładzie i groby brylantami rosi.
Za Rosią był las z brzozowego drzewa,
Który gdy szumi — zdaje się, że śpiewa.

Lirnika jeszcze raz w trumnie odkryto —
Spał... lecz otwarte oczy na blask trzyma.
Jak z porcelaną na polu rozbitą
Słońce igrało z martwemi oczyma.
Obejrzano go i trumnę zabito
Z lirą... Niech w grobie śnieg i mróz wytrzyma
Niech także trzyma dawnéj pieśni stroje,
Aż ze śpiewakiem spruchnieją oboje.

Pierwsze już grudki w dół rzucali diaki,
Gdy z lasu człowiek wyleciał nieznany;
Koń pod nim biały, jak śnieg, bez kulbaki,
Bez uzdy; — dziwnie w oczach obłąkany...
Przeleciał rzekę — ale lot miał taki,
Że się — jak mówi lud — nie tykał piany
I tylko pod nim wody srebrne biły...
Przybiegł i jeźdźca zrzucił u mogiły.

Zrzucił... i znowu w las poleciał rumak,
Zniknął — a dziś się lud w powieści dzieli:
Ci mówią, że koń — a drudzy, że sumak,
A inni, którzy tętna nie słyszeli,
Że koń-duch. — O tém każdy dziś wie czumak,
Że Wernyhorę ten koń w światléj bieli
Przyniósł, zostawił; lecz ma z nim przymierze,
Że znów przed śmiercią przyjdzie i zabierze.

Na grobie usiadł Wernyhora... pana
Znać na nim było: bóty srebrem szyte,
Srebrne guziki błyszczą u żupana.
Złoty pas... czoło na wiatry odkryte.
Siadł i rzekł: — Ludzie! wy lirę Bojana
Schowali w grobie! Liry rozmaite
Brzęczą po świecie, tam gdzie żal doskwiera —
Lecz nie ma drugiéj liry, jak ta lira...

Przyjechał ja tu po lirę Zaboja
Na białym koniu, hej — i nie odjadę.
Oj, śpisz ty w grobie, liro, córko moja,
To ja się także w dół przy tobie kładę.
Albo ty zabrzęcz tak, jak stara zbroja,
Albo ty jęknij... ja dam tobię radę...
Wyciągnę z grobu... Wstał i spojrzał dumnie:
Lira zaczęła grać pod piaskiem w trumnie.

Na jakąś starą nutę, niesłyszaną
Odezwała się w grobie, jak anioły.
Gdy ją wyjęto i z trumny dostano,
Brzęczała jeszcze w ręku nakształt pszczoły.
Potém głos ustał; a tę rozpłakaną
Na łańcuchu swym uwiesił wesoły
Pan Wernyhora. — I wnet gadek mnóstwo
Po kraju szare rozniosło ubóstwo.

Mówiono, że król dum jest pochowany,
A jego wielki syn w Korsuniu siedzi;
Że w koło grają nocami kurhany —
Co wszystko ucho stroiło gawiedzi
Do większych cudów... lot był raz nadany.
Do Korsunia się zjeżdżali sąsiedzi
Z wielką pociechą dla bab i karczmarzy —
Każdy poetę poznał zaraz — z twarzy.

Milczący bowiem był pan Wernyhora,
Pił — tak jak drudzy... jadł — i do księżyca
Nie wzdychał, ani chodził tak jak zmora.
Owszem, był często wesołego lica,
Aż się zbliżyła rzeź — owa potwora
W skrwawionym płaszczu, z krążkiem półksiężyca
Na głowie — w wichrze sinym od miesiąca,
Zakrwawionymi nożami kręcąca...

Nie jest to wcale figuryczność mowy,
Która mi tego ducha nastręczyła.
Przed rzezią zjawił się upior stepowy,
Jakaś kobieta, która się krwawiła
Idąc; a często szła wcale bez głowy,
A głowa przed nią jak wężowa bryła
Szła świszcząc — oczy mająca z krwawnika,
A dziwnie biały nóż zamiast języka...

I raz, jak mówią, krwawa upiorzyca
O saméj przyszła północy... z hukami,
W których i piorun był i nawalnica,
I przed Korsunia stanęła wrotami.
W zamku płonęła jedna tylko świéca
U Wernyhory. Wiedzą tylko sami
Szatani, którzy bańkę ze krwi wydmą,
A potém puszczą na świat krwawe widmo —

Szatani, mówię, tylko wiedzą o téj
Nocnéj rozmowie wieszcza oraz ducha.
Powietrze było błyskawicy złotéj
Podobne; słychać było szczęk łańcucha —
Potém tętnienie konia śród ciemnoty —
Potém głos liry — potém cisza głucha
I przez ściemniałe niebieskie szafiry
Czasem głos jeszcze pioruna — lub liry...

To tylko pewna, że nazajutrz rankiem
Pan Suchodolski pana Wernyhory
Nie znalazł w domu — choć szukał z kagankiem;
Obejrzał wszystkie drzwi, wszystkie zapory,
Przeliczył konie pasące się wiankiem
W dziedzińcu, zaszedł nawet do obory: —
Nie brakło nigdzie nic... i to przeraża,
Że dyabeł cicho tak porwał dumkarza.

Słowem, bez śladu zniknął... Wtém mogiły
Zaczęły gadać ludowi czerwono:
I wieść wyrosła, że gdzieś koło Smiły,
Gdzie noże w leśnéj kaplicy święcono,
A te sypiąc się z worków, szeleściły
Jak węże, nim swój cały jad wyzioną,
A księżyc patrzał się przez dach rozbity
Na trumny — świéce — popy i kobiéty —

Mówią, że w owéj kaplicy zjawiony
Pan Wernyhora zaczął kląć rzezunie;
A potém gniewny — jako Lear szalony,
Na ołowianéj podskoczywszy trunie,
Słysząc wokoło przekleństwa i dzwony
I wrzaski — starzec o jednym piorunie—
Bo śpiewak jeden piorun ma zamknięty
W lirze — tam rzucił lirę, gdzie był klęty.

Nagle usłyszał szmer okropny gniewu:
„Mat' swoju zabyw bat'ko Wernyhora!“...
Z razu nie pojął okropności czynu
I stał — na licu blady, gdyby zmora.
Wtém głos kobiecy: Zabyw mene synu
Krzyknął — a jęk był krótki... o nie skora
Pamięci! ten głos, na téj saméj wardze —
Śpiewak go w klątwie nie poznał, a w skardze

Zna dobrze!.. Jakby anioł go zamorzył,
Stał nieruchomy i spozierał słupem;
Wtém lud się szary na dwoje roztworzył
I zrobił drogę między nim a trupem;
Lud ją na workach skrwawioną położył,
A kruki, świeżym przywabione łupem
Tłukły się w szyby... krew się w żyłach ścina!
Gromnice gasną — pop klnie — las odklina...

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

II.

„Wy teraz tego nie pojmiecie Lachy,
Jak to dawnymi czasy, w wasze dwory
Wchodziły stepów pieśni, czarów strachy
I siwe często z lirami znachory;
Siadali w progu, a wam lip zapachy
W dom zalatały, i pieśń i wieczory
Mieliście ciche na gankach drewnianych,
I myśl o rzeczach dawno zapomnianych.

„Potém wy dziada lirnika prosili
W dom, lub dzieciątko swoje wysyłali
Z groszem, i zdrowie wy hetmanów pili
I pieśnią ludu mogilną płakali,
I sami na pieśń zarabiając żyli,
Na koniach dziarskich po stepie latali
I powracali o smętnych wieczorach
Do domów — w krwawych wozach i taborach.

„A dziady znowu z lirami srebrnemi
Na ucztę lub na pogrzeb, jak sproszeni,
Ciągnęli stepem, siadali na ziemi
Albo pod lipą, albo w waszéj sieni,
W płaszczach, co były od słońca złotemi,
A od łat — niby królewskiéj czerwieni,
A od błękitnych łat — jeszcze innemu
Podobne były płaszczowi — Bożemu.

„Teraz już nie ma téj z pieśnią przyjaźni,
Ze starym ludem nie ma zażyłości!
Jesteście jeszcze wy do korda raźni,
Jesteście jeszcze wesołéj starości,
Jesteście jeszcze w ubiorach pokaźni,
Są jeszcze u was ludzie sercem prości;
Ale już nie ma u waszego proga
Ludu, co wnosi pieśń i imię Boga!“

— Tu się Beniowski porwał: Kozaczyno!
Przysięgam tobie, że gdy kasztelanem
Zostanę, a mieć będę stare wino
W lochu, nareszcie kiedy będę panem,
A ty zostaniesz dziadem starowiną
I przyjdziesz szarym okryty łachmanem,
A wspomnisz nasze dzisiejsze wędrówki:
Nie pożałuję białéj sorokówki.

Nawet pić z tobą będę, i odprawię
Nie wprzód, aż twoje rubinowe lice
Podobne będzie piwonii, a w stawie
Moim zobaczysz całe trzy księżyce.
— Ledwo to wyrzekł, uczuł na rękawie
Ręce tnące mu żupan, jak nożyce;
I ktoś nań krzyknął po chłopsku: — Oj panku!
Nie tobie słuchać lirników na ganku

Przy kasztelańskiéj szabli, w siwych włosach,
W złotym żupanie, śród maleńkich wnuków.
Trzy zorze świécą na twoich niebiosach
I trzy tęczowych jest nad tobą łuków,
I żywot słychać twój w trzech różnych głosach,
Głosach podobnych do kościelnych stuków,
Gdy przy grającym na chórze organie
Słychać podziemne trumien zabijanie!..

Nie tobie zorza u grobowca złota
Przez szablę twoję i konia zdobyta;
Nie tobie przyjdą przed zamkowe wrota
Żniwiarki w wieńcach łanowego żyta!
Starość — to twoja za krajem tęsknota,
Starość — to chmura piorunami ryta,
Starość — to czeluść nędzy otworzona,
Wygnanie, srebrne morze i... korona.

— Gdy to usłyszał pan Beniowski, wcale
Nie zatrwożył się, bowiem ruskiéj mowy
Nie znał, albo ją znał niedoskonale;
Więc nie rozumiał proroctwa połowy.
Ale mu starzec stojący na skale
Przedstawiał wtenczas typ zupełnie nowy
Chłopa, co nie był chłopem ani szlagą,
A waryjował z wdziękiem i powagą.

Przypomniał sobie stare pasieczniki,
Co przy dębowych lasach na lewadach
Jak pszczół pasterze siedzą, i kwiat dziki
Znają i znani są w całych gromadach
Jako lekarze, albo czarowniki,
Dobrzy i bardzo potrzebni w osadach.
Takim się właśnie Beniowskiemu zdawał
Ów dziad stepowy, waryjata kawał.

Śledziennik, żółcią złoty, krwią nalany
W oczach: a jednak postać ta lirnika
I różno-farbne te na nim łachmany,
I bót czerwony, spłowiały — i dzika
Postać, i ten włos srebrny, często rwany
W żałości, i te źrenice z krwawnika,
Patrzące prosto w słońce, w błyskawicy
Ducha i złości, jak oczy orlicy.

I ten głos, który gdzieś zaskalne głosy
Wyrwał i kazał w koło gadać skałom,
I ta wyryta na nim wiara w losy,
I to oddanie siebie wszystkim szałom,
I okolica, gdzie stał, i brzóz włosy
Oddźwiękujące lirniczym zapałom,
Piosenką cichą, słodką, a wiośnianą,
Jakoby kobiet płacz za skalną ścianą:

To wszystko dziwnie na mego szlachcica
Działało. Strachu jednak nie pokazał
I rzekł: — Mój ojcze, przyszłość — tajemnica!
Bylem się żadną podłością nie zmazał,
Bylem miał serce, co jest jak kaplica
Święta, a czynił to, co Bóg rozkazał:
Nie dbam, co ze mną na starość się stanie,
Czy w senat pośle, czyli na wygnanie.

— A lirnik: śpiąc ja dziś na mojéj lirze,
Obaczył ciebie we śnie za mgłą krwawą;
Ludzie wbijali ciebie na trzy krzyże,
A ty się cały opromienił sławą;
A potém brzoza na nocy szafirze
Zgięła się niby nad twoją postawą,
U twojéj niby nachylona truny,
Gałązki lejąc w dół, jak z ognia struny.

A duch wychodził z jednego krawędzia
I miał otwarte usta, pełne blasku...
Takiego jeszcze ja nie znał narzędzia
Ani na żadnym widział go obrazku.
Widział ja lirę zmienioną w łabędzia,
Widział ja w cerkwi, przy piorunnym trzasku,
Grający organ na pół roztrzaskany;
Ale téj brzozy sen, o tobie grany,

Straszniejszy, niż to cerkiewne śród burzy
Granie organów piorunem łamanych!
Dlatego ja klnę, bo mój duch ci służy,
Jak gdyby jeden z szlacheckich poddanych;
Bo mniejszym jest ten, co drugiemu wróży,
Niż ten, o którym w snach ogniem pisanych
Widać; i dosyć blasków sny nie mają,
Gdy o nim we śnie lirnikom gadają.

— Tu się nachylił dziad, i pod kolana
Dawnym zwyczajem szlachcica uścisnął;
A ten zdziwiony: w imię Ojca Pana!
Dopieroś co klął, ojcze, gniewem błysnął,
Jak chmura ogniem wrącym szpikowana:
A teraz gniew twój tak na niczém sprysnął!
Niechaj mię dyabli! lecz w tobie być musi
Szlachecka także nasza krew, z krwią Rusi

Zmięszana... Starzec nic nie odpowiedział,
Lecz zdjąwszy czapki baraniéj, zaprosił
Do groty; w grocie jakiś szlachcic siedział
Chudy, i oczu wcale nie podnosił;
Pisał proroctwa, których się dowiedział,
Aby ich drukiem nigdy nie ogłosił,
Jak dawniéj czynił każdy szlachcic polski;
Był to starosta zamku, Suchodolski.

Lecz gdy mu słońce odjęły trzy cienie
W grotę wchodzących, wziął pióro za ucho
I spojrzał prosto w przyćmione promienie
Słońca, a twarz miał Chrystusową, suchą —
Na twarzy wielkie bardzo zamyślenie —
Włosy zwichrzone myśli zawieruchą;
Słowem, poeta to był, ale o tém
Nie wiedział wcale wtenczas, ani potém.

A jednak wojna mu się ta zaczęta
W dziwacznych bardzo kształtach malowała,
Jak jakaś cudna krucyjata święta,
Która pod tęczą bożą szła, i stała
W niéj jako w bramie. Znał polskie panięta;
Ale im większe dał dusze i ciała,
I większą cnotę śnił obywateli,
I większą w sercach odwagę... niż mieli.

Lirnik mu także zdawał się figurą
Podobną do tych dawnych czarodziei,
Których Tassowe w Kochanowskim pióro
Wymalowało. Pełny był nadziei
Jasnych. I gdyby swą twarzą ponurą
Nie straszył szlachty, to z jego idei
Możeby wówczas wykwitnęła nowa
Polska, jak chcemy dziś, święta-duchowa...

On to był panem groty, i swe dziwne
Manuskrypta w niéj chował pod kamieniem.
Było to w lecie mieszkanie przedziwne,
Zakryte z góry lecącym strumieniem.
Stamtąd był widok na wzgórza przeciwne,
Na płachty lasów, pól obłękitnieniem
Dalekiém oczy smętniący, tą siną
I pełną mogił dawnych Ukrainą.

Stamtąd, piszący swoje pamiętniki
Szlachcic, gdy wdumał się i wpatrzył w pola:
Dzwoniły mu gdzieś hufce i lirniki,
Choć ich nie było; a daléj Podola
Domy i gaje, pasieki, słowiki
Grały, jak harfa przez starca Eola
Na to zrobiona, aby wichru szały
Znalazły sobie mowę — i śpiewały.

Stamtąd on wszystkie duchowe męczeństwa
Ukraińskiego ducha widział w pyłach
Kurzu złotego, i słyszał przekleństwa
Dawne, i skargę będącą w mogiłach.
Nie był historyk ten bez nabożeństwa
Dla dawnéj szlachty i czuł, że w jéj siłach,
Dopóki z ludu nie wytrysną nowe,
Leżało całe życie narodowe.

Znał ją więc, i wnet w Beniowskim wyczytał
Stary szlachecki typ, szczery, wesoły;
Zaraz więc go tam na wstępie zapytał
Z jakiéj jest partyi? jakiéj pańskiéj poły
Trzyma się? to jest, kto go pierwszy schwytał
Na krupnik i na upieczone woły?
Na to z szczerotą wielką rzekł Beniowski,
Że dotąd, jak wie, jest Radziwiłowski.

Spotkałem, rzecze, tego wojewodę
Błędnego, jak ja, odartego prawie,
Jak ja, stepową pijącego wodę
I cierpiącego nędzę i bezprawie.
Lux jego dawniéj myśli moje młode
Nęcił i bawił, jako tęcze pawie
Pokazujące się z litewskich lasów;
Teraz męczennik on jest naszych czasów.

Z tymi więc, którzy dziś niesprawiedliwość
Cierpią, ja jestem, szlachcic podupadły!...
— Kiedy to mówił, w słowach była żywość,
Lecz z oczu jakieś duże łzy upadły,
Perłowe, jasne; a jakaś straszliwość
Rycerska wzrok mu zrobiła zajadły;
Widać, że nagle nakształt słońca wschodu
Obaczył krzywdę całego narodu.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

III.*)

„„Gdzieś przez burzany i gdzieś przez mogiły
I gdzieś w półjasne zorza pidu, pane,
I już nie umrę ani zmartwychwstanę,
Lecz mi krew zmarźnie i zastygną żyły,
I różne słońca będą w oczy biły
I różne pieśni w słuchu martwym grały,
I różne węże w koronach śpiewały
I różne koń mój będzie deptał groby,
I różne we mgle spotkają osoby.

*) Ten ustęp zdaje się być tylko waryantą numeru Igo-

„„Bo ja nie kozak — jeno duch piekielny,
Bo ja nie sługa, lecz brat jestem panów,
A sam nie hetman, ale duch hetmanów,
Bo ja nie smertny—ale nieśmiertelny.““
—„Tak mówi ten dziad, w dumie swéj bezczelny,
Gdy wpadnie we sny swoje zwykłe, dziwne,
Co sądom boskim zdają się przeciwne,
A jednak często, choć się zdają płone,
Przeczuciem śnione, wypadkiem stwierdzone.

„Otóż król taki był zapowiedziany
Przez tego, co tu w zamku siedział, dziada.
Na pogrzeb jego zeszła się gromada
I długi bardzo poczet chorągwiany.
Pogrzeb szedł cicho, smętnie, przez burzany,
Żórawie snuły się po nieba sklepach,
I różne cerkwie dzwoniły po stepach,
Rozsiane w jarach i po okolicach —
Każda w trzech wieżach, jakby w trzech księżycach.

„Pod wieczór Anioł Pański zaśpiewawszy
Nad starcem owym, a z tęsknotą szczérą,
Zakopaliśmy go do grobu z lirą;
I tę posługę nad grobem oddawszy
Szliśmy do domu; a miesiąc był krwawszy
I okrąglejszy i większego łona,
I ziemia cała pod zachód czerwona
W rozpłomienione ubrana obłoki,
Jak w nietoperze ogniste i smoki.

„Oddzieliłem się nieco od gromady:
Wtém drogę Kozak mi zaszedł ogromny,
W słowach nadzwyczaj dziwny, nieprzytomny,
Ubrany dosyć nędznie, bardzo blady;
Ten mnie zapytał: skąd wracają dziady?

Gdzie pochowano starego lirnika?
Potém sam cicho szedł do mogilnika,
Ja za nim, dziwną ciekawością zdjęty,
Strach nawet jakiś czując niepojęty.

„Za płotem skryty i po za różaną
Mogiłą jedną, za kalin bukiety,
Słyszę — on pyta chodząc: Łyra hde ty?
A ta — pod grobem będąc zakopaną —
Na jakąś dziwną nutę niesłyszaną
Odezwała się... by dziecina mała;
I tak śród nocy na cmentarzu grała,
Że płacz mój razem z piosenką wybuchał,
A Kozak siedział na grobie i słuchał...

„Potém wstał i wziął dwa od płota koły
I sam robocie téj grabarskiéj sprostał,
I śpiewającéj liry z grobu dostał;
A gdy ją w ręce wziął, w oczach wesoły,
Jeszcze brzęczała w rękach nakształt pszczoły,
Brzęczące mając i drzewo i struny;
A ten, co dostał ją z grobu i z truny,
Zaraz pomiędzy ludem stanął — nowy
Pan i ostatni, mówią, król lirowy!

„I wnet rozeszły się po Ukrainie
Wieści, jak ze mgły wstające upiory;
Szeptano cicho imię Wernyhory,
A teraz wszędy już ten starzec słynie —
I kupił sobie gdzieś w ciemnéj dolinie
Futor z ogromnym sadem, i tam mieszka.
Lecz do Korsunia mu wiadoma ścieżka
I miód mój stary, bursztynowy, gęsty;
Więc mi tu w zamku bywa jak gość częsty.

„I jednéj nocy — gdy wiatr kręcił wiry,
A do mnie on miał przyjechać w gościnę,
Słyszałem dziwną głosów mięszaninę;
I przez ściemniałe niebieskie szafiry
Czasem głos leciał piorunu i liry,
Ciągły i coraz niby doskonalszy,
Pieśń coraz bliższa — piorun coraz dalszy,
Jakby toczyły gdzieś na stepach boje...
Nagle — wszedł blady starzec na pokoje."

—Tu otarł wielkim potem zlane czoło,
I rzekł: „Jeżeli kończyć pozwolicie,
To Wernyhory opowiem przybycie,
Choć powieść nie jest piękną ni wesołą."
—Przy starcu większe zebrało się koło;
Czuć bowiem było, że sam silnie wierzy,
A miał szacunek wielki u rycerzy,
I był staruszek obyczajów świętych,
Lecz szukał skarbów na stepie zaklętych.

A więc słuchaczy otoczony wiankiem,
Rzecz tak prowadził gubernator siwy:
—„Mój starzec czując bliski brak oliwy
I żywot czując gasnącym kagankiem,
Raz mnie zawołać kazał przed porankiem
I na chorobę się już bardzo żalił;
A potém prosił, abym lirę spalił
I do mogiły wsypał mu popioły;
Inaczéj — straszne ją wezmą Anioły...

„Mówił o swoim następcy lirniku
I o tajemnym tego króla znaku,
I o zaklętym, o białym rumaku,
Który się zjawił kiedyś w Kahorliku;
I że po tego króla z mogilniku,

Kiedy już wszyscy wyginą rycerze,
Po króla tutaj przyleci, zabierze,
I gdzieś daleko wzniesie pod księżyce
Na jakieś dziwne duchów wieczernice.

„O znakach tajnych gadać wam nie mogę,
Bo je słyszałem pod straszną przysięgą.
Mówię o koniu z ognistą popręgą,
Bo o tém już wieść chodzi, siejąc trwogę.
Mój druh się często kładzie na podłogę,
A wtenczas widzę, że pobladłszy słucha,
Czy już nie słychać gdzie tętentu ducha;
A czasem krwawą powiada powieką,
Że już go słyszał — tętni, lecz daleko...

„Klnę się na Boga, że on nie dziwaczy,
Ani też kłamie, co ma z Wernyhory;
Myśl jego w dziwne ubrana kolory
Jak kontusz króla, chociaż um prostaczy.
Czasem na stepach stanie, myślą znaczy
Mogiły w blaskach wieczora różanych,
I słucha dzikich szmerów żórawianych,
I ręką w stepy pokazując bladnie,
Mówi, że mu tam gdzieś droga wypadnie“...
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

IV.

A Suchodolski na to: -- Jasny Panie,
Nie zawsze ten dziad był taki odarty!
Nie zawsze jako zasmolone karty
Wyglądał — ja go widziałem w żupanie
Jasnym, silnego jak dąb, a mospanie,

Kiedy wziął w rękę puhar, to go zginał
Jak ołów; a gdy pieśni rozpoczynał,
Dreszcz szedł — taki miał w sobie głos ogromny...
A teraz blady, często nieprzytomny,

Z duchami gada lub wątpi o sobie.
Trzeba wam wiedzieć o dziwnym sposobie,
W jakim się pierwszy raz . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Płaszcz miał podarty, włosy rozczochrane —
W oczach krew — dziwnie jasną, różnotęczną,
Źrenicę wielką, błyszczącą, miesięczną —
Rękami blady oparł się o ścianę
I oczy we mnie topiąc zwierciadlane,
Szepnął mi: Czarty były Wernyhoru,
Nadybaw mater — hdeś koło futoru,
Taj byw — taj łyru tyskaw w hrud' kobity —
Taj na smert' matku byw — ne moh zabyty!

I dodał z wielkim strachem: piszła żywa!
Nie mogłem pojąć z razu, o czém gada,
I miodem słodkim upoiłem dziada,
Chcąc w nim strach zabić mocą tego piwa.
Dowiedziałem się potém, że straszliwa
Mara — dziwnego ubioru i ciała
Różnym się we wsi chłopom pokazała.
A jeśli powieść was nieco obeszła,
Powiém...—Chciał mówić: wtém ktoś—mara weszła.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

V.

Oj! powiedział ja ci, panie Regimentarz,
Że ty przegrasz walkę na kurhanach.
Oj! prowadził ty szlachtę korsuniecką na cmentarz
I z mieczami i w złotych żupanach!

Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,
Że ci błysną śmiertelni hułani.
W step poleci, jak burza, twój rumak ukraiński
I na koniu cię strach otumani.

Oj! powiedział ja tobie, mój synaczku Sawyna,
Że ty stracisz białego rumaka.
Oj! powiedział ja tobie, że to śmierci dolina
I dolina martwego kozaka.

Wyszły pany z mgłą białą, jak łabędzie przed ranem
I stanęli na polu przy Rosi.
Między jednym kurhanem, między drugim kurhanem
Szlachta flinty nabite podnosi.

Oj! strzelili wy tylko raz tym ogniem czerwonym
I uciekli, Wielmożni Panowie,
I ruszył pan Gruszczyński i biegł na koniu wronym,
Z wielką szablą do cięcia na głowie.

Oj! hułaniż to byli, co mu drogę zabiegli,
Oj! hułaniż to byli boleśni;
Kiedy pana starego na rumaku spostrzegli,
Drogę jemu na polu dwaj hułani zabiegli
Między dwiema mogiłami na cieśni.

Chorągiewkiż to były u hułanów straszliwe,
Co się w słońca złociły promykach,
Dwie główeczki dzieciątek, dwie główeczki nieżywe
Nieśli oni hułani na pikach.

Dwie główeczki, główeczki, jak paciórki na prątkach
Nanizane, nieszczęsne i święte!
I poznał pan Gruszczyński krew swoję na dzieciątkach,
Poznał swoje dzieciątka zarznięte.

I usta swe otworzył i w krzyż ręce otworzył
I stał stary ojciec na strzemionach —
Aż go szablą ciął kozak — i na ziemi położył
I krew jemu ciekła po ramionach.

I żywcem go chwycili i na step ukraiński
Płaczącego ponieśli na żłobie.
Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,
Lecz wszystkiego nie powiedział ja tobie!

—Tu zamilkł starzec; a pan Suchodolski
Rymy śpiewane z uwagą spisywał,
Których nie może wcale język polski
Wydać . . . . . .

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

VI.

Lirnik, jak zwykle, sam do siebie gadał,
Potém na księżyc spojrzał — ruszył głową:
„Oj!.. jutro będzie deszcz skrwawiony padał!
Pomyśl ty synu na walkę stepową...
Bo jutro będziesz ty w krzyże układał
Trupy na trupach. Krwawe moje słowo,
Ale i krwawy dzień jutro zaświeci...
Oj! żórawiany to klucz małych dzieci

Przyleciał tobie... Wróżę czy nie wróżę,
A ty się gotuj w bój!.. idzie godzina —
Ciemne ja w uchu mam dzwony i stróże
I dusza we mnie dla ciebie ojczyna.
Wozy na wozach postaw — koła w górze,
Tak jak dom; co się podnosić zaczyna;
A z kawaleryi zrób szpichlerz sieni (?)
A tak do Baru pidem, śród płomieni.

Każy Tatarom wstać, ty budowniczy,
Póki spokojna noc... taj dom stawity,
Bo jutro cały step ludem zakrzyczy,
A ty ze swego doma budesz byty
Jak pan starosta... słuchaj... ja *)
Sławny na stepy. — Teraz.....
Czerwone w oczach łyskają .....
Śpiewają we mnie srebrne .....
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

VII.

Potém głos dźwięczny — nie drżący i młody,
Głos Beniowskiego wyszedł z głuchéj ciszy:
—Od harmat lękam się w taborze szkody,
Na ochotnika kto mi towarzyszy?
Nim dzień zabłyśnie, wrócim do gospody,
Wpadłszy na wroga prędzéj, niż usłyszy;
A jeśli śpiące porozstawiał czaty:
Zaszpuntujemy złapawszy harmaty.

---

*) W tém miejscu rękopis jest uszkodzony.

Harmaty bowiem słyszę; z harmat będzie
Obrona memu drewnianemu miastu.
Panowie szlachta, kto szkapy dosiędzie,
Za mną! — Stanęło szlachty stu trzynastu;
Ci w niedobranym wystąpili rzędzie;
Reszta została niby dla balastu
W taborze szarym, jak na dnie okrętu
Fuzye bez kurka, szable bez pendentu...

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Potem ze złotych słonecznych promieni
Rycerze jacyś konni i wysoko
Jakby w powietrznym blasku zawieszeni
Schodzili na dół; oblani posoką
Husarzów zdają się lecących cieni.
Ale już widać — szlachta działa wloką
Za nimi leksza druga złota chmura,
A nad nią szable — jak kłosy i pióra,

Lekkie i krzywe. Za tą znów gromadą
Widma czarniejsze, na zwinnych rumakach
Spisy i ciała swe na spisach kładą,
I tak schyleni leżą na kulbakach;
Czasem Tatarów na stepach dojadą —
Strzelą... i pierzchną — wiją się po krzakach —
Znowu się łączą... Allach dają nowy,
W którym sam El Dżin szablą ściął dwie głowy.

Tymczasem wozy Borejsza odmyka,
Na szlachtę czeka, rozsuwa kołaski;
Rzekłbyś, że widzisz dobrego ptasznika,
Który otworzył swe samotrzaski.

Leci szarego chmura wojownika,
Turkocą działa, idą z szabel blaski,
Wpadają w tabor... Wódz nie przewodniczy;
Stanął przy bramie i rycerzy liczy.

Jak pasterz stary, gdy pastuszki wiodą
Bydło, nie idzie spocząć do piekarni,
Lecz przy oborze rozlicza się z trzodą:
Tak i wodzowie — gdy są gospodarni,
Wyżsi od ludu sercem i urodą,
A jako żołnierz krwią i prochem czarni —
Nim pójdą w namiot, to wiedzą najpierwsi,
Ile kul padło w sztandar — ile w piersi.

Przed wodzem szlachta przepędza zwycięska,
El Dżin przeleciał jak wiatr z Tatarami;
W Beniowskim twarz się stała prawie męska,
A krew mu szablę po rękojeść plami;
Tabor jak harfa szumów czarnoksięska
Wre pieśnią — działa czyszczą żupanami,
Bowiem je wzięto ze krwią bombardyerów,
Rozciąwszy wiele czaszek i giwerów.

Pułkownik także Salmur w piersi ranny
Wzięty w niewolę; Szwed posępnéj twarzy,
Piękny jak młody kochanek Dyjanny,
Który przy działach właśnie stał na straży,
Na Zygmuntówce miecz strzaskał jak szklanny
I już mu głowę mieli ściąć Tatarzy—
Beniowski strasznym przywiedziony krzykiem
Wziął go, gdy z lontem już stał nad jaszczykiem.

Takie dnia tego było powodzenie;
Cokolwiek także wzięto karabinów,
Prochu, kul — ważne dla taboru mienie,
Droższe niż beczki pereł i rubinów.

I tak Barowi stepem szło zbawienie
I stepem szła wieść Beniowskiego czynów.
Dalsze taboru walki i turnieje
Następna wam pieśń powie i opieje.

VIII. *)

Wystawcie sobie nową Salaminę,
Drewnianym murem wkoło opasaną;
Wystawcie sobie idącą mieścinę,
Wystawcie sobie fortecę drewnianą;
Wystawcie sobie tę smutną równinę,
Gdzie mogiłami o wiekach pisano,
Jako na karcie najpiękniejszéj świata
Najcudowniejsze dawne poemata —

Które dziś śpiewa wiatr, gadają krzyże,
Kraczą sokoły, w szumach niosą chmury...
Dziś tabor koła posuwa niechyże
Po wielkiéj trawie, a strzelb wytknął rury,
A ma na nogach swoich złote spiże —
Jak ćma, gdy złoty wąs niesie do góry,
Albo jak ślimak, co z domem się toczy,
Wysuwa rogi, na rogach ma oczy...

Wystawcie sobie, że się tak posuwa
Stepem: a wkoło są moskiewskie szyki.
Moskal — wokoło rozwinięty czuwa,
Kozackie błyszczą kulbaki i piki;
W środku głód wszczął się i męstwo zatruwa:
Jedzą kobyły, skóry i trzewiki,
Skra gorączkowa głodu w oczach stoi;
Nie atakuje wróg — lecz niepokoi...

---

*) Cały ten ustęp jest przemazany w manuskrypcie.

Zaledwie cztery mil na dzień uchodzą —
Do Baru jeszcze takiéj drogi trzy dni:
Moskale ciągle lub ranią lub głodzą;
Tatarzy stali się jak psy ohydni —
Chcą zacząć trupy jeść. — Węże się rodzą
W sercach — krew harda oczy im rozwidni;
Patrzą po sobie — i milczą głęboko,
Lecz jak szakale mają twarz i oko.

Zda się, że szczęki wzięły kształt zwierzęcy
I wyciągnęły się, zbielały zęby.
Słońce szło wyżéj i piekło goręcéj,
A par wychodził czerwonymi kłęby;
I nawet wróble, co w kilka tysięcy
Licząc w to szczygły, czyżyki i zięby,
Żyły w taborze — ze strasznego grodu
Wygnała je dziś czarownica głodu.

I poleciały chmurą do Moskali
Ptaszęta owe, jako zdrajce kraju;
Głód został — i gry, w karty zawsze grali:
Brzęk złota, jak brzęk trupiego ruczaju,
Mięszał się z brzękiem rozpłakanym stali;
A głód, jak Mojżesz straszny na Synaju,
Siadł na wysokim wozie, w ognia chmurze,
Czarny, jak szabla schowana w jaszczurze —

I patrzał na tę ćmę, co stawia złoto
Na karty, i tém wnętrzności ucisza...
Beniowski jeden nad szarą hołotą
Został bez druha i bez towarzysza;
Sposępniał — smutek zrobił go istotą
Wyższą: na głód ma cierpliwość Derwisza,
Na skargi szlachty, wymówki okrutne
Czoło spokojne, blade — ale smutne...

Jeszcze dziś odparł szturm i na temlaku
Ma lewą rękę — noc spokojną zyska;
Postawił straże i sam na rumaku
Obejrzał tabor, wrogów stanowiska;
Pewnie noc cała przejdzie bez ataku,
Moskal zapalił czerwone ogniska,
Leży po bitwie: pora jest dogodna
Natrzeć, lecz konie chude — szlachta głodna.

Tatarzy także przy wielbłądach siedli
I patrzą w ogień straszni, zadumani...
Skra się w źrenicy suchéj tak zwierciedli,
Jakby krew ludzka z ogniem były na niéj;
Coś grzybów czarnych zebrali i jedli —
Może to z worków swoich ci szatani
Dobyli, aby głód umorzyć krwawy,
Straszniejszy jeszcze, niż szatańskie strawy...

Koło ich kwater przeszedł — nie zagląda
W usta, nie patrzy, co pod ataganem;
Śród klęczącego zostawił wielbłąda
Te straszne sfinksy, będące kurhanem:
Bóg od nich jak od grobowców zażąda,
Aby krew cudzą ust wylali dzbanem,
I z prochu swego proch oddadzą cudzy
I z potępionych ludzi — wyjdą drudzy...

Beniowski przeszedł mimo. Noc gorąca,
Step parzy; niebo — choć noc, czerwienieje;
Nie było ani gwiazd, ani miesiąca,
Ani téj rosy, co po stepach sieje
Narcyzy, ani wiatru; — pieśń płacząca,
Co w ukraińską noc po kwiatach wieje,
Odezwała się: — wszystko pokój wróży,
Jednak powietrze gęste — pełne burzy...

Beniowski straże postawiwszy w koło,
Wszedł do namiotu: tam po jednéj stronie
Lirnik, na lirze położywszy czoło,
Leżał; w przegrodzie drugiéj stały konie.
Namiot wyglądał odarto i goło,
Ze skór był owczych; kaganiec w nim płonie,
O szable różne i o bronie trąca
Blady, jak złota gwiazda czuwająca...

Lirnik, w postawie lwa, na wilczéj skórze
Leży na ziemi — włos ma pełny prochu,
Zwinięty, srebrny — jak gniazdo jaszczurze,
Które wylęgła krew i wilgoć lochu.
Blisko przy drugim i skórzanym murze
Siedział pułkownik; garść suchego grochu
Od Perkunasa kupił: — dał zegarek,
I ma to jeszcze prawie za podarek.....
. . . . . .
. . . . . .

PIEŚŃ XII.

Części poematu, którą tu dajemy pod napisem pieśni XII, zdaje się że braknie początku. Poeta przenosi teraz czytelnika do Ladawy, do zamku pana Starosty i córki jego, panny Anieli, którycheśmy opuścili w pieśni II, t. j. krótko po owéj chwili, kiedy Ladawa została zajęta przez konfederatów i X. Marka. Okazuje się, że przez czas jakiś potém była w tym domu główna kwatera Pułaskich i reszty skonfederowanéj szlachty, a zarazem przytułek dla żon okolicznych obywateli, chroniących się tutaj przed hajdamakami. — Podczas kiedy się więc to wszystko dzieje w Ladawie, Beniowski ciągnie ze swymi Tatarami od stepów ukraińskich w też strony, ale z najzupełniejszém niepowodzeniem, jak się to w przyszłéj pieśni okaże.

Gdy więc zabrano podstępem Ladawę,
Zamek się ten stał jak główna kwatera:
Obaczono tam orła pana Sawę,
Pułaskich obu i Dumuriera,
Wiele szlachcianek, które przez obawę
Kozaków, jako w powieści Homera
Strwożone nimfy przed młotem Cyklopów,
Zbiegły się, woląc tę szlachtę, niż chłopów.

Była tam księżna Elżbiéta, co ongi
Z książęciem saskim w wiejskim pałacyku
Widywała się... i przez swe pociągi,
Perły łez, tęcze uśmiechów — bez liku
Serc zdobywała. Inne dziwolągi
W kornetach, z kwiatem nawet na trzewiku,
Jako w Noego zeszły się korabie
W tym zamku — wojny zaczynając babie.

Jedna żądała Sasa... i fontazie
Robiła z wstążek żółtych saskiéj maści
I przypinała je, żółtéj zarazie
Podobna. Druga miała do napaści
Szkaplerze tarte przy świętym obrazie
Lojoli. Trzecia, podobna przepaści,
Robiła vacuum wielkie, jako sfera,
Sama rządzona przez słońce Woltera.

Przy niéj Wybicki pisał pamiętniki,
Nauce baby dziwiąc się... w rozpaczy,
Że się nie uczył w szkołach botaniki...
Nie takiéj, która mówi, co kwiat znaczy,
Ale téj, która każdy listek dziki
Zwie po łacinie. Przez co się tłómaczy
Cała ówczesna Polska za nauką
Lecąca, jak dziś pan Hugo — za sztuką;

Jak Wagner, sługa Fausta, gap uczony,
Któremu zda się, że już wiele umie,
A jeszcze słów są ogromne szwadrony,
Których rozumem swoim nie rozumie...
Słowem, zamek był szlachtą przepełniony.
Potrzeba było jak przy morskim szumie
Używać trąby akustycznéj — aby
Powiedzieć jednę prawdę: że kraj słaby.

Szlachta uczona była na Alwarze
Przypadkowania i strachu herezyi —
Przez ludzi, którzy nie patrzeli w twarze,
Ale na nogi; a zaś dla poezyi
Pisali złote i srebrne ołtarze,
Podobne pięknym balladom Switezi
Lub Dziadów... w których spotykał wyrostka
Nie Gustaw — lecz Jan Kapistran, lub Kostka;

Z kobiét zaś święta Tima lub Agnieszka
Z kleszczami, które rwą zęby. — Do róży
Poezyi trudna bardzo była ścieżka:
Dlatego nikt nie przedsiębrał podróży.
Szlachcic, co w domku pod lipami mieszka
I Panu Bogu czasem szablą służy,
A czasem rąbał łeb przy trybunale —
Że poetycznym był... nie wiedział wcale.

Pułaski, który w szaréj się czamarce
Po salach włóczył — a czasem przez wonny
Kląb lip wyprawiał na swym koniu harce,
Jakoby młody srebrny anioł konny,
Gdy pod lipami stały chłopy starce
Kiwając łbami — że był jednotonny
W rozmowie, śród bab stał zawsze zdaleka
I nie uchodził za orła człowieka.

Za to był pewien książę Lubor młody,
Rumiany, pięknéj postaci topolnéj,
Który z Warszawy właśnie przywiózł mody,
Z Warszawy wówczas jeszcze bardzo wolnéj.
Ten był brylantem najpiękniejszéj wody
U pań, w dowcipie nakształt żupy solnéj
Niewyczerpany, pełny zawsze szeptów:
Bo tyle miał par bótów — co konceptów.

Z nim zwykle pani Dafnicka Sybilla,
Która umiała już język francuski,
Gadając piekła raka albo gila;
Choć mówią że ją król szanował pruski
Z dowcipu. Jakoż raz (o! krotochwila)
Książę dowodził jéj, że polskie kluski
Zowią się wszędzie z drugiéj Renu strony
Po towarzystwach wyższych: pedenony.

Z czego ją wtrącił w taki gniéw, że z miny
Piorunem była, a ze wzroku furyą;
Bo to już wzięła za wyraźne drwiny —
Nie za dowcipu różę, lecz nasturyą.
Kluski nazwała larmami z faryny,
A księcia błaznem... bo sprowadził z gór ją
Wyższego tonu, i tonem Polaka
Przymusił zawsze bladą — upiéc raka.

Tę panią zawsze wielkie myśli pasły
I książkowe ją napełniały strawy.
Ksiądz ją spowiadał chudy, mąż opasły
Nie miał z nią bardzo dawno żadnéj sprawy;
Zwykle chodziła jak wulkan zagasły,
Mając na głowie wielkie sople z lawy,
Których dostarczał ognisty Wezuwiusz;
Synka jednego mając, zwała... Fulwiusz.

Wystawcie sobie więc moję Anielę
W takiém żałosném gronie ze swym tatkiem,
W którym się nagle, jak w starym kościele
Duch jakiś rzymski pokazał przypadkiem:
Mowy miał od tych słów: — Obywatele!
Upadających mocarstw byłem świadkiem:
Nie siarka niszczy je, ani salétra,
Ale niezgoda... pijaństwo... et cetra!

Takiemi mowy, sądził, że pomaga
Nadzwyczaj panom Pułaskim w robocie.
Słowem — że stał się mowcą stary szlaga
I wszystkich bardzo zachęcał ku cnocie;
A choć słów była bardzo mała waga:
Takie dziesiątki wyrzucił i krocie
I tyle skrytych ku Moskwie przyczepnin,
Że się dowiedział o tém... tutor: Repnin.

A że ze słuchu tego buntowszczyka
Znał tylko: myślał, że to Galeador
Lub Artur, który dom szlachcie odmyka
I dla wolności ludu wpada w Ador;
Porwawszy więc wprzód biskupa Sołtyka
I Rzewuskiego, mądry ambasador,
Który przedsiębrał zawsze drogi proste,
Posłał kibitkę po pana starostę...

Pierwsza kibitko ruska! gdy w okręcie
Polskim już zapach strupiały poczuto,
Ty pokazałaś się w śniegu zamęcie
Jako ludożer pierwszy, za tą szkutą
Płynący... Inne ryby mają cięcie,
Lub paszczę na miecz srebrzysty przekutą,
I pod wodami są okrętom piłą,
A potém — ludzi pożartych mogiłą.

Z pod głębi morza nigdy nie wychodzą,
Ale chowają tam okropne głody;
Jako robaki spodom trumien szkodzą
I połykają okręt paszczą wody,
I tam w ciemnościach za trupami chodzą;
Gdy morze pełne zdaje się pogody,
Błękitne: to się w morzu gonią one
Przez głębie, mordem podziemnym czerwone.

Takie się ryby chowające w ciemni
Zowią..... nie powiém słowa, bo jest trudne,
Bo i dziś są ci morderce podziemni,
Ubrani w blaski boże, lecz obłudne;
Bo mi jest nawet miléj i przyjemniéj
Patrzeć na pola Sybiru bezludne,
Na cień kibitki, która w śniegu goni,
A tak, jako ksiądz z Panem Bogiem, dzwoni.

Gdy leci, jakiś smutek goni za nią
I jakaś dziwna świętość wyprowadza
Za pola: drogi całe się tumanią,
Lasowi, zda się, że szumieć przeszkadza;
Kiedy gdzie trzodę rozbije baranią
Jak bomba, która cały szyk rozsadza:
Matki trzód, zdjęte boleścią człowieczą,
Jak za swojemi jagniętami beczą,

I długo patrzą; a gdzieś potém morze
Śniegowe, słońca u wołżańskiéj wody,
I czerwone ją nadsybirskie zorze,
I gdzieś jak gromy pękające lody
Jakoby wielkie jakieś salwy boże
Ostrzeliwają... bo ziarno swobody
Wniosła na ziemię tę martwą i siną,
Którą zwie Tacyt ludów oficyną.

I zaprawdę, że w téj okropnéj kuchni *)
Warzą się jakieś dawne białe rasy,
Które... Ach! świecie mój złoty, nie pruchnij,
Nie filozofuj, jak trup się w atłasy
Nie strój, na słowo duchowe nie głuchnij,
Bo te północne Walkirye i Asy,
Z Samojedami gotowe do akcyi,
Z Orędownika śmieją się redakcyi.

Filozof jeden tam zda się w rozpaczy,
Że wstała jakaś tu demonozofia,
Która to właśnie jasno nam tłómaczy,
Czego się nie śmie dotknąć filozofia.
Patrzcie: kiedy się rozum jaki spaczy,
Jak mu jest smutno, jaka amotrofia
Porywa go wnet — że za systematem
Ktoś się zobaczy nowy z nowym światem.

O! filozofy, wysłane kibitki
Po głupców — przez rozumu autokraty!
W tym poemacie muszę wasze zbytki
Ukrócić — nowe pokazać wam światy;
W nowéj mądrości wprowadzić przybytki;
Bo wiédzcie, że mój rycerz jest skrzydlaty
I w takim ducha wyrzucony pędzie,
Że jako gwiazda lecąc, leci wszędzie.

Możecie bowiem z jego pamiętników
Znać go, że nie był człowiek do butelki,
Pijatyk, małych sejmików i ćwików;
Ale poczynał sobie, jak duch wielki.
W młodości był on u Holenderczyka
I tam, jako Piotr, uczył się ciesielki;
Potém dopiero, chcąc się wydrzéć trosce
I żyć spokojnie, osiadł gdzieś na wiosce.

*) Te strofy odmiennie tu drukowane poeta w rękopisie późniéj przekreślił.

Lecz, jakoście to widzieli: ogniści
Do butla różni młodzi przyjaciele
I żytomierscy też pono juryści
Wypili — zjedli... tak że przy kościele
Mógł usiąść jak dziad, zrobić wieniec z liści
Jak Gustaw — wzięte od Anielki ziele
Przypiąć na piersi, i nigdy przed pułkiem
Nie idąc, zostać... z włosami i ziółkiem.

Ale ach! Polska, ta co lat piętnaście
Jak bomba, nowym ogniem się rozpala
I pod marzących nogą rwie przepaści
. . . . . .
. . . . . .

1 Taka kibitka po pana starostę
Wysłana, biegła z Warszawy. Kibitka
Jest tu figurą; bo rzeczy są proste,
Że trakt, ta srebrna Aryjadny nitka,
Szkapy — na orły zmienione przez chłostę,
Poczta, ta nowa karczma neofitka
Autokratyzmu, pisarze i szczoty
Nie były znane w Polsce... wiek był złoty!

2 Złoty był to wiek: bo niewinność raju
I nieświadomość u kobiet... ewiana!
Nie piły jeszcze kawy, ani czaju,
Lecz proste piwo grzane jadły z rana;
Rzadko się która kochała w lokaju
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

3 Cybernetyka!.. Zda się dla ochłody
Xantypa, która czysto dom umiata,
Na Sokratesa leje ceber wody,
A potém mydli tę pochodnię świata,

Łeb inclusive z nosem, aż do brody.
Dobra Niemkini! ale nie skrzydlata
Jak Psyche — a swe dziatki pół-niemczyki
Sadząca często do cybernetyki.

Za to mąż kąpie Poznań — a ten z wanny
Wychodząc, strząsa warkocz uperlony,
A uczesany już podług Chowanny,
Na kraj, który jak kania dżdżu spragniony...
Lecz wróćmy do Ladawy! — Czas był ranny,
Ogród srebrnemi perły uiskrzony;
Każdy kwiat, każde drzewko w perłach było,
Coś w mgłach śpiewało smętnie — i myśliło.

Powietrzna jakaś myśl i śpiew, podobny
Do Requiem... bowiem przez duchy śpiewany;
A że wiedzący przyszłość — już żałobny,
Jakby z aniołów który obłąkany
Śpiewał w szpitalu. Nie był to śpiew drobny,
Perłowy, jak dziś dzwonią fortepiany;
Lecz coś, jakoby w dalekim klasztorze
Śpiewano z wielkim płaczem „Święty Boże!“

Dawnom takiego śpiewu tajemnicy
Śledził — i wyznam, żem śledził daremnie;
Czasem go słychać w letniéj błyskawicy,
Czasem w błękitach gra — a czasem we mnie,
A czasem w całéj wiejskiéj okolicy
Słychać go — czasem zaś słychać podziemnie
Grający, z brzękiem pomięszanéj stali,
Jakby w kurhanach umarli śpiewali.

Czasem nim buchnie wiatr, a czasem kłosy,
A czasem pies go usłyszy i stanie,
Nasroży uszy i najeży włosy
I warczy głucho. Czasem to śpiewanie

Usłyszy w stepach idąc żebrak bosy
I myśli, że to zebrana na łanie
Wróbli gromada śpiewa, harfa szara
Ptaszków — albo szum gruszy — albo mara...

Owiana takim śpiewem, słuchająca,
Patrz, bieży panna Aniela ogrodem,
A każdy z głosów ją aż w serce trąca,
Choć gorset, stanik złoty ma pod spodem,
Gorset ze złotéj lamy, w pół miesiąca
Pod samą szyją cięty; rannym chłodem
Mrozi ją nieco wiatr, ale jéj nie czuć
Zimna, bo pełna pamiątek i przeczuć.

Oh! te pamiątki! smutkiem, łzami wiszą
Na rzęsach, i są ciężarem i cieniem,
I są na twarzy jakąś wielką ciszą,
I są jakoby jéj czoła uśpieniem:
Gdy usta niby przeczuciami dyszą
I oświecają koralem, płomieniem
Jéj twarz, i czasem zbiegają po licach,
Czyniąc widniejszy smutek — w błyskawicach.

Za nią na zamku wszystkie okna gorą,
Jak rząd płonących jasno meteorów.
Tam kląby, brzozy z ośrebrzoną korą
Różane teraz słońcem; tam z kolorów
Malw — niby tęcz się zapala siedmioro
Około różnych posągów, upiorów
Dawnego świata; tam pomiędzy róże
Stoją rzezane marmurowe kruże.

Daléj staw; i tam zaczyna się miła
Zieleń drzew, głębsze wilgotniejsze cienie,
I Anielinek chatka, jak mogiła
Pamiątek, i to pod chatką siedzenie,

I ta gołębi chmura, w którą biła
Jutrzenka jak w mgłę białą; i wspomnienie
Siedziało nad tą chatką, jak Noemi
Lub Ruth, spuściwszy włosy aż do ziemi...

12 Dziwnie, że czasem cały duch obrazu
Wymaluje się nam jako cherubin
I stanie w myśli widzącéj od razu,
W oczach szmaragdy mając, w ustach rubin
I gwiazdę nakształt bladego topazu
Po nad warkoczem! jestto duch zaślubin
Z naturą, który nad Dźwiną i Preglem
Chodzi w surducie i zowie się Heglem.

13 Ale Aniela — do Heglistki wcale
Nie dorośnięta, bliższa Afrodyty
Pięknością — taka lekka, że na fale
Stawu wejść mogła, i staw nie rozbity
Nosiłby nóżki jéj... Jestem w zapale!
I oto mówię, że piękność kobiéty
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda,
Lecz może — w duchu będąc, robić cuda!

14 Lub sama przez się robić, lub się w drugą
Duszę przelawszy, być w niéj siłą, mocą,
Zaczepną bronią w ręku i kolczugą
Sercu, i słońcem, które świeci nocą,
I panią razem i razem być sługą,
I nawet w świecie aniołów — pomocą;
Wdzięczność to cudna ducha nie obarczyć,
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć. *)

15 Aniela była taką duszą; ona
Z Beniowskim tworzy jednego rycerza
I bohatera. Polska przez nią śniona
Świętą jest, wielką; z góry już uderza

*) Strofa ta cała w manuskrypcie przekreślona.

Duchem na wszystkie słowiańskie plemiona
I do żywota budzi i przymierza:
Wielka i silnym podniesiona lotem
Nad ludy, w ludach żywot budzi grzmotem.

Gdy piorunami ognistymi lunie,
To coraz jeden grób oddaje ducha!
Zakipiał żywot w każdéj stlałéj trunie,
Zniedokwasiła się zgnilizna, słucha
I wstaje... Kiedyż o boży zwiastunie,
Gołębiu, który szepcesz mi do ucha
Te straszne rzeczy, zrobisz taką ciszę,
Że Polska to usłyszy, co ja słyszę?

Nad morza teraz uciekam, i blade
Tęczą nadmorskich kwiatów, wietrzne pola
Depcę, a wielkich duchów o poradę
Pytam; i często piorunowa wola
Ściąga mi taką moc, że ręce kładę
Na wiatrach, jako na harfy Eola
Strunach, i gra mi wiatr jak najboleśniéj,
A ja posyłam na północ te pieśni.

Na północ je posyłam — miéjcie czucie!
Bo kiedy głuchy grzmot bez żadnéj chmury
Słychać — i kiedy słychać jakieś kucie
Jakby podziemnych zbrój, i kiedy z góry
Słychać jakoby sztandarów rozprucie
I szelest, niby orzeł je w pazury
Chwytał i ciągle darł jak stare szatry: —
Słuchajcie! to ja błogosławię wiatry.

I gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość gdy się pali,

Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Bogu pokaże i przed nim powali,
A będzie ziemia cichą jak mogiła: —
Słuchajcie! bo ten strach, to moja siła!..

Kiedy nie wiedzieć skąd dziecko się małe
Rozpłacze, rączki założy na głowie,
Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe,
Jak próchniejąca wilcza kość w parowie;
Gdy włoski staną mu jak zmartwychwstałe
I przedrży wielki strach, a nic nie powie,
Lub co innego wam w uśmiechu skłamie: —
To mój go porwał wiatr i moje ramię...

Boleścią moją powietrze zaklęte
Stało się mocą, bronią — pełne ducha,
I czasem do was gra, jak harfy święte,
A czasem waszéj odpowiedzi słucha...
Wtenczas — o straszne godziny przeklęte!
Siadam i strumień łez mi z oczu bucha
I przed Bogiem się nieśmiertelnym korzę,
Że mój duch cierpi tak — a nic nie może! *)

Kiedy wyjdziecie na ziemię różaną
Rankiem, a o mym duchu śnić będziecie: —
Trzody leżące na kurhanach wstaną,
Owce się ruszą, perły łąk... znajdziecie
Tę okolicę całą zasłuchaną
W powietrze, w dźwięki, w smutek. Jeśli w lecie
Żeńce na polach żną, to przy kopicy
Siędą, jak dawni rzymscy niewolnicy —

Smętni i groźni: to moja daleka
Moc i pieśń, która serce przeobraża
I niewolnika przedzierzga w człowieka.
Ale cóż znaczy moc i pieśń harfiarza?

*) I ta strofa przekreślona jest w rękopisie.

Na powieść moję smętny człowiek czeka,
A mnie odleciał Anioł, który stwarza;
I muszę przestać strofy, która ludzi
Łamaną sztuką bawi — a mnie nudzi.

PIEŚŃ XIII.

Kiedy panna Aniela wbiegła do Anielinek,
Wszystkie kwiatki ją młode owionęły zapachem,
Pszczółki zaczęły brzęczeć — źródła ją na spoczynek
Zapraszały i brzozy — a gołębie pod dachem
Turkać głośniéj zaczęły — z jéj przybycia radosne
. . . . . .

I zdawało się jakieś śpiewanie aniołowe
Nad chatą — może to brzóz rozczesane warkocze
Bijąc o ściany białe, lekko wschodem różowe,
Sprawowały te szmery bolesne i prorocze...
A chata świeciła się nakształt złotéj pochodni,
Właśnie jak gdyby zleciał jaki Anioł przedwschodni,

I stanął na zieleni. A daléj mgłami siny
Gaik, który otaczał szmaragdową lewadę;
A około gaika malwy i georginy,
Jakbyś gwiazd aniołowych zapaloną gromadę
Widział w cieniu — tęczami gaj opasywały,
Ptastwo dzwoniło w lutnie — i kaskady grały.

Panna Aniela widać, że listownie wezwana,
Biegła i otworzyła chatę swoję zamkniętą.
Ta była cała cicha, także wschodem rumiana,
A pachnąca rezedą wskróś obsianą i miętą,

I ściany z cedrowiny dyszały mocną wonią,
A cichość była taka, że słychać jak ronią

Za oknami Najady swe łzy, perła po perle,
I po skałach rzucają przeczyste dyamenty
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Beniowski stanął przed panną Anielą:
Lecz jak zmieniony — ach, w jakim żupanie!
Jak żebrak — łokcie podarte się bielą,
Guziki wiszą, bóty... Boże Panie,
Jak wieloryby, kiedy się ośmielą
Wyjrzéć nad morza błękitne otchłanie
I westchnąć — Taki... ach! czy moje usta
Wymówią? stanął nakształt drapichrusta.

Aniela zlękła się: bo nigdy w życiu
Nie wystawiała sobie bohatéra
Kochanka w takiém okropném rozbiciu
Majątku. A on, żałosny kostéra,
Stał przed nią... w strasznem bardzo nieutyciu —
Pół Don-Kichota, a pół króla Lira;
Bowiem zupełnie był bez przytomności,
Jak Lir; a skórę miał tylko i kości,

Jak Don-Kichote. O! jeśli myślicie
Z Heglem, że czysta idea na świecie
Zjawiona, wszędy w swoim innobycie
Żyje: to w całym Ladawy powiecie
Nigdzie w smutniejszym ona wołokicie,
Nigdzie na gorszéj nie była dyjecie,
Jak w tym człowieku, ta idea czysta,
Z którą on cały wyglądał — jak glista.

I może nawet skutkiem téj idei
Czystéj wychudł tak nieszczęsny nieborak,
Jako poeta, który wiersze klei,
A nie jest ani sekciarz ani dworak.
A może też był w krainach nadziei,
Gdzie go zaniosła chuda klacz Elborak,
Mahometanka, którą dla igraszki
Borejko Litwin wprzągł do kałamaszki,

Spotkawszy ją gdzieś koło Bałty? — nie wiem...
Ale to tylko wiem, że pan Beniowski,
Nie goniąc wcale pod żadnym modrzewiem
Za Świtezianką, miał bótów podnoski
Podarte, albo spalone żarzewiem,
Jako u Danta, gdy ten śpiewak boski,
Emigrant jak ja, wpadł między straszydła,
Co z kości miały pierś, a z ognia skrzydła.

Beniowski w krótkiéj nadzwyczaj włóczędze
Poznał tajemnych rzeczy bardzo wiele.
Mówią, że spotkał jak Makbet trzy jędze
Na pustym stepie; że w starym kościele
(Wszystko znalazłem w jednéj dawnéj księdze,
Którą na półkach mam oprawną w cielę)
Że w starym mówię kościele raz zasnął,
A w kościół lunął dészcz i piorun trzasnął

I bohatera mego jasne oczy,
Błękitne, wielkiém swojém płomieniskiem
Oćmił; ślepego chwycił duch proroczy
I zrobił widzeń złocistych igrzyskiem.
Khan Giraj chciał mu dać dziesiątek koczy
I zrobić wodzem nad tém koczowiskiem;
Ale odłożył to na czasy drugie,
Krótki w nim widząc wzrok, a myśli długie.

Borejsza Litwin potém go kaptował
Dla Radziwiła; lecz mój Węgro-Słowak
Proroczym duchem Litwina zgruntował
I odpowiedział ni tak ani owak.
Litwin jak ślimak zaraz rogi schował
I tak za ....*) Coopera Pothowak
Utonął w gęste traw stepowych wniki
I ponurtował w swój las — w mateczniki.

Lecz piérwéj ostrzegł Khana, a prywatnie,
Po przyjacielsku, usta w samo ucho
Włożywszy: że się Beniowski w ostatnie
Zgrał i przed sądów ludzkich zawieruchą
Uciekł: dlatego na strzały harmatnie
Szedł tak odważnie i z taką otuchą,
Jak Achil: bo też z pod prawa wyjęty,
Nie mógł być ranny nigdzie, tylko w pięty.

Dodał, że to jest duch francuski, z duchów
W Polsce najgorzéj uważany... nawet
Wyklęty; że jest takich wiele zuchów,
Więcéj niż harmat w Nieświeżu bez lawet,
Więcéj niż w Khana wojsku jest kożuchów,
Więcéj niż w kłótni gorzkich słów wet za wet
(Przedrabowawszy wprzód Lindego słownik)
Tygodnikowi oddał Orędownik.

Dodał, że każdy taki duch francuski
Jest pod klątwami wielkiemi kościoła;
Że jeden się udławił, jedząc kluski,
A inni, chociaż wesołego czoła,
Schną wewnątrz, jakby je kwas palił pruski
Albo Cyrcejskie zaraziły zioła
Świniną. — Nie mógł dociąć niczém lepszem,
Bo Khan Beniowskim wnet zbrzydził, jak wieprzem.

*) Słowa tego nie można było odczytać w rękopismie.

I gdy mój rycerz po spaleniu Bałty,
Na co Khan patrzał z wieży, klaszcząc w dłonie,
Myślał i roił — (o jak piękne kształty
Imaginacya ma, kiedy rozpłonie
I rozumowi zadająca gwałty
Gmachy buduje na tęczy ogonie!)
Gdy rycerz, mówię, mój już roi bosko
Z Tatarów — legią niby jakąś włoską

Po jasnych polskich polach latającą,
Dębowych ciemnych lasów oboźnicę,
Chmurę, w której się blaski mieczów mącą,
Tak że ją bierze chłop za błyskawicę,
A w nocy widząc, za chmurę idącą,
Co wszystkie niebios zabrała księżyce,
Zwinęła w jeden kłąb i mgławo płonie,
Miesiące w srebrne zamieniając konie...

Gdy marzył, mówię, że taką wiatrówkę
Z szarych złodziei i cichą harmatę
Będzie miał wkrótce na komenderówkę,
Gdzie zechce, całą narazi na stratę,
Zgubi w stepowym tańcu jak podkówkę,
Razem z nią legie burłaków brodate
Zgubiwszy, tak że (przechodzi mnie mrowie)
Ruski historyk o niéj... nic nie powie!

Gdy marzył, mówię, tak i rósł w niebiosa
Nadzieją przyszłéj sławy: — aniołowie
Ugwiażdżonego nad nim stali włosa
I owéj myślą stawianéj budowie
Runąć kazali, strzeliwszy z ukosa
Słońcem po kolumn fantastycznych głowie,
Tak że z rubinów wzięły blask niezwykły
I szmaragdami stały się — nim znikły.

Spyta mię teraz kto: czyliż nie lepiéj,
Aby ci zacni aniołowie bozi
Pomogli byli ręce, która szczepi
Strach i śmierć — szabli, która wroga mrozi
I często krzyżem płomiennym oślepi
Zrobiwszy z siebie krzyż i wiatr?.. ambrozii
Gdyby nalali byli w życia czarę,
Nim usta stracą smak i w ten smak wiarę?

Czyliż nie lepiéj, aby w trochę ciała
Oblekli byli marzenia młodości?...
O Trojo! jeszczebyś aż dotąd stała
Pełna cnót dziwnych starych, i miłości...
Jak dawny kościoł cedrowy — spróchniała,
Gdzie jednak boża woń aż dotąd gości,
A często belka stara w oczach ludu
Rozkwitnie różą lub narcysem cudu.

Bo i z tych starych łbów szablą naciętych
Mogłaby jeszcze wykwitnąć myśl duża.
Piękniéj niż dzisiaj; bo jak z ducha świętych,
Większyby wyszedł kwiat, pełniejsza róża!
I na turkusie skrzydeł rozciągniętych
Mogliby swój duch za anioła stróża
Postawić światu, gdybyś ty był, Panie,
Aniołom twoim kazał mieć staranie

O tych dzieciątkach starych! A to oni
Nie pożegnawszy nas nawet, i woli
Nie zostawiwszy względem staréj broni
I względem swojéj puścizny i roli,
Odeszli... Ucho jeszcze nasze dzwoni
Brzękiem ich szabel, serce jeszcze boli
Bolem ich serca; lecz pełna zamętu
Myśl, bo odeszli nas — bez testamentu.

Któż słyszał jakie tajemnicze słowo,
Na którém stanąć mogliby synowie?
Wszystko śpi głucho pod deską grobową!
Kto co od trumien zasłyszał — niech powie,
A odbudujem całą Polskę nową
Na tém jedyném, tajemniczém słowie!...
Na tę myśl anioł się we mnie uśmiecha
A razem pełny łez... Cóż? nigdzie echa?

Nigdzie!! Tylko ten rym tętniący bieży,
Jakoby w rzymskiéj ruinie kaskada,
Co skrzy i błyska i dymi i śnieży,
I płacze i grzmi i jęczy i gada —
I swój nimfowy włos tęczami jeży,
A spodem głazy powoli wyjada
I tak przy słońcu i tak w blask miesiąca,
Jak Chrystus... ciągle w sobie pracująca.

Więc pod tym grzmotem, pod tymi kolory
Jest dziwna, smętna praca; bo to nie to,
Że różne z myśli leją się upiory,
Że z pełną jestem wymyśleń kaletą;
Ale wierzajcie... żem rymu podpory
Podłożył sercem — i to moje veto
Przeciw fałszowi, kiedy duch mój rzuca,
To więcéj mnie to kosztuje — niż płuca...

Otóż Beniowski mój powrócił z wschodu,
Właśnie jak veto żywe, lecz obdarte
I biedne; doznał piérwszego zawodu,
Przewrócił tego świata piérwszą kartę
I przyszedł jako nędzarz do ogrodu
Pokazać serce, które więcéj warte,
Niż to, co za nie dawali na świecie
Ci, co kupują serca na tandecie.

Mroczny, wstydliwy, z pochyloną głową,
Po przywitaniach pierwszych rzekł: — hrabianko!
Przyszedłem wrócić tobie twoje słowo,
Oddać pierścionek; żadną odtąd wzmianką
Nie będę trudził twych myśli — grobową
Ziemią zasypię oczy... Podolanko,
O! Podolanko piękna, bądź mi zdrowa!
Daruj, że w takim stroju, takie słowa...

Tu zaczął jąkać się, bo kawalerstwo
Żywe lękało się w nim jakiéj wzgardy;
Daruj, rzekł, dawne z twém sercem braterstwo,
Dawne twe łaski — a teraz los twardy
I moje, patrzaj, żebrackie żołnierstwo
I różne życia mojego hazardy,
Szczęście wczorajsze i ta, co mnie pędza
Po czarnym świecie, ta dzisiejsza nędza,

Gdy porównane w twojéj myśli staną,
Może wycisną łzę, o moja pani!
Bądź mi na wieki teraz pożegnaną,
A nie idź za mną, bo ja do otchłani
Idę. — To mówiąc, twarz swą obłąkaną
Obracał wszędy, jakby go szatani
Ścigali, nawet nie dając pokoju
U stóp kochanki, przy brzęczącym zdroju,

W pasiece leśnéj. A do niego ona,
Z oczu zdziwionych czyniąc słoneczniki,
Bo słońcem była źrenica zatlona,
A rzęsy pełne pereł, jak promyki
Świeciły w koło; a głos z głębi łona
Wychodził cichy, lecz straszny i dziki —
Co? rzekła, po toś przybył i mnie z domu
Kazał dziś witać siebie pokryjomu,

Abym słyszała, ja, która tak wiszę
W powietrzu, jako ta smętna kaskada,
Abym słyszała to, co teraz słyszę,
Że skała, z której ja lecę — upada?
Ty, coś mi sercem Czarnego Zawiszę
Przypomniał — ty wódz tego ludzi stada,
Ty, przez tę szlachtę z wszystkiego odarty,
Sam drzesz ostatek szczęścia? Cóż ty warty?

Powiédz! Więc i ty na sercu kaleka?
Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje?
O trup ty! stójże odemnie zdaleka,
Bo ja się próchna i robaków boję.
Coż ja kochałam, kochając człowieka?
W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję
Jak nad przepaścią jaką — sama jedna
I opuszczona wiecznie — o ja biédna!

Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,
Że ty na prawdę żegnasz... Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świecą, zagasną,
A nie odmieni się sercom, co giną,
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła jak z miesiąca —
Siostra i matka razem — i służąca.

Musi być jakaś okropna przyczyna
Tego rozdziału, téj bolesnéj rany,
Którą mi dajesz w serce; bo ta sina,
Bo ta wychudła twarz i te łachmany,
Na które patrząc, strach mi głos ucina,
Są przecież ludzkie; a ty jak szatany
Zimny, choć oczy twoje łzą zabiegą,
Masz w skrzących oczach coś nieczłowieczego!

Powiédz mi, skąd ten blask i takiéj dumy
Rys na twém czole? Co? tyś przeciw Boga
Wstał... Co? nie prawda? Słyszę jakieś szumy
W tym lasku, skąd na step wychodzi droga...
Choćbyś ty wodzem był upiorów dżumy,
Choćby na twoich piersiach była sroga
Śmierć, jako piorun przychodząca boży
Głowie, co na twéj piersi się położy:

To kiedy patrzę na świata pustkowie,
Kiedy... a wszystko obejrzałam wzrokiem,
Czuję, że to jest jedyne wezgłowie
Ta pierś oblana moich łez potokiem...
Tu na kamieniu tym żałosną głowę
Pozwól położyć — reszta jest obłokiem,
Reszta jest niczém — ten świat, ziemia cała....
Jękła, przegięła się w pół — i omdlała.

Beniowski w trudnéj bardzo pozyturze
Stał, bo ją trzymał w pół upadającą.
I razem słyszał, jak się leśne róże
Ruszyły, uczuł i mróz i gorąco —
Usłyszał bowiem szelest, i na wzgórze
Podniósłszy oczy, spojrzał — na patrzącą
Parę schowaną w kaskadowym pyle
I w różach... ujrzał Dafnicką Sybillę

Z księciem Luborem! Wnet poszedł do głowy
Po rozum i choć zda się, nie wart grosza,
Żebrak — postąpił jak hetman niżowy,
Ludzi dobywszy sobie zaraz z kosza;
Wystrzelił, a na strzał pistoletowy
Zbiegła się jakaś okropna wołosza
Różnego stroju, barwy, różnéj broni,
Ludzie, od których człek uczciwy stroni.

Ci wszyscy, słuchać nauczeni giestu,
Poszli na wzgórze; i po krótkiéj chwili
Brzęku, bo książe bronił się — szelestu,
Bo się trzepała leksza od motyli
Pani Dafnicka: dawszy we czterdziestu
Radę i księciu i pani Sybilli,
Jako rycerskie pozwalały czasy,
Z parą swych jeńców żywych — poszli w lasy.

Za nimi poszedł Beniowski, a krzywa
Zda mi się, bardzo teraz jego ścieżka!
A przy Anieli sennéj niańka Diwa
Płakała. — Taka w tym kraju zamieszka
I taka była wówczas nieszczęśliwa
Krwią zamięszona różnych żądz lemieszka,
I taki rycerz mój, co po buzdygan
Idąc, zaczynać musiał, jako Cygan.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZÉJ

BENIOWSKIEGO.

Uwaga. Pomiędzy pieśnią poprzedzającą a następną (XIVtą) znaleźliśmy w rękopisie następujący ustęp — przekreślony potém przez autora. Dajemy go tu odmiennym drukiem.

CZĘŚĆ DRUGA

BENIOWSKIEGO.

ARGUMENT.

Zniknienie pani Sybilli z Ladawy
Szlachta tłómaczy sobie rozmaicie;
Tymczasem w zamku rosną wielkie wrzawy
Na Pułaskiego, że zamierza skrycie
Z Sardanapalem godzić się Warszawy.
Rycerz się broni, Boga na błękicie
Bierze za świadka . . . . . .
. . . . . .

ILIADA BARSKA.

Teraz mi pozwól, Boże, te Barszczany
Śpiewać, co bili się za imię Twoje!
Których ty bole widziałeś i rany
I wielkie bardzo, a rozpaczne boje.

Od kraju, gdzie lśnią rozlane limany,
Po kraj, gdzie kopią bursztynowe słoje,
Szeregi w sławie rozkochane, bratnie,
Nosiły złote chorągwie — ostatnie.

I na Podolu dotąd lud wspomina
Na białym koniu jednego człowieka,
Co razem jako upior i mgła sina
Jawił się oczom tęczowym zdaleka,
A teraz jaśniéj coraz bić zaczyna
W oczy zdziwione, jak od tarczy Greka
Homerycznego słońce krwią czerwone
Przez wieki naszym oczom odstrzelone.

Pozwól, o Panie! niechajże ja w sobie
Odczuję ludzi tych wielkich uczucie
I niechaj rymem maleńkim zarobię
Pomiędzy nimi mieć pośmiertne życie,
Jako kwiateczek, co jest ku ozdobie
Grobu, a niebo ma w liści błękicie,
A świat ku niemu cały jest miłośnie
Dlatego tylko, że przy grobie rośnie.

Niechże i moja maleńka usługa
Uprosi twoje niebieskie anioły,
Aby mi kwiatów u polskiego ługa
Branych, z gorzkiemi pomięszanych zioły,
Nie zabraniali; albowiem pieśń długa,
Gdy nigdy na ton nie trafi wesoły,
. . . . . .
. . . . . *)

---

*) Tu się kończy miejsce przekreślone w manuskrypcie.

PIEŚŃ XIV.*)

I.

W złotéj Ladawie dopiero wieczorem
Spostrzegła szlachta, że pani Sybilla
Z księciem, którego nazwano Luborem,
Zniknęła. Oknem patrzano co chwila,
Czy gdzie nie widać ich zajętych sporem
O wiersz Homera, Danta lub Delilla;
Ale nie, nigdzie o nich ani słychu...
Liście w ogrodzie szeptały po cichu.

Ale w tych szeptach, co się anielskimi
Wydają, kiedy brzoza z brzozą gada,
Żaden szept głośny dźwięki francuskimi
Nie szepnął. Więc żart powiedział nie lada
Kaźmierz Pułaski, że ucho do ziemi
Po wojskowemu przyłożyć wypada
I słuchać. Na to księżna rzekła sucho,
Aby przyłożył do księżyca ucho —

Bo pewnie na nim są. Więc Amfitryjon
Starosta bardzo przytoczył ciekawie
To, co o żonach rzekł filozof Bijon:
Że jeśli piękną weźmiesz, toś w obawie;

*) Z téj pieśni ocalało tylko kilka urywków.

A jeśli brzydką, toś unieszczęśliwion...
Dylemma, które w wielkiéj było sławie
Za Jezuitów, w filozofii klasach;
Bo myśl w niém chodzi tak, jak na zawiasach.

Jednak zaczęto się lękać, gdy stary
Zegar już dzwonił dwunastą godzinę,
A szlachta wina dolawszy do miary
Była w fantazyi... zdjąć pozłotowinę
Z księżyca, lub wsiąść zaraz na bajdary
I przez Dniepr płynąć albo też przez Dźwinę
Po szóstą świata część, któréj odkrycie
Przeczuła — łowiąc muchy po suficie.

I nie dziw: bo świat ich już był opalem
I tęczą, i gwiazd pełną i promieni,
Za którą złota stała Jeruzalem
Drzew szmaragdowych pełna i kamieni,
Z których jeden jest męczeńskim koralem
I ciągle od krwi polskiéj się czerwieni;
A bramy, co się przed polskiemi berły
Odemkną, z łzy są jednéj, z jednéj perły.

Takie się miasto z nich każdemu śniło,
A każdy widział podobnie, jak drugi.
Najbliżéj bram był szlachcic Poletyło,
Który pod stołem już leżał jak długi.
Od lotu, widać, nazwisko mu było.
I dotąd, widać, pradziada zasługi
Lotne działały w synie, że uderzał
Skrzydłami o strop — gdy pod stołem leżał.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

II.

„Podobnie owo oczu się zamknięcie
Zdarza Homerom... Więc bądźmyż my ślepi
Na to, co nasze wielkie przedsięwzięcie
Na przyszłość może tutaj nędzy szczepi;
Puściliśmy się już na tym okręcie,
A więc nikt nie mów, że byłoby lepiéj,
Gdybyśmy byli nie rzucali brzega.
Kto z nami umrzeć chce — ten nasz kolega.

Wszyscy my bracia!“ — Tutaj go powoli
Serce wynosić jęło z retoryki. —
„Wszyscy my bracia! to równo nas boli
Serce, i równe mamy pamiętniki
W duszach ojczystéj sławy i niedoli;
Król narzucony, obce rozbójniki
W kraju, francuskie duchy obok tronu,
My jedni, jakby wodze Askalonu

„Z krzyżem na naszych piersiach i sztandarach,
Z łachmanem niby ostatnim bławatu,
Na ukraińskich gołych wichrom jarach
Przeciwko wrogu... ba i przeciw światu.“—
Tc mówiąc, w takich był Potocki żarach,
Takiego dostał na policzkach kwiatu,
Jak Achil, kiedy mieczem chce ciąć głosy,
A duch Minerwa chwyta go za włosy.

Wtém jeden szlachcic krzyknął: O głos proszę!
Szlachta zwróciła nań oczy ciekawie;
A on z powagą wielką: —„Oto wnoszę,
Abyśmy Pana Podczaszego sławie

Wznieśli kolumnę.“ — Ja, co kwiaty koszę
W niezabudkowéj przeszłości murawie,
Musiałem i tę wspomnieć mowę walną
Szlachcica — co miał myśl monumentalną.

Wniosek ten jednak zniskąd nie poparty
Upadł, lecz pana Podczaszego zmięszał.
Obaczył, że to lwy są i lamparty,
Że ten, co go czci, jutro będzie wieszał;
W górę więc swój łeb trzymając zadarty
Rzekł:—Kolumnami Waść nie będziesz wskrzeszał
Ojczyzny ducha... Pierwéj trzeba było
Nad Sobieszczyków je wznosić mogiłą!

Toby Waść, w szkołach będąc małym żakiem,
Napoił się był téj kolumny wonią
I wiedział, jakim trzeba być Polakiem,
Aby kolumna ze złocistą skronią,
Z ogromnym białych posągów orszakiem
Szła na grobowiec, i nad czasu tonią
Nakształt świętego pozostała drzewa,
Co zda się oczy ma, a sercem śpiewa.

My ledwie warci... o jak serce boli,
Że może i to nam wzbronione, Chryste!
My ledwie warci, że pacierz sokoli
Będzie po krzyżach szedł w powietrze mgliste,
Że wróbel, który po śliwach swawoli,
Słysząc: a światło niech im wiekuiste
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

III.

„Ale w nas obu jakiś nieśmiertelny
Grzmot słychać, duszę jakąś doskonałą,
Która jak rycerz występuje dzielny,
Gdzie trzeba, i wnet ubiera się w ciało.
A że my straszni, to Bóg wie piekielny;
Bo zawsze na wspak stawia swoje działo
I wichrem strasznym obu nas rozdziela
I w oczy garścią nam piorunów strzela,

Gdy chcemy naprzód.“ — Rzekł; a w całym geście
Był taki straszny, że szlachta struchlała
Mówi:— Chorobę ma wielką... boleści
Rumatyczne mu nadłamały ciała;
O wiecznym jakimś mówił manifeście,
O włóczni — widać, że w boku została
Włócznia kozacka, którą pod Winnicą
Dostał w bok... Szepcą z wielką tajemnicą,

Ażeby żyda powiesić felczera,
Co nie namacał jéj, a rzekł że trzyma.
O! jakże trudno służyć za Homera
Szlachcie i ciągle za nią iść oczyma!
Pułaski na nich plany swe opiera;
Jemu już w oczach gdzieś karpacka zima
Srebrna, bez dachu i nawet bez płota,
Jednymi tylko sztandarami złota

I ukwiecona świeci się — a oni
O powieszeniu żyda radzą z boku!..
Rzekniesz o wiośnie — to zaraz Fawoni
Z trawkami igra nad brzegiem potoku;
Z téj legii, która po husarsku dzwoni
I w historycznym gdzieś dawnym obłoku
Podnosi miecze ogromne jak młoty
I rząd łabędzich skrzydeł zorzą złoty

Rozwija... z tego dawnego husarza,
Co za Krzyżakiem pędzi się śród błonia,
W kark dzidę swoję mu zabójczą wraża,
Hełm na hełm, konia mu wsadza na konia
I z trupem lecąc, szeregi przeraża,
Bo zda się, paszczę trupa w siebie wchłonia
I w strzał srebrzystych mogilnej zamieci
Do piekła jak coś skrzydlatego leci;

Zamiast straszydła tego, co na sztabę
Człowieczą wskoczył, zgniótł w skrzydłach i w rękach,
A potém rzucił ścierwo w kruki rabe
I daléj leciał, słyszany po jękach,
A potém w domu ściskał swoję babę
I o Chrystusa czerwonego mękach
Śpiewał żałosne godzinki... mam oto
Na Boga! salę mam ogromną złotą,

Wielką figurę, w szarym szarafanie,
W amarantowéj czapce aksamitnéj
Na szabli; i mam drugiego mospanie
Rycerza wielkiéj źrenicy błękitnéj,
I mam ogromną wojnę bożą w planie,
Podobną wojnie jakiéj starożytnéj,
I mam podolskich tyle wonnych kwiatów,
I mam ten miesiąc biały — hostyą światów.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

IV.

Czuje już szlachta, że nie o to chodzi,
Aby wypędzić króla i Moskali;
Tu duch powstaje, a pan Bóg dowodzi,
A zaś szaleństwa pełna druga szala...
Gdy mówił, drugi chwiał się nakształt łodzi,
Gdy przywiązaną ciągle chwyta fala;
Potém rozpłakał się i na kolana
Padłszy, rzekł: — Imię przenajświętsze Pana!

I omdlał; potém przyszedłszy do siebie,
Rzekł: — Więc ty wszystko wiesz, i tę decyzyą,
Która już teraz zatrzymana w niebie,
O któréj miałem taką straszną wizyą,
Żem stracił rozum . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

V.

A w grotach były światła zapalone,
Tak że się z każdéj lała jasność żywa
Wodzie, i słupy rzucała czerwone
Po stawie, co się wahał jak oliwa.
W jednéj z grot jako Walkirye szalone
Stały trzy wiedźmy, i staruszka Diwa
Natknąwszy szaréj do włosa szałwii,
Z wielkim pieniądzem na czerwonéj szyi.

Ta coś wróżyła — a szlachcice starzy
Siedząc przy dzbanach cynowych, słuchali;
Panna Aniela widząc tych husarzy,
Ten ogień, wiedźmy — a wszystko to w dali
Jeszcze straszniejszéj nabiérało twarzy—
W podskalnéj, drzewy ocienionéj sali
Zlękła się; dziéwczę drżącą wzięła ręką
I całą grotę obeszła z Helenką.

I tak obiedwie strwożone dziéweczki
Obiegłszy grotę, zbliżyły się do niéj
Przez inne kręte i ciemne ścieżeczki,
Brnąc po pas w różach, lilijach, lewkonii;
I pod most weszły bardzo małéj rzeczki,
I tam — w lilijach podobna Dziewonii
Hrabianka rzekła:— Tu nam doskonale,
Ale co daléj robić, nie wiém wcale.

Na to Helenka:—Ja tam panno droga,
Muszę pod sosną być, gdzie pan nadjedzie.
Wielka to bardzo dla mnie biednéj trwoga,
Bo może kogo on z sobą przywiedzie.
Wtenczas nie ujdzie ani jedna noga,
Będą strzelali... a ja tam na przedzie
W mojéj jaskrawéj zaścierce stojąca
Kulom jaśniejszą będę od miesiąca...

Ot serce mi tak przewidując puka,
Jakby mnie oni mieli trafić kulą.
Myśl we mnie dawnych smętnych piosnek szuka,
Które ja w chacie śpiewała z matulą.
Oj! jeśli mnie ta wróżba nie oszuka,
Każ mnie panienka śmiertelną koszulą
Okryć i grzebać ze świécami jasno,
Jakby ja była ptaszką twoją własną.

Każ mnie tam panno pogrzebać pod gajem,
Gdzie my chodziły często po czernice;
Bo już nie przyjdę więcéj z korowajem,
Nie ustrzygą mi włosów mołodyce...
Na to Aniela: —Więc tu nad ruczajem
Zostań, ja pójdę tam, zakrywszy lice;
A ty idź, powiédz, niech piastunka Diwa
Wcześnie z tą szlachtą ratować przybywa.

—Nie! tak nie można, rzekła tamta druga.
On pozna pannę po jedwabnym stroju;
Niech już ja na to odważę się, sługa,
W białéj koszuli, w malinowym zwoju.
Panienka nie wiesz, jaka męka długa,
Jakto nie można twarzy obmyć w zdroju,
Jakto wstyd długo rumieńcem maluje,
Gdy pan obejmie stan i pocałuje! —

—Dlaczegoż ty masz....? krzyknęła Aniela,
A potém rzekła: co? czy nie masz noża?
Ja ci przysięgam w imię Zbawiciela,
Że gdybym sama była śród rozdroża,
A była za mną przepaść i topiela
Pełna gdzieś na dnie ognistego morza,
Skoczyłabym w nią prędzéj, niżby kto mię —
Nie, nie — nie można żyć po takim sromie!

Nie idź tam, ja ci zakazuję, proszę,
Helenko moja, nie idź! — Na to ona:
Z konia nie zsiędzie to złote panoszę,
Szabli nie rzuci i szlachtę pokona.
Niech już ja, panno, mój wstyd sama noszę,
Złoto ja wzięła — ot mi z pokołona
Brzęczą pieniądze jego; ja bogata,
Złotem i wstydem wykupiła brata...

Na to Aniela: — W imię Pana Boga,
Ja mu to złoto czarne oddam sama!
Panie Branecki, wykrzyknęła sroga,
Otworzy ci się nasza dworska brama!
Przysięgam, wyjdziesz, i więcéj twa noga
Tu nie postanie! to twój ślad — to plama —
Helenko, razem pójdziem pod sosenkę...
To mówiąc, już szła i wlekła Helenkę.

Było maleńkie w Anielinkach wzgórze,
Gdzie jedna sosna między inne drzewka
Złocistsze, między kaliny i róże,
Weszła i stała, jak smutna Litewka...
Tam było miejsce pod drzewem nieduże,
Strumień i jego szemrająca śpiewka,
Dobrze obrane miejsce na dziewiczą
Schadzkę, z Egeryą jaką tajemniczą.

Gdy się zbliżyły, ujrzały z daleka
Dwóch konnych: było pan Branecki w burce
I przy sobie miał drugiego człowieka,
Z którym rozmawiał o starosty córce.
Ona słyszała, jak ją on wywleka
Z komnat dziewiczych; jak myśli, jaszczurce,
Pozwala łazić po niéj; jak ją plami,
Mówiąc o wdziękach brudnemi ustami.

—Co myślisz, mój ty Dzierzanowski? rzecze;
Czy w Indyach, twoje mustrując Cypaje,
Widziałeś jakie oko, co tak piecze
I tyle ognia pod spojrzeniem daje?
Jeśli tu z naszych kto szponów uciecze,
Król powie, żeśmy obydwa mazgaje,
Żeśmy tu poszli szukać tylko sińca,
A nie przywieźli żadnego gościńca. —

Na to pan Dzierzanowski, kłamca wielki,
Lecz człowiek tylko zepsuty w połowie:
—Ja trzymam tylko się każdéj butelki,
Bom w Indyach stracił tę rzecz, co się zowie
Miłością. Miałem harem i ród wszelki,
I przynieśli mi syrenę Bonzowie,
Co miała ogon rybi i dwie twarze,
A sam uczyłem ją grać na gitarze.

Otóż kiedy mię raz uśpiła śpiewem,
Śpiewając jako maleńkie słowiczki —
Było to pomnę pod korkowém drzewem,
A nauczyłem ją jednéj kantyczki —
Otóż widząc mnie, że śpię, w ręku lewem
Mając gitarę, a w prawém nożyczki...
Branecki przerwał:—Podcięła jak szczygła!
Czemuż języka tobie nie ustrzygła?

Ja ci o ważnych rzeczach, mój Dzierzasiu,
Gadam, a ty mi znów kłamiesz bezczelnie,
Jak tam się w jakimś kochałeś karasiu;
Gdy strzelasz, strzelajże przynajmniéj celnie...
Lecz co to widzę? tam na pozalasiu
Jakieś światełka. Cóż to mojéj Elnie,
Że nie przychodzi? Czy bierze z migdałów
Wannę?.. słyszałeś? co to? kilka strzałów!...

Zda się, że gdzieś tam we dworze strzelono.
Czy nie słyszałeś nic? Dali Bóg, bójka!
Ty jedź do zamku, a ja inną stroną.
Każ, niechaj w bryczce będzie moja trójka...
Patrz, patrz, patrz! brzozy po za nami płoną!
Dobrze, że drutem podszyta ta czujka!
Jedź! lepiéj, że dwie obierzemy drogi —
Strzelają — słyszysz mój Dzierzasiu? w nogi!

To rzekł, i rzucił się na bok w gęstwinę,
Gdzie mu gałęzie od drzew zawadzały.
Wtém... pannę spotkał i białą dziewczynę
I cofnął od nich konia, choć był śmiały.
Myślał, że duchy po księżycu sine
Na drodze jemu zachodzą od skały;
A one obie także, jak łabędzie
Śród brzóz czekały strwożone, co będzie.

Wreszcie Aniela, już strzelaniem bliskiém,
Bliskiemi także ośmielona groty
I władzą, którą ma nad duchem niskim
Duch wielkiéj bożéj miłości i cnoty,
Rzekła: — Z anioły ja jestem — a ty z kim,
Wodzu Moskali i podłéj hołoty?
Dlaczego na mnie za drzewami szczekasz,
A gdy ja stanę w oczy, to uciekasz?

Panie Branecki! słyszałam i sądzę
Tak, jak są warte, twe brudne obmowy.
Helenko, rzuć mu w oczy te pieniądze!
—Na to on, wcale nie straciwszy głowy:
Gdzież to hrabianka błądzi? — Ja nie błądzę,
Rzekła, lecz przyszłam ci mój próg domowy
Pokazać palcem, byś szedł precz z dziedzińca
Do twego króla pana, bez gościńca!

Branecki zaśmiał się: — Hrabianko moja,
Dali-Bóg, gdyby spokojniejszą chwilą,
Przylgnąłbym tutaj, jak pasterz u zdroja,
I pasł twe trzody. Teraz wdzięków tylą
Strwożony więcéj, niż napadem zbója,
Drżę. — Tutaj ujrzał, że się drzewa chylą,
Że wypadają ludzie... Porwał w rękę
Szablę, a w drugą porwawszy Helenkę,

Bo była bliżéj, posadził na siodle
Przed sobą, i z nią cofał się w gęstwiny;
Tak zasłoniwszy się od strzałów podle,
I mając puklerz z krzyczącéj dziewczyny,
Jak rycerz, który ma na tarczy w godle
Pannę — w rumiane konia pchał kaliny;
Zawsze ku ludziom zwracając jéj łono,
Miał znikać w gęstych krzewach... wtém strzelono!

Kto strzelił, pewnie teraz tego dzieła
Żałuje! bo po strasznym głuchym strzale
Nie on... lecz ona na koniu krzyknęła,
I głos jęczący jéj odjęknął w skale...
Potém gąszcz wszystko liściem owinęła:
Rycerz, dziewczyna, koń w kwiatowe fale
I gęstwę wpadli, a księżyc za nimi
Bił w czarne drzewa mieczami srebrnymi.

Nie człowiek, zda się, lecz wielka jaszczurka
W powiewną falę mórz zielonych wpadła.
Wnet dziarska szlachta dała za nią nurka
I krzewy na bok rozdzielając kładła;
A gdy zniknęli — to starosty córka
W ciszy, na mszonym kamieniu usiadła
I przerywała czasem swe korónki
Nabożne, głośno wołając piastunki.

Wtém wyszła z gęstwin tych zabójczych Diwa,
Niosąc na ręku Helenkę bez ducha,
W drugiéj garść wielką smolnego łuczywa,
Z któréj dym czarny i ogień wybucha...
Aniela wstała: — Co? czy jeszcze żywa?
O! niech mię Pan Bóg na niebie wysłucha!
Niech ona żyje! — i dotknęła ręką
Leżącéj u nóg — Helenko! Helenko!

Helenko! woła, budząc ją — nie wstała
Dziewczyna na to serdeczne wołanie.
Więc panna widząc, że dziéweczka spała
I tak anielskie miała ciche spanie,
Ust przybliżyła i pocałowała;
I rzekła potém cicho: — Chryste Panie,
Jakże ją do mnie ta śmierć przybliżyła!
Zda mi się, że to moja siostra miła...

A Diwa: — Tobie ta śmierć przeznaczona
Była! taj dobrze, że ją wzięła sługa.
Od rana ja dziś chodzę, jak szalona,
Taj Siekierycha w chacie jest, i druga;
Izba jałowcem stoi wykadzona,
Mój mąż do trumny deski, kołki struga,
Pogrzeb gotowy od ranku białego,
A Bóg, co dał sen, dał i umarłego...

Idy do zamku, panienko! tam stary
Nie wie, co robić, i pieniędzmi dzwoni...
Oj! miałaby ty w zamku srebrne mary,
Gdyby nie ten duch biały, co cię broni.
Idy panienko, a tu jak świt szary,
Przyjdź mając kwiaty zaszeptane w dłoni
I przynieś jaką tam starą sukienkę,
Co tobie krótka, zda się na Helenkę.

Rzekła; i wzięła znów z jasnéj murawy
Ciało, które się łamało na dwoje.
A panna poszła do dworu Ladawy
I zaraz weszła na wielkie pokoje.
Ojciec jéj siedział śród ciemnéj kurzawy
I zaraz do niéj: — Miłe dziecko moje,
Prezentuję ci bohatery młode —
Ci, którzy tu nam wracają swobodę...

Oto jest sławny już dawno z imienia
Pan Kosakowski — podobno żeś rodem
Z Litwy?—to wcale, wierz mi, nie odmienia
Mojego serca; przyjmę ciebie miodem
Litewskim. Dojdziesz pewnie do znaczenia,
Świecąc jak słońce Litwie takim wschodem!
Dusza Waćpana moję duszę zgadła. —
Córko! każ zmienić w izbach prześcieradła.

(Dalszego ciągu nie ma.)

DODATKOWE LUŹNE URYWKI

NIEWIADOMO DO KTÓRÉJ PIEŚNI NALEŻNE.

I.

Tymczasem anioł przyszedł cały złoty
Do księdza Marka celi, i rzekł: — Księże!
Zaprzestań twojéj z Lachami roboty,
Bo ich myśl myśli boskiéj nie dosięże.
Są małe duchy, do ziemskiéj roboty
Wskazane, które pierwéj były węże
I wiele jadu przetrawiły w sobie,
A teraz dają go na kraju grobie.

Więc weź twój kostur i szukaj, a prawie
Obaczysz, kto jest z nich silniejszy w duchu:
Nie ci, co chodzą jak tęczowe pawie,
Pas odsłaniając dumy w każdym ruchu;
Ale ci, którzy w żebraków postawie
Imieniem swojém nie trącili słuchu
I są jak dzieci, zasłużeni wielce
Myślami Pannie boskiéj rodzicielce.

Tych dostań, i tych, którzy pokutują
Za dawne grzechy, a są teraz w ciele,
Których tu imię obmowami trują —
Takich po wioskach znajdziesz bardzo wiele.
Niech tylko w sobie Ojczyznę poczują:
Ze wszystkich onych będą zbawiciele.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

II.

I powrócił do swego klasztoru
I obejrzał się na cichą celę,
I padł w prochu i położył w popiele
Głowę siwą... I wracali z nieszporu
Bracia jego, i znaleźli płaczącym,
I zdziwili się — bo ksiądz był rubacha.
I usłyszawszy przeor: wyrazem hańbiącym
Nazwał go, i włóczęgą; lecz w głębi miał stracha.
Bo czuł moc ducha w Marku — lecz chciał dla przykładu
Ukarać go za długą włóczęgę po świecie.

Przed nim stała beczułka mała winogradu,
Co w bursztynowym grysie i w zimie i w lecie
Leży mumią z rubinów i szmaragdów, pojąc
Usta księdza przeora, jak pierś Afrodyty.
I stolik był damaszkiem złocistym nakryty,
I stał kielich; i tęcze w kielichu się rojąc
Bawiły oczy księdza przeora, a sroczka
Wisiała w złotéj klatce nad uchem — i świéce
Całe w girlandy niby kręcone ze stoczka
(Jak archanielskie miecze, gdzie trzy błyskawice
Idą w górę i razem skręcone się palą)
Paliły się w téj celi. — Więc gdy okoralą
Lica swe jarzębiny, to nie są tak jasne,
Jak usta tego księdza przeora; a własne
Miał na policzkach róże, pod włosem śnieżystym.

Kazał przywołać Marka — i rzekł uroczystym
Głosem: — Filius dilectus! a skąd to powraca
Wasza święta cudowność? gdzieś był Reverende?
Na mnie się wali klasztor, i zarząd i praca —
Aedifica, conserva, sustenta et mende —

Wszystko przeor! a wy się braciszki włóczycie?
Trzeba rękę wyciągać i za łeb was łapać!..

Tu ksiądz — pomimo wielkie nadzwyczaj utycie —
Wyciągnął jednę rękę i zaczął tak sapać,
Jakby chciał gestem zaraz na Marku wykonać
Urząd ojca ptasznika. Lecz ksiądz był aż w progu...
Więc dłoń spadła na kielich. I znów rzekł:—O! słona ć
Jest każda altitudo! Kupiłem na rogu
Kamienicę i proces z kahałem, a za nic
Kupiłem kamienicę... Tu znów zasapany,
Jak mocarz, który popchnie królestwa i granic,
Czekał, co powie Marek, winograd rumiany
Jedząc ziarnko po ziarnku, a oczy przymrużył...
I znów rzekł:—Teraz byś mi, mój synu, usłużył
Miraculo in lite z żydami; bo święte
Wojny z nimi zacząłem diabolo suadente,
Który mnie na to popchnął...

Tu Marek aż jęknął
I rzekł: — Ojcze przeorze! — to mówiąc uklęknął
I całował go w ręce i ściskał kolana —
Ojcze przeorze... teraz ojczyzna kochana
Serce moje zabrała; i z tego rubachy,
Któregoś ty znał ojcze, apostoł dziś boży,
A na śmierć przeznaczony, jak owca śnieżysta,
Na której pasterz kredą czerwoną położy
Krzyż śmiertelny. — Więc nędza mię dzisiaj ojczysta
Na to wiedzie, że krzyż ten przyjąłem, i krzyże
Piszę na sercach ludzi... A często je zliże
Matka u owcy białéj, gdy dziecko całuje,
I nie wie, że zlizawszy od śmierci uwalnia;
Ale mój krzyż jest wieczny, i nikt nie ratuje
Moich biednych rycerzy... I zacznie się szczwalnia

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

III.

„Lecz późno! czego ja czekam i stoję?
Jedź pan, zobaczę jak przepłyniesz fale.“
—Maurycy westchnął i rzekł: — Oczy twoje
Zrobiły mnie tu posągiem na skale,
Dziecino moja piękna: bo się boję,
Że ciebie wezmą gdzie w stepach Moskale.
Oczy twe patrzą na mnie jak bławatki:
Chcesz, odprowadzę'ć do ojca i matki.

—Skinęła głową, spuściła źrenice,
A potém na Boh pokazała dłonią.
Potém wiatr uniósł ją jak tanecznicę
Na skały, co nad Bohu stały tonią.
Potém wrzasnęła: i dwie gołębice,
Jak dwa anioły, niespokojne o nią
W błękitném niebie zjawiły się, padły
I na ramionach odkrytych usiadły.

Tak, białe ptaki niosąc na ramieniu,
Przelatywała ze skały na skałę,
Czasami w słońcu, czasem cała w cieniu.
A kiedy nóżki ją uniosły białe,
Nad wodą rycerz został w zamyśleniu
I serce w sobie wtenczas uczuł małe.
Zdjęła go czułość wielka — pół niebieska,
Jak Danta, gdy go porzuca Franczeska.

Widział, że go ta porzuciła ładność,
A świat zostawał przed nim z tęcz odkryty.
Daléj co? cała żywota szkaradność,
Realne życie, Gule i Afryty,
Ludzka obłuda, pół-uczucia żadność,
Bez wiary z czarnéj pochwy miecz dobyty,
Grób bez posągu, teraźniejsza biéda,
Która się za lat sto poezyą wyda.

O! ileż razy mamy takie czucie
Poetyczności przyszłéj! o jak cudna
Ta błyskawica, co nas w jednym rzucie
Przenosi za grób, ale jak obłudna!
Trzebaż, ażeby przeszło ciał zepsucie
I kości ziemia rozebrała brudna,
Aż z duszy, z życia i z wypadków ciągu
Uderzy białe światło, jak z posągu?

W tym wietrze rannym, co we włosy wieje,
W tém słońcu złotém, co ci oczy razi,
W téj wodzie Bohu, co się wiecznie leje,
W tém niebie, które żaden dym nie kazi,
W téj róży polnéj, co się na świat śmieje,
Jest ziarno nudy, co się przeobrazi
W ziarno tęsknoty, gdy myśl zwiędnie młoda
Jak róża, i upłynie — jak ta woda.

Myśl się w ten błękit nieskończony wgryza,
W tę ozłoconą ziemię się zacieka,
Jakby w niéj spała uczuć Heloiza,
Która na trupa kochanego czeka
Na łożu z jasnéj róży i narcyza...
We śnie, gdy z trumny jéj podniosą wieka,
Otworzy ręce ta grobu odźwierna
Spokojna, chłodna, zmarła — ale wierna.

Któż nie ma w ziemi miejsca w jakiéj trumnie?
Chyba przeklęty, lub nadto wysoki,
Podobny smutnéj na polu kolumnie,
Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
Chociaż jéj siostry upadły w potoki
Cefizu, i tam leżą w modréj fali...
Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,
Że mam łez pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć, tak straszno było...

Lecz to już przeszło; widma poznikały.
Do ciebie, matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
Z obłędnych krajów położyć się wrócę
U twoich biédnych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łzy próżnéj. Obojętnie zrzucę
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,
Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;
Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
Jak człowiek, który myśląc oczy mruży, —
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,
Który nieszczęścia bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twemi żywy,
Jak Chrystusowe w ogrójcu oliwy.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski
Gwiazdom podobne i cień w puszczach Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnéj laski
Rył imię twoje; tam, gdzie same głazy,
I słychać tylko fal libijskich wrzaski
Eschylowskimi budzone wyrazy,
Echa słyszały twoje święte imię
I słyszał je on laurów las, co drzymie.

I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdém miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła —
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi
Słyszałem: anioł życia zadrżał we mnie!
Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
Pokazywali świecącą przyjemnie
W gwiazdach, tam gdzie był żłobek Chrystusowi,
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból swój stłumić pozdrowieniem: Ave!

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biédnych stóp pocałowanie,
Bo łez nie słyszał . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

KRÓL-DUCH.

CIĄG DALSZY.

A wtenczas stanął w ognistéj koronie
Ducha nowego śpiewak między nami:
W szacie był prostéj, na twarzy — w zasłonie,
Którą przenikał na wskróś oczu skrami:
Każdy z nas w głosu jego głuchym dzwonie
Ojczyznę śpiącą gdzieś pod mogiłami,
Odzywającą się z wiekowéj ciszy
Słyszał — lub sądził wyraźnie, że słyszy...

Polsko! Ofiaruję Ci rapsody dalsze Króla-Ducha. Piérwszy leciał szybko, jak wiatr błyskawicy — te się wleką jak wół, pracowitym krokiem, ciężko i poważnie... Znajdziesz w nich tajemnicę początku i końca — alfę i omegę świata, a zatém i Ojczyzny. Znajdziesz tajemnicę ziarna — wpływu Ducha Świętego — cudów Izraelową rózgą Mojżesza przez Duchy sprawowanych — nareszcie walkę sił pogańskich, duchowych, elementarnych, z Oświeciciela potęgą. Wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało dotąd poecie pod trwogą Boga zostającemu. Trudu doznasz czytając niniejsze poema, a walkę będziesz musiał odbyć, duchu czytelnika, z duchem poety... Jeśliś leniwy, dzieło odrzucisz; wszakże zostaniesz pod zaklęciem prawdy, która ci w drodze wiedzy daléj iść nie pozwoli.

RAPSOD DRUGI.

I.

A teraz tobie cuda niesłychane
Opowiem, moja piękna Przenajświętsza.
Bez ciebie nigdy sam nie zmartwychwstanę
W ten świat, który się podług blasków spiętrza.
Ty, przez jutrzenki widziana różane,
W miesiąców złote utopiona wnętrza,
Ciągle mię wznosisz do się, różo złota,
Zawsze widziana w przededniach żywota.

II.

Krwawe były mgły, które ducha gniotły,
Kiedy wychodził z bolesnego ciała,
Które ból strzaskał, a węże oplotły,
Gdy ducha — gwiazda jasna wywołała.
W mgłach długie złote komeciane miotły
Czyniły szelest — a bezdenność grzmiała...
Duch w państwo ducha niewidzialne wchodził,
Jak gdyby ocknął się — i znów się rodził...

III.

Jeśliś uciekał przed czarnymi snami,
A wiesz, że strach się taki wielki stanie

I przed takimi zatrzyma progami,
Że już ty ciało budzisz krzycząc: Panie!
Wiédz, że bez ciała duch, który się splami,
Na tym się progu ujrzy niespodzianie,
Którego nie mógł przestąpić w ułudzie,
I stamtąd w ciemny ten strach daléj pójdzie!

IV.

Ani jesienna mgła, chmurą jaskółek *)
Mętna, cielesnym oczom wyobrazi
Ów straszny, wielki ducha bezprzytułek,
Bezdno, które duch krwawy sobą kazi...
Ani tę chwilę, gdy do harfy pszczółek
Złotych podobna myśl brzękiem cię razi
I odlatuje we mgły nakształt tęczy
I gdzieś daleko jeszcze brzmi i brzęczy;

V.

Ani tę chwilę pojmiesz, odbieżany
Teraz przez cały świat, chwilę rozpaczy,
Gdy serce jak już zegar zatrzymany,
A ból godzinę zawsze jednę znaczy...
Serdeczne ci się otwierają rany,
A myśli anioł już nic nie tłómaczy;
Z świata cię żadne nie dochodzą wieści,
Wszystko ucichło w duchu — prócz boleści...

---

*) Zamiast téj strofy znajduje się w manuskrypcie dopisana na brzegu karty taka waryanta:

„W czerwonych niby mgłach i wśród jaskółek
Urągających ujrzał się jak mara
Rzucona w bezdno — w próżnię — w bezprzytułek
Rosnący jako mgła i dym i para;
Myśl, jako promień pełny złotych pszczółek
Brzęczała, i tak jak gałązka stara,
Strącona z drzewa swojego, uciekła
I poleciała dzwoniąca do piekła.“

VI.

Jednak jakieś sny o losach ojczyzny
Wstawały dziwne... jak wianek upiorów,
Podobne do tęcz, które ze zgnilizny
Wodnéj — pokażą się marą kolorów.
W najniższych sferach zgniłemi bielizny
Okryte duchy, nakształt gladyatorów,
Rznęły się ciągle i gryzły, jak kruki...
Szedłem — pocięty być przez nich na sztuki.

VII.

Lecz próżno bito mnie i mieczem cięto
I gorzéj jeszcze mieczami chłostano!
Czułem, że serca ze mnie nie wyjęto,
A serce było tylko jedną raną;
Więc zostawiłem to upiorne święto,
Gdzie duchy bito, a nie zarzynano,
Na te upiory wszystkie krzycząc srogo,
Że tylko sieką, a zabić — nie mogą!

VIII.

Potém poznałem, że mi to od świata
Boleść i mieczów cięcie przychodziło:
Kraj, zarażony przezemnie i kata,
Toczył się daléj straszną krwawą bryłą,
Jak trup, na którym okrwawiona szmata,
A on się toczy swoją własną siłą
I ściga we śnie czerwonym człowieka —
Spojrzysz na niego: łaje — i ucieka.

IX.

I wytężyłem przeciwko strachowi
Oczy — i zaraz on wyznał przedemną,
Że to są duchy przeciw Świtynowi
Niosące moję myśl — chorągiew ciemną...
Dwunastu katów, jak ja... ludzie nowi,
Z moją postacią, lecz z duszą nikczemną,
Wzięli to ze mnie, co każdy morderca:
Trup porzucony uczynków — bez serca...

X.

Wtenczas tę walkę we mnie Bóg wnaturzył;
We mnie krzyk, we mnie blask i mieczów rznięcie,
We mnie się obłok zakrwawiony kurzył,
We mnie szło z pola trupów ducha wzięcie...
A jam zacierpiał jak szatan — i stchórzył,
W iskrze duchowéj niby w dyjamencie
Mając boleści różnych tajemnice,
Kolory, krzyki, jęki, błyskawice.

XI.

O téj krainie żaden duch nie gada,
A nawet onych mąk pamięć utraca;
Bo pamięć taka, choćby jaka blada,
Niweczy ciało gorzéj, niźli praca,
Niż nędza, która wnętrzności wyjada,
Niż przyjaźń, która zdradą się odpłaca...
Dla mnie — zniknęło męczarni oblicze!
I od świtania w niéj... znów czasy liczę.

XII.

Cały się stałem ojczyzną... i cały
Stałem się prochem i cały rozpaczą!
Fraszka te węże, co w piekle kąsały
Dawne anioły. Niech ludzie zobaczą
To ziarno męki i ten proszek mały,
W którym się miasta palą — matki płaczą,
Dzieciątka swoje własne gryzą z głodu...
Niech pojmą ducha jęk — Słowo narodu!

XIII.

Na mojém sercu, jak na złotéj tarczy,
Sto dzid się łamie i sto mieczów kruszy
I sto utkwionych strzał boleśnie warczy
I sto aniołów upada bez duszy,
Myśląc, że serce za wszystko wystarczy,
Wszystko uzbroi sobą — wszystko wzruszy!
A ja co? anioł na dnie mgieł czerwonych,
Pan niewidzialnych duchów — brat szalonych...

XIV.

Niechże ta męka moja przedwiekowa
I to stchórzenie ducha — ludziom służy!
Już za tą chmurą jutrzenka się Słowa
Pokazywała — jak tęcza po burzy;
Już krwią nabrzmiały, jak mgła purpurowa,
Rosłem do nowéj walki i podróży:
Gdy Pani Słowa — gdzieś w gwiaździstym wichrze
Skryta — przysłała dwa duchy... najlichsze.

XV.

Gdzieś z ostatecznéj krainy zachwyceń
Przyszły te duchy i nauczyciele,
Bez słów i dźwięków i bez tych przesyceń,
Które duchowi są od nauk w ciele.
Ci — za pomocą różnych się oświeceń
I blasków — szybom podobni w kościele
Wymalowanym — z myśli tłómaczyli,
Jak kwiat, gdy zamknie się i znów rozchyli.

XVI.

Język z słonecznéj był miłości wzięty,
Nią złoty... gdy się zniżał, malowany —
Lecz cały wielki, otwarty, natchnięty
I nie mówiony, lecz z ducha błyskany.
Jak dziecko krzyczy „ach!“ na dyjamenty,
Tu ogień widząc złoty — tam rumiany,
Bo wszystkich złowić płomyków nie może:
Tak ja, słysząc twój język ducha, Boże,

XVII.

Ścisnąłem chmurę purpurową, chłodną,
A to ściśnięcie było znakiem słuchu;
Z całą dzikością moją pierworodną,
Pogańską — cały ścisnąłem się w duchu,
A taką siłę podłą i niegodną
Uczułem nagle w tych potęg łańcuchu,
Że byłbym zniknął, gdyby to na chwilę
Któréj z duchowych było wolno sile.

XVIII.

A oni do mnie przez różne błyśnięcia
Zaczęli — czuciem we mnie tłómaczeni:
—„Ty świat i berło duchów masz do wzięcia
I bramę ciała — do wyjścia z płomieni...
Przedurodzone więc stąd bierz pojęcia,
I kształty czynów bierz ze świata cieni;
Z nimi cię oto na świat posyłamy
Przez błysk miłości — i przez Trójcy bramy.

XIX.

„Wielką masz spełnić w twéj ojczyźnie sprawę
Z upokorzeniem twéj strasznéj natury:
Pamięci nie bierz... a twych myśli wrzawę
Uśmierzaj, a patrz jak anioł do góry!
Ofiaruj Bogu w myśli — Miecz i Sławę,
Ofiaruj miecza twego błysk ponury!
Nową żywota jutrznią się rozraduj,
I błyszcz — a dawnych kształtów nie naśladuj!

XX.

„Nic teraz jeszcze tobie nie powiemy
O wielkich celach żywota, ostatnich.
Sam szukaj! gdy się zmylisz, zapłaczemy...
Miéj serce, a nas rozradujesz bratnich.
My jedni świata cały zarys wiemy
I podług tkaczy — z pasm albo bławatnich
Albo ze złotych, nić w świata przędziwo
Wpuszczamy — tu kwiat czyniąc, a tam dziwo.

XXI.

„Lecz nikt nie może nieumiłowany
I tą miłością na dół nieściągnięty
Pójść... Nawet wielkie duchy i szatany —
I dla nich nawet świat formy zamknięty,
Dopóki anioł jaki krwią rumiany
I w myślach swoich nieczystych przeklęty
Nie ukocha je... i grzechu martwice
Nie zaklnie przez chęć-grzmot i błyskawice...

XXII.

„Idź więc... grzechy twe są ci odpuszczone!
Małoś tu cierpiał, boś był jeszcze mały
I tak jak dziecko czyniłeś szalone,
Biegnąc za mocy upiorem i chwały.
Błysk mieczów — te mgły — te światła czerwone —
Goniące widma — piorunowe strzały
Za dzieciątkami tylko w nocy gonią:
Biadać, gdy strachu twarz wielką odsłonią!“

XXIII.

Tu natężywszy mówiące płomienie,
Zaczęły gadać tak te cudowniki,
Że ja, równając nagle to natchnienie,
Pękałem się w grzmot, rozrzucałem w krzyki,
Mój środek ogniem był — blask i krzemienie
Członkami... cały rosnący w płomyki;
Gdyby mię ręce nie zgasiły ciemne,
Stanąłbym wielki, jak słońce podziemne...

XXIV.

Kto zimną wtenczas dłoń na mnie położył
I kto zagasił okropne świecidło?
Czy który z martwych, który na to ożył?
Czy jakie ducha lecącego skrzydło?
Czy te anioły, którem ja zatrwożył
Przez nagłe mych władz i sił malowidło?
Czy Bóg? — ja nie wiém! ale taka trwoga
Wielka nie mogła mi przyjść, jak od Boga.

XXV.

Znowu stchórzony, i sam — a już nisko,
Uczułem, że się w czémś zwiniętém plączę,
Że oczom moim ciemno — nogom ślisko,
A do ucieczki ciągną chęci rącze.
Wszedłem na jakieś straszne wężowisko,
Gdzie trupie resztki — druciane opończe
Nadeptał mój duch i przejął się trwogą,
Czując, że własne kości ruszył nogą.

XXVI.

Spłynąłem, jako czarna mgła — i w chmurze
Stojący — nagle słyszałem, że krzyczą
Woźniki wodne i ponocni stróże,
Którzy tę kępę trzymali słowiczą:
—„Upior się czarny pokazał w kapturze
I szedł przez śmierci wieżę tajemniczą,
Gdzie byli gwiazdą królowie zabici —
Oczy miał białe — w nich ognie, jak nici.“—

XXVII.

Wtenczas pojąłem kształt mego upiora,
I pełny strachu po lasach i karczach
Błądziłem; a kraj cały był w pomorach,
Bitwach i rzeziach, zboża niedostarczach.
Więc w dwunastu się pojawiłem dworach
I w dwunastu się pokazałem tarczach;
A twarz w najbledsze ubrała się chłody,
Na obudzone patrząc Wojewody.

XXVIII.

W jedném mię tylko błyśnięciu widzieli,
Lecz w tém błyśnięciu król-duch spojrzał na nie.
I wszyscy... wszyscy, jak ciemni anieli,
Szli na bój... Każdy chciał w drugiego ranie
Dostać korony. — „Trupaśmy widzieli,
Który za nami po królewsku stanie,
(Tak mówił każdy z nich do zaufanych
Dworzan, pod wstęgą chorągwi rumianych)

XXIX.

„Jeśli się zjawi w swéj ciemnéj osobie.“ *)
—Jak gdybym ja się chciał pomocą zmazać
I ducha mego znalezioną w grobie
Twarz — na ich tarczach miał znowu pokazać...
O! raczéj byłbym ja na strony obie —
Gdybym duchowi memu mógł rozkazać —
Siał strach z oblicza i z wężów korony,
We wszystkich razem tych tarczach zjawiony.

*) *Waryanta:* I obracali tarcze przeciw sobie.

XXX.

Ohydna walko zwierzęca! nad którą
Wyższą chorągwią byłem ja, duch dawny,
Jak łachman jaki skrwawiony, purpurą
Powiewający, łzami ludu sławny...
O! ty cudowna i cicha naturo,
Któraś pokryła ten kraj, krwią uprawny,
Płaszczem ogromnym z płynącego złota,
Po którym w duchu jest szmer i tęsknota!

XXXI.

O! uciszcie mi tę żałość, przemarłą
Wiekami, a dziś jeszcze w sercu żywą!
Był to bój, gdzie psy chwytały za gardło,
Konie latały z ukrwawioną grzywą,
Tysiące duchów po śmierci się żarło
Wychodząc z ciała duszą niegodziwą,
Wyrwaną z ciała szatańskim zachwytem
Z psa skowytaniem, szczekaniem i zgrzytem.

XXXII.

Tu Pomorzanie, Lutyki i Serby —
Tam czarne jak żuk, Jadźwingów narody;
Różne chorągwie i zwierzęce herby
Na złotych tarczach... Ogień, palacz wody,
Rzucany ręką... a przez ognia szczerby
Na wozach widne różne wojewody —
Na wielką pola krwawego rozwlekłość
Rzucali głosy z trąb, a w głosach wściekłość.

XXXIII.

Aż mię ta burza — na różne obozy
Tam rozdzielona — we mnie jak wichrzyca
Wzięła i duchem zapaliła zgrozy
I uczyniła piorunem bez lica:
Na dusz widmami obwieszone brzozy
Wpadałem, jak wiatr — żarł, jak błyskawica,
Zmuszał je, w piekło aby szli ogniści —
Z dusz okrwawionych obrywał, jak z liści.

XXXIV.

Z siebiem otrząsał, jak podłe robaki
Do moich wielkich skrzydeł uczepione;
Łamał błyszczące miecze — palił znaki.
Burzył krew — fale podnosił szalone:
W siebiem przemieniał, jak w upiora, krzaki
I pokazywał żywym rzeczy śnione;
Władze piekielne w tych duchach poruszył,
Wściekłość zamienił w przestrach, i zagłuszył.

XXXV.

Stanęli.— Z wielu trąb i z głosów wiela
Jedno wybiegło imię... Lecz na Boga!
Wolałbym znowu słyszeć, jako strzela
Na mój rodzinny domek działo wroga:
Niż zatrąbione to imię Popiela,
Któremu wtenczas posłużyła trwoga,
Przez mój rzucona duch i te zjawiska,
I pomógł próżny, dziwny brzęk — nazwiska!

XXXVI.

Obwoływali go księciem. A ja się
Ściągałem z pola, jako chmura czarna,
Która się parą bagnistą napasie
I zakręcone jak skry porwie ziarna,
I wszystko skręci — i w tęczowym pasie
Chodzi nad lasy ciemnymi — pożarna
W głębi i wielu piorunami wrąca,
Czekając na nów dżdżystego miesiąca. —

XXXVII.

Tak straszliwościom i zbrodniom — z wysoka
Byłem osłoną i groźbą zarazem,
I szerokością wielkiego obłoka
Ciężąc, i moim na chmurach obrazem.
Jednego tylko na dole proroka
Oczy utkwione we mnie, i przekazem
Mojego ducha tchnęło wielkie łono,
I twarz miał ogniem moim ozłoconą.

XXXVIII.

Dziś jeszcze widzę — jakby w tajemnicy
Najgłębszéj ducha mojego — tę chatę
Na szmaragdowych łąkach, przy Kruszwicy,
Zapraszającą bociany skrzydlate.
Kat wielki wężów, król téj okolicy,
Miał gniazdo, trawy srebrnemi brodate,
Dziwnie świecące, na wysokiéj tyce —
Koło, ubrane w komina iskrzyce.

XXXIX.

Nie szkodziły mu jednak ognie złote,
Lecz jako źródło, szły prosto do góry
I przebiwszy się przez dymu ciemnotę,
Czyniły różę ognistą z purpury.
Widziałem dziwną aniołów robotę
Około ptaka, ich tęczowe sznury,
Czyniące nieraz, że chata — kościołem,
Koło miesiącem było, ptak — aniołem.

XL.

A w chacie... głębsza jeszcze sprawa Pana,
Którą piastował — jak dziś jasno widzę —
Pełny pamięci anioł Zoryjana...
Tensam — na nowéj kwitnący łodydze...
W nim jeszcze dawna pieśń — niedośpiewana
I miłość ludu, razem z sobą w lidze
W mądrość się jednę wielką zamieniły,
W serdeczność wielką i w powagę siły.

XLI.

A coś, jak w dawnym wodzu Izraela:
Ludowe, z dziwną twarzą tajemnice —
Zaklęcia gadów — i dotknięciem ziela
Trzaskane czary, a czasem zbroice!
Ptaków ogromnych pogrzeby, wesela,
Jak nadpowietrzne girlandy różyce
Pozawieszane, aż się starzec zjawi,
Głos wyrozumie i pobłogosławi.

XLII.

Wszystkie te cuda — dziś pomiędzy ludem
Dawno już tylko w powieściach żyjące —
Były widzialną mocą, żywym cudem.
A o cud były tak niebiosa drżące,
Że gdyby serce zaszło jakim brudem,
Serce, które ma w sobie serc tysiące,
A brakiem wiary cudotworcę zlękło:
Nie byłby karał Bóg — serceby pękło!

XLIII.

Któż za skłamaną między ludźmi sławę
Odda prawdziwą moc ruszania światem
Przez bożą siłę i przez bożą sprawę?
Która tak rządzi nawet wonnym kwiatem,
Że narcysami łąki się ciekawe
Patrzą, gdy zorzy okryty szkarłatem,
Na białym koniu, aniołom na przedzie,
Prawdziwy świata Archanioł wyjedzie.

XLIV.

Zoryjan!... w samém już ducha nazwisku,
(Które tu było ludziom niewiadome)
Jak w dyjamentu różanego błysku,
Był świt przyszłości! a duchy łakome
Braterstwa — choć są w ciele, i w ucisku —
Łatwo jest z obcych przemienić w znajome,
Tymsamym głosem zawoławszy na nie,
Z którym przychodzą tu, na zmartwychwstanie.

XLV.

Pamiętam chwilę, gdy cudowni goście
Zaszli do świętéj chaty kołodzieja.
Jam stał — i cały smętny, na jasnoście
Patrzał... a wielka była gwiazd zawieja,
Wielkie czerwonych meteorów złoście,
Wielkie rozruchy swoje miała knieja,
Wielki niepokój ptaków na niebiosach —
Natura cała w westchnieniach i w głosach

XLVI.

Wołała: — „Boże, wiekuisty Panie!
Podnieś mię całą, podniosłszy człowieka!
Daj mi przez oddech wyższy oddychanie!
Daj krok, na który już czekam od wieka!“ —
Jam się przyłączył: i całe śpiewanie
Szło, jak harmonia słyszana z daleka,
Coraz mocniejsza, strunami złotemi
Niby drgające łono wnętrza ziemi.

XLVII.

Wtenczas ja, z moich zachwyceń dobyty,
Zacząłem składać moje wszystkie moce.
—„O Panie! który rozwidniasz błękity,
Czyń świat, a mnie tu niech piorun zdruzgoce!
Może ja stary i może zużyty,
Niegodzien struną być w harfie nieszporów,
Któreć śpiewane są przez trzodkę polną:
Tyś mię natężył — tobie zerwać wolno.“ *)

XLVIII.

I wyższy coraz nad chatę wieśniaka,
Nad lipy i nad mieszkanie bociana
I nad skry, które pod skrzydłami ptaka
Nie wytrąciły go z postaci dzbana
I urny — bo stał, i dziób nakształt haka
Trzymał na piersiach (postać zadumana,

*) Tę strofę poeta później w rękopisie przemazał, a napisał natomiast następującą:

Wtenczas ja, wzbity modlitwą nad miarę,
Zacząłem składać wszystkie moje moce:
Tu płomień, tam pieśń; tak straszną poczwarę
Rozbijał piorun, co wnętrze druzgoce.
Leciały z wiatrem moje moce stare,
Jak wysadzone minami pałace.
Duch, który wieki zamyślone stworzył,
Uczuł je w sobie — i ofiarę złożył.

Która się pieśnią nie mogła objawić!)
Zacząłem łzy lać z nim — i błogosławić.

XLIX.

—„Choćby już nigdy myśl zbrojami świetna
Nie powróciła na tę ziemię ze mną,
Znienawidzona za to, że szlachetna
Chce jasnéj broni, a gardzi nikczemną;
Choćby już tylko miodem prostym kwietna,
Z myślą — jak chłopek prostą, ale ciemną,
Ojczyzna ta wstać miała i w postawie
Chłopka się kłaniać Panu: błogosławię.

L.

„Równy chłopkowi małemu prostotą,
A niższy jeszcze aniołów pokorą,
Jak oni, skrzydeł wewnętrzną pozłotą
Nakrywam chatę, skąd miód ludzie biorą.
Gotów, jak gołąb, zostać nad ciemnotą,
Łonem świecący nad suchą ugorą,
Gdzie sobie trzody ciche śpią na trawie:
Ludziom i trzodkom cichym błogosławię.

LI.

„Tam — walka krwawa o ścierwo i jadło!
Tu cisza, pokój, błękitna pogoda
I w ogniu moim strzaskane widziadło:
Duch nieznajomy dawnego rapsoda...
Niechajże, Panie, i socha i radło
I niestrudzona myśl, bo jeszcze młoda,
A piękna, jak sen widziany na jawie,
Wstaną! niech wiecznie kwitną! — błogosławię.

LII.

„Niech będzie piękną, niech będzie wesołą —
Choćby już nigdy w niéj nie zaświeciło
Rycerza mgliste, ale piękne czoło
Między oczyma z piorunową siłą;

Choćby tak, jako to żórawie koło,
Które się skrami chaty oświeciło,
Kolumny drżące budowała sławie
Bez innych świateł, jak te: — błogosławię!

LIII.

„W mroku zostawiam ją; lecz pod aniołów
Skrzydłami, które w tęcze ją oprzędą.
Sam idę... i gdzieś, z rykiem smętnych wołów,
Gdzieś przy miesiącu z pastuszków kolendą
Wyglądać będę, aż ze złotych stołów,
Do których prosi Bóg, a chłopi siędą,
Przyniosą mi chléb wędrowne żórawie:
Ptakom i stołom ludu błogosławię!

LIV.

„Gwiazdom gwiżdżącym po łąkach — i kwiatom
I lasom, które w ciągłych płaczą szumach,
I pięknym wiosnom — i złocistym latom
I starcom, którzy pogrążeni w dumach,
Wesołym żeńcom — i dworom — i chatom
I ogniom, które dziś rodzą się w tłumach,
Bez czasu będąc, ale w bożéj sprawie:
Siódmy raz zdaję moc... i błogosławię!“ —

LV.

Tom rzekł; a na mnie Pan spojrzał litośnie,
Bo to uczułem, czego nie ma dusza:
Że mi ojczyzna cała w duchu rośnie
I rosnąć ducha mojego przymusza;
I zacierpiałem, ale tak radośnie,
Że sto lat uśmiech trwał, a w myślach głusza;
Jam tylko rosnął i ofiary składał,*)
A sto lat we mnie duch — uśmiechem gadał.

---

*) *Waryanta:* Ot Panie, mówić to ludziom daremnie,
Jak sto lat całe uśmiech jaśniał we mnie.

LVI.

Tak odebrane sobie mając oczy
Ojczyzną przed mym uśmiechem stojącą,
Ani widziałem, jako miód się toczy,
A te patoki brudzą się i mącą!...
Jak z pod anielskich tęczowych warkoczy
Ta chata, którą aż wieki roztrącą,
Bo jest za ciasną pomieścić wieczności,
Zwolna traciła swoje złote goście...

LVII.

Jam duch — już tylko w sobie — okiem porę,
W swoich jutrzenkach się czasami mącę,
A czasem w morzu jakieś perły biorę
Dziwne, zaklęte, ogromne miesiące
Podnoszę — rzucam o drzew twardą korę,
Myśląc, że nimfy wystraszę błyszczące,
Które o swojéj piękności nie wiedzą,
A w ciałach jako w starych drzewach siedzą...

LVIII.

I tak czekając, bez męki objawu,
Znów czułem męki okropne ogrójce;
Aż mię... schylone ku wielkiemu prawu
Dwa zawołały duchy — mieczobójce...
Wtenczas jam runął, jak grom w środek stawu;
I spłomieniwszy je, zamienił w Trójcę
I zniknął na dnie; kiedy duchów wrzawa
Wrzasła: Ofiarą twoją — Miecz i Sława!

RAPSOD TRZECI.

PIAST.

PIEŚŃ I.

I.*)

Żywot wam inny królewski opowiem
I podsłuchanie straszne mego ducha,
Gdy był pod dymem jeszcze i ołowiem,
A wichrzyła nim od gwiazd zawierucha.
Rzeczy przed-życia oświecone nowiem
Mówię dziś, żywy duch... a Bóg mię słucha,
Słucha niebieski mię Pan — i przebacza!
Innego nie mam nad sobą słuchacza.

II.

Bóg ojców, który mię raz na śpiewaniu
Śpiącego zastał i naszedł wieczorem
I cały na mnie rzucił się w błyskaniu
I mocy swojéj przeraził upiorem,

*) Począwszy od strofy I aż do XVIII wstawiam ustęp, od którego się poczyna rapsod ten wedle dawniejszego opracowania. *Przyp. Wyd.*

Bóg duch widzialny, który czuje w spaniu,
Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem,
Bóg swoją mocą ku mnie nachyloną*)
Napełnia pieśnią to maluczkie łono...

III.

Tensam, który z tęcz nad potopem błysnął,
Za Izraelem szedł w ognistéj chmurze,
W skale się ukrył i wodą wytrysnął,
Na górach stojąc zamienił się w burzę
I piorunami swymi lud przycisnął,
I błogosławi dotąd — prawdy stróże,
Tensam... napełnia mnie, naturę małą,
Chrystus, który był piorunem i skałą.

IV.

Pod jego wielką mocą trzymam pióro,
Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
Nieznane dotąd oceany porę;
Wiersza się nawet dawnego strukturą
Ubrałem Panu memu przez pokorę —
Tak od cielesnéj uwolniony troski
Cały się zdając na moc i duch boski.

V.

—Przestał — i niby w niebo podniesiony
Tracił się śpiewak w spokojnym zachwycie;
Potém uderzył w tak spokojne tony,
Jak gdyby inne uczuł w sobie życie.
Szeroki, święty jakiś obraz śniony
— Malował mu się na wietrznym błękicie;

*) Zamiast tych dwóch wierszy znajdują się w innym odpisie następujące:
Niech mi da głosy i kolory trwałe,
A weźmie z pieśni wieczną złotą chwałę!

Duchy wezwane westchnieniem boleści
Znosiły wonie — kolory — i wieści. *)

VI.

—„Wieki minęły krwawe — świat był nowy,
I źródło ducha trysnęło z kamienia;
Nadchodził wielki ów rok tysiącowy,
Który narody jak gwiazdy odmienia.
Dawniéj — Sezostrys, i Orfeuszowy
Dźwięk lutni nimfy wywodził z kamienia,
I usłyszano w Oceanid łonie
Wieść o chodzącym po morzu Jazonie.

VII.

Najwyższa w niebo rosła piramida,
Na nią zlatywał rumak Perseusza;
Świat cały w strachu — wieściach; Atlantyda
Herkulesowi z rąk pierzchła, jak dusza;
Nad całym wiekiem brzmi harfa Dawida,
A pod nią każdy duch swym ludem rusza.
Najwięksi globu zeszli się mocarze
I swe cielesne zobaczyli twarze.

VIII.

Potém — tysiąc lat po strasznym przymusie
Rola rodząca cudy odpoczywa;
Tylko wieść jakaś — jak sen — o Chrystusie
Świat omiesięcznia i wiarę zdobywa...
Tam na Danai zbłysło się lamusie;
Owdzie — pomiędzy łabędziami pływa
Duch boży; wieszczom roją się na ziemi
Dziewice śćmione deszczami złotemi...

*) Ta strofa dopisana późniéj, na marginesie.

IX.

Wieszczowi bowiem potrzeba tak mało...*)
Zbłyśnie się w duchu — on już słońce wita!
Jeszcze się stać ma — jemu już się stało!
Jeszcze cud w pączku — jemu już rozkwita!
Jemu już dawno Eneasza ciało
Wchodzi do niebios żywe — wiatr je chwyta,
Gwiazdy podnoszą wyżéj — słońce wchłania
Na wzór... Pańskiego z ciałem zmartwychwstania.

X.

Przysięgnie, że są — że na ziemi były
Niektóre święte bez krwi urodzenia,
Niektóre ciała wielkie — bez mogiły,
Niektóre przejścia ciał w słońcu — bez cienia...
A to glob tylko ruszał swoje siły,
W ciała ubierał swoje utęsknienia,
By wzbudzić wiarę, która świętym służy,
W pomoc cudownéj Jerychońskiéj róży.

XI.

O! Panno, któraś tę ziemi tęsknotę
Uspokoiła i rozczarowała,
Ścmiona przez ducha moc i światło złote
W płomieniach serca i w czystości ciała...
Oświeć tę nędzną rytmiarza robotę!
Niech tak w przeczuciach stanie doskonała,
Jak utęsknienie wieków niegdyś było
Za nieskalaniem i za bezmogiłą.

---

*) Wieszczowi bowiem potrzeba tak mało...
Błyśnie mu w oczach — on już słońce wita!
Jeszcze się stać ma — jemu już się stało!
Jeszcze cud w pączku — jemu już przekwita!
Jemu już dawno Eneasza ciało
I Romulusa trup na niebie świta
Ulatujący z etruskiego łanu,
Żywy — podobny Chrystusowi Panu.

Waryanta.

XII.

Rok tysiącowy więc po twoim cudzie
Nadchodził... Duchy przeczuć rozgadały
O wielkim, nowym, na północy ludzie,
Aniele chwały...
Świat cały nowy we snach i ułudzie,
I wojsk duchowych tęczowe kawały
Z brzękiem łabędzich girland — w szarych mrokach
Biły się o świat nowy — na obłokach.

XIII.

Przepowiadano... bez cielesnéj mocy,
Duchem zrodzone Chrystusa narody,
Wielkie, jak straszne słońca na północy,
Z ducha i z wody...
Lud taki wstanie — mówili prorocy —
Że wszystkie ludów napełni skowrody*)
Miodów słodyczą... którego duchowi
Dano, że słońce złote zastanowi.

XIV.

Gdy zechce — ciało do mogiły rzuci
Lud taki święty, Anioł tak ogromny,
Że śmiercią płaczek swoich nie zasmuci,
Bo duchem będzie na ziemi przytomny;
A kiedy zechce: po ciało powróci
I włoży na się, jak pastuszek skromny
Swe dawne, w grobie porzucone kości,
Świecące, pełne cudownéj wonności.

XV.

O takim ludzie sen, chociaż zawczesny,
Był i pogańskie były ewangelie;
Rok tysiącowy blisko szedł, a te sny
Śpiewane wszędzie, od gwiazd zwane stelie,

*) *Waryanta:* Że miodem ludów napełni skowrody,
A kiedy zechce, to ręce otworzy,
Słońce zatrzyma i chleby rozmnoży.

Na brzegach Dźwiny i Wołhy i Desny
Dziewy podobne różom, jak kamelie,
Tém, że woń swoję poświęciły Bogu.
W tych snach stawały na wróżek trójnogu.

XVI.

Skoro listopad złote liście zwieje,
A miesiąc się przez rózgi lasów porze:
Kapłan bywało biały pieśni pieje
W staréj kaplicy albo w kniazia dworze,
I przypomina stare ojców dzieje
I woła głośno wielkie duchy boże...
Kaplice pełne są szczelnie zamknięte —
Przez okna widać ćmy aniołów święte.

XVII.

Sami kniaziowie na nocne żałoby
Idą do kaplic, lud czarny obsiada
Drzewa pobliskie, cmentarze i groby;
Słucha — jak echo po kościołach gada;
A czasem w szybach ognistych — osoby
Staną i dach się jak ogniem rozpada.
Przez wszystkie okna i gonty i szpary
Słychać żałobne pieśni — widać mary.

XVIII.

Takiéj to nocy więc Ziemomysłowi
Kniaziowi pieśni o Piaście śpiewano,
Piękne legendy, widne dziś duchowi
Swą malowaną
Mgłą, która dzisiaj już podobna snowi
Razem ze Słowian jutrzenką różaną
Wstaje... i znów się pokazuje miła,
By nowe ducha pieśni oświeciła.*)

*) Aż dotąd idzie ustęp wzięty z innego opracowania. Poczyna się teraz text najwięcéj wykończonéj redakcyi. W téj redakcyi stanowiła początek pieśni Iszéj następująca strofa:

XIX.

Kmieć Piast przed chatą dobrego wieczora
Używał, stary kmieć, pełny dobroci;
A wtém skrzypnęła domowa zapora
I weszli do wrót Aniołowie złoci.
Wnet przed nimi stół, stągiew miodu spora,
Pełno mięsiwa i mącznych łakoci,
Pełno owoców rozsypano różnych.
Duchów przyjęto jadłem — jak podróżnych.

XX.

Oni też światłość utaiwszy w sobie,
Opowiadali wielkie boże sprawy
O różnych ludach chodzących po globie —
Walki, podboje, zamorskie wyprawy.
O Hunnach, Gotach, o tajemnym grobie
Kraka — o wielkim kopcu Bronisławy,
Na który nieraz zlatywał nieznany
Lud — jak jęczący wieniec żórawiany.

XXI.

Mówili, jako każdemu z narodów
Stawał na czele pan Myśli — i Miecza,
Po dwóch; a jedne szły z krainy lodów,
A inne od słońc lub Istru zarzecza.

A kiedy mój duch runął powalony,
Wstała na ziemi moc Antychrystowa.
Noc była — pomnę, księżyc z pod korony
Lipowéj wstawał; jego purpurowa
Twarz rozpalona, jak węgiel czerwony,
Cała w płomieniach, jak Jowisza głowa,
Napoły w modréj utopiona chmurze,
Wróżyła jakąś obelgę naturze.

Zaraz potém szedł już daléj text, jak go tu dajemy począwszy od strofy XIX.

P. W.

Piast słuchał onych cudownych Rapsodów
I poznał, że pieśń była nadczłowiecza;
Więc rzekł: — Nie kryjcie się, wyście nie z ziemi,
Lecz Aniołami jesteście świętemi.

XXII.

Świadczą mi wasze śpiewane powieście,
Opisywane przez was ludów wieńce,
Że Aniołami złotymi jesteście,
Którzyście przyszli od słońc, jak zjawieńce.
Pozwólcie, że tu każę przyjść niewieście,
A przez was żonę i dziatki poświęcę.
Rzekł, i zawołał Pychy — a ta stała
Skryta za drzewem i podsłuchiwała,

XXIII.

Jak wąż ciekawy w trawach utajony.
Na korab złoty, wieżę Cybelaną,
Rzuciła fartuch swój gruby, czerwony,
I stała skryta pod drzewem, za ścianą;
A tylko czasem od miesiąca strony
Łysnął się na niéj pozłotą rumianą
Przez krokosowe fartucha drylichy
Ów korab, wieża, znak słowiańskiéj pychy.

XXIV.

Więc tylko czasem tym ogniem świecąca
Błysła twarz, niby jakiéj płomiennicy,
Ciekawa, bledsza bielą od miesiąca,
Duma w słowiańskiéj na głowie wieżycy;
A gdy mąż wołał, obeszła milcząca
Dom, potém z wiejskiéj wracała ulicy,
Udając niby że wraca do chaty,
A nie wie, że dom Bogiem stał bogaty.

XXV.

I dzieci swoje wyniosła z alkierza
I przed anioły bożymi stawiła.

—„Ten pierworodny, rzekła, na rycerza,
Czarny jako stal — ciemny jak mogiła;
Ten drugi — róża rozkwitła i świeża
I w nim jest miłość — ale w tamtym siła;
Ten pierworodny Wodanem się zowie,
Tamten — Ziemowit z światełkiem na głowie.“

XXVI.

Rzekła — lecz anioł ominął Wodana
W błogosławieństwie, a na Ziemowita
Młodszego zlał duch z obietnicą Pana,
I odszedł. — I wnet jak róża rozwita
Stał się ów chłopiec; wnet jak wyzłacana
Różana gwiazda, gdy na zorzach świta,
Jak tęcza, w mglistym gdy świeci padole,
Stało się ono świecące pacholę.

XXVII.

Więc się z okolic zebrali Słowianie
Widzieć ów boży cud — dziecinę świętą.
Gdzie ona, tam blask, kwiatów rozkwitanie,
Powietrze wonne różami i miętą.
Wieniec bocianów czasem w chmurach stanie
I tkwi girlandą niby z gwiazd zwiniętą,
Powietrzne hołdy dzieciąteczku składa,
Skrzydeł nie rusza, a z niebios nie spada.

XXVIII.

Ku niemu ptasząt pogrzeby, wesela
Lecą, ptaszynki pięknie malowane:
A on je rączką na niebie rozdziela
W gwiazdy i w różne litery pisane...
Chata się błyszczy, trzoda rozwesela,
Jagnięta blaskiem tęcz pooświecane,
Kiedy przechodzi, matek odbiegają,
A za nim patrzą, biegną i wołają.

XXIX.

I rósł i w łaskę bożą się pomnażał
I pokazywał w sobie moc z wysoka;
Schorzałe leczył, szatany przerażał,
Chmury zdejmował z niewinnego oka;
Piosenki jakieś bardzo piękne stwarzał,
Ludowi swemu stanął za proroka,
Rok Pański wróżył za onemi laty
Blisko idący, rok piękny — odpłaty!

XXX.

Wszystko to Pycha do swéj duszy kładła
I zarzucała tém serce matczyne:
Jak upior cichy przy ognisku siadła
I wosk topiła w ogniu albo cynę;
Potém na jakąś straszną myśl napadła,
Na straszną przyszła stracenia godzinę —
Wstała, a już noc panowała głucha,
Gdy ona poszła kraść bożego ducha.

XXXI.

Naprzód prześwięte dziecko obudziła,
Zgasiwszy świécę; potém, sama drżąca,
Fartuchem jasnym Wodana nakryła,
Stanąwszy tyłem do drzwi i miesiąca,
I rzekła: — Oto Pan Bóg mię przysyła,
Pan Bóg, który mój duch miłością trąca,
Abym przed tobą upadła na progu
I hołd złożyła jak samemu Bogu.

XXXII.

Jeśli cię, Panie mój cudowny, wzruszę
Ja biédna wdowa zmarłego pastucha:
To możesz z rączek twą świécącą duszę
Wylać na grzeszną i dać twego ducha.
Rzekła; a Pan Bóg wietrznéj zawierusze
Kazał wyć. Wstała błyskawica sucha,
Wiatr się zapalił za wrotyma chaty,
Szatan się w ogniach przechadzał — skrzydlaty.

XXXIII.

A ona ciągle, żebraczka straszliwa,
Przed dzieckiem włócząc po izbie kolana,
Dyszała cała żółta jak oliwa.
Przybita duchem lejącym się Pana,
Zatchnięta w sobie, pełna, jeszcze chciwa,
Ogniami wstydu na twarzy rumiana.
Gdy się uczuła w duchu silna cała,
Wyszła i z chaty jak wiatr uciekała.

XXXIV.

I uciekała i za rękę wlekła
Syna Wodana: a mąż ją u proga
Spytał: gdzie biegniesz? A ona mu rzekła:
Idę na mostek na koniec rozłoga,
Idę, a wrócę; gdzieżbym ja uciekła?
Wszędy na ziemi widzi oko Boga!
Tak tylko wzięłam Wodana za rękę,
Pójdę na wschodnią popatrzeć jutrzenkę.

XXXV.

I puścił ją mąż, a ona na głowie
Związawszy fartuch, poszła w mgłę i wsiękła.
I napotkali ją dwaj aniołowie
I rzekli: gdzieto? — A ona się zlękła
I rzekła: Gdzieżbym ja szła? niechaj powie
Dziecko — na górę idę, bym uklękła
I pomodliła się do Bożéj mocy
I popatrzała na gwiazdę północy.

XXXVI.

I zeszły z drogi we mgłę duchy złote;
A ona daléj biegła, a skłamanie
Już przemieniało w niéj ducha istotę
I piękność, któréj równa dziś nie wstanie.
Czarną się stała, jak miedź; na zgryzotę
I na trapienie poszła i zgrzytanie;
Biegła, a nieraz obracała czoła
W powietrze mgliste, myśląc, że kto woła.

XXXVII.

Za nią daleko lipa rosochata
I pola, które par owija błotny,
Daleko święta i świecąca chata
I zadumany w mgłach bocian samotny.
Przed nią mgła, wicher, potępienie, strata,
Los nieodzowny i czas niepowrotny,
Wrota od ludzkich chat pozamykane,
Noclegiem wieńce kurhanów ceglane.

XXXVIII.

A potém noce w strasznych błyskawicach,
Strachy chodzące przez lasy po cieniach,
Niebo w mgłach, a mgły całe w świętych świécach,
A świéce w hełmach, a hełmy w płomieniach...
Szwadrony jakieś aniołów w zbroicach
I w ustawicznych chmury poruszeniach;
Straszniejszy jeszcze ogień kometowy,
W kometach gwiazdy — nie gwiazdy, lecz głowy...

XXXIX.

Obelgę ducha przeświętego czują,
Są jakby drżące, są jakby ciekawe;
Więc z tajemniczych niebios przylatują,
Patrzą i oczy obracają krwawe,
Oddechem wiatry zarażają, trują,
Kłos czernią złoty, palą kwiat i trawę,
Przed nią i za nią trzody mrą i dzieci,
Przed nią i za nią śmierć — a ona leci...

XL.

Owszem nabiera straszliwéj odwagi,
Na cmentarzyska opuszczone wbiega,
Kości łaskoce, i co szkielet nagi
Ma jeszcze ducha, to do niéj przylega.
Duch się układa z nią do równowagi,
Służy, pomaga, szpieguje, ostrzega;
Trup każdy martwy ją wyznaje panią,
Kurhan opuszcza, błyska, leci za nią.

XLI.

Więc już nie sama, lecz grobów świetliska,
Jak niewolniki, za nią lecą, służą.
Same chcą więzów, wstają z uroczyska,
Ogniem mogiły rozwalają, burzą...
Tam z pod kurhanu skrzydło złote błyska,
Tam duch kobiecy skrzy siarczaną różą;
Ona te kwiaty zrywa, wiąże w słowa
I leci — Duchów okropna królowa...

PIEŚŃ II.

I.

Była w Słowiańśtwie wówczas osławiona —
Zober nazwana — czarodziejska góra.
Skalny szczyt miała — na buków ramiona
Włożony — w chmurach wisiała, jak chmura.
Na niéj pustelnia z ciosu postawiona,
Ubrana w osty — i w paproci pióra,
Gdzie trzej mieszkali, mówią, pustelnicy
Pod strażą orła, gadziny i lwicy.

II.

Świętopełk niegdyś, król Czech i Morawy,
Po stracie wojska zniknąwszy cudownie,
Gdy wiatr go porwał w oczach — za hełm krwawy
I uniosł jako palącą się głownię,
Ów król bez grobu — człowiek wielkiéj sławy —
Mówią, nawiedzał skały téj lodownie
I pustelnicze groty... i las wonny
Odwiedzał — jako mieszkaniec pozgonny.

III.

Te pustelniki, których stara chata
Błyszczała próchnem, kładli mu ofiary.
Więc na ciemnościach pogańskiego świata
Od lat pięciuset... śnił się ów król stary
Jako trup, który na płomieniach lata
I z ciałem wchodzi w niebo między mary,
A pustelniki te żywymi trzyma
W niebo wpatrzone szklanemi oczyma.

IV.

Niedziw, że taka wieść o strasznéj górze
Aż do Słowianki Pychy doleciała.
Ta chata — i te pustelniki w chmurze,
Którzy od wieków nie złożyli ciała,
Albo przeciwko śmiertelnéj naturze
Czynią, że się w nich dusza odmieniała.
A kiedy jedna poszła do mogiły,
To cudze duchy im do ciał wchodziły;

V.

To straszne Zober nazwisko się Pysze
Natchniętéj — zdawna było spodobało;
Więc tam przybiegła i lasów zacisze
Straszne ujrzała — szczyt przykryty skałą,
Pustelnię — duchy — i one derwisze
Z duszą żyjącą i z kością spróchniałą,
I widok cudny z onego ugora
Na lasów wierzchy — padoły — jeziora.

VI.

Jeziora jako srebrne się świeciły
Tarcze — a czasem podziemnymi dzwony
Niby z pod ziemi wyszły — i dzwoniły
Na różne jęki i na różne tony;
A czasem dusze, co zaklęte były,
Wyszły ubrane w tak piękne korony,
Jakich nie miała dawna Amfitryte,
Z morskich świecących roślinek uwite...

VII.

Na téjto górze Pycha się z Wodanem
Osadowiła, a te pustelniki
Wnet uderzyli przed piękną kolanem
I ducha dali — jako niewolniki.
Królowa duchem, choć kmiecianka stanem,
Urosła w dumę tak, jak orzeł dziki,
Na onéj skale królująca zdradnie,
Czująca w duchu, że światem zawładnie.

VIII.

Więc często z ogniem lub ptakiem na głowie
Wyjdzie i wróży wśród mgły i zamieci;
A ile ptaków na niebie zapowie
I skąd przylecą — to tyle przyleci.
Czasami świateł zorzanych przyzowie,
To wnet horyzont zapalony świeci;
Na niebo wchodzą jakieś uroczyste
Plamy — rumiane, złote, przezroczyste.

IX.

Sklep się niebieski oblewa płomieniem,
Farbuje wszystko — skały — drzewa — smugi;
Świat pod rubinem i pod przerażeniem,
A ona śpiewa: —Stworzę taki drugi,
Mam siłę bożą — z wiedzą i natchnieniem!
Króle mi będą wielcy, jako sługi;
Ten tylko jeden, co mój czar wykona
I myśli mojéj pomoże — nie skona.

X.

Ten tylko jeden, co mi ziemskiéj mocy,
Pókim ja słaba na świecie, pożyczy,
Wyrwany będzie z ostatecznéj nocy
I część ziemskiego globu odziedziczy;
Owszem zgodzę się, że jako prorocy
Nad nim stér ducha wezmę tajemniczy,
A jego panem na ziemi zostawię. —
To mówiąc, w tęczach błyszczała, jak pawie.

XI.

I wnet te mowy i te obietnice
Rozniósł po świecie czar, duch niewidomy.
Usłyszał Otton i wraz wdział zbroicę,
Wojska pościągał, wielki cesarz Romy.
Mam, rzekł, Słowiany — państwo Słowian schwycę,
Złotem nakarmię żołądek łakomy!
Przez Pychę będzie mi ziemia wydana,
Wydan mi będzie ten kraj przez Wodana.

XII.

Rzekł; i rycerze swe pod Zobra górą
Poustawiawszy — w ciemnych borach skryte —
Sam z berłem w ręku, odziany purpurą
Szedł... onę straszną pozdrowić kobiétę.
Wiem, rzekł, że trzęsiesz zlęknioną naturą,
Wiem, że masz siły — siły nie pożyte,
Wiem, że przed tobą świat zlękniony stoi,
A tobie ziemska korona przystoi.

XIII.

Powiédz, a w skały te berłem uderzę,
I ludzie zbrojni z kamieni wyskoczą,
Słońce rozniosą złote na puklerze,
Strzał gradem całe powietrze zamroczą...
Ja, Pan wojsk, z tobą uczynię przymierze,
A oni ten glob wezmą i potoczą —
Choćby przez niebios trzeba toczyć pole —
Gdzie ty rozkażesz, a gdzie ja przyzwolę.

XIV.

Syna twojego — jeśli chcesz, Wodana,
Wezmę jak szczenię w lwią cesarską paszczę
I tam zaniosę, gdzie ma być za Pana,
Świętym cesarskim olejem namaszczę;
Ale chcę wiedzieć, czyś nie oszukana,
Czy cię pochlebstwo tych trupów nie głaszcze,
Czy świat głoszący takie wielkie dziwa
Nie łże — czyś duchów ty Pani prawdziwa?

XV.

Oto dzień jeden uczyń to na ziemi,
Aby sen, urok spadł na kraj Popiela!
Niech go samego twoja moc oniemi —
Uśpi — a z duchem ciała nie rozdziela;
Niech posągami staną się pięknemi
Królewny — z twarzy nie stracą wesela
Ani ładności, ni łez, które leją;
Niechaj nie umrą, ale skamienieją!

XVI

Niech będzie żywot — ale zatrzymany
I pomóc sobie uczynkiem bezsilny;
Niech jego wojsko tak zaśnie, i Pany,
I ten, kto mu wróg — i ten kto przychylny!
Gdy to uczynisz: to ja twój poddany,
Ja twoja ręka, twój posłaniec pilny,
Gdzie każesz, twoje poniosę rozkazy,
Hasła, i w czyny przemienię wyrazy.

XVII.

Rzekł... a Pycha się nie posiadła w sobie
Z wielkiéj radości — i rzekła: — Pod zorzą
Ujrzysz mię tutaj w płomiennéj osobie,
Hymn śpiewającą, którym świat zamrożę.
Sen taki rzucę i czar taki zrobię,
Że nawet duchy drzew zastygną w korze,
Nawet lecące z tęczą malowaną
Strumienie, ze skał spadające, staną!

XVIII

A wojska? króle? Sam ujrzysz oczyma,
Czy który piersią albo ręką ruszy;
Czy dziecię w ogień lecące zatrzyma,
Choć będzie patrzał jeszcze ojciec w duszy.
Ani tak łańcuch żelazny poima,
Którym ty pętasz — bo się łańcuch kruszy;
Ale pod moją ręką ołowianą
Uśpieni, choć Bóg zawoła — nie wstaną!

XIX.

Ja sama rzucę czar — i zdejmę sama,
Skoroć przekonam, żem uczynić mocna.
Przezemnie wyjście jest ze snu i brama,
Ja na sen świécę, jak gwiazda północna! —
Rzekła — i zaraz szła, gdzie była jama,
Gdzie pustelnicy i błyszcz niby nocna
Próchen — i Wodan siedział niemy, głuchy,
Ciemny, a kości w nim łamały duchy.

XX.

I tam runianych głosów próbowała,
Wprzód cicho, potém głośniéj — nad snu drzewa.
Myślałbyś, że to pod niebiosy skała,
A w skale téj trup niewidzialny śpiewa.
Taka pieśń ciężka, podziemna, wspaniała
Kamienne góry napełniła trzewa,
Taki słów ciężar — ołowianość — siła —
Strach: a to jeszcze tylko próba była...

XXI.

Sam Otton, który szykował rycerze
I sprawiał szyki skinieniem, oczyma,
Staje i słucha — czuje, że czar bierze
I glob zamraża... „Ale czy dotrzyma?
Jak oszust wszedłem w nieświęte przymierze,
(Powiada cicho Pan martwego Rzyma)
Śmiercią sam jestem i snem, a czar dziki,
Sen i śmierć ducha — mam za pomocniki.

XXII.

„Więc może mię strach jaki wielki zdziwi,
Gdy będę rznął te ludzie nieruchome;
Może się Pan Bóg sam wielki sprzeciwi
I swe oblicze pokaże widome;
Może miecz w trupie tak jak ołów skrzywi,
Może przed mury przyprowadzi strome,
A wieże — boską ruszone komendą
Staną i mieczów ognistych dobędą.

XXIII.

„Cokolwiek ma być — senne czy niesenne,
Dzisiaj przed nocą z wojskami napadnę;
Bo mi to państwo powinno być lenne
I poprzéć moje chęci światowładne.“
Rzekł; a już niebo jakoby płomienne
Toczyło chmury miedziane — szkaradne,
I cień od słońca przez ludzi rzucony
Był jakiś smętny — cichy i zielony.

XXIV.

Słońce okrągłe zaczynało gasnąć
I coraz bledszém z siebie świecić złotem;
Natura się już gotowała zasnąć
Wespół z uśpionym w narodach żywotem;
Wojsko ruszało — a skały przyklasnąć
Nie mogły echem, brzękiem i łoskotem.
Wszystko się w wielkiéj odbywało ciszy,
Zbrodnia się działa w duchu — sam Bóg słyszy.

XXV.

O! ziemio Słowa — niczém niepożyta,
Zwyciężająca nawet one zdrady,
Które w powietrzu duch od duchów chwyta,
A wykonywa w ciele szatan blady —
Pozwól, że powiem, jak snem upowita
Pięknąś ty była — bez znaku zagłady
Na swojém ciele, owszem zamyślona,
Owszem piękniejsza jeszcze, gdy uśpiona!..

XXVI.

Ten, kto się jadu w żywocie nabierze,
Straszny jest we śnie — mgła go kryć powinna;
Ale śpi pięknie dziecko, póki świeże,
Młoda dziewica, dopóki niewinna.
Dopóki anioł snu ludzkiego strzeże,
Dźwięcznie na lirach gra piosenka gminna,
A straszny anioł, co jest ludu wiarą,
Stoi z płomiennym mieczem za kotarą.

XXVII.

Dopóki światła w duchu nie wyżarły
Duchy, żądz ogień miotając przeciwny,
Piękny jest śpiący — chociażby umarły,
Piękny i w swojéj piękności przedziwny...
Więc się — śpiąc — duchy narodowe wsparły
Ten o kolumnę, ten o pług pożywny,
Trzeci o sztandar oparł się pobladły:
Wszystkie stanęły — ale nie upadły!

XXVIII.

Nie — nie upadły... lecz wszystkie stanęły,
Ten w polu, a ten na zamku, a drudzy
Schyleni stali nad marnemi dzieły,
Wiecznie zwyczaju i form dawnych słudzy...
A inne, które się na palcach wspięły,
Patrząc daleko — na kraj jakiś cudny,
Niepomne swojéj narodowéj chwały,
Śpiąc nie upadły — ale tak zostały.

PIEŚŃ III.

I.

Gdy tak sen onę biedną ziemię chwyta
I wiąże — czynu i ruchu pozbawia,
Przyszedł błyszczący duch do Ziemowita
I rzekł: — Przez ciebie Pan świeci i zbawia.
Wstań — oto jedna mocarka, kobiéta,
Przeciwko Pańskiéj — swoję wolę stawia
I ducha przeciw duchowi używa,
Bo nie jest czysta, lecz zła i kłamliwa.

II.

Więc skoro zorze obaczysz wieczorne,
A jeszcze blady róż na polach będzie,
Gdy pług porzuca ciche pola orne,
Gdy dolatują gniazd dzikie łabędzie:
Wstań i weź z płótna ubranie pokorne,
Które ci sługa twa domowa przędzie,
A świecznik także w rękę weź wesoły,
Który pozłacasz ty, a czynią pszczoły.

III.

I zapaliwszy ono światło złote,
Idź w zamek senny twojego książęcia;
A oświeciwszy całą sal ciemnotę,
Nic nie bierz — choćby co było do wzięcia,
Nie łudź się blaskiem, nie wpadaj w tęsknotę,
Chociaż tam smętno żyć pod snem zaklęcia...
Strzeż się pokalać jakim ziemskim grzechem,
Lecz stań, a wszystko obudzisz uśmiechem.

IV.

A gdy obudzisz — strzeż się, aby która
Z Popiela córek do kolan nie padła!
A nic — pawiego nawet nie bierz pióra,
Ni kwiatka — ani patrzaj się w zwierciadła.
Króla gdy zbudzisz, mów, że wrogów chmura
Granice wzięła, zamki już napadła;
Król obudzony niechaj państwo budzi,
Reszta — jest dziełem lat i dobrych ludzi.

V.

To rzekł, i wonne powietrze zostawił
I szedł; a z nim szedł różany młodzieniec
Ziemowit. Patrzy — naprzód go zabawił
Powietrzny chaty oblask i rumieniec,
Potém woń — potém w puszczach mu się zjawił
W palmach zielonych aniołowy wieniec;
Dziwi go natur nieznajomych przyjście —
Blask — świętość — i drzew nieznajomych liście.

VI.

Świętość go jakaś napełnia, oświéca,
Podnosi w jaśnie, w nieba, w duchu stawia;
Idzie — a w ręku jego złota świéca
Płonie i sama w kwiaty się oprawia.
Taka twórczości rajskiéj tajemnica
Ani go dziwi, ani zastanawia.
Wyszedł na pola żyt i czarnoziemu
Szerokie, miłe wzrokowi wolnemu...

VII.

Miasteczka ciche i po uszy pijane,
Wioski o wiekach może złotych śniły,
Tak jako sady owocem rumiane
W cichy jesienny dzień, albo mogiły,
Zdają się smętne i pozamyślane,
Myślą, czém będą, i pomną, czém były;
A tylko czasem listki na nich wstają
I niby muzyk globowych słuchają.

VIII.

Nic nie ryknęło po bydła zagrodach,
Ciekawość nigdzie okien nie otwiera.
W stawach — jak cyna i ołów na wodach,
Woda nie spada nigdy i nie wzbiera;
Gościnność czujna — nie czuwa w gospodach,
Nic się nie rodzi i nic nie umiera;
Aż w święte złote serce Ziemowita
Lała śmierć — ziemia na duchu zabita...

IX.

Idzie, jako sen... a tu horodyszcze
Mija — z rycerstwem senném na okopach;
Owdzie moczarę, gdzie stęchła nie świszcze
Trzcina; tam pole — zżęte, lecz nie w snopach.
Przez pola — ścieżek jakieś złote błyszcze
Wiodą go ciągle, świécą mu przy stopach
I świécą daléj idąc przez ugory,
Aż w straszne, śpiące Popielowe dwory.

X.

Nic nie zmieniło się — żadnym obłamkiem
Nie grozi wieża, choć chwiać się musiała
W chwili, gdy czas się zatrzymał nad zamkiem,
A zamek stracił ruch i czyny ciała;
Najmłodsza córka jeszcze za barankiem
Goniąca — sama jak baranek biała,
Motylem wielkim tęczowym goniona,
Stała... baranek, motylek i ona.

XI.

Na szmaragdowéj trawie ono dwoje,
A motyl wisiał i trwał na błękicie.
Druga, wchodząca w kryształowe zdroje —
Oddech w niéj ustał, a zostało życie
I wstyd... bo jedną ręką srebrne stroje,
Ostatnie piersiom dziewiczym zakrycie,
Trzymała silnie ku piersiom je cisnąc,
Drugą dłoń miała na wodzie — jak prysnąc...

XII.

Nie tylko ona — lecz nawet ciekawe
Te rybki, które wszelka białość nęci,
Skrzelki czerwone i łuski złotawe
Pokazywały na dnie wód — snem zdjęci;
Motyle wodni — gdy na nóżki zjawę
Lecieli — teraz do nóżki przypięci,
Wstążką błyszczącą na dnie wód świecili,
Jak tęcza do nóg przypięta Dziedzilli.

XIII.

Trzecia... (dwanaście król Popiel miał córek)
Trzecia po piękną, najświetniejszą różę
W ogrodzie weszła na najwyższy wzgórek —
Rękę podniosła, a kwiat wisiał w górze,
Lecz obwinięty pierścionkiem z jaszczurek...
Kwiat ją przeraża, wabią pączki duże —
Tak ją zastała ta chwila straszliwa,
Że chce i nie chce — boi się i zrywa.

XIV.

Insza... już w sali — najdumniejsza z rodu,
Przy złotym małym siedząca organku,
A obrócona oknem do zachodu
Ku zorzy — w pawich piór świécącym wianku,
Bita blaskami mrocznymi z ogrodu,
W półśnie — myśląca może o kochanku,
Gdy palce już ton na klawiszach biorą,
Zastygła... wszystkie pawie pióra gorą,

XV.

Jak gwiazdy... z jéj ust jeden ton wylata,
Ton jeden, ale już najwyższy w śpiewie,
Ton, może zdolny porwać serce świata,
Ten ton, o którym ona jeszcze nie wie,
Czeka nań... już swe rysy z dźwiękiem brata,
Już w zachwyceniu bożém — jakby w gniewie,
Siedzi cudowna w Sybilli postawie,
Muzyką błyszczy — jak te pióra pawie.

XVI.

Inne, uczone, nad księgami siedzą;
Lecz z literami oko nic nie czyni,
O duchu w księgach zamkniętym nie wiedzą.
Jedna skończyła kartkę — palec ślini,
Widać ciekawa, co wieszcze powiedzą
Na drugiéj karcie — od natchnień bogini
Już rozkwilona stoi i zaklęta,
Z perłami w oczach, ciekawością zdjęta.

XVII.

A najpiękniejsza (co się nawet zdarzy
Królewnom), cała zlękniona i drżąca,
Widać giermkowi pozwoliła twarzy
Na chwilę tylko — już uciekająca...
Giermek też usta, gdzie ogień się żarzy,
Przybliża... koral już w alabastr trąca,
Już... wtém stwardnieli w piękność monumentu,
Ustom jednego zabrakło momentu.

XVIII.

Rzekłbyś, że Dusza i Miłość zjawione
Drugi raz w głębi czarownego dwora:
Oboje w jednę pochyleni stronę,
On ku niéj... ona do ucieczki skora —
Nie tak jednakże, aby usta one
Nie miały w mroku wonnego wieczora
Czuć co słodyczy; wszakże się nie nagną,
Ona ucieka — usta jeszcze pragną.

XIX.

Takimi czary otoczony wkoło
Ziemowit, widzi te, i drugie jeszcze;
Ta z twarzą smutną — złą, a ta z wesołą;
Te kwiaty — te z rąk sieją pereł deszcze:
Wtém ujrzał księcia, który miał pod połą
Rękę na mieczu, w oczach gniewu dreszcze
I biegł, jak gdyby duchem poczuł wroga
I zatrzymany był z nogą u proga. *)

XX.

W tego utopił piękne oczy swoje
Ziemowit, w tego swoje duchy wkłada.
On wnet się budzi i woła na boje,
Chorągiew chwyta i konia dopada.
Budzą się córki — szmer wchodzi w pokoje;
Echo wesołe po sklepieniach gada:
Zdaje się zrazu, że nie szmer z człowieka,
Ale wleciała jaka srebrna rzeka.

XXI.

Patrzą na siebie — już nie kamienieją,
Ani je mroźny czar wzajem odpycha;
Lecz się ściskają — całują — łzy leją,
Wstyd się rumieni, miłość znowu wzdycha,

*) Aż dotąd idzie text wzięty z ostatniego opracowania tego rapsodu. Co daléj następuje, zestawione jest z dawniejszych redakcyi.

Broń znowu szczęka — chorągwie znów wieją,
Koń hamowany kopie grunt i prycha...
Przed nocą wszystko w szeregach — na wieżach —
W polu — na czatach, albo na harcerzach.

XXII.

Miesiąc ogromny blasków swych nie traci,
Bo mu je wszystkie od tarcz odesłano;
Więc naprzód czarni rycerze, skrzydlaci,
Szli na cesarską ciżbę pozłacaną.
Starto się — bracia ginęli za braci,
Lecz hełmy cięto, chorągwie ścinano...
Przez Niemcy, jako przez łamane żyta,
Poszła chorągiew złota Ziemowita.

XXIII.

Reszta w popłochu, we krwi i w rozgoni
Na krew, mostami złote tarcze ciska.
On za cesarzem przez mgły ciemne goni,
Przez pola — debry — góry — uroczyska;
Miecz ma nad głową, sztandar w drugiéj dłoni;
Na hełmie krzyżów słońcowych zjawiska
Jawią się ciągle, jak ogromne słońca,
W oczach cesarza — na hełmie pogońca.

XXIV.

Już go dopadał... gdy nagle ponura,
Jak szatan, cała w płomieniach i grzmotach,
Stanęła wielka nad cesarzem góra
I las go w łono wziął i ukrył w błotach.
Ziemowit trąbił, ale mu natura
Ech nie oddała w tych wielkich samotach;
Tylko coś w ogniach — w górze — niby skała
Jękła i głosem matczynym jęczała.

XXV.

Serca swojego zatrzymać nie zdołał
I swéj miłości... Stanął — podniósł czoła

I w puszczy głośno swojéj matki wołał,
I ciągle wołał — a głos miał anioła.
—„Matko, gdzie jesteś? mówi — jam podołał
Wrogom ojczyzny... jam święty kościoła!
A tu jęk słyszę, widzę tę pożogę,
Tę skałę w ogniach — a pomóc nie mogę.“...

XXVI.

Wołał i płakał — i smętniejsze słowa
I gwałtowniejsze prośby rzucał w chmury
I szedł — a ciągle jasność purpurowa
Stała na szczycie tajemniczéj góry;
Więc szedł w ten ogień, a wtém matki głowa
Na prześcieradle ognistéj purpury
Stanęła — lub jak blada trupia plama,
Bez rąk i piersi — głowa tylko sama...

XXVII.

Usta otwarte miała, a z otworu
Ust — jakby ciemność i strach wylatywał;
Twarz zielonego jak trupi koloru,
I oczy zmarłe, z których strach przeszywał.
Straszna zjawiła się nad szumem boru,
Włosy strach podniósł, a wicher rozrywał;
Potém ją jasność z oczu syna zdjęła,
Nic nie wyrzekła — straszna, i zniknęła...

XXVIII.

On widział — nie wie, co począć — dech traci,
Pada jak martwy, a już trąby dzwonią;
Sam król nadjeżdża — rycerze skrzydlaci
Za królem w zbrojach purpurowych gonią;
Król — dłużnik wielki — królestwem zapłaci,
Może królewny któréj piękną dłonią,
Byle się zbudził ów kmioteczek młody,
Który uśpione obudza narody.

XXIX.

Zbudzi się kmiotek... w duchu swego Pana
I kiedyś całe królestwo otrzyma;
Tymczasem stawią przed królem Wodana
Opętanego — z krwawemi oczyma.
Pytają... a w nim kość duchem łamana
Pomimo woli rzuca się i zżyma;
Ciemnym wydany władzom na igrzysko
Cały się rusza, tak jak wężowisko...

XXX.

Widział, jak matka natężyła woli
I póki trwał czar — cała w mocy rosła
I kraj cisnęła — z uwagą, powoli,
Z całą rachubą strasznego rzemiosła...
Nie tylko króla — skowronka z nad roli
Chciałaby uśpić — na ziemię go niosła,
Pod kamień kładła, przywalała pleśnią,
A wszystko — duchem czyniła i pieśnią...

XXXI.

Nagle gdy zdało się, że już w natchnieniu,
W tryumfie — niebo i ziemię posiadła:
Wstrzęsła się cała w jakiémś otrupieniu
I zbladła, jak trup — i jeszcze pobladła...
I jeszcze bladła — bo choć po imieniu
Wzywała duchów, które są — nie zgadła,
Że jeden anioł powietrzny, rumiany,
Globowy przyjdzie, choć nie zawołany.

XXXII.

Przyszedł... z daleka widny, jak kropelka
Małych płomieni! Potém już opona,
Chmura i niebios błyskawica wielka,
Straszna, podstępna, cicha i szalona,
Zgwałconych duchów natury mścicielka,
Mocna, jak żywioł — jak duch, obrażona —
Wyższa niż góry — szaleńsza niż morza —
Szła... i na skały wstępowała zorza.

XXXIII.

„Jam jest“ — okropne wołało ognisko,
„Jam jest“ — wołał duch okropny, rumiany,
„Jam jest“ — powiadał przylatując blisko,
„Jam jest, niewolnik — ale zbuntowany!“
To mówiąc, wleciał — i na uroczysko
Wszedł jak na okręt falami rzucany;
Ogień się zmięszał z drzewami i skałą,
Światła się starły, skłębiły—zawrzało...

XXXIV.

W płomienia łonie jakieś miecze siekły,
We wnętrzu ognia jakieś wichry wyły;
Potém te wichry i ognie uciekły
Od niepokrytéj a pełnéj mogiły,
I tak jako mgła nad skałą się wlekły
I do północy rycerzom świeciły;
Potém płomienne odwrócili twarze
I poszli — straszni globowi mocarze.

XXXV.

I wszystko znikło — jak sen w księdze Pana
Wpisany... w ludach śniony dla przestrogi...
I wszystko znikło — i tylko Wodana
Duch o tém wiedział zwiędły — pełny trwogi...
Więc jako sarna — biedna, postrzelana,
Gdy chudy ma bok, utrącone nogi,
Chroni się ludzi, do lasa ucieka,
A serce bije w niéj — jak u człowieka: —

XXXVI.

Podobnie Wodan znikł — i uciekł w lasy,
Do reszty stał się ludziom niepodobny;
Jako zwierzątko — na wszelkie hałasy
Drżący, jak jaki dziki ptak — osobny.
Jesienne, mgliste, z tęcz znikome pasy,
Miesiąc, gdy zimno, a dészcz sypie drobny,
Liście, które drżą w chłodzie na osinie
On lubił — i kwiat, który w puszczach ginie...

XXXVII.

Niewysłowione, lecz bolesne drgania
Myśli tajemnéj jemu były znane;
Halcyjon, gdy jak anioł się odsłania
W mgłach — i swe pióra rozwiał malowane,
Mech zimny — w puszczach migająca łania,
Orły samotne, lub spiorunowane
On widział... wszystko, czém natura smuci,
Zna — straszny kiedyś anioł smętny wróci.

XXXVIII.

Teraz jak jeleń — gorszy od żebraka,
Bo nie śmie przyjść nad ognisko pastusze,
Ale od liścia woli i od krzaka
Mieć swą obronę przeciw zawierusze —
Błąka się, ginie... Dola jego taka,
Jak wszystkich, którzy własną zdradzą duszę,
A nie dotrwają w duchu swoim święcie,
Lecz wezmą — obie na czoła pieczęcie.

XXXIX.

Czasami wieniec smolnego łuczywa
Zapalał i szedł po lesie, a kmiecie
Mówili, że to postać słońca żywa
I wczłowieczona w jakieś Pychy dziecię...
To jakieś lirki struga — i wygrywa
Swoje boleści i rzuca po świecie,
A nikt wyraźnéj pieśni nie dosłyszy,
Tylko sny jakieś szklane — w lasów ciszy...

XL.

Potém — jako cień leśny w lasach zginął,
Jak paralityk w ogień patrząc Pański;
Ale się z niego w Słowiaństwie rozwinął
Ów cały dziwny smętny ton słowiański.
Przeciwko słońcu — jak łódź biedna, płynął,
Wzięty szatanem — on nie był szatański!
Mogiła jego gdzieś, mchami pokryta,
Marzy o jasnym duchu — Ziemowita.

XLI.

A tego pamięć zawsze ukochana
Przez lud — ginący. On znów żyje — wraca
Anioł mój — straszna chorągiew rumiana,
Która się do słońc ostatnich obraca...
Już jego lud wie, że ten za tyrana,
Kto go na duchu zabija — wytraca,
A nie ten, który mieczem głowy zbiera,
A duchom żywot i słońce otwiera.

XLII.

On to słoneczny posadził na tronie
Szczep, w który miały duchy święte wchodzić;
A ta się jabłoń nad wszystkie jabłonie
Rozrosła w kwiaty — i zaczęła rodzić...
Jakie tych duchów pięknych były wonie?
Jak zaczynały kraj budować — grodzić?
Jako na węża Pychy startéj głowie
Stanęli? — inny z odwiecznych opowie.

RAPSOD CZWARTY.

MIECZ A SŁAWA.

PIEŚŃ I.

I.

Gdy się to działo, przyszły do mnie duchy
W ogniu i rzekły: — Czas twéj męki mija.
Oto lud poznał: nad miecz i łańcuchy,
Straszniejszy—który na duchu zabija!
Rzekły; mnie zaraz kształt ślepy i głuchy
Jak powój, który kolumnę obwija,
Porwał i rzucił niby w ciała trumnę,
Jak ognia i mgły skruszonéj kolumnę.

II.

Wtenczas pod świętém onéj trójcy prawem,
Która tu ludzkie duchy w kształt ubiera
I czyni, że sił duchowych objawem
Błyska albo się ćmi globowa sfera:
Jam przyszedł, król-duch, zwany Mieczysławem,
Z króla zarazem dolą — i Homera,
Bo kolorami ten świat tak przyjemny
Nie błysnął moim oczom — byłem ciemny!

III.

Duch przerażony, jako na dnie truny
W dziecięciu siedział, jak na dnie mogiły;
A kiedy gadki gadali piastuny,
Jemu się jakieś dawne duchy śniły,
Niepewne blaski i pożarne łuny,
Nie ciała z ziemi zadusznéj — lecz siły,
Pioruny, które śpią cicho w podłodze
Snopem płomieni — a nie szkodzą nodze...

IV.

Ludzie gadali do mnie jak obłoki,
A gdy znaleźli płomieniste słowa,
Ze słów rodziły się lwy, albo smoki,
Lub na psach — orłów ognistych połowa;
Nie śmiałem stąpić, bo ktoś moje kroki
Wodził po morzu z gwiazd... gdzie mi szła głowa
Patrząca w przepaść strasznie i ciekawie,
Pierwéj nim nogi na światłach postawię.

V.

Czasem miesięczna noc — dziwne głębiny
Błękitne, a gdzieś na skalnych urwiskach
Jęczą widziane jak psy lawantyny,
Gwiazdy we włosach chodzą i w ogniskach.
Potém świat ludzki, ale cały siny,
Bezbarwny, szary, w księżycowych błyskach
Zjawia się, niby tłumna ćma upiorów
Zdjęta z miesiąca — bez krwi i kolorów.

VI.

I raz słyszałem, jak moja piastunka
Mówi do ojca: — „Czarno-duch w nim siedzi!
Złotego nigdy on nie widział słonka,
Nigdy dziecięcia anioł nie nawiedzi...“
Tak ta mówiła okropna zwiastunka.
A jam słyszał brzęk głuchy, straszny miedzi —
Widać, że ojciec na takie nieszczęście
O mur druzgotał hełm — o puklerz pięście.

VII.

I krzyczał: — „Niech mi pan Bóg zamknie oczy!
Niech mi królestwo moje weźmie całe!
Niech mię wężami, jak Popiela stoczy,
Niech jak od Piasta weźmie duch i chwałę;
Tylko niech spełni ludu sen proroczy
O tém dzieciątku, i światło mu białe
Da i władanie berła i oręża!
Wszakże potrzeba téj ojczyźnie męża!

VIII.

„Siedem już lat ma — jutro go postrzygę,
Lecz chyba wezwę — nie grajków, lecz płaczek!
Ja stary jestem — już ledwo się dźwigę,
Już ledwo chodzę; a on co? — ciemniaczek!
O! biednąż mój ród nowy ma łodygę!
Szczęśliwsze łona są naszych wieśniaczek:
Rodzą jak maki pełne na zagonie,
Jak zdrowe, ciężkie po sadach jabłonie.“—

IX.

Pierwszy raz ojca lament — z brzękiem zbroi
Słysząc, dziecinna myśl — zobaczyć chciwa,
Roiła sobie, że to burza stoi,
Brzęczy... i wyje i wichrem porywa,
A piorunami uderzyć się boi
We mnie, bo ojcem moim się nazywa.
Więc się ukryłem pod piastunki szatę,
Sądząc, żem dziecko smoka nieskrzydlate.

X.

Ani wiedziałem, co to wzrok — którędy
Dusza wyziera... Anioł się dziś śmieje,
Kiedy pomyśli, na jakie obłędy
Szedł domysłami, tworząc ciała dzieje.
Wzrok — jestto ogień, mówiłem; ten wszędy
Musi wytryskać... z włosów, z rąk się leje,
Ciało w promienne szaty przyobleka,
Świeci z człowieka — i patrzy w człowieka.

XI.

Takiego wzroku, myślałem, dostanę,
Kiedy o wzroku myślałem, ślepotka.
A już mię jakieś duchy rozbłyskane
Uczyły, gdym spał... O! nauko słodka!
Jeżeli kiedyś ciemny zmartwychwstanę:
Niech ta pieśń — tkana z promieni i wiotka,
Smętnie dzwoniąca — słońcami zatrwoży,
A takie światło w mego ducha włoży!..

XII.

Więc nieraz — jak ptak zlękniony, nieśmiało
Gdzieś na cedrowe kufry pójdę — siędę —
I myślę, że wzrok — jestto światłe ciało
I kolor, który z siebie wydobędę.
„Spraw, aby ze mnie, o Boże! błyskało,
Wołam, a tobie wiecznie świecić będę
I będę błyskać od nocy do rana,
Niby pochodnia pięknie malowana!“

XIII.

Więc na takich mnie modlitwach znachodzi
Bywało matka: to tak cicho kroczy,
Jak sen, i słucha — a potém wywodzi
Ze snu — całuje w zapłakane oczy,
Pyta, czy jaki miesiąc w snach mi wschodzi?
Czy jakie słońce się po niebie toczy?..
Ja odpowiadam stojącéj nademną:
Nie, matko — wszędy smutno mi i ciemno!

XIV.

Więc przed postrzyżyn rankiem, jak na jawie
Dziś widzę, do snu szedłem przerażony
Obrzędem, w jakiéjś półsennéj obawie,
W przeczuciach... Świat mi zdawał się czerwony,
Ludzie z mieczami, jak mgły; a ja prawie
Dziecko z piorunów, na głowie strzyżony
I zarzynany w kącie bez litości,
Jak jaki jasny baranek — w ciemności.

XV.

A jeszcze k'temu strachu przymnażała
Piastunka, która nad kołyską siadła
I czarne pieśni okropne śpiewała
Przy kołowrotku; więc jakieś widziadła,—
Popiel czerwony — jakaś kępa — skała —
Kobiéta, która z niéj do rzeki spadła —
Jéj dyjademat złoty — powiew chłodny
Od szat, a potém jęk słyszałem wodny.

XVI.

Tyle już razy ta Popiela wieża,
I narcys biały Wandy, i Supany,
I rycerz, który na miasto uderza,
W piosence Ryżym Tygrysem *) nazwany;
Tyle już razy ów kurhan rycerza
W pieśniach straszących słyszałem śpiewany,
Że już naprożno mi w zmysły półśpiące
Ta pieśń upiorne wrzucała miesiące.

XVII.

Jednak tą razą zamykając oczy
Czułem, że jakaś tajemnica bliska
Napada myśli i chmurami mroczy
I do błyśnięcia zmuszając naciska.
Duch kiedy we śnie w te krainy wkroczy,
Gdzie kształtom już dać nie może nazwiska,
Wie, jaki strach ma przed słońc tarczą bożą,
Myśląc że pękną — albo się otworzą.

XVIII.

Jakaż mi, Panie, wtenczas dziwna zmora
Przyprowadziła świat — ciemny, ponury,
I postawiła w oczach jak upiora,
A potém słońcem nań lunęła z góry?
Mig jeden tylko — a ja, ciemny wczora
I niewidzący kolorów natury,
Podniosłem pełne już kolorów łono
Jasnością we mnie przez duchy wstrzeloną.

*) Ry - tyger.

XIX.

Chwileczka jedna, a rozweselnica
Ciemności moich, ta chwilka jedyna,
Przysłana z nieba jako gołębica
Na szyi złota — rubinowa — sina,
Tak się zażegła w oczach, jako świéca,
I swój tęczowy wachlarz z piór rozgina,
A ducha, który jak spowity leży,
Rozwija jak kwiat — na świat coraz szerzéj.

XX.

Czy to był ludzki świat, czy jakie raje
Zjawione? — nie wiem; lecz w pamięci stoją
Z wielkoróżanych drzew ogromne gaje,
Które się czołem w gwiazdy iść nie boją;
Z perłami na dnie świecące ruczaje
Cieką — a w oczach jak brylanty broją
Wszędy, gdzie woda załamana spada,
Lub w górę tryska i w kwiat się rozkłada.

XXI.

W górze jakoby różne rajskie ptaki,
Fenixy, dziwa, błękitnym niebiosom
Czyniły słońcem przezłocone szlaki,
Lub malowały wstążki — słońca włosom;
A co dziwniejsza, że świat cały taki
Był, jako harfa, różnym ludzkim głosom
Oddana niby na walkę i bitwę,
Aż szły... i w jednę zlały się modlitwę.

XXII.

A ja słyszałem: Hosanna! Hosanna!
Hosanna!.. Panie, tworom daj człowieka!
I cała tych łąk różaność poranna
Zasłoneczniła się; w słup poszła rzeka,
Ptaki spadały jak mgła nieustanna,
A inne od słońc leciały z daleka;
Natura cała była w zawierusze,
Świat cierpiał — drzewa szumiały, jak dusze.

XXIII.

Nagle... już miałem obaczyć tę chwilę,
Na którą ów raj z wielkim szumem wchodzi:
Gdy jakiś starzec — duch większy o tyle
Od człeka który się z mogiły rodzi,
Jak miesiąc, kiedy na jakiéj mogile
Otumanionéj, w kręgu duchów wschodzi
I krwawą tarczą mgłę smętną roztrąca,
Większy się zdaje ludziom od miesiąca —

XXIV.

Gdy taki starzec, mówię, swe ogniowe
Szaty postawił mi przed wzrok — jak ścianę!
I oczy bystre, orle, lazurowe,
Kryształy ogniem piekielnym rumiane,
Wrył we mnie — cichy, i na moję głowę
Chciał swoje ręce kłaść pozapalane,
Sprawiwszy tyle nad duszą przelękłą,
Że oko mego snu jak kryształ pękło...

XXV.

Pękło! Jako szkło, gdy wytrwać nie może
Ogniowi — staje wnet w gwiaździstych ranach:
Tak mój duch rzekłszy: powieki otworzę,
Ujrzał się ciemny, tak jak trup w kurhanach.
Pomnę — chociaż to w królów było dworze,
Świerszczyki sobie śpiewały po ścianach,
Jak zwykle, kiedy chłód i miesiąc siny
Wziera przez belek cedrowych szczeliny.

XXVI.

Pomnę... ci smętni nocni muzykowie
Dzwonili; pełną muzyk była ściana,
A tam, gdzie było ciemnemu węzgłowie,
Druga pieśń stała — przez niańkę śpiewana;
Stała jak upior z ogniami na głowie,
Natrętnie dzwoniąc imię Zoryjana;
I stało na tém imieniu śpiewanie,
Jak zégar, kiedy na północy stanie.

XXVII.

I właśnie strofa szła o jego męce,
I śpiew przez usta Zoryjana gadał;
Tensam, który kładł we śnie na mnie ręce,
Na zbudzonego swe przekleństwo wkładał;
Przeczucia jakieś odgadły dziecięce,
Czegoby rozum zbudzony nie zbadał,
Że między pieśnią a snem związki były...
Że pieśń ta i sen z jednéj są mogiły...

XVIII.

Oboje razem zmartwychwstały mary,
Gdy przyszła pora na nie nowéj pracy;
Oboje razem pod ciemne kotary
Weszły, oboje razem, jak żebracy
Sprawiedliwości boskiéj... Duch mój stary
Świętego Jana głowę miał na tacy,
I odtąd ciągle — na powietrzu, blady
Widzi wzniesioną perłę Herodyady...

XXIX.

Pewny, że starzec ów błękitny, siwy,
W płomieniach znowu po dniu się pokaże:
Rano do gontyn szedłem ledwo żywy,
Z głosów słyszanych wszędzie rojąc twarze...
Szedłem i niosłem z tęczowemi grzywy
Gołąbki bogom opiekuńczym w darze;
A one bijąc skrzydłami daremnie,
Strach czuły, a ich serce — biło we mnie.

XXX.

Sen nawet jakiś miejsc powstawał na dnię
Ducha mojego, jak czasem te grody,
Na które w nocy błyskawica padnie,
Ozłoci mosty, pałace i wody —
Potém zagasa nad miastem i bladnie,
I miasto całe ze swymi narody
Niknie, jak gdyby pod ziemię się skryło,
Skąd było wyszło snem i zaświeciło...

XXXI.

Koło mnie wielki gwar... a potém cisza,
Jakby skinięciem berła nakazana.
Dziś czuję, jak się we mnie duch zadysza,
Czeka... i cały już drży najściem Pana.
Krok jakiś, który nie miał towarzysza,
Krok jakiś dumny, ciężki... krok kapłana,
Zbliżał się do mnie. Jam ręce niemocne
Postawił na przód, czując widmo nocne...

XXXII.

On szedł — i coraz bliżéj w moich oczach
Błękitniał się płaszcz, a u kolan nisko
W złotych, zielonych i sinych warkoczach
Po pas wchodzące dziwne płomienisko;
W ręku coś... jakby w dymu nadobłoczach
Narzędzie pieśni; przedemną — już blisko,
Już tylko o to rączek wyciągnienie
Ten starzec — ten płaszcz — ta twarz — te płomienie.

XXXIII.

Już rączki moje w nich, jak w mgle, już toną —
Już jest nademną — przy mnie — już dotyka;
Już główkę czułem dotknięciem zmrożoną,
Już czuję zimne dotknięcie nożyka...
Całą moc wtenczas w źrenicę wyszkloną
Posłałem — jak grzmot, który drzwi odmyka,
Chciwy tę postać widzieć, nim w blask wskoczy —
I dusza wyszła mi jak grzmot... przez oczy!

XXXIV.

Wyszła! nie widział jeszcze nikt, że patrzę!
A ja patrzałem już, i zadziwiony
Ujrzałem widmo przy sobie — najbladsze,
W bieliźnie — które mój włos ustrzyżony
Trzymało w ręku, a w drugim najrzadsze
Wonności, w ogień zmienione czerwony,
Objęte czarą złotą bursztynową,
Wyżéj trzymało w pomroku, nad głową.

XXXV.

Kapłanką była — i podług obrządku
W kwiaty ubrana i w białą symarę,
Włoski ucięte nożem niewiniątku
Do tych wonności boskich kładła w czarę;
Te do olejów przyrzucone wrątku
Miały pójść razem z czarą na ofiarę;
Ona zaś czarę, którą blask przeniknie,
Trzymać powinna, aż spłonie — i zniknie.

XXXVI

Patrzący na to, nie wydałem głosu;
Gołębie z rąk mi pierzchły; a me wzroki
W téj czarze, jako w złotéj gwieździe losu,
Z tą gwiazdą jakby idące w obłoki;
A czara płonąc w kole z jasnowłosu —
Jako rubinem szatan krwawooki,
Niby grożąca jakaś gwiazda boża,
Jak kropla jasnéj krwi z zabójcy noża —

XXXVII.

W jéj rękach skrzyła się — trzaskała — piekła...
Wtenczas krzyknąłem: ach!.. Ojciec przyskoczył,
Dusza zeń cała łez strumieniem ciekła,
Wziął... ramionami mnie dziecię otoczył...
Co rzekł — co jęczał — co kapłanka rzekła?
Nie wiem... strumień łez wzrok i słuch zamroczył;
Oczom, co jasność zobaczyły złotą,
Znów pocałunki zostały ślepotą.

XXXVIII.

Lud cały krzyczał, ojciec jak orlica
Porwał mię w szpony i uciekał ze mną...
Jam patrzał smętnie — cicho w jego lica,
Bom jego nie znał... a on był nademną.
Myśl moja zaraz, jak dawna tęsknica,
Z martwych powstała. Wszędy głucho — ciemno—
Słońce tosamo świat cały pozłaca,
Ale świat nowy... nowa na nim praca!

XXXIX.

Sosnowe ojca domy — jakoś niskie,
Ku gospodarstwu więcéj zda się dążą;
Szpichlerze jakieś i sady są bliskie,
I dziwnie belki się wysokie wiążą:
Sionki wysokie, a glinami śliskie,
Wyżéj krużganki jakieś złote krążą
Ubrane w szyby — a szyby w ołowie,
Jakby w bladawych szatach aniołowie.

XL.

To był cud jeden, który przypominał
Duchowi memu niewidzialne rzeczy...
Na te krużganki patrząc, śnić zaczynał;
Gdy na dół spojrzy, to znów jest człowieczy.
Tam czasem król sam barana zarzynał,
Albo królowa swe żebraki leczy,
Torby napełnia, opatruje rany —
Niższa od starców siedzących — kolany.

XLI.

Teraz ja widzę, jak się owa cała
Kraina, rosnąć w niebo przeznaczona,
Bogu służyła i zasługiwała
Duchem uczynków — jak ziarenne łona.
Już mają ducha, lecz duch wtenczas działa,
Kiedy moc jego gniciem zatrwożona,
A on już w zgniłym prochu spać nie może,
Lecz sił dobywa... i wyżéj się porze.

XLII.

Jak on duch, mówię, w orzecha trumnicy
Wiekiby całe spał na skronia obie,
Nakształt egipskiéj wonnéj balsamicy —
Tém tylko różny, że ma gwiazdę w sobie —
Gdyby go nie wstrząsł ręką błyskawicy
Pan, gdyby gniciem nie zatrwożył w grobie
I znów nie wyzwał do pracy i ruchu
I do potęgi sił, które są w duchu;

XLIII.

Podobnie, jak to *ja* ptasie lub orne
Śpiące, a siebie jeszcze nieświadome:
Lud mój uczynił formy swe pokorne,
Śpiące... a minął wszystkie góry strome,
Nie wiedząc, że się przez kształty wytworne
Zdobywa cudo piękności widome,
Świętość, która się nie zna, ale czuje
I cicho z niebios różanych zlatuje.

XLIV.

Co do mnie — Pan mi drogi niebezpieczne
Zakrył, prostoty mię owiawszy wonią,
Abym fundament na gmachy słoneczne
Miał pewny, a te zasługi miał bronią...
I oczy moje były jakby mleczne,
I krwią mię Pan Bóg porównał z jabłonią,
Która nie idzie prędko pod obłoki,
Lecz ma ciężarny płód i słodkie soki.

XLV.

I jako zboże mię w ziemi zatracił,
A dobrze wprzódy krwią uprawił ziemię,
Abym stem ziaren za ziarno zapłacił
I szedł spokojnie naprzód przed me plemię,
A w myśli ważne zwolna się bogacił
I umiał kiedyś krzyża dźwigać brzemię,
Kiedy narody całe staną zdradne
I będą patrzeć gdzieś z gór — czy upadnę.

XLVI.

Służyłem ludom, cierpiałem — i oto
Poranek moich cierpień nie przeminął.
Przez wielką jasność odbieżany złotą,
Gdy sny odbiegły, a wzrok się rozwinął,
Objęty byłem nieznaną tęsknotą
Za marą ducha — za snem, który ginął,
Jakoby zwolna ustępując kroku
Rzeczom będącym w oczach — na widoku.

XLVII.

O starcu już tym błękitnym — ni wieści
We snach! a jednak czułem, że powróci.
Zresztą rozkoszy wielkiéj ni boleści
Nie znałem... Często pługom przy uwróci
Sam nalewałem czary... czar cztérdzieści,
Bo tylu pługom skowroneczek nuci
Wiosną, gdy drzewa cień rzucają długi,
A w pole wyjdą nawet króla pługi.

XLVIII.

Ziemomysł — dźwięk był imienia niepróżny!
Oracz król — sędzia spraw pod jabłoniami;
A często obcy człowiek lub podróżny
Pytał się chłopka: który jest nad wami?
Król tak był mało od poddanych różny,
Gdy sąd na sprawy kładł — bronione łzami,
I siadał pod lip pachnącą framugą
Na stołku... a jam zamyślał się długo.

XLIX.

I rzekłem: wszędzie tak na całéj ziemi
Królowie sądzą — ludzie żyją — orzą...
Świat śpi — i żniwy porasta złotemi,
Błogosławiony cichą ręką Bożą...
I pomyślałem: któżto brzęki temi.
Które mię od zbrój tak bywało trwożą,
Przerażał niegdyś ciemne słuchy moje? —
Mój ojciec musi brać miecz — i kłaść zbroję...

L.

I zaraz szereg myśli niespodzianych
Na moje oczy myślące naskoczył.
Zajrzałem w szpichlerz, gdzie pełno miedzianych
Tarcz było — szyszak się ze ścian potoczył;
Z powiek wydartych przyłbic, rdzą rumianych,
Jakiś rycerski duch dzieciątko zoczył
I chcąc je pewnie powołać ku sławie,
W przyłbic tych dziury kładł swe oczy pawie...

LI.

Rzekłem to ojcu; a on: „Tak to było
Niegdyś... Teraz mię duch oświecił nowy...
Światło mię jakieś dziwne rozbroiło
I szyszak zdjęło z mojéj siwéj głowy.
Do grobu już mi spiesznie i pochyło;
Kraj umniejszony mam już do połowy;
Lecz wolę, że tak... lud się uwesela,
Niż jako było niegdyś — za Popiela...

LII.

A ja: — Cóż było ojcze? — A on srogi,
Położył palec na ustach, zabronił
Pytać o tego ducha wielkiéj trwogi,
Który kraj z siebie jakby z krwią wyłonił.
Rzekł mi też, że w dom zaprosi ubogi
Synowę, którą anioł mu odsłonił
We śnie i kazał wziąć z Czech, Chrześcijankę.
To rzekł, i odszedł... A ja na kapłankę

LIII.

Postrzyżyn wtenczas wspomniałem — i twardy
Zastrzęgłem w sobie przeciw zaślubinom
I przeciw ojcu memu, pełen wzgardy —
Podobny czary spłonionéj bursztynom.
I byłbym poszedł na różne hazardy,
Gdyby nie ciało — ciężkie, ku dolinom
Ziemi chylące mię... i krew uboga,
Dane mi wtenczas — w dar od Pana Boga.

PIEŚŃ II.

I.

O dziwnie! z jaką cichością Bóg sprawia
Swe wielkie rzeczy przez nas duchy wolne,
Które prowadzi, a sobie zostawia
Umiłowawszy te, co jako polne
Kwiaty — na ziemi, gdzie je Pan Bóg stawia,
Miłosne miody są wyrabiać zdolne,
A czołem jasném nad inne wybiegą
I kwitną z siebie — i żyją ze swego.

II.

Dziwnie, jak Pan jest dobry i litośny,
A ducha, co się na pracę poświęci,
Ubiera w kolor, w głos piękny, roznośny
Zaopatruje, a do nieba nęci,
A do nóg mu świat przywiąże miłośny,
Tak że on coraz wyżéj — jako święci
Idzie... w swéj pieśni wzniesiony powiewie,
I świat pociąga, a sam o tém nie wie.

III.

Taki nademną był Pan w one czasy,
Gdy światłem nowéj Jezusowéj wiary
Miałem oświecić łąki — góry — lasy —
Rycerzy zbroje, czoła — i sztandary.
Pamiętam ranek ów, gdy pełne krasy
Poselstwo swatów, jak chciał zwyczaj stary —
Na co w prostocie téj króla stać było —
Pieszo i konno do Czech wychodziło.

IV.

Wybiegłem nad brzeg jednego jeziora,
Na kurhan stary wstąpiłem wysoki;
I stamtąd widzę, jako w kształt gąsiora,
Który prowadzi gęsi przez obłoki,

Szedł rzępolista — a za nim ze dwora
Młodzieńce w parach szli równymi kroki;
A każda para swój kolor właściwy
Miała, jak w tęczy odmienny i żywy.

V.

Dwóch szafirowych, a zaś dwóch w purpurze,
Szło dwóch podobnych do jasnych płomieni,
Za nimi złotych dwóch, a potém w róże
Ubrana para, a potém w zieleni
Siedem par było; zda się, pańscy stróże
W długie barwiste szaty obleczeni,
Za powodyrem szli spokojnie w rzędzie;
Ci złote gęśle nieśli — ci łabędzie.

VI.

Z ptakami swadźby — różne instrumenta
Świeciły swemi struny na blask słońca:
Pięknością sobie równi, jak bliźnięta,
Po nadjeziornéj ścieżce szli bez końca;
Bo duch mój, który tę wstęgę pamięta,
Ciągle ją widzi i w ciemność nie wtrąca;
Widzi, jak idą ci świętości słudzy
Nad fal błękitem, a w błękicie drudzy.

VII.

Bo fala była gładka, a po skraju
Szła ścieżka owa i szli owe swaty;
A nieco daléj — pokazał się z gaju
Na białym koniu jeden pan bogaty,
Supan w szkarłatnym jak ogień kuczbaju,
Zastępujący króla majestaty,
Wyobraziciel ojcowstwa w orszaku,
A przy nim mój brat — także na rumaku.

VIII.

Mój brat Cydebur, młodszy jednym rokiem,
W zbroję złocistą ubrany — w czerwieni;

Koniem srebrzystym wywijał jak smokiem
I leciał choć w świat!.. jakby do pierścieni;
Potém do starca wracał stępo — bokiem,
Hamując konia, od drogich kamieni
Tak oblanego, że się zdało — niby
Wyskoczył w tęczach, z oceanu szyby

IX.

Koń słońca! Na nim wszystkie skarby wiszą,
Które miał ojciec, a chciał oddać Czeszce.
Ranek błękitny był i wielką ciszą
Owiane pola; a ja się téj ścieżce
Przypatrywałem, jak ludzie, co słyszą
Muzykę duchów w kolorów zamieszce...
A cichość jakaś mię ruszała święta,
Kiedy brzęczały w polu instrumenta.

X.

I pomyślałem: do Czech idą — gędzą —
Z palmami do Czech idą, tak daleko!
Jakież to losy w tamtę stronę pędzą
Ten orszak?.. Wstałem z nabrzmiałą powieką...
Jakaś mię smętność — dawną moją jędzą
Będąca, wzięta nad letejską rzeką —
Znów ogarnęła, i westchnęło łono
Za jakąś... dawno — w błękitach zjawioną...

XI.

Ranek — spokojność pól — błękitów wody —
Szesnastoletnie serce moje żywe —
Za mną leżące cmentarne narody
I czyny zmarłe wielkie, lecz straszliwe —
Podemną kurhan stary — ja znów młody,
Jak garnek, nową mający polewę,
Na słońce z ciemnych wydobyty lochów,
Świetny pozłotą, ale pełny prochów...

XII.

Któż mię odświeży? pytałem... i głośno
Pytałem: Kto mi ducha odpromieni?
—Ja! rzekła mową piękną i żałośną
Stojąca za mną mych postrzyżyn ksieni.
Lecz na tę krzywdę ty nie pozwól sprosną
I na obrazę naszych ojców cieni!
Nie pozwól!.. Jam ci otwarła powieki!
Gdy zechcę: zamknę — i zamknę na wieki!

XIII.

Ja wiem, że teraz Pan Bóg nas nie słucha
I klęte duchy z gajów nie wychodzą;
Wyroczniom naszym odebrano ducha!
Węże nie służą, gołębie nas zwodzą,
Ogień z pod źródeł naszych nie wybucha,
Klątwy wiatr czynią — a zbożom nie szkodzą;
Piorun nie bije — lecz tylko wyświetnia
Pierś, jak w boleściach błyskawica letnia...

XIV.

Anioł ognisty nad lasami leży,
Piersi rozedrze, ogniem z łona buchnie,
A pokazanych palcem nie uderzy!
Świateł nie mamy, prócz tych, co są w próchnie;
Bo duch, największy na ziemi — nie wierzy!
A ten duch — to ty!.. Wiérz Lijady druchnie
I kapłanicy, poświęconéj w Retrze:
Do ciebie całe należy powietrze!

XV.

Ty wielki — wielkie duchy masz pod wodzą;
Ale przyszedłeś wcześnie — oszukany
Ty już — a one teraz w ciała wchodzą.
Do miecza i do krwi!.. stuknij w kurhany!
Zażądaj: a z tych kości się narodzą
Rumiani ludzie, lecz bądź sam rumiany!
Mówię ci: podepc tę białą liliję,
Około któréj złoty się wąż wije. —

XVI.

Tak uderzywszy mię ta piękna z góry,
Zaczęła ciągnąć potém mową wdzięczną,
Piękną jak różne oblicze natury,
A mglistą jakąś dziwnie i miesięczną...
Cierpiała sama, a jam się ponury
Bronił prostotą hardą i niezręczną
Nie chcąc wyraźnie uléc téj wróżbiarce;
Ażem ją wtrącił w gniew — i wrzasła: Skarcę!

XVII.

Twe własne duchy przeciw tobie ruszę!
Rzekła — a nie myśl, że mi brak mścicieli!
Jako jesiennych liści w zawierusze,
Mam pełne włosy duchów! Jam z topieli
Wyszła, wlekąca duchy, które muszę
Karmić jak matka, która serce dzieli
A wszystkim chleba daje domownikom —
Tak ja i gwiazdom, wężom — i płomykom...

XVIII.

Ten warkocz za mną wyciągnięty z morza
Teraz z fal jeszcze słońcami wychodzi.
Ujrzałbyś — gdyby nie ta jasna zorza —
Ujrzałbyś: żem jest na tęczowéj łodzi;
Że skrzydła mi z plec — z głowy rosną zboża,
Około któréj wąż złocony chodzi;
Że jestem z wszystkich tworów razem zwita,
Jak łania i wąż — gwiazda i kobiéta...

XIX.

Za mną, powiadam ci, z mórz się wywlekły
Tęcze... a z rąk mych sypią się promienie,
A z piersi gwiazdy mi karmiące ciekły,
A ze mnie czystéj rodziły się cienie;
Aż mocy moje, jak te łzy... uciekły,
Żem jest niemocna na twoje sumienie
Ja, która dawniéj bez jęku i głosu
Za twoim duchem szłam przez płomień stosu...

XX.

Ileż ja razy byłam oszukana
I przez płomieni czerwonych zwierciadło
Przebita!.. Ciebie nie znalazłam — Pana,
Lecz jakieś inne rycerskie widziadło!
Wtenczas w mgłach — sama ze świateł ulana,
Gdy mi z rąk tysiąc ptaszków złotych jadło,
Ja obracałam za tobą z tęsknotą
Twarz moję wielką, jako miesiąc złotą...

XXI.

I teraz oto na kolana padam!
I z groźby — znowu do płaczu przechodzę.
Z ducha ci gadam — i nie wiem, co gadam...
A jednak ja tych słów sama nie rodzę!..
A że wiem wszystko: to ci zapowiadam,
Że przyślę tobie moje duchy-wodze;
Jeden u ciebie już był — starożytny,
Jak ja — ty dobrze wiesz, kto? — ów błękitny...

XXII.

Gdy to wyrzekła, wszystkie moje włosy
Żadrżały... Rzekłem do siebie: nie kłamie!
Widuje duchy i zna ludzkie losy
I ma twarz złotą — i ma silne ramię...
I to uczułem, że mię jako kłosy
Chce siłą ugiąć i złamać — i łamie...
I to uczułem, że wysoki czołem
Anioł mój... nie chce paść przed jéj aniołem.

XXIII.

A piękną była!... Przez one grobowce
Stare wzniesiona nademną wysoko,
Kamienie szare i czarne jałowce
U kolan miała — a błysnące oko...
Szczęściem, że jeden pasterz pasąc owce
Pieśnią spokojną — smutną, a głęboką,
Gdy mię już chwytał w szpony duch skrzydlaty,
Przypomniał mi to wesele — i swaty...

XXIV.

Jakby promieniem czystéj wesołości
Rozjaśnion, rzekłem: Sam wybiorę drogę,
A teraz czekam z Czech tu nowych gości,
Z którymi sobie wedle sił pomogę.
Jeśli mi wiara ta nowa uprości
Żywot, a zdejmie z serca żal i trwogę:
Przyjmę ją; jeśli cudów nie pokaże,
To ciebie wezwę na nią — i przerażę.

XXV.

—Dobrze!.. gotowam do walki, zawrzasła,
Ale w téj walce niewidzialną stanę!
Drogi twe trudne — sława twa zagasła!
Oczy zamknięte — i kraje porwane,
Nie słuchające ludy twego hasła —
Myśli ściemniałe, nie porozkwitane —
Usta krzyczące do niebios daremnie:
To będzie mój dar — i wyleci ze mnie!..

XXVI.

Rzekła — i smętna odeszła. I biegły
Znów dnie, a jam czuł jakąś w sercu żałość,
I czułem w duchu jakiś śpiéw rozległy,
Który przez ciała się niedoskonałość
Zatracał. Myśli moje nie uległy,
Lecz się obudził w sercu szatan — stałość,
Stałość ta druga i niedoskonała,
Która duch nowy kładzie — w stare ciała...

XXVII.

Dziwnie na dwoje jakoby rozbity
I rozebrany na dwa instrumenta:
Tu mię spokojne, ciche pól błękity
I skowronkami dzwonne firmamenta —
Tam ciemne lasy, czarem téj kobiéty
Zmienione w czartów księżycowych święta,
Wabiły w swoję półmroczną tęsknotę,
Jak widmo z chmury, które ma dno złote...

XXVIII.

A wtém od Pragi wracali posłowie
Z oblubienicą — tymsamym porządkiem:
Z posagiem panny w koszykach na głowie
Młodzieńce w parach, i przed niewiniątkiem
Supan i brat mój, jak dwaj aniołowie —
Jeden młodością złoty, a rozsądkiem
Drugi... jakoby ze srebra ulany
Jowisz, purpurą gromową rumiany.

XXIX.

Sama Dobrawna — na białym rumaku,
W kolebce złotéj — niby pani święta,
Na turkusowym jak niebo czapraku
By kwiat przypięta,
Palmą się zdała złotą śród orszaku,
Wyższa nad wszystkie pany i panięta,
Na jaśni niebios błękitnych dziewica
Prawdziwie... wschodnia Syjonu palmica!

XXX.

Jakby na skały siedząca wierzchołku,
A nieco tylko wiatrem kołysana,
Sługi mająca zwykłe na przystołku
Idące z lewéj strony — u kolana,
Patrzyła w prawo, kędy na osiołku
Biskup i święty ów Chrystusa Pana
Męczennik, święty Wojciech — wówczas młody —
Apostołować szedł moje narody.

XXXI.

O! hosanna wam jeszcze dziś, o goście
Anielscy, ludzie obcy dobréj woli!
O! alleluja wam, których tu koście
W proch rozsypane śpią na ludu roli!
Oto dziś jeszcze te wiary jasnoście,
Które mam od was, świecą mi w niewoli
I z duchowego zaświeciwszy rdzenia,
Wywodzą świętą tę pieśń — z objawienia...

XXXII.

Nie mogę dziś was tak, jako przed wieki,
Przyjąć w prostocie serca w moim dworze;
Bo nie mam dachu... i nie dam opieki
Nawet jaskółce! Ani wam położę
Miodu złotego z królewskiej pasieki,
Ani rozsypię w progach złote zboże...
Z przyjęcia niegdyś Król-Duch byłem sławny:
Bóg teraz widzi, żem syn marnotrawny!

XXXIII.

A jednak wy mię znowu nawiedzacie,
O duchy... patrząc tu na moje ściany...
Zdziwione prawie, żem jest w cudzéj chacie —
Podły, jak żebrak jaki — i nieznany!
Naprożnoż wy się nad tém rozczulacie,
Bo mię nie bolą wcale moje rany:
Owszem nad sobą płaczcie, że nie mogę
Was tam wprowadzić jeszcze, gdzie mam drogę!..

XXXIV.

Przyszliście dawniéj, a ja święte gaje
Posiekłem, na wschód porąbałem drogi,
Byście widzieli, jako słońce wstaje
W puszczach, gdzie groźnie grzmią Jadźwingów rogi.
Złote weselne w kwiatach korowaje
Znosił wam chłopek dobry i ubogi;
Wszystkoście mieli — i serca otwarte,
Ciche, choć dawnym pamiątkom wydarte.

XXXV

Przyszliście dzisiaj, jako aniołowie
W ciało dla sprawy Chrystusa ubrani;
A my wam miód serc, i jabłeczne zdrowie
Krwi naszéj, i moc naszę nieśli w dani,
Dawno gdzieś w duchu o Chrystusa Słowie
Wiedzący, dawno przez ducha złamani —
Syjonu duchy z posągów kamieni
Wyrwani, przez was w drogę obróceni...

XXXVI.

Pokora, cichość — te najrzadsze cnoty
Dla ducha, który już się czuje Bogiem —
Wpadły do wnętrznéj nam duchów istoty,
A ciało pierwszym pokazały wrogiem;
A więc na ciało, jak żubr rogozłoty
Rzucił się anioł, nastawiony rogiem
Jak żubr — gdy burza czyni zamięszanie,
A on przeciwko piorunowi stanie...

XXXVII.

Jak żubr, gdy w piorun rogiem się zapędzi,
W tumany liści zawichrzonych kole:
Takem ja chciał być wraz anioł łabędzi
I dostać ognia świętego na czole.
Święci mówili, że Pan nie oszczędzi
Ducha mojego, lecz na wielkie bole
Puści — z hańb wielkich i serca owdowień
Próbując złota moich postanowień.

XXXVIII.

Jam krzyczał, wznosząc w górę moje pięście —
A nie dziw, bom był wtenczas duch młodzieńca,
A twarz cudownie piękną ma nieszczęście
Nieznane, z pod gwiazd patrzące się wieńca —
Jam krzyczał: „Sława, miecz, i to zamęście
I złote moje szaty oblubieńca
Niech idą Panu, jako wieczne dary:
Jeśli Pan żąda z ducha téj ofiary!

XXXIX.

„Uczucia moje ludzkie podruzgotam,
Serce rozbiję, miecz jak drzazgę złamię,
Sławą rycerza od siebie pomiotam,
Koronę zrzucę, krzyż wezmę na ramię:
Tylko niech sobie tym dniem zarobotam
Wieczyste światło i to złote znamię,
Które się w bożém królestwie pokaże,
Zmartwychwstającym kościom złocąc twarze.

XL.

„A tę ofiarę chcę mieć postokrotną
Nie tylko za się — ale i za ludzi;
Abym tę otchłań niebios — nie samotną
Miał, ale z braćmi, których Bóg obudzi...“
Pan przyjął łzami mojemi wilgotną
Ofiarę, i dziś kości moje trudzi;
A duch na wszelkie boleści zatwardził,
Aby pokazał, że darem nie wzgardził.

XLI.

I zaraz... lecz wprzód zajdę na doliny,
Gdzie było moje anielskie wesele.
Przy schyłku jednéj pogańskiéj gontyny,
Gdzie łąka miała różne wonne ziele —
Dziedzilli niegdyś ogród i Kwiatyny —
Wyścielające wschody przy kościele —
Rzekłbyś, że tęcza, którą ta dryjada
Wchodząc do gontyn przed progami składa;

XLII.

Na zieloności smugach — na strumieniach
Kwiatów — na żwirach goplańskich najbielszych,
Przy lipy szmerach i brzozy westchnieniach
I przy błękitach niebios najweselszych —
Przy kwiatach, w których jak w drogich kamieniach
Był blask—przy ptaszkach śpiewniejszych i śmielszych
Był ślub, gdzie czysta z najczystszych na ziemi
Stała — z oczyma w ziemię spuszczonemi.

XLIII.

Dwa z ametystów blaski jak z krynicy
Lały się ciągle, choć rzęsą przykryte.
Dziś téj mistycznéj nie wiem tajemnicy,
Jako z tych oczu... węże złotolite,
Jeziora złote w całéj okolicy,
Lasy blaskami na wylot przebite,
Kwiatki błyszczące jak drogie klejnoty,
Jak owo rodził wzrok miłością złoty.

XLIV.

Dziś jeszcze nie wiem, czy dusza uległa
Większéj miłosnéj mocy — cała drżąca
I z ciała mego na chwilę wybiegła,
Aby przez oczy jéj była widząca...
Lecz gdyby wtenczas ręka mię nie strzegła
Kapłańska: dusza z ust wylatująca
Byłaby, mówię, upojona chwałą
Wyszła i nigdy nie wróciła w ciało.

XLV.

W téj błyskawicy i w tém zawichrzeniu
Sądziłem, że głos stu aniołów słyszę,
Sto harf dzwoniących na mnie po imieniu
Przez cichy kryształ i błękitną ciszę...
Sam wielki duży szmaragd na pierścieniu,
Jak źródło, gdy się pod słońcem kołysze,
Dwa wielkie blaski rzucał na dwie strony,
Jak skrzydła złote, a sam był czerwony.

XLVI.

W ogniach—w szelestach—w zachwyceniach—w śpiewie
Uczułem wielkie stchórzenie serdeczne;
Bo się duch święty rzucił, cały w gniewie,
I zapłomienił na nas światło wieczne;
Jak szelest, który jest przed burzą w drzewie,
Tak w duchu wrzały pierwiastki słoneczne,
Kiedy Pan ogniem chodzący po duszach
W oczach mi błysnął i zagwiżdżał w uszach.

XLVII.

Wieki minęły, a to tchnięcie boże
I to owianie ogniem naszych ramion
Wraca, ilekroć w prochu się położę
Na mych mogiłach, na łachmanach znamion;
Dlatego z ducha nigdy się nie trwożę
A bladnę, kiedym ciałem jest omamion,
Na walkę z ciałem przeznaczony wieczną,
Aż Jeruzalem sprowadzę słoneczną.

XLVIII.

Jakoż zaledwo z téj złotéj kąpieli
Wyszedłem z jasną moją gołębicą:
Pan, który smuci i który weseli,
Nawiał ogromną nieszczęść nawalnicą.
Jak ojciec, który wie że piorun strzeli —
Bo we śnie bożym gadał z błyskawicą,
Więc gdy się burza ognista zaczyna,
Patrzy na syny: w którego to syna?

XLIX.

Tak ja na mój lud, pod moją ofiarą —
Bo mi już ojciec wtenczas zdał koronę —
Patrzałem myślą moją, smętną, starą,
Jak dziecko mając piersi rozkwilone.
Ludzie ze starą żegnali się wiarą
Płacząc... i bogi też były wzruszone!
Że nie odeszły z duszą obojętną,
To wszelkie echo świadczyło i tętno.

L.

Jeszcze się uczta kończyła zaślubin
W owéjto sali dawnych sakramentów,
Gdzie jako w Kanie Galilejskiéj rubin
W kielichach świecił blaskiem dyjamentów:
Gdy ów duch pierwszy egipski, Anubin,
Z brzękiem cymbalnych różnych instrumentów
Przeszedł, jako wiatr, nad wierzchami gmachu
Z muzyką smętną i z urokiem strachu.

LI.

Ludzie wybiegli, a inne strach mrowi
Przeleciał, inni na gankach słuchali;
A on — jak harfa, leciał ku wschodowi
I w cieniach niknął... i grał coraz daléj...
Już za puszczami — a instrumentowi
Przybywał jakiś dźwięk, który się żali!
Widziano nawet niby gwiazd przeloty,
Czar błyski i liść winogradów złoty —

LII.

Duch uczt... Zmartwieli niektórzy supani
I nie wrócili już więcéj do stoła.
Potém Siwanna, księżycowa pani,
W pełni zabłysła nad gajem kościoła
I jako ludzie nagle krwią zalani,
Krew pokazała z okrągłego czoła
I nie odkryła, aż po dwóch godzinach,
Twarzy zaćmionéj — w noc po zaślubinach.

LIII.

Taka zieloność trupia téj bogini,
Jakby przez duchy gontyn nakazana,
Ludowi zaraz, który gadki czyni,
Serca zatrzęsła i zgięła kolana...
Właśnie przy domu nocnéj monarchini
Wesele było, w dzień świętego Jana,
A jeszcze do dziś gadki są prostacze,
Jak po téj nocy słońce gra i skacze.

LIV.

Dotychczas jeszcze chwila owa wschodnia
Wtenczas widziana trwa w duchów pamięci;
Słońce jakoby gaszona pochodnia,
Którą na niebie wichru Bóg zakręci,
Ludowi w trwodze zebranemu do dnia
Pełnemu wstecznéj ku bałwanom chęci
Jakoby grożąc — w pomrok zorzą szary
Przed sobą swoje dwie wysłało mary.

LV.

A potém samo pomiędzy obiema
Wyszło — i trójca słońc na niebie stała!
Patrzała na to ciżba chłopków niema,
Już chrztem obmyta, ale strachem biała.
Ja sam na ono złote dyjadema,
Które na czole Światowida pała,
Długo patrzałem — i zdjęła mię trwoga,
Żem na trzy części rozbił głowę boga.

LVI.

I wszystkie myśli te chowałem w sobie
I byłem smętny, jak lud... Oto siedzę,
Rzekłem, na bogów moich dawnych grobie
I utraciłem wszelką od nich wiedzę!
Przeto myślałem o jakim sposobie,
Jak człowiek który chce rozorać miedzę,
A sporne głazy wyrwawszy i koły,
Pogodzić o grunt dwa nieprzyjacioły.

LVII.

I wnet stanęła mi w myślach gontyna
Ody, kapłanki postrzyżyn — straszliwa,
Kędy posągów wypalona glina,
Ich różna żywot kłamiąca polewa. —
Oczy mający z jednego rubina,
Z bawolą głową w ręku, bożek Siwa
Stał, a wokoło święte były ptaki
I węże na łbach posągów — jak krzaki —

LVIII.

Tak nauczone, że na księdza głosy
Wychodzą wszystkie do świętych twarogów
I są jakoby zwite srebrne włosy,
Podnoszące się z grozą — z czoła bogów,
Gdy w środku różna tłuszcz skwarnymi głosy
Skwierczy z miedzianych lamp—kotłów—trójnogów,
I rzuca swój blask różnofarbny, wielki,
Na dziwne belek sosnowych ciesielki...

LIX.

Téj jednéj staréj gnieźnieńskiéj bożnicy
Pożałowałem... Próżna łza nad pychą!
Węże spotkano wszystkie w okolicy
Gdzieś w las idące — porządnie i cicho...
Jak księża, kiedy wychodzą z kaplicy
Z krzyżami, tak się ze swą guślarzychą
Zmówiwszy ów gad, na wielkie niedole
Ważył i wolał iść przed wzgardą — w pole.

LX.

Dziś jeszcze widzę — słyszę, jak lud blady
Kiwa głowami: — Tam trzy słońca wschodzą!
I tam — powiada — poszły nasze gady,
I tam się duchy nasze znów narodzą...
O! smętny jest świat! o dziwne przykłady!
Po gadach nawet smętno — gdy odchodzą!
Wieki — a tego bólu nie zwyciężę,
Że mną wzgardziły wtenczas — nawet węże...

LXI.

Zmiłuj się Chryste, dosyć już! Ta czysta
Dusza nie mogła wtenczas wiedzieć, Panie,
Że mi na puszczach gdzieś, za lat cztérysta,
Przyjdzie wojować to emigrowanie!
Że i powietrzny ów duch cymbalista
I trójsłoneczny znów Światowid wstanie;
Że ile ciało ma zmysłowych wrogów,
Tyle na tarczę ducha wezmę bogów...

LXII.

Ze smętku, który w ludzie był niemały,
Urodził się strach i wieść tajemnicza:
Że niewidome duchy zabijały
Nie pokazując ręki, ni oblicza —
Bez bólu, bez krwi, zabójstwa się działy!
Ja świadek, że Bóg szatanom pożycza
Czasu na nocne niewidzialne zbrodnie,
A ci zdmuchują żywotów pochodnie.

LXIII.

I najstraszniejszy ze wszystkich przestrachów,
Anioł ów, który nad Egiptem śmigał
I jednę duszę brał ze wszystkich dachów,
A przed baranka się krwią jedną wzdrygał,
Bo z lwa — do ludzkich przywykły zapachów,
Podług natury bił — i szedł — i ścigał,
A dom, który się krwią niewinną zbroczył,
Poznał jako lew, a jak wiatr przeskoczył:

LXIV.

Podobny anioł, lecz z orła wyjęty,
Z gadów zdradzieckich czyścił ducha zboże
I brał, kto był chrztem fałszywym przeklęty
I wziął Chrystusa, a znosić nie może.
Naładowane bocianie okręty
Tymi smętnymi duchy, szły za morze,
W dzień spoczywały nad kurhanów darnią,
W noc szły... za duchem żórawim latarnią.

LXV.

I długo potém po szczeblach i schodach
Drzeć się musiały znów do Polski raju,
Gdzie święty jest duch na łąkach i wodach
I pełno kwiatów przy każdym ruczaju;
Gdzie ptastwo w lasach jest jakby na godach,
A człowiek lutnię ranną słyszy w gaju
I pełny świętéj miłości się budzi
I dla natury kwietnéj — i dla ludzi.

LXVI.

I gdy wybite już były te węże,
Pan rzekł: — Obaczę jeszcze tego króla;
Obaczę jeszcze, czy *) mieczem zwyciężę, —
Gdzie on sieroty swoje poprzytula,
Gdy mu kraj wezmą straszne trzy oręże,
Powyganiają pszczoły wszystkie z ula?
Próby na serce królewskie przypuszczę;
Jeżeli zgrzeszy sercem: to odpuszczę.

LXVII.

Rzekł; i straszliwy gdzieś lud ode wschodu
Wstał, a ja miałem o nim już widzenie.
Wstawał — i głucho gdzieś zaszczekał z lodu
Głosem, który ci czasem wiatr przyżenie,
Gdy w nocy włosy ci wstaną od chłodu,
A gdzieś od wioski na łańcuchu szczenię
Słyszysz że wyje na wiatr albo szczeka —
Snać wilka zapach poczuło z daleka.

*) Może gdy powinno tu być, zamiast czy.

LXVIII.

Tak one wieści zimne dzisiaj słyszę,
Najpierwsze: Jakiś lud, mówią mi, dziki,
Jakieś książęta, Normandy, Łotysze,
Jakieś straszliwe morskie rozbójniki —
Burza je rodzi, a morze kołysze,
Bogi je straszne w chmurach, słoneczniki,
Po tęczach wiodą w śmierci tajemnice
I zapraszają przez cudne dziewice.

LXIX.

Tacy książęta — przez lud zaproszeni,
Który O wielkie już na A zamienił,
I cały Słowa wyrzekł się promieni,
A cały w Sławę ducha przekamienił —
Tacy książęta gonią do pierścieni:
A lud je z własną wolnością ożenił:
Dziewicę swoję — najczystszą! dał za nie,
Jak ojciec, który popadł w obłąkanie...

LXX.

I ojców ojciec — a gdzież nie ma duchów,
Którzy ojcowstwo narodowe biorą
I targaczami są wielkich łańcuchów
I chcą zapalić, ale sami zgorą? —
Taki był jeden, który z tych okruchów
Wolności dawnéj wziął koszów siedmioro
I te kawałki chciał jeszcze rozmnożyć.
A nie mógł więcéj, jak duszę położyć.

LXXI.

Nowogrodzianin Wadim!.. niech to imię
Przez wieki — na téj pieśni sobie płynie,
Jak łabędź który na rzece zadrzymie
I gdzieś obudzi się — aż ku słońc krainie...
I wstały zbrodnie północne — olbrzymie;
I od monarchów krwawsze monarchinie,
Które umiały krew pozłocić swoją
Krzyżem złoconym — i błyszczącą zbroją.

LXXII.

Lecz długo się duch narodowy luty
Bronił natury saméj straszną siłą,
Cudami — przez płaszcz cielesny rozpruty
Miecz pokazując, że jest — gdzie nie było...
Oleg na kościach końskich wężem skluty,
Igory straszną nakryte mogiłą —
Ciągłe nieszczęście mogił pod Kijowem —
To walka Sławian północnych — ze Słowem!

LXXIII.

Król duch — słuchałem przerażony, blady,
Że już ci sami, lud niegdyś ubogi,
Którzy łodziami szli na Carahrady,
A łodziom dali złote z wozów nogi,
Że jak skrzydlate z wiatrem biegną gady,
Dziwne, żaglami pędzone stonogi,
Które przez błękit wieków widzę cichy,
Lecą — a błyszczą kół ogniste sprychy —

LXXIV.

Ci sami, których wielka czarownica
Wywiodła z ziemi, i gdzieś na kurhany
Wstąpiwszy — wzięła radę od księżyca,
Gołębi ogniem zapalić Drewlany —
A którą teraz mi ta błyskawica
I ogień śladem gołębiów posłany
Olśnił, gdy piszę, swym pożarem sennym
Czarną — na krzyżu złotym trójramiennym —

LXXV.

Ci sami gdzieś — z wron krzykiem, orłów skwirem,
Na mą granicę wschodową napadli
I wrzaśli hasło swoje: Władymirem!
Mordując chłopka, który ziarno radli...
A już od Karpat... Rzym! A pod szafirem
Bałtyku — Pruscy poganie, zajadli
Na Chrystusową wiarę — rzną i palą!
Wojna — kraj cały wrzał błyszczący stalą.

PIEŚŃ III.

I.

Daruj mi Panie, że téj ducha góry
Nie mogę w farbie ukazać powinnéj!
Duch mój pracował; lecz ziemskiéj natury
Nie miałem w sobie ruchoméj i czynnéj;
Trzy nieprzyjaciół zebrały się chmury,
Trzy morza ze krwi pociekły niewinnéj;
Nad tém trojakiém błysnąłem zwierciadłem
Z chorągwią moja królewską — i padłem.

II.

Najprzód gdzieś państwo mroczne i nieznane
Z pod zórz północnych, z pod śnieżnego pierza,
Jakąś krwią kniaziów okropnych rumiane,
Mgliste mi oczy dziś tarczą uderza.
Jakiś duch, wieczne kładący kajdany
Na ducha, a zaś cielesnego zwierza
Rozpuszczający na srogie zaboje —
Włożył na siebie pierwsze kształty moje.

III.

Trzy zawichrzenia nad ojczyzną moją
I na mój biedny naród trzy napady!
Olbrzymy jakieś na północy stoją,
Które łodziami brały Carahrady;
Łodzie, na wozach, ziemi się nie boją,
Ale skrzydlate żaglem, jako gady
Lecą na miasto wschodnie pełne pychy —
Grzmi ziemia, błyszczą kół ogniste sprychy.

IV.

Jakieś okropne Normańskie książęta
Wstają, jak śrebrny Boreasz i luty —
Każdy tak krwawy, że ziemia wzdrygnięta
Myśli, jak zwalić posąg ciężko kuty;

Lud o ich losie i dzisiaj pamięta:
Oleg na kościach końskich wężem skluty,
Gdzieś na mogiłach pobite Igory —
Askold — Dyr — Ruryk... nieszczęsne Truwory.

V.

Potém, jakoby pod nowiem miesiąca
Olga ten naród z ziemi wyprowadza,
Z mogił... wróblami pożary siejąca
Na wielkie miasta... Z rąk jéj krew i sadza,
Gołębie lecą, pożar z chat tysiąca
W jedno ogniste słońce się zgromadza
I pokazuje wiekom jeszcze sennym
Wiedźmę na krzyżu złotym trójramiennym.

VI.

Nagle wiatr jakiś wiejący ze wschodu
Przywiał tę burzę na miasta Czerwone.
Bratozabójca jakiś, pan narodu,
Wiedzie ją, zwabion przez krew, w krwawą stronę.
Pierwszy raz niby z trumnicy się lodu
Podniosło widmo duchem zapalone,
Głuszone kruków i wron czarnych skwirem,
Młode — a już się zowie Władymirem.

VII.

Na tych mój młody brat, Cydebur, z małą
Garstką wyprawił się; ja na Cesarza,
Który od Rzymu szedł, aby mi białą
Szatę pobłocił krwią, która przeraża;
Potém siedzące nad Bałtyku skałą
Pogaństwo, które jako sęp uważa
I ma źrenicę patrzącą z daleka,
Chciwą na korzyść i na trup z człowieka,

VIII.

Pogaństwo srogie, mój wróg wieczny trzeci
Aż do wielkiego sądu i światłości,

Wpadło z północy... Już nie miałem dzieci,
Abym tych trzecich poprzyjmował gości,
I rzekłem: Niechaj już ten piorun leci!
Może zatrzyma się choćby z litości
Wstrzymany chłopka biednego kołaczem,
Lasów szumami, i dzieciątek płaczem...

IX.

Więc gdym rozdzielał na dwa regimenty,
Z rycerzy zamki wypróżniał i chaty,
Kiedy Cydebur na wschód odemknięty
Poszedł, a ja zaś aż po za Karpaty:
Na północ poszedł jeden Wojciech święty
Boso i z krzyżem, gdzie położył gnaty
Umęczon na śmierć... Straszliwa mogiła!
My padli — ona jedna zwyciężyła!

X.

Chorągwie moje krzyżowe podarto!
Gdy mówię — jeszcze serce we mnie lata;
Musiałem z krain leżących za Wartą
Hołdować, abym szedł wydobyć brata;
I część królestwa trzecią albo czwartą
Nakryła moja pokrwawiona szata,
Kiedy popiołu nasypawszy wiele,
Siadłem w suknicy mojéj — na popiele...

XI.

Mówią, że złoto i w popiele świeci. —
Gdy to przysłowie powiesz, to mi wstaje
W myśli mogiła ona przedstuleci
I one dawnych smutków obyczaje,
Gdzie król jak lilia złota z liści leci
I popiołowi wielkość tronu daje,
Kiedy usiędzie i zakryje twarzy,
A nikt prócz Boga cieszyć się nie waży.

XII.

I rzekłem: Pan Bóg mię uniżył srodze!
Srodze mię dotknął Bóg mój, świata książę!
Jestem — jak żebrak zatrzymany w drodze:
Nie wiem, skąd idę, nie wiem dokąd dążę.
Jeśli niewolnik podły ma obrożę,
Cóż ja lepszego jestem? Pan mię wiąże!..
Kwiat jestem podły, i łzy podłe cedzę,
Krynicą jestem łez — na prochu siedzę...

XIII.

Nic podlejszego, jak król hołdujący!
Nie ma nademnie biedniejszego człeka!
Król jestem łaską upokarzający,
Niosę do morza mój lud — jako rzeka!
Ze skał się rzucam w ocean gorący,
Gdzie mię wieloryb niepamięci czeka!
Ślepemu dobrze nie widzieć, gdzie skoczy:
Wydarłeś sławę Panie — odbierz oczy! —

XIV.

I otoczyli mię kołem panowie —
Widzę ich — jacyś starzy sędziwoje
W hełmach, lub w lisich kołpakach na głowie;
Widzę ich szaty długie, widzę zbroje —
Nagle ujrzałem oczy, jak ołowie,
Blaszane, ogień, twarz białą, rąk dwoje,
Potém nic — tylko wielki krąg czerwony...
Wstałem, jak lampa powstałem — zgaszony!..

XV.

Szmer strachu poszedł, bom ręce otworzył
Jak Samson, który szuka gdzie kolumny,
I zatoczyłem się i wszystko trwożył
Mych rąk zamachem — ślepy, bezrozumny.
— Pan mię, krzyknąłem, żywego położył
Na sen w ciemnicę wiekuistéj trumny!
Chciałem przeklinać... lecz mi straszne słowa
Ręką zamknęła na wyjściu — królowa.

XVI.

I dziw!.. usiadłem znowu na mogile,
Czując, że niby kwiat wyrasta wonny
Z popiołów, który ja ku sobie chylę,
Człowiek już nowy jakiś — i pozgonny;
Kiwałem głową... A ciemność nie tyle,
Ile nad krajem ból — a wtenczas płonny —
Uciężał sercu memu, lecz ból cichy,
Ból ojca — próżen wszelkiéj ludzkiéj pychy.

XVII.

I Pan pokazał mi, na jaką sprawę
Zamknięciem oczu ducha mi przeznaczył;
Bo oczy ducha stały się ciekawe
I wzrok mój — twarze swych myśli zobaczył:
Piękności jakieś dziwne — przez mgły krwawe,
Które sam sobie anioł wnet tłómaczył
I póty w myśli pracował zamierzchu,
Aż stanął ducha świat — a duch na wierzchu.

XVIII.

A gdym budował, sny mi jakieś złote
Budować one rzeczy pomagały.
Duch zaczął w ziarnie granitu robotę
Twórczą, i stanął pod Chrystusem cały;
Każdy twór jakąś wypracował cnotę,
A wyższe już ją bez trudności miały,
A Chrystus wszystko ma w jasnym beztrudzie,
I to, co słońca mu robią, i ludzie.

XIX.

I przyszedł mi sen — jakoby sprawdzenie,
Żem był jak anioł prowadzący twory;
A gdzieś u spodu były aż kamienie,
A na kamieniach różne dziwotwory —
Zwierzęta dziwne ubrane w płomienie,
A na nich drzewa różne i kolory —
Wszystko w mgle jakiéjś na dole i w zmierzchu,
A ja na ludziach słonecznych — na wierzchu.

XX.

I w miarę, jakem pana Boga prosił
O przybliżenie słońc — o treść słoneczną:
Duch mój się wyżéj i wyżéj podnosił;
A kto wstępował: w zorzę ciała wieczną!
Lecz gdym ja takie alleluja głosił,
U dołu śmierć się stawała konieczną;
W nizinie, gdzie form była zawierucha,
Smokom — lwom — gadom nie stawało ducha.

XXI.

Takiego strachu wam nie wyobrażę,
Jaki szedł od téj pierwotnéj natury,
Która traciła skrzydła — ognie — twarze —
Oczy z błyskawic — języki z purpury.
Straszne robiły się jakieś cmentarze
Pod tą kolumną, która się u góry
Stawała w formie duchowi poddaną,
Lepszą — jutrzenką przyszłą — już różaną.

XXII.

I rzekłem żonie o wizyi mistycznéj;
A ona: — Właśnie miałam taką drugą,
Która mię róży na niebiosach ślicznéj
Także wiodącą uczyniła sługą;
Ja przyprowadzam górze seraficznéj
Duchy — kwitnące jeszcze dziś nad strugą;
Jam jest dawczynią nawet ptaszków rzeszy;
Gdy lecę w niebo, jaskółka się cieszy.

XXIII.

To sami — a cóż, gdy całym narodem
Zaczniemy ducha ku Bogu podnosić?
Co wiek podwyższać twory jednym wschodem,
Jako anioły winy ludzkie nosić?
Żywot na górze mieć — a śmierć pod spodem,
I duchy niższe w wyższe ciała prosić,
I wierzch obdarzać nowéj formy chwałą,
A tam zabijać w dole grube ciało? —

XXIV.

Któżby zrozumiał!.. Gdy my tak do siebie
Gadali snami, żywota królowie:
Już więcéj ducha niż jest ku potrzebie
Mieliśmy w ciele; więc już w naszém słowie
Była ta siła, która jest na niebie,
A zdolna podnieść do góry ołowie,
Siła... która nas zniżonych kolanem
Porwie i w niebie postawi przed Panem. *)

XXV.

Już tylko chciałem duchów naszych własnych
Dzieje i wszystkie wiedzieć tajemnice,
Nie myśląc wcale już o wzrokach jasnych;
Ciesząc się, że mi ducha błyszczą świéce.
Z naszych ciał obu, jak z dwóch klatek ciasnych,
Leciały białe ducha gołębice
I gdzieś w błękitność podniesione wieczną
Stały na skrzydłach — pod trzecią słoneczną.

XXVI.

I rzekłem do niéj: — Pan Bóg nas wysłucha
I miejsce nasze zastąpi wspaniale.
Oto zaprośmy w dom wielkiego ducha!
Ty w róż go malin — a ja w krwi korale
Święte ubiorę: spełni się otucha
Duchów świętością zlanych doskonale
W trójcę tworzącą, która ciało ciśnie
I dzieli, aż się w jednę skrę — trzy zbłyśnie.

XXVII.

I Pan wysłuchał. I w małéj dziecinie
Przyszedł ktoś wielki, lecz w wielkiej zasłonie.
Téj nie odejmę, aż świat się rozwinie
I zacznie jasno czytać w ciała łonie,

*) „Święty Paweł z Chrystusem spotkawszy się na powietrzu“ — (*przypisek poety*).

I w alabastrach ciał i serc rubinie,
Widząc tę światłość, co jest na Syonie,
A którą wszelka natura podchmurna
Świeci — jak lampą świecąca się urna.

XXVIII.

I znów, o Panie, zgrzeszyłem w niedoli
Cielesnéj będąc; bo kiedy go chrzcono,
Gdy zapytano méj królewskiéj woli,
Jakie mu imię dam razem z koroną: —
Ja w smutku rzekłem: Ach! sława mię boli,
Pomnąc na sławę oręża straconą;
Jak człowiek, który ze snu nagle wstawa,
Trąc oczy rzekłem: Ach! boli mię sława!

XXIX.

I ksiądz rzekł: — Niechże królewskiém cierpieniem
Będzie ochrzcony ten duch nieśmiertelny
I niech mu sławy ból będzie imieniem,
A tą boleścią niechaj będzie dzielny! —
Tak moim bolem i upokorzeniem
Nazwane dziecko; a sługa kościelny
Trzymając w ręku dziecinę kochaną,
Poczuł, że Chrystus przezemnie dał miano.

XXX.

I odtąd jakaś moc podniosła państwo:
Cydbur zwyciężył margrabię Udona
I rozdarł w ręku cesarskie poddaństwo,
Ze krwią wydarte z niemieckiego łona;
Potém się rzucił na pruskie pogaństwo,
A ja trzymałem, jak Mojżesz, ramiona
W górę wzniesione — skamieniony ciałem,
Dopóki walkę na puszczach słyszałem.

XXXI.

I wyszła ze mnie siła — i myślano,
Żem był umarły; a mnie na szkle oczu

Jakieś anielskie wizye malowano,
Cudownie złote w anielskiém przezroczu...
A żona moja pod cedrową ścianą,
Która drży na dźwięk, w kącie i w przymroczu
Organek złoty w lilijach i ziołach
Miała, wiszący na srebrnych aniołach.

XXXII.

Te mu skrzydłami czyniły podstawę,
Klejnoty niby z piór srebrnych trzęsące.
Pierwsze mistrzowe to dzieło ciekawe,
Upodobane méj drogiéj małżonce.
Pomiędzy ludem wielką miało sławę;
Bo tak świeciło z dala, jak miesiące
W domu trzymane, a śpiew tajemniczy
Miało w girlandach tonów — jak słowiczy.

XXXIII.

Ona więc leje ton, drżą suche ściany —
Sklepieniem trzęsie ton ostatni boży;
Zda się, że piorun lub ptak zabłąkany
Próbuje głową w ścianę — aż otworzy...
Potém go jakiś anioł i dźwięk szklany
Rozbija, nową pieśń płaczącą tworzy;
Już nie dźwięk, nie szmer — lecz głosu ruczaje —
Ja ducha — anioł ja... z rozdźwięków wstaje,

XXXIV.

Rozmiłowany tak, że już się jemu
Należą całe niebiosa — zjawione.
Czém jest rząd dany kruszcowi złotemu
Nad metalami, czém kryształy słone
Muszą ustąpić dyjamentowemu,
Czém gasną światła na słońcu — czerwone:
Tém właśnie święty głos ducha przemaga,
Że w nim jest czystość cudowna i waga...

XXXV.

Słysząc głos taki, sny mię anheliczne
Brały całego... Raz dwunastu ludów
Widziałem twarze dziwne, a tak śliczne,
Że na nich była cała boleść trudów;
Każdy zaś jakieś zwierzę symboliczne,
Albo kwiat — z ziemskich oczyszczony brudów,
Wcale duchowy już — na czole sadził,
Albo niósł w ręku, lub ziemią prowadził.

XXXVI.

Naprzód szedł anioł Judy — a słoneczny
Był mu baranek w kwiatach przewodnikiem;
Za nim szedł wielki anioł, zwany wsteczny,
Ścigany wielkim genezyjskim krzykiem,
Blady — i mało zdaje się bezpieczny
Nad swoim dawnym własnym mogilnikiem,
Nad tą otchłanią, gdzie się forma mąci,
Gdzie węże świszczą — a krok każdy strąci...

XXXVII.

Za nim szedł trzeci, już z człowieczym lądem
Obeznan: cichy — podły — pracowity —
Wołem Apisem i złotym wielbłądem
Podparty — mrówką na stopach okryty,
Jak trup przed bożym powstający sądem,
Jeszcze z trumnianych prochów nie obmyty,
Wiecznie pod biczem mocarza pogonny,
Jak trup z grobowca, czarny — ale wonny.

XXXVIII.

A czwarty za nim — młodzieniec z oliwą,
Która to wiécie, że nam w lampach świeci,
Młody — jak tęcza i dziecinne dziwo
I kwiat, gdy go lód ujmie i obleci.
Piąty wiódł u nóg wilczycę straszliwą,
Żelazną, która mu karmiła dzieci
I węża czasu, który w złotych kłębach
Wił się, a ogon swój chciał ugryść w zębach.

XXXIX.

Szóstemu rosło jakieś straszne skrzydło
Już z ducha... jako pół miesiąca, złote —
W ręku kwiat jakiś dający kadzidło,
A bez owocu... Szedł, czyniąc ciemnotę,
I starty z oczu był jak malowidło;
A pierwszy wielką zostawił tęsknotę,
Bo stał na ducha prawego granicy,
A nie stało mu woni w kadzielnicy...

XL.

Jeszczem się dziwił temu, a już oto
Szedł siódmy, dziwny, że bez ziemskiéj treści!
Tęczę miał ciałem — i całą robotą
Swoją, miał tęczę na krzyż się boleści
Owijającą; przyszedł zda się po to,
Aby dał pierwszy o aniołach wieści.
Ten mi się dziwnie, jak sen jaki zjawił,
Poszedł — a cień swój na ścianie zostawił.

XLI.

I cień ten jeszcze jakby człowiek żywy
Ruszał swe członki z cedrowego drzewa,
A jeszcze duch w nim był objawu chciwy —
Gdy nie mógł blaskiem, słyszałem, że śpiewa...
Ósmy mi anioł sprawił mniejsze dziwy,
Chociaż od świata większych się spodziewa;
Ten jak winograd z krzemieni rozkwitał,
Z ziemi nic prawie — z wiatru wszystko chwytał.

XLII.

I rzekła mi twarz jasna, że był czynny
Na wszystkie strony, jak pająk stuoki,
I gotów zawrzéć w sobie, jak szał winny,
I błyskawicą pójść aż pod obłoki;
Lecz gwiazdy na to zadrżeć nie powinny,
Ani uważać Jehowy proroki,
Ani ust moczyć w tych jagód rubinie...
Puśćcie! niech przejdzie ten anioł — i minie!

XLIII.

A był dziewiąty, jak na morskim smoku
I wężu i lwie; ten srodze mię zlękał,
Bo szedł spokojnie w burzy i w obłoku,
A nie drżał, ani z form złożony pękał.
Dziesiąty był z psem i miał go na oku,
A psa na więzi wiodąc, knutem nękał;
Już go rozdrażnił tak na zamach przyszły,
Że pies jak góra rósł — a z oczów skry szły...

XLIV.

A jedenasty mój — w wielkiéj pokorze
Szedł, ale razem i w mądrość ubrany;
W ręku nic — tylko trzymał złote zboże
I karmił — wiatrem ku ziemi przywiany.
Gdy szedł, jam poznał go i krzyknął: Boże!
To mój... Wtém nadszedł dwunasty— nieznany...
I był objawion mi pod tajemnicą
Bez znaków; tylko wiém, że był dziewicą...

XLV.

A gdy te wszystkie przeszły, Syn człowieczy
Stanął i patrzał na mnie, i rzekł: — Janie!
Widziałeś teraz w duchu ziemskie rzeczy...
Przeciw ostatnim dwom — dziesięciu stanie.
Masz syna — czas jest srogi — nakup mieczy,
Zostań, aż przyjdę... I rzekłem mu: Panie,
Przyjdź!.. Wtém mój synek w kołyseczce krzyknął,
Żona przestała grać... i Chrystus zniknął.

XLVI.

Na takie mi sny zamykał powieki
Pan Bóg nie przeto, abym szedł w niebiosa,
Zostawiwszy tu pracujące wieki
I wiatr wiejący ziarno złote z kłosa.
Czułem, żem mego próchna niedaleki,
A coraz większa mię zwilżała rosa;
I kwiat mych myśli czułem coraz słodszy,
Ciało zużyte, a duch coraz młodszy.

PIEŚŃ IV.

I.

I już na łożu śmiertelném, król ślepy,
Leżałem... kiedy przyszła do mnie żona
I różne swoje podawszy ulepy,
Rzekła: — Snem jednym byłam przerażona.
Wczoraj wspomniawszy na Boga oszczepy,
Które miał w sercu, prosiłam ja, żona,
Aby nim przyjdzie śmiertelna godzina,
Tyś jeszcze spojrzał na Polskę i syna.

II.

I po tak wielkiéj zbolałości krwawéj
Dostałam próżnych snów, niby dzieciątko,
Które od duchów ma różne zabawy
Kraszone złotem, smętne gwiazd pamiątką.
Nie wiem, jak takie niesłychane zjawy
Przychodzą, kiedy żywota użątko
W stodołach — a ścierń i cierniowe krzaki
Na polu — jedno puste kwitną maki...

III.

Nie wiem, jak tobie, któryś tu na tronie
Płaszcz purpurowy po męczeńsku nosił,
A lilijami złotemi miał dłonie
Zberlone, a moc Pana swego głosił,
Na tym popiele, jako na Syonie
Czekał, ażby cię czas lecący skosił —
Nie wiem, jak tobie takie sny należą,
Pogańskie prawie blaskiem i odzieżą...

IV.

Otom ja śniła — a sen był tak długi,
Jak żywot cały — że byłam dziewicą
Z dwoma jasnymi mych warkoczów smugi,
Z dwiema gwiazdami — pod jakąś ciemnicą;

A w kącie leżał wąż zielony, długi,
Syczący na mnie skrą i błyskawicą,
Zaryty w ziemię skrzydły, które były
Z rogu — a jako ogniste, świeciły.

V.

Oczy widząca w tym wężowym ptaku
Wyszklone na mnie — litością ujęta
Odjęłam łańcuch, który był na haku,
I rozwiązałam wszystkie jego pęta;
Potém dziw... w gadzie tym i w dziwnym krzaku
Różnych form — jakaś twarz błysnęła święta,
Bo ludzka, złota — mimo resztę cielska
Skrzydły do nieba lecąca — anielska...

VI.

We śnie z nim — zda się, żegnałam na wieki,
Patrząc na jakąś gwiazdę dziwnie piękną;
Potém on zniknął; a moje powieki
W perłach — jak róże, gdy rosą nabrzękną —
I modliłam się gdzieś nad brzegiem rzeki,
W zamku, czekając, aż lody w niéj pękną,
Myśląc, że na tém zdjętém lodowisku
On błyśnie — w kwiatów rozjaśnionych błysku.

VII.

I ducha mego stało się żądanie:
Zaledwo lody pękły na téj rzece,
A piorunowe ich we śnie pękanie
Słyszałam, jak grzmot: zdało się, że lecę,
Że się ten rycerz-smok niespodziewanie
Zjawia — uderza na moję fortecę,
A téj fortecy ludzie moi bronią,
A smok przez trupy sięga po mnie dłonią...

VIII.

Już nie smok, ale ptak... w oknie mię widzi,
Srebrne podnosi skrzydła, do mnie leci;

Lecz w oczach jego znać, że nienawidzi,
A siły tylko piorunami świeci...
Wtenczas — przydomek mająca „jad-widzi“
We śnie, jako kwiat, kiedy się rozkwieci,
Wonności lejąc — w tém oknie stojąca
Zaczęłam mocno wzdychać do miesiąca.

IX.

I coraz silniéj, zda się, coraz wyżéj
W niebo się darłam przez one westchnienia,
Aż jakieś miasto z tysiącami krzyży
Złotych — z brukami złotego kamienia,
Jak słońce, gdy się ku aniołom zniży
I dotknie się tęcz jasnego pierścienia,
Blaskiem słonecznym rażące i chwałą
Zeszło — i coraz niżéj zlatywało.

X.

Na fundamentach jakiś blask — ten samy,
Który w kamieniach drogich ziemskich gore,
W tych fundamentach jakieś ciemne jamy,
A w jamach jakąś srebrną widać korę,
Jak gdyby z jednéj perły były bramy
Na hakach złotą mające zaporę;
We śnie myślałam, że gród jakiś boży
Zamknięty, a Bóg cóż — gdy się otworzy?...

XI.

Panie! zalękła — twoje widząc właście
Słoneczne, twoje wielkie złote wrota
I za wrotyma słoneczne przepaście,
I nad gmachami ze szklanego złota
Drzewo, a na niém miesiąców dwanaście,
W których był i blask i lekarska cnota —
Widząc słoneczne takie malowidła,
Jak dziecko — z rączek porobiłam skrzydła.

XII.

I we śnie, cała zatchnięta rozkoszą
I trwogą, stojąc już na oknie wieży,
Już czując, że mię błękity podnoszą,
A szata jaśniéj błyszczy się i śnieży,
Szłam w błękit... ręce składają się, proszą,
Ramiona jakiś wiatr owiewa świeży,
A reszta członków w błękit i w pogodę
Idzie, jak ryba lecąca przez wodę.

XIII.

A wtém na środku powietrznéj czeluści
Nie stało mi sił... próżno ręce składam!
Czuję, że błękit lekki mię upuści,
A czując, że mię upuści — już spadam.
Reszta snu mego gdzieś na dnie czeluści...
A elementu już tego nie zbadam,
Który mię spadłą z błękitów — z daleka,
Z gwiazd uniósł smętną — zda się, jakaś rzeka.

XIV.

Rzeka, na któréj ja płynąca patrzę,
Myśląca, że brzeg w drugą stronę bieży,
A wszystko w ogniach, ale coraz bladsze,
A straszne jak sen... Ten rycerz na wieży,
Cień czarny w ogniach, gdy nań szatan natrze,
I on w szatana ogniami uderzy —
Na dole ciemność i mrok i żałoba —
Oni na zamkach w mgłach — biją się oba...

XV.

Dzwon taki idzie... i jęk taki pędzi
Za mną, że dusza mi od żalu ginie;
A ciągle jakaś gromada łabędzi
Duchów przybywa — jęczy — za mną płynie,
Pożar gdzieś wielki na kurhanach swędzi,
A kiedy jeden kurhan z oczów zginie
I już błękitne mam przed sobą ługi,
Z powietrza znowu — jak duch, wstaje drugi.

XVI.

Dwanaście takich mogił przeminęło —
Wszystkie jak z jękiem wyrzynane miasta;
Dwanaście mogił ogniem się zajęło
I zgasło — wstała straszniejsza trzynasta:
—„Powiedz, krzyknęła, że ja pańskie dzieło
Niosę“ — a mimo płomieni urasta;
Tu ognie z wielkim buchnęły szelestem —
I znów krzyknęła na mnie: „pieśnią jestem!..“

XVII.

I znów ucichła... i gdym ja w zamgloną
Już odpłynęła krainę — pod drzewa
I księżyc, jeszcze krzyknęła: spaloną...
Krzycząc, jak tylko ludzkie mogą trzewa.
A wtenczas księżyc mi łabędzie łono
Olśnił, i ptaszek, który w nocy śpiewa,
Polał girlandą tonów długą — smętną —
We śnie słyszaną, a wiecznie pamiętną.

XVIII.

Wtém patrzę, rycerz ów znowu nademną
Na jakiéjś wieży, pośród jodeł wianku —
Twarzą zmienioną i strachem nikczemną
Świeci jak miesiąc zielony na ganku;
Przez głowę moję gada... lecz nie ze mną,
Ale gdzieś z wiatrem — lub z gwiazdą poranku,
Albo kometom rzuca groźne słowa —
Straszna, w powietrzu klaszcząca rozmowa!

XIX.

Głos jego wielki raz jak piorun runął
I echa wszystkie jak głazy potoczył;
Z za drzéw kometa straszny się wysunął,
Oczy wyiskrzył na niego — i zbroczył;
A on znów głosem, który z krwią wyplunął,
Wyszedł na niebo, a mnie ani zoczył,
Że ja biedaczka — jako łabędź płynę,
Widzę go — sercem żałuję — i minę.

XX.

Minęłam... co się z nim stało? — ja nie wiem;
Bo zaraz jeden anioł przyszedł złoty
I rzekł: wy wszyscy spaleni żarzewiem
Wchodźcie na łąki te pierwszéj tęsknoty!
Tutaj czekajcie biali pod modrzewiem
Wielkiego miasta ze złotemi wroty,
Które Pan długo na wiatrach nie stawi;
Wołajcie głośno sercem, aż się zjawi.

XXI.

Pierwszą masz hostyą, rzekł, która to miasto
W siłę duchową waszych natur wkłada;
Bierz teraz pierwszą; gdy weźmiesz dwunastą
Jednemi usty — ty — i ta gromada:
Obaczysz, wielka narodów niewiasto,
Jak się w słoneczną gwiazdę świat rozpada,
Jak drży i grozi ostatecznym końcem
I ducha twego wylatuje słońcem.

XXII.

To rzekł; a jam już otworzyła usta,
Już jakaś wielka chwila była blisko,
Już z krwi natura moja była pusta,
Już — jakieś złote jasne promienisko...
Wtém niańka, która moje dziecko huśta,
Krzyknęła: Jezus!... a ja nad kołyską
Widziałam, jako Boża stoi chwała —
Te ognie były na mnie, kiedym spała.

XXIII.

Jakieś płomienie... ty nie wiesz, w przestrachach
Jakie się ognie ludziom jawią w nocy,
Jakby płomienie bijące na blachach,
Szelestu pełne, rąk pełne — i mocy...
—Wtenczas krzyknąłem ja: widzę się w gmachach
Przyszłości!.. jestem jak dawni prorocy!
Przeszłość i przyszłość widzę człowiek żywy,
Bóg ojców moich jeden — Bóg prawdziwy!

XXIV.

I powiadając to, na jednę chwilę
Zamknąłem mocno ściśnione powieki
I rzekłem: czasu mi zostaje tyle,
Ile ty miałaś na strugach téj rzeki;
Oczy me zaraz jak lilie rozchylę,
Bo wzrok widzący tajemnicze wieki,
Kiedy powraca w szyb cielesnych bicie,
Ledwo ma czasu — raz spojrzeć na dziécię.

XXV.

Przyprowadź tu mi wszystkie moje pany,
Na ręku moje mi przynieś pacholę.
Nie wiész, coś śniła i jakieś mi rany
Pootwiérała... i na jakie bole.
Teraz wiém, za co byłem ukarany
I za co ślepy byłem na prestole;
Teraz rozumiem wziętą ze mnie sławę
I miecz... Mam wielką do spełnienia sprawę

XXVI.

I wielką drogę... To rzekłem, a ona
Przyprowadziła wszystkie stare pany;
Sama stanęła z dzieckiem rozkwilona,
A jam się modlił srodze-sturbowany,
Nie chcąc aby mi zadrżały ramiona,
Ani w spojrzeniu wzrok był obłąkany,
Zwłaszcza, że żona i moja królowa
Miała mi w oczach stanąć — duchem nowa.

XXVII.

I przyszli wszyscy. Zbawicielu Boże!
Dajże mi teraz to wielkie wejrzenie,
Które ostatni raz znowu położę
Na ludzie moim — gdy utracę tchnienie;
Daj taki dawny wzrok... i takie zorze,
Kiedyś podobne znowu dał cierpienie;
Daj mi tesame znowu widzieć twarze
Choć w duchu, jeśli je mają cmentarze!

XXVIII.

Wzrok, który w ciągu żoninéj powieści,
Chcąc widzieć ciągle bił krwią we źrenice,
Otworzył sobie drogę bez boleści
I znów zapalił w głowie swoje świéce.
Pany trzymali już na rękojeści
Ręce i mieli na głowach przyłbice —
I duch się nowy w źrenicach płomienił —
Jam śnił... i wedle snu pieśń Bóg odmienił.

XXIX.

Dzieciątko moje nie na rękach, ale
Przy jednéj tarczy — z głową na bok zgiętą,
Zmarszczone, dumne jak orlik na skale,
Gdzie ma z ptaszeczków małych swoje święto,
Patrzał mi w oczy — w te straszne opale,
Które dwa razy na ziemi zamknięto
Rękami duchów z bożego rozkazu,
Choć nie zgrzeszyłem wzrokiem ani razu.

XXX.

Teraz w tych oczach chciwość jakaś wzroku
I łza królewska świeciła dla syna;
I przyszła żona, stanęła u boku
Widząc, że milczę... i drży — jak dziewczyna,
A nie wiedziała, że moc dawszy w oku
Bóg, który z ciała duszę brać zaczyna,
Zeszklił mi włosy — usta mi otworzył,
A w piersi głosu żadnego nie włożył.

XXXI.

Trzęsły się tylko otwarte... a lice
Ciemniało, duch się chwiał — jak światło migał.
Pojrzałem na lud i na okolicę:
Błękit był czysty — lato — sad dościgał;
Wtenczas nie perły już, ale krynice
Stanęły w oczach... ciężkom głowę dźwigał,
Bom czuł, że śmierć mię ta cicha zwycięży,
Już głowa moja jak sennemu cięży.

XXXII.

Nagle z całego ciała, z wszystkich kości
Rzucił się wichrem duch w usta otwarte;
Krzyk ze mnie wyszedł takiéj wspaniałości,
Że gmach spękany — chorągwie rozdarte —
Wiatr wstał — krzyk sądu i sprawiedliwości,
Który nad światem wziął berło i wartę
I ducha mego był wydany lotem,
A wszystko siłą napełnił i grzmotem.

XXXIII.

Wtenczas mię pańskie porwały anioły
I niosły w otchłań, a na téj otchłani
Jako mgły... duchy — wielkie apostoły
Szli — słońc kręgami za głowy porwani,
W chór jeden święty niebieski wśpiewani;
Błękit się cały w duchu stał wesoły,
A glob był niżéj — jakoby pod chmurą,
Zakryty ze mnie lecącą purpurą.

XXXIV.

Tam troska, tam szloch, tam płacz przy tapczanie
Króla — tam ciało, płaczki, świéce złote —
I ciche, piękne, błękitne zaranie
Zdwajało duchom globowym tęsknotę;
To pomną w duchu jeszcze dziś Słowianie,
Którym ja z własnych snów ten wieniec plotę,
Gdy wychodzili jak duchy z otchłani,
Słońcami własnych prac koronowani.

RAPSOD PIĄTY.

BOLESŁAW ŚMIAŁY.

PIEŚŃ I.

I.

Żelazny teraz wam żywot opowiem
Z twarzą podobną do téj strasznéj twarzy,
Która pod szarym kaptura ołowiem
Błyszczy się jak lód, a jak piekło parzy.
Nad księżycowym świecąca się nowiem
Panna mię trzyma na anielskiéj straży
I świecącemi otoczywszy koły
Naucza we śnie przez swoje anioły.

II.

Utratę mojéj u Boga zasługi
Śpiewam i wyjście mego ducha z tronu,
I dzień żywota straszliwy i długi,
Marnie przebyty bez żadnego plonu,
I powrót ducha nad letejskie strugi,
Gdziem pierwszy światło zanosił Syjonu,
Opowiem . . . . . .
. . . . . .

III.

Boże! jeżeli to jest w twojéj woli,
Abyśmy twoim nieśmiertelnym duchem
Wyszli z téj podłéj cielesnéj niewoli
I potargali tym podłym łańcuchem:
Uczynisz teraz, że mój rym zniewoli
Narodu serce — i zawłada słuchem,
Ofiarowawszy kadzidło i złoto
Za rym, pokorny rycerza prostotą.

IV.

Jako właściciel — gdy nabędzie prawa
Do wioski — zbiera najstarszych z gromady,
Chodzi i kopce granic rozpoznawa,
Przekopy — leśne strumienie — lewady,
A przy kamieniu i mogile stawa
I rozpytuje ludzi — a te dziady
Niby wiekową omroczone tęczą
Stają i tak jak pszczoły złote brzęczą:

V.

Podobnie duchem wprzód obszedłem starą
Całą ojczyznę moję — wszystkie ślady,
Wszystkie mogiły... i przed każdą marą
Stawałem smętny, surowy — i blady;
Ażem się wreszcie wskróś widzącą wiarą
Przekonał w duchu, że nie ma zagłady,
I czas od czynów ludzkich nie ucieka,
I zwyciężona jest śmierć przez człowieka.

VI.

Oto ja sługa twój przyszedłem nowy
Na jakiś zamek — poważny i stary,
Od tarcz rycerskich, jak dom księżycowy,
Poczerwieniony przez stare sztandary;
Gdziem spojrzał — skrzydła orle, ludzkie głowy,
Pobrane ze snów dawnych twarze, mary —
Wszystko — prócz wiedzy w duchu, że ci sami
Gwiazdami byli niegdyś i słońcami.

VII.

Nawet ta dawniéj na wiatrach grająca,
Któréj na głowie gdzieś gwiazdy prześliczne
Tak jako krążek srebrnego miesiąca
I skry i głosów narzędzia muzyczne
Ducha wabiły — gdy przelatująca
Spadała w lesie na kopce graniczne:
Nawet ta Pani twarzy dawno znanéj
Przyszła — uboga, w postaci siostrzanéj.

VIII.

Nawet duch straszny ów pieśniarza, który
Leciał za wieńcem pańskich apostołów
W kopułę ducha z ognistéj purpury,
Gdzie szli... porwani słońcami kościołów —
Nawet ten od słońc, które jako chmury
Wylatujące z grobowych padołów
Unoszą z sobą w górę świętych ciała,
Odstał... i stanął na skale — jak skała.

IX.

Wszystko gotowe: berło w moim ręku,
Me duchy przy mnie, cały świat podemną.
Jeżeli teraz z serdecznego jęku
Nie wydobędę — jeno pieśń nikczemną;
Jeśli mnie mój lud nie pozna po brzęku
Zbroi: to jeszcze tu raz nadaremno
Przyszedłem, gdzie nic duch-anioł nie tworzę,
Jeszcze raz... próżno tu przyszedłem, Boże!

X.

Wokoło nowa już jakaś kraina,
Cała żelazna i cała ceglana,
Śpiewa żałośną pieśń do Hospodyna
O raj — o żyto — o dobrego pana...
Na tarczy srebrnéj królewska dziecina
Przez chłopki i przez pasterze witana
Wid aniołowy swój powoli traci —
Niańczą ją czarni rycerze skrzydlaci.

XI.

Czasami dusza — wyjrzawszy oczyma —
Na jakiéj tarczy, wielkiéj słonecznicy,
Albo na strasznéj twarzy się zatrzyma,
Albo na miecza strasznéj błyskawicy.
Jeszcze nie mówi nic, a już się zżyma
I świat zahacza oczyma orlicy
I duchy swoje w ciałach rozpoznawa
Dziwnie uważna — sroga — i ciekawa.

XII.

Już nie przez mękę i cierń i pokorę
I żywot króla-żebraka, harfiarza,
Ale przez myśli w czyn zmienione, skore
Chce zdobyć niebo. Świat był dla mocarza!
Na karmazynach mnóstwo orłów gore
Srebrnych, i mnóstwo kwiatów z trybularza
Przed obrazami świętych czyni tęczę:
Wesołość wszędy — i lata młodzieńcze.

XIII.

Matka koronę mi na czoło wkłada,
Wkoło biskupy — pany — wojewody...
Lud cały w rynku na kolana pada
Krzycząc: witaj ty nam, hospodyn młody!
Dzwon z aniołami coś na niebie gada —
Serce drży we mnie — oczy pełne wody,
Berło drży w ręce i czoło się zgina,
Anioł coś we mnie smętny przypomina.

XIV.

Błysk jakiś... dawne te kurhanne dzieje
Przeszły żałośnie jak sen przed źrenicą;
Wiatr je rozpędził... i znowu jaśnieję
Duchem w cyprysach — kwieciem — błyskawicą —
Wiatr muzykami napełniony wieje
Nad moją nową wesołą stolicą;
Ja jeden słyszę piosnkę doskonałą,
Jak gdyby w mojéj coś koronie — grało...

XV.

I poczynałem już, jak człowiek stary,
Przenikać myślą świat, który jest ducha;
I przyszły na mnie wszystkie święte dary:
I moc — i wielka przed Chrystusem skrucha;—
Gdym przejrzał moje podarte sztandary —
Jak człowiek, który głosu z nieba słucha —
Poznałem... którzy kądziel w duchu przędą,
A którzy królmi byli — i znów będą.

XVI.

I tak ja, sędzia tronów — jeszcze młody,
A już na boskiéj mądrości oparty,
Spokojny, mocny, i pełen pogody,
Ze światem w rękach — odprawiałem warty;
A świat mię witał — i spędzano trzody
Na rynek, aż przed zamek wszem otwarty,
Spędzano do mnie te stworzenia boże,
Bym błogosławił je — i kwiat i zboże.

XVII.

Często gdy spojrzę, to jak falki srebrne,
Jagnięta — ludki ubożuchne moje,
Którym są ręce królewskie potrzebne,
Stoją — a ja jak krzyż nad nimi stoję;
I duchy mi się poddają służebne,
Jaskółki siostry wlatują w pokoje,
Niebo od orlic rozgwiażdżone świta,
Żywot mię cały zna — i królem wita.

XVIII.

Bywało — stare przychodzą pastuchy
I gdzieś po kątach z miłośną pokorą
W grubych obuwiach, tak jak leśne duchy,
Patrzą... i króla cień do lasów biorą.
To potém — Bóg wie, jak tam w zawieruchy
W śniegach, przy ogniach, piszczałeczek korą
Wydęte imię moje w lasach było,
Bóg wie, jak długo dzwoniło — i żyło.

XIX.

Może dziś jeszcze są te dziwne echa
O koron duchu, o komnat świetlicach,
O twarzach, w których sam Bóg się uśmiecha...
Może gdzie — w górnych Karpat okolicach,
Może gdzie — w czarnéj chacie u Polecha
Baby przy blasku guślarskim księżyca,
Gdy myśl odemkną, a oczy przymrużą,
O takim królu pomną — albo wróżą...

XX.

Taki był piękny wschód mego żywota,
Taki początek moich przyszłych czynów;
Moc wielka, świętość, cichość i prostota,
I duch — i nad nim gołąb — śród bursztynów...
A już duchowie, którym ludzka cnota
Zabrania małych a ognistych czynów
I wejście w ciało widzialne utrudnia,
Lecieli na mnie chmurą — od południa.

XXI.

Są święte w duchu globu tajemnice,
Z których nie trzeba, bym wszystkie wyjawiał;
Są na sztylety i na błyskawice
Zaklęte duchy! są, którem ja zbawiał;
Są żeńskie, wietrzne — albo też ognice,
Albo te, które na swych muszlach stawiał —*)
Duchy, co mają pas i wieniec lity
Z morskich świecących roślinek uwity...

XXII.

Te naprzód — gdy się w myśli ludzkie wkształcą,
A szatan je tu do pracy napędza:
We snach człowieka napadają — gwałcą —
Każda, jak anioł cudna — zła, jak jędza,
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

*) W tém miejscu jest coś pomylonego. *P. W.*

XXIII.

Gdy tak o wielkiéj marzyłem budowie,
O bożych sprawach: zły duch stał na drodze.
Matka mię naprzód ruska, będąc w zmowie
Z Ihumenami, wychowała w trwodze.
Sama na postach chuda, jak ołowie —
Czarna, jak obraz spróchniały przy drodze,
Umarłych ludzi miała żółtą białość,
Trumniany w szatach powiéw — i spłowiałość.

XXIV.

W światach pośmiertnych ciemno nauczony
Bałem się matki straszliwego wzroku,
Który był złoty — szklany — i zielony,
W dołach wychudłych tonął, jak w obłoku;
Krzyż, zda się, grecki ze swemi ramiony
Jak błyskawica się rumienił w oku
I straszne koła na dwoje przecinał,
A we mnie tonął ostry — jak puginał.

XXV.

Te oczy wielkie — jasnością zieloną
Dziś za mną chodzą upięknione czasem;
A na tych oczach iskry złote płoną,
A szata brzęczy i szumi atłasem.
Ona mię w salę raz wniosła czerwoną
W habicie mniszym, przewiązana pasem,
I na tron polski pusty wszedłszy ze mną,
Sama uklękła na ziemi przedemną...

XXVI.

I rzekła: — W tobie jest krew Włodzimierza
Świętego! Miałam ducha objawienie,
Że ty za Rossyą weźmiesz mękę krzyża
I cierń — i ćwieki... ocet i ościenie.
Przysiąż! bo śmierć się moja szybko zbliża.
Że ty za moje dalsze pokolenie
Weźmiesz zgon taki dobrowolnie krwawy,
Jak Chrystus: z ducha wiem, u złotéj-hławy.

XXVII.

Słysząc te straszne, ciemne, krwawe słowa,
Nie rozumiałem nic prośby matczynéj.
Tylko ta złota jakaś straszna głowa,
Krwi żądająca, na mrok wyszła siny
—Przysiąż! krzyczała; a sama królowa
Oczy topiąca we mnie jak bursztyny,
Krzyczała: przysiąż! rączki mi podniosła —
Jam drżał — i przysiągł! A przysięga rosła

XXVIII.

Aż przez trzy wieki!... Któżby nie zajrzawszy
W krainy ducha, wiedział: co to znaczy,
Że jednych słów jest kolor w oczach krwawszy,
Inne jakoby z tęcz wite przez tkaczy,
A drugie — całą woń swoję wylawszy,
Gdy przyjdą na ton wieszczowi w rozpaczy,
To w długą rymu kładną się kolumnę
Bezwładne — ciche — jako trupy w trumnę?

XXIX.

Więc kiedy trzeba, to ci w ludzi usta
Duchowie kładą żyjące wyrazy:
Czasem są jako błyskawica pusta,
Monumentalne rumieniąca głazy...
Czasami niańka małe dziecko husta,
A w pieśni boże mu daje rozkazy,
A sama nie wie, jakie w pierś dzieciny
Wrzuciła ziarno — aż zeń wyjdą czyny...

XXX.

Przysiągłem matce, jak człowiek w pośpiechu —
Kiedy mu wielki cel na oczach stoi —
Dar z tego robi co ma, a uśmiechu
Nie traci, bo już głodu się nie boi.
Nie tak z biorącym! ten się czuje w grzechu,
Że jako żebrak czyhał u podwoi,
Ażeby płaszcza ukroił połowę
Z tego... kto idzie — za świat dawać głowę...

XXXI.

Wnet na tę ruską księżnę duchy wpadły
I mordowały za wziętą przysięgę.
Ja tylko jeden z temi się widziadły
Widziałem! Czasem wzięła świętą księgę,
I na tych kartach — jak szarańcze, siadły
Czarty! Czasami przez większą potęgę
Swe kościotrupie skrzydła, piersi w ranach
Cienie okropne jawiły na ścianach...

XXXII.

Woskowe świéce kijowskie cerkiewne,
Pomalowane w kwiateczkach i w złocie,
Na siostrę moję Świętochnę królewnę
Raz zaszeptały... a dziecko w tęsknocie
Stało się blade, posępne, i rzewne —
I jakby anioł jaki na odlocie,
Śpiewało... dawne swoje smętne biedy
W ruskich piosenkach z imieniem Łabedy.

XXXIII.

Nikt jéj nie uczył; lecz matki komnata —
Pełna obrazów, świéc, kadzidł i ziela
Jakby z innego podziemnego świata,
Z ziemi kryształów, kruszców... a od wiela
Świateł rozgrzana, a ciężko bogata,
Z czarną indyjską twarzą Zbawiciela —
Wywiodła swój duch i pod obce dachy
Swe wnikające przyniosła zapachy.

XXXIV.

Ileż mię razy potém cerkiew ruska,
Gdzie pop krzyżami się jak szatan łamie
I świécą swoją w świętéj wodzie pluska,
Jak trup brodaty, blady, w złotéj bramie —
A na obrazach coś, jak węży łuska
Błyska, a trupy mnichów leżą w jamie —
Pomimo żem się czuł pod bożym dachem,
Smętnym i dziwnym odepchnęła strachem!

XXXV.

Zdawało mi się, że mię znowu bierze
Ta matka, kornie na kolana pada
I swój duch, w swojéj zczerwienionéj wierze
Błyszczący, swemi ramionami wkłada,
Duch chwytający — kto się nie ustrzeże,
A w sobie głośniéj miłością nie gada,
Niż one głosy mających obróże
Krzyczące z prochów, z krwi: pomiłuj Boże!

XXXVI.

Szczęściem, że prędko onę pustelnicę
Ruską wyniosły od nas duchy nasze.
Poszła... a w sieniach puste błyskawice
Zamiotły puste już po niéj poddasze.
Wszakżem ją kochał! przez tę tajemnicę,
Która pomimo ciał troistą czaszę,
Zawsze na jeden ton ponastrajane
Trzyma trzy duchy — już raz w jedno zlane.

XXXVII.

Są rzeczy, które tylko strach duchowy
Widzi. Gdy konie rżą — gdy trąby huczą —
Gdy duchy wyszły już z ciał do połowy —
Gdy krwią się myją, a w płomieniach płoczą —
Gdy nad kitami hełmów — duchów głowy,
A instynktowi ciał miecze poruczą —
Gdy zawrót głowy na świecie przemaga:
Wtenczas na rzeczy boskie jest uwaga.

XXXVIII.

Dawno już w grobach leżeli rycerze,
Którzy pod Chrobrym ludy wojowali,
Pieczyngów zgraje i Kłobuków wieże
Na kołach. — Gdy się step cały zapali:
Nie tak skrzydlaty anioł ognia bierze
Szybko, jako ci świat w ramiona brali
W ciągłym pośpiechu, w ciągłym marszu, trudzie,
W zbrojach żelaznych — z błyskawicy ludzie!

XXXIX.

O nich mi stary dyak, sługa matczyny,
Często powiadał niesłychane rzeczy:
Jak te nieczyste duchy — pół Rusiny,
Świat cały kłuli tysiącami mieczy;
Jak na zielone kijowskie doliny
Jechali — carom ruskim ku odsieczy
I zamieszkali długo w ruskiéj ziemi
Pod kopułami jak słońce złotemi.

XL.

Duch we mnie inny — litośny i boży
I sprawiedliwy, i miłośnik prawa —
Często bywało tak się w ciele sroży,
Gdy mu ta ruska pieśń ognia poddawa:
Że nie swój czuje gniew, a sam się tworzy
Z cudzego czucia... tak że złota sława
Już mu na oczach i na celu błyska
I we śnie dziwne mu stawia zjawiska.

XLI.

Raz, zda się — ciało swoje zrzucił młode,
Które mu we śnie aniołowie strzegą,
A sam gdzieś poszedł pod błyszczącą wodę
Zobaczyć słupce żelazne Chrobrego.
Jeden był dziwny; zda się, że miał brodę
I twarz ogromną z kręgu miesięcznego,
Po pierś wsadzony do piasku mogiły,
W któréj gdzieś trąby mosiężne dzwoniły.

XLII.

Słupisko jakieś — z księżycową twarzą —
Przedemną wodę rozsiekło w dwa pręgi;
W żelaznéj marze tak się oczy żarzą,
Jako czerwonych miesiąców okręgi;
W koło sen: Nimfy zbiegają się, gwarzą
I tęcz podwodnych różanemi wstęgi
Opasują go. Duchowa kraina
Brzmi cała wielką pieśnią Słowianina.

XLIII.

— „O fundamencie! (mówią) tobie wieki
Na twojéj głowie nosić będzie dano.
Z Dnieprem ty się łam, aż przyjdzie daleki
Czas, że te fale przed proro'kiem staną.
Ty wtenczas wyjdziesz na świadectwo z rzeki,
Jak upior — z twarzą wstydem rdzy rumianą,
A pierwéj każesz, aby ciebie z pleśni
Obtarłszy, srebrnym pokazano w pieśni.

XLIV.

„Wtenczasto z lampą onę Amfitrytę
Przywoła król-duch, i ludom pokaże
Te srebrne orły na tobie wybite
I tych napisów zasłonięte twarze.“...
—Taka pieśń państwa podwodne i skryte
Smęciła, kiedy przy żelaznéj marze,
Która do wody szła — pianami biała —
Druga, straszniejsza upiornica wstała...

XLV.

Tam, gdzie słupowi pod nogami było
Mulisko wodne i czarne rośliny,
Straszydło jakieś straszne się ruszyło
Wkoło wodnemi obwieszone śliny;
Niespodziewany pod wody mogiłą
Ruch spłoszył srebrne wodnice, dziewczyny;
Wszystkie rozbiegły się na wód zielenie,
Roniąc za sobą kwiaty — i płomienie.

XLVI.

Zbielała woda — jakby po odłocie
Łabędzi; a w téj zamroczonéj bieli
Jam patrzał przez gwiazd i przez kwiatów krocie
Na straszne widmo wstające z topieli.
Jakiś słowiański Bóg, zbudzony w błocie
Wstawał powoli... i z czarnéj pościeli
Podnosił piersi, ciesielską robotą
Rzezane — jednę dłoń — i głowę złotą.

XLVII.

Był to Bóg dawny gniewu Perunnego
Stojący niegdyś nad Kijowa zgliszczem;
Włodzimierz kazał bałwana złotego
Zrąbać i zrzucić w Dniepr pod horodyszczem.
Tocząc się jęczał — a od jęku tego
Górę nazwano bałwana bremiszczem
(Brzemieniem jego). Dzisiaj polska noga
W bagnie ruskiego nadeptała Boga...

XLVIII.

I wstał — i postać się okropna wzmogła,
Świecąc łbem złotym na wodnéj zieleni;
Lecz ręki jednéj wydobyć nie mogła,
Którą słup trzymał wbitą do kamieni.
Jedna ze śmielszych Rusałek pomogła
I gryzła ząbkiem w granitowéj rdzeni,
Aż dłoń zjedzoną mając przez korale,
Wypruł się straszny złotogłów na fale.

XLIX.

Krzyk poszedł straszny z wszystkich gór Kijowa,
Które rycerstwem i ludem okryte
Patrzały, jako słup do wody chowa
Czoło — młotami huczącymi bite...
Krzyk wstał, gdy naprzód złota Boża głowa,
A potém ciało po pierś wydobyte
Pokazało się z wód — i wyżéj łona
Dłoń, koralami dziurawa — zjedzona.

L.

Zda się, Bóg stary miastu przypominał,
Jako wleczony był ze świętéj góry;
Jak lud urągał, jako mu przeklinał
I kazał czynić to, co czynią chmury:
Bić piorunami! A grzmot już zaczynał
Wężykowemi po niebie purpury
Dodawać Bogu płynącemu mocy
I strachu, że był płynąc — jak prorocy...

LI.

Tam gdzieś, na górze, Chrobry w złotéj zbroi
Z rycerstwem swojém skrzydlatém — pan świata...
Tu niżéj, ruski lud pod chmurą stoi,
A błyskawica gniewu nad nim lata.
Tu Bóg drewniany — gromów się nie boi,
Lecz błyskawice w boże włosy wplata
I płynie w ogniach, jakby rzeczywiście
Pioruny na łbie miał i złote liście.

LII.

A była nawet jakaś litość smętna
Na twarzy Boga płynącego w morze,
Która wielkości Kijowa pamiętna
Patrzy na miasto — a stanąć nie może!
Fala zeń takie wydobyła tętna,
Jakie ty z wieszcza wydobywasz, Boże,
Gdy mu na oczach naród stoi miły,
A ciało niesie do wielkiéj mogiły...

LIII.

Dwa razy wyszedł na brzeg, i na skały
Kładł swoję dźwięczną i jęczącą głowę;
Dwa razy wojska drągami spychały
Boga — te miejsca dziś zwą perunowe —
Chciał spocząć, i znów gdy płynął, zuchwały
Groził — aż wstąpił na progi Dnieprowe,
Jeszcze raz głową jak sen zamigotał
I wpadł w przepaści wodne — i zgruchotał...

LIV.

Komu nie znana posągów wymowa,
Kto serc bijących w kolumnach nie słyszy,
Kto dziś na złotych równinach Kijowa
Nie słyszy dzwonu boga w stepów ciszy:
Nie pojmie, jak ja wysokiego słowa
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

LV.

Wiecie, co może w duchu pieśń, gdy wpada
Jak piorun złoty i aż w serce leci.
Bywało — jak wróg patrzę w tego dziada
Śpiewaka: a gad jemu w oczach świeci...
Ta była pierwsza strasznych duchów zdrada!
To matki we mnie krew, na żywot trzeci
Duchów szatańskwem w żyły moje wlana,
Abym czuł sługę w mym duchu — i Pana.

LVI.

Ale nie zawsze taki sen rumiany
Droczył mię, w duchu obudzając zwierzę;
Bo czasem smętne Popiela kurhany
Zbiegałem we mgłach — i łąki i wieże:
To sen w cyprysy posępne ubrany,
To jakieś wielkie koralowe wieże
Wstają... a dzisiaj gdy serce zaspało,
A duch go zbudził — to najjaśniéj wstało *)
. . . . . .
. . . . . .

PIEŚŃ II.

I.

Któż cię, mądrości, ma? Kto dzisiaj szuka
Pod korą ciała pierwszéj ciał przyczyny?
Czekacież, aż Bóg ciała poroztłuka
I wam pokaże wasze własne czyny?
Któż wie, że ojciec jako duch aż w wnuka
Musi przeskoczyć w rodzie przez dziewczyny,
A synów swoich ustąpi posąga
Dla duchów, które miłość matki ściąga?

*) Właściwego zakończenia pieśni téj brakuje.

II.

Któż wie, jakie ma w domu swoim kwiecie,
Jak przed złodziejem zamknąć formy wrota?
Lud Izraela to wie — wy nie wiecie.
Taka jest nędza wasza i prostota!
To też wam cudzy wiatr domy zamiecie,
Aż ktoś tam czoło polskie zakłopota,
I zacznie Boga przyzywać w żałościach,
Widząc te pustki ducha w polskich kościach.

III.

Postawmy polską myśl nad poduszkami,
Postawmy wiary naszéj Archanioły,
Postawmy myśli serdeczne nad nami
I pieśń z otwartą myślą, jak miecz goły —
Niechaj machają w ciemności mieczami
Te wielkie stróże nad sennemi czoły,
A nikt się taki do nas nie przybliży,
Który nam w staréj naturze ubliży.

IV.

A nie dlatego, bym miał jaką wzgardę
W sercu jak człowiek przeciw człowiekowi,
Ale chcę, aby zamki były twarde
Na tych granicach, które duch stanowi,
By polskie duchy tém przed Bogiem harde,
Że się poddają jedynie duchowi,
Że przymuszone być z ciała nie mogą
Przeciwko vetu swemu — żadną trwogą!

V.

By duchy, które mają to z Chrystusa,
Że veto swoje na wspak światu kładą,
Nie brała żadna cielesna pokusa
Iść za zwierzęcą i niższą gromadą,
Która pod biczem lub w galop lub kłusa
Leci — chociażby przeciw Bogu — stado!
I piersi naszych wielkich natur porze,
A myśli, że duch i pan Bóg pomoże.

VI.

Lecz biada matkom, które się nie bronią
Piekielnym duchom... w przeszłość odwróconym,
A małe dziatki do przysięgi skłonią
Takim wyrazem strasznym i zjawionym!
Im większy jest duch, tém hojniejszą dłonią
Szafuje serca rubinem czerwonym,
W chwili podpisze rozdać to na braci,
Czego przez roków tysiące nie spłaci.

VII.

O! straszne duchy, obciążone srodze
Własną miłością i wszechmocną wolą!
Oto wam dawne skrypta wynachodzę
I pokazuję, czemu serca bolą...
Albo wy, albo wasi więksi wodze
Poprzysięgali i sobą i rolą
Łamać przed niebem stojące zapory —
Dziś poszła rola już na kredytory.

VIII.

O! czemuż nie mam dziś téj władzy Pana
I téj młodości i tego żelaza
I szczerbatego u boku polana,
Na którém była wiekopomna skaza?
Żelazna cała — i cała ceglana
Była już Polska... a każda obraza,
Która w niéj ducha jednego pobrudzi,
Zaraz rozlana — szła na wszystkich ludzi.

IX.

I straszna jakaś ta czystość związkowa
Rosła i wszystko trzymała jak w snopie;
Tak że ja, straszna wtenczas ludu głowa,
Mogłem być nawet obrażony w chłopie!
A ze mnie też szła dusza narodowa
I w dziada mego stawała okopie;
A ten szeroki duch miał wtenczas skrzynię
Na Elbie, Sali — i Dnieprze i Dźwinie.

X.

Na każdéj wieży czułem, co się dzieje,
Chociażby stała na granicy rogu.
Żadni mię podejść nie mogli złodzieje,
Bom wszystko widział wtenczas w Panu Bogu;
Ani mię podłe bawiły turnieje,
Gdzie sobie duma skacze po rozłogu
Na białym koniu i duch niewiast bierze,
Kiedy się w kwiatki złocone ubierze...

XI.

Blichtr sława! droga narodom daleka,
A na zabawki ludzkie nie ma czasu!
To też do króla, śmiałego człowieka,
Obracał się świat, który był z atłasu...
Nie będę mówił — bo mgła nie powleka
Sprawiedliwości ani też hałasu,
Który czyniły króle pospadane,
Ciągle przezemnie na tronach stawiane.

XII.

Raz taki Bela, który swym okrętem
Nie umiał płynąć... chciał mi na ramiona
Miecz włożyć, z ducha swego sakramentem —
A Boga może mi wypędzić z łona!
Próżno! — Mój anioł wielki — z wielkim wstrętem
Odrzucił obce piętna i znamiona,
W które szedł człowiek jako w trumny chłodne,
Tracąc dziewictwo ducha samorodne.

XIII.

Bracia duchowi tego nie przeczuli,
Na czém stanęło moje biédne zdrowie:
I gdy najstarszy — choć najmłodszy z króli —
Stałem żelazny na rynku w Krakowie
I sądził sprawy, na złoconéj kuli
Trzymając rękę, jak na świata głowie —
Bo sprawiedliwość z Bogiem przed oczyma
Przez duchy nasze ten świat w ręku trzyma —

XIV.

Gdym stał żelazny — wyżéj mego gminu,
Jako kłos prosty — z orłem na przyłbicy,
Na rubinowéj szmacie karmazynu: —
Spojrzawszy w ciemność rogatéj ulicy,
Duch zadrżał we mnie; i berłem z bursztynu
Dał drogę jednéj cudownéj dziewicy,
Myśląc, że jakiś płacz idzie bezbronny,
Któremu ja dam głos i plac przestronny.

XV.

Ucisk, myślałem, który się w sierocie
Do tronu śpieszy — dostać się nie może.
Stanęła... oczy czarne były w złocie,
I tak błyszczały otwarte — jak zorze;
Włos miał ten związek, który bywa w grzmocie,
Gdy go po środku wezmą ręce boże:
Na samém czole własnym zwity pętem
Błyszczał jak gwiazdą jednym dyjamentem.

XVI.

Z téj gwiazdy, z oczu — jakieś niby błędne
Rozpajające ducha szły promienie;
Szaty — jak na wiek, miała nie oszczędne,
Ale królewskie; a w uszach — pierścienie.
W licu — tę bladość, która mówi: więdnę,
Chcąc być na słońcu, a ukryta w cienie;
Na ustach — koral z najświeższych szkarłatów,
W ręku — ulotne dwie girlandy kwiatów...

XVII.

Myśląc, że piękną — a przez moje panki
Wstydzoną — moją dobrocią ośmielę,
Rzekłem: — Dzieweczko, wstąp tu na te ganki
I mów czego chcesz? śmiało — jak w kościele...
A wtenczas ona, swe kwiatowe wianki
Wiejąc tam i tu... uszki swe jak skrzele
Zarumieniwszy rubinami piekła,
Nie odwracając oczu ze mnie — rzekła:

XVIII.

—„Mieszczanka jestem, z kupca urodzona,
Ochrzcona na chrzcie imieniem Krystyny;
Miasto wie całe, żem prawie szalona,
Bom jest odważną na nieznane czyny!
Słysząc, że ty masz mądrość Salomona,
Przyszłam cię podejść podstępem dziewczyny.
Oto są wieńce — jeden jest prawdziwy,
Drugi skłamany; poznaj — gdzie był żywy?

XIX.

„Sama kłamałam ręką jasne róże,
A tchnienie mi też pomogło dziewicze
Otwiérać serca schowane w purpurze
I złocić białym lilijom oblicze.
Te drugie kwitły na wiślanéj górze
I z trupów mają wonie tajemnicze...
Poznaj, jeżeli jesteś Pan nad Pany:
Które ja rodzę? a które kurhany?“

XX.

Skończyła. A ja... o! najpierwszy grzechu!
Całego ducha wnet użyłem na to,
Abym tę sprawę — tak wartą uśmiechu,
Rozsądził jako Brutus, albo Kato...
I oczy moje sądzące w pośpiechu
Już ją widziały kwiatami skrzydlatą,
Ulatującą gdzieś na rynku cieniach,
Całą w iskrzycach, w gwiazdach i płomieniach.

XXI.

Wstyd rozczerwienił mi twarz moję ciemną
Barwą z natury podobną do cegły;
W płomieniach byłem — a ona przedemną
Ciągle... a oczy w moje oczy biegły.
Wtenczas ja myślą westchnąłem nikczemną
Do tych aniołów, które ducha strzegły,
A ci — zaklęci duchem nieśmiertelnym —
Zaraz mi dali pomoc... w roju pszczelnym.

XXII.

Właśnie te złote owadów żórawie
Leciały sobie nad placem — z tym brzękiem,
Jaki ma trąba dzwoniąca o sławie,
Smętna — z narodu pomięszana jękiem,
Gdy o nieszczęsnéj dla ludu rozprawie
Z daleka mówi wołaniem i dźwiękiem;
Takim leciały otrąbione krzykiem
Pszczoły, złocistym po niebie strumykiem.

XXIII.

I zrozumiawszy aniołów przestrogę,
Zaraz z uśmiechem rzekłem do dzieweczki:
—„Ja twoich kwiatów rozeznać nie mogę,
Ani rozsądzić o prym takiéj sprzeczki;
Lecz oto pszczoły tędy mają drogę,
A ja moc w berle, zakląć te pszczółeczki,
Aby królowe z Boga naszych ulów
Zjawiły mądrość — nad mądroście królów.

XXIV.

„Bo wiédz, że pszczoły są sędziami kwiatów;
A kwiaty sądzą też niższe żywioły:
Ziemię i strumień, jak my z majestatów
Sądzimy niższe; nas — tylko anioły!
A sądy są też między sobą światów —
I są też słońca rozcięte na poły
Mieczami komet, których wielkie kroki
I twarze — pełnią złotych słońc wyroki.

XXV.

„Drżyj, żeś tu śmiała, gwiazdo osrebrzona,
Pokazać twoje promieniste lice!
Bo oto leci kometa czerwona,
Ta — która jak kat, rozcina księżyce.
Już tu...“ To mówiąc, podniosłszy ramiona,
Rzuciłem brzmiące ulów robotnice;
Te zaś (nie wielkie to u mądrych dziwo)
Wybrały kwiatów girlandę prawdziwą.

XXVI.

Z razu brzęk tylko w różach, i organki
Głosów z lilii szły, jak źródło szemrze;
Nagle zczerniały one jasne wianki —
Zgrubiały i złe stały się, jak węże...
Potém brunatno złoty włos mieszczanki
Zabrzęczał! Jak chłop, gdy rzuca oręże,
Gdy opadnięty jest gdzie na podjazdach:
Tak biegła na mnie w pszczołach—niby w gwiazdach...

XXVII.

Nie!.. dotąd widzę, widzę roziskrzoną,
Lecącą w gwiazdach, w kolorach, w mamidłach;
Czuję, jako duch duchowi obroną
Był, a już drżący jak ptaszyna w sidłach.
Jam ją z powietrza wziął na moje łono,
Jak ogień... i wiatr muzykalny w skrzydłach,
I chwilę czułem, jak na mojém łonie
Przestrach mię mrozi jéj — a miłość płonie.

XXVIII. *)

Nagle rzuciłem od łona jak węża
Tę mieszczkę — i z krwią, błyskawicą w oku
Krzyknąłem: by jéj znaleziono męża,
A dano posag! A wzrok mój w obłoku

---

*) Zamiast téj strofy, była pierwéj napisana, a następnie przekreślona, następująca zwrotka:

I groźny, jak lew — czuciem własnéj winy,
Oddałem ojcu omdlałą i rzekłem:
Nie kupcz mi ciałem jasném téj dziewczyny,
Bo aniołowie ci zapłacą piekłem!
To mówiąc, szedłem sam, z kwaśnemi drwiny
Przeciw słabościom, których się zarzekłem,
Na nowo Bogu ślubując w mogiłę
Donieść duchową całą woń i siłę.

Widział to, co świat Homera zwycięża:
Bogi w płomiennym rozemdlone mroku,
Piorun wcielony(?) do niebios szkarłatów
Sen gwiazd — i nagłe urodziny kwiatów.

XXIX.

I od téj chwili stałem się ponury;
Miałem dla ludzi chwile niewidome...
Miłując miesiąc, gdy na czarne mury
I tarcze — srebra swoje kładł ruchome,
Sam jeden w płaszczu, jak dawniéj, z purpury
Witałem myśli dawno gdzieś znajome;
A tych straszliwa krwawość i pokusa
Straszliwszą była — przy blaskach Chrystusa!

XXX.

Toczyłem walkę; a jeszcze nie była
Miłość, lecz pożar krwi ducha mi palił.
Ta mieszczka piękna za mąż wychodziła,
A jam się na to Panu Bogu żalił,
Żem nie był kupiec... Takto Bóg przysyła
Los, który tronem duchowi podskalił:
A duch się ogniem pożarnym zapali,
Na czarny zgore proch — i sam się wali.

XXXI.

Zamiast w związku być z duchowém ogniskiem,
Oto duch niebo nad sobą zamyka;
A żagwi ziemskich szuka ducha błyskiem,
Jak ogień końcem złotego języka;
A ziemia mu jest wichrowém igrzyskiem,
Mało co lepsza już od wężownika,
Skoro ojcowstwo nad duchami straci
I nie za dzieci ma złe, lecz za braci...

XXXII.

Wtenczas to duchy przedemną zadrżały.
Widząc że jestem na wszystko odważny;

I rzekły sobie ludy — żem był Śmiały,
A jam był tylko człowiek nieuważny;
I piorunowe ducha mego strzały
Ja, duch wiekową boleścią posażny,
Począłem ciskać na cnoty obrońce,
Na świat — jak straszne zwaryowane słońce.

XXXIII.

Właśnie szła pora... i Bóg mi nastręczał
Wielkie ogromnéj rzeczy dokonanie:
Kijów pod mieczem już Waregów jęczał,
I chcieli miasta złotego Słowianie,
Gdzieby kto Boga na sądach wyręczał,
A łączył ludy przez prawdy poznanie,
Lecząc nie żadnym knutem i obrożą,
Ale przez miłość i myśl jednę bożą.

XXXIV.

Któż ją ma? — czasem gdzieś w pastuszku siedzi
Ta myśl najczystsza, więc władnąca światem,
A nikt jéj krokiem ziemskim nie wyprzedzi,
Choć owce ludem jéj — a berło kwiatem...
Widziano więc raz, jako hełmom z miedzi
I królom drogim okrytym szkarłatem
Przyszła na pomoc taka bohaterka,
Jedna słoneczna i święta pasterka!

XXXV.

Wtenczas przeze mnie Bóg chciał większe czasy
Zaszczepić; bo też większe miałem duchy
Włożone w dzbany twardsze, wyższéj rasy,
Na większe ognie zrobione i ruchy —
Anioł żywota takie ciał zapasy
Kryje pod biegun... w mgłę i zawieruchy,
I od słońc wszystkich im zasłania twarze,
Aby nie biegły — aż większe pokaże...

XXXVI.

U Rzymian był ten posłuch, że boginie
W zorzowych wieńcach czerwonych na skroni
Pracują ciągle w mglistéj oficynie
Z piorunem w ręku — jak z młotami w dłoni;
Już w alabastrze przeczystym, nie w glinie,
Kują kształt — zdolny większéj w sobie woni,
A jedna siedzi wężownica jędza
I ciągle od ciał szatana odpędza.

XXXVII.

On chce te dzbany wraz z pod zasłon zorzy
Wyjąć i ruchem ducha psuć fałszywym;
A onych kształtów, duch rzetelnie boży
I nam dziś jeszcze obiecuje — żywym.
Gdy męka ducha już nam kształt zuboży,
Pokoszlawionym uczyni i krzywym:
Wtenczas maleńkie te duszeczki złote,
Ciche... aniołów przyniosą robotę.

XXXVIII.

Patrzajcie — rzekną; otośmy przez wieki
W tych pięknych urnach ledwo się ruszały.
My wtenczas krzyże mieliśmy i ćwieki
I bój z waszemi bolesnemi ciały;
Bierzcież te cichsze na siebie opieki,
Noszone przez nas z trwogą, jak kryształy;
Patrzcie, jak świecą — jaką różną twarzą
Na nich się kształty od lampy pokażą!

XXXIX.

Jam o tém wiedział wtenczas — z Boga wiedzy,
Że taki szereg jeden czysty, nowy,
Stanął i czeka na kaukaskiéj miedzy
Na jedno słowo — jak na grzmot Jehowy.
To Słowo jam miał, gdy dwaj ruscy zbiedzy,
Książęta lud ów dręczące surowy,
Przybiegli do mnie, dwa przewrotne Greki,
Przeciw ludowi temu chcąc opieki.

XL.

Stary na wszystko był gotów — krwi bał się,
Lecz skarby przywiózł, by kupował złotem;
Młody szatanem potém wielkim stał się
I wszelkiéj zbrodni podstępnéj namiotem.
Gdy klękli, mój miecz tak nad nimi chwiał się
Jakoby ściąć chciał... a oni wywrotem
Całego ciała uniknęli trwogi,
Czyniąc tronowi memu z siebie progi.

XLI.

Pierwszy Izasław kniaź do mnie przemowę
Uczynił ruskim żelaznym językiem,
Prosząc, abym mu nastąpił na głowę,
A potém zrobił moim hołdownikiem. —
Odpowiedziałem dwa słowa surowe,
Bom nie był wtenczas harfą, ni słowikiem,
Ale strzelałem pioruny z pod powiek
Król nad królami, a nad ludźmi — człowiek...

XLII.

Odpowiedziałem: — Nie ze Słowian rodu,
Ale z Łotyszów, miast ruskich złodzieje!
Prę się — żadnego nie chciałbym zachodu
O to mieć, abym łatał wasze dzieje.
Co do obietnic — to posągi z lodu!
Których srebrzystość od słońca topnieje;
Gdy wam źle, jak psy chwost zwieszony macie
I podłość w oczach; gdy dobrze — kąsacie.

XLIII.

Inna to jest rzecz u nas Słowianina,
Który — gdy dobrze, to się koligaci,
A kiedy mu źle: dumnym być zaczyna
I niby wielki król gada do braci,
By nie myśleli, że chce jak gadzina
Darmo wziąć tego — czego nie zapłaci.
Więc jest nieszczęście, które łask unika,
A nie ma u nas innego dumnika.

XLIV.

U was przeciwnie: jeden grosz w kalecie
Już dumę; dziura w płaszczu — podłość rodzi.
Raz to już drugi na tym złotym świecie
Miecz polski za was po koronę chodzi.
Nie wiem, czy kiedyś wasze wnuki trzecie
Pomogą naszéj przechylonéj łodzi;
Jednak los teraz wam biedny odmienię,
A na niewdzięczność schowam — przebaczenie...

XLV.

To mówiąc, gościć kazałem w Krakowie
Te pany, które pijąc w wielkich czarach,
Rzucali w nie łez nie perły — ołowie!
Bo fałsz był nawet u nich w wolnych darach!
A już po cichu między sobą w zmowie
Gadali chytrze o krwi i pożarach,
I swoje siostry przyzywali śliczne,
Rzucać snu na mnie wieńce balsamiczne...

PIEŚŃ III.

I.

Ojczyzno moja! raz tylko cię w dłoni
Miałem jak piorun — i to wtedy właśnie,
Gdy szeregami uskrzydlonych koni
Zatętnił rynek. Zaszumiał hałaśnie
Na Żębocinie Pan z chorągwią w dłoni,
Masław od czeskiej oderwany waśnie,
Straszny jako tur — oba Miechowici
W kapturach czarnych — skrzydłami nakryci.

II.

Ciężka konnica — w hełmach złotych cała,
Lekka — w kolczykach żelaznych na głowie.
Girlanda koni pierwsza, jak śnieg biała,
Druga — czerwona, ruchoma jak mrowie...
O! jaka Panie, była moja chwała!
Wszyscy mojego typu aniołowie
W zbrojach schowani — myśli moich bliscy,
A w jednym duchu króla byli wszyscy.

III.

Nigdy już więcéj takich niepopsutych
Nie dasz mi, Panie! Bom je sam zaraził,
I strute duchy poszły do ciał strutych,
Albo kształt będąc skazą — ducha skaził.
Mało dziś takich — tak prostych, a lutych!
A król się ciałem już nie wyobraził,
Ale przez boleść i upokorze ie
W pieśni się ubrał i w ogromne tchnienie...

IV.

Łamiąc i bijąc, szedłem do Kijowa,
Na Bugu — jak mój dziad, toczyłem boje.
Choć powieść nie chce być krwią rubinowa,
A ja o chwałę oręża nie stoję:
Powiem jednakże, że sam jako głowa
Rzuciłem w nurty rumaki i zbroje
I miałem wtenczas, przebywając rzekę,
Dziwną od duchów przestrożną opiekę.

V.

Pamiętam jeszcze, jak na środku rzeki
Wstrzymałem konia chwilę w zawierusze,
Czując jakoby jakiś dźwięk daleki
I wołające z za błękitów dusze...
Na mieczu moim były wtenczas wieki,
Wichrem szumiały moje pióropusze —
Czułem, czegoby żaden duch nie skłamał,
Czułem, że Pan Bóg świat podemną łamał!

VI.

Mig — błyskawica... może duch rumaka
Drżący podemną, jak czart purpurowy,
Może... przeczucia bliskiego oznaka,
Że stracę wkrótce w mieczu duch Jehowy —
A wtém z tylnego krzyknięto orszaka
W trąby mosiężne: toną złote głowy!
I po dwa razy w mroku otrąbiono
Na zorze trąbiąc — że łby złote toną.

VII.

Chrapanie słysząc trąb, anim się rzesko
Do miecza rzucił ratować przeprawy,
Bo mi się trąba ta zdała niebieską,
Echem matczynéj, ciemnéj, złotéj hławy —
Bóg gadał z myślą zwichrzoną królewską
I w jednym łączył oba Bolesławy,
Cudownym mi to pokazując głosem,
Że mój duch — ludu jest duchem i głosem.

VIII.

Bryk mego konia, na średzinie Buga,
Przez wszystkie wojska powtórzony konie,
Sprawił, że prądem rozkrojona struga
Wir uczyniła z przepaściami w łonie;
Tam ciężka wpadła niejedna kolczuga
I zostawiła wyciągnięte dłonie,
Długo stojące na obrusie wodnym
Z mieczem, który stał, jak kłos — w ręku chłodnym.

IX.

Po większéj części połykała woda
Ciężkie kolczugi na ciężkich rumakach,
A stąd — ta trąba i ta w krzyku zgoda
Głosząca wtenczas o złotych szyszakach;
Bo lud był nakształt wielkiego rapsoda,
Który o kształtu najjaśniejszych znakach
Wie, i swe duchy gdy na świat wyprawia,
To je przed ludźmi jedném słowem zjawia.

X.

Taka przygoda innéj też nie miała
Wstęgi za sobą, tylko żeśmy nasze
Odkryli wcześnie w bój idące ciała,
A zbroją sobie zrobili pałasze;
Nie przymusiły nas do tego działa,
Które ja duch-król krwią bolesną gaszę...
Samiśmi wzięli ten pomysł od wieka:
Stawiać wrogowi miecz i pierś człowieka.

XI.

Owoż z téj strasznéj wyskoczywszy wody,
Szedłem pędzący przed sobą kniaziki
I Włodzimierze te i Nowgorody
I te Wołhary i te Suzdalczyki;
Aż na błękitach cudownéj pogody
Swymi złotymi błysnął słoneczniki
Kijów, matuszka miast — w złotych obręczach
Na głowie, po pas cała w sadów tęczach.

XII.

Jakaś cudowna piękność, serce krając
Przez cichy błękit szła — w duchowym wzroku,
Niby Homera pieśni odmładzając
I jawiąc znowu tęczami w obłoku;
Woda to miasto z brzegu porywając
Myła w srebrzystym Łabedy potoku,
A potok dziwną jakąś tajemnicą
Nazwan Łabędzim — w myślach był dziewicą.

XIII.

W około moja zrycerzona sława
W skrzydłach, gotowa spaść furyą i błyskiem —
Ja sam, bożego pilnujący prawa,
Czułem, że miasto duch — drży przed uciskiem;
A więc kazałem, by syn Izasława
Szedł, nim ja w bramy uderzę pociskiem
I to cudowne słońce ludzkiéj ręki
Krwią zgaszę własną i wydam na męki.

XIV.

Kazałem, by szedł, a gniew z serca złożył,
A miłością wziął swemu ojcu grody
I miasto kluczem przeświętym otworzył,
Wynagrodziwszy łzy i wszystkie szkody.
On się przedemną wtenczas upokorzył,
Jak wąż: i szedł nam gotować gospody,
Bo go przyjęło miasto w swoje łono,
Głód czując w brzuchu, a mnie już przed broną...

XV.

I otworzyły się bramiska złote
Cicho... nie mówiąc nic zawiasów krzykiem,
Że gdzieś kaciska czerwoną robotę
Czynią po domach — sznurami i szłykiem.
Jam wszedł, na twarzach widziałem prostotę
I łzy... padali przed mną wojownikiem;
Koń mój szedł zwolna... i nogę ostrożny
Podnosił, by lud nie deptał nabożny...

XVI.

Jam go po grzywie głaskał, on wesoły —
Dziś mi ta dobroć jeszcze serce rani —
On pogłaskany między przyjacioły
Czuł się i ciągle ten swój krok bociani
Stawiał, a często przed siwemi czoły
Uginał grzywy... i oczyma łani
Spłakanéj (mówią, że łania łzy toczy)
Często ludowi temu patrzał w oczy.

XVII.

Duch konia wtenczas czuł, że w piersiach tłumu
Była zamknięta jakaś wielka skarga;
Lecz lud serdeczny już był bez rozumu,
Już w kłódkach była tego ludu warga:
Jam prosty człowiek nie rozumiał szumu
Anim zapytał: kto za łańcuch targa?
Owszem myślałem, że kajdan niezdolni,
Widząc mię, króla — już czują się wolni...

XVIII.

Wjechałem w zamek... i wziąwszy za brodę
Starego kniazia, wstrząsłem go jak gruszę.
— Pamiętaj, rzekłem, żeć na tron twój wiodę,
A nie za brodę trzymam, lecz za duszę! —
Jakoż od tego się czasu w pogodę
Ubrał ten starzec i szedł na ratusze,
Bo mu wzrok syna szklany, zyzowaty
Odkrył to zaraz — że są w mieście katy...

XIX.

Ja nie wiedziałem nic, bo wraz z wieczora
Wzięto mię w wonne księżniczek świetlice;
Tam... gdyby niebo przemienić w upiora,
A tym upiorem oświecić źrenice:
Nie widziałby wzrok w przymroczu wieczora,
Patrząc na onę świętą błyskawicę,
Tak cudownego w złotach malowania
I takich odmian — i takiego trwania.

XX.

Nie byłbym jednak uległ téj ponęcie
Ja, duch żelazny i anioł wysoki,
Stojąc w tym jasnym z wiatru dyjamencie,
Co mię blaskami rwał na wszystkie boki:
Gdyby nie jedno rozkoszne ujęcie
I jedne światła jasnego potoki
I jeden tam głos niby pieśni gminnéj,
I jedna wielka wiewinność — niewinnéj.

XXI.

Ta zbrodnia, która na człowieka dybie,
A na niewinność czystą duszę łowi,
Bogdajby w ognia strasznego siedzibie
Ślepa uściski dawała ogniowi!
Wieki minęły, a na ciemnéj szybie
Dziewczę to memu błękitnieje snowi...
Z usteczek strąca zbladłe listki róży —
Łonem tak śnieży, że oczy aż mruży...

XXII.

Cicha... złożeniem rąk na złotym pasie
Świętą się zdaje — jednak myśli pali...
Różami niby je białemi pasie
I niewinnością ust swoich zuchwali.
Alabastr w jasnym niebieskim atłasie —
I dziwnie na téj gronostajów fali
Pierś jéj świecąca wprawia w obłąkanie —
Niewinność krzyczy od niéj: precz szatanie!

XXIII.

Mścisława — dziwne dla niewinnéj imię,
Jednak prawdziwe! — Jak mię ułowiono,
Jak moje myśli krzyczące, olbrzymie,
Prędzéj niż piekłem i prędzéj niż żoną,
Lepiéj niż sławą, która stoi w dymie,
A doskonaléj niż świata koroną
Zapchać, nakarmić umiano w świetlicy
Książęcéj — jedną wielką łzą dziewicy: —

XXIV.

Nie, tego nigdy nie wyjawię światu!
A i to dosyć, żem ten wstyd wygadał!
Na ostrzach mego czarnego bułatu
Szczerba zarosła się, i duch mój spadał...
Straciłem zaraz z mego majestatu
Pozłotę: ruski car już przy mnie siadał,
Panowie, którzy wiedli moje roty,
Mieli wzrok często winogradem złoty.

XXV.

Jakiś duch chwytał — by garncarskie koło
Ciągle kręcące się po myślach — ludzie
I naprowadzał na strunę wesołą
Wszystkie rozmowy toczone w beztrudzie;
Duch natchnień przestał wiać na polskie czoło
I zostawił je smętne — w ciągłéj nudzie;
Byliśmy jako czarnych ptaków kupa,
Która tém żyje, że ma ciągle trupa...

XXVI.

Jak wrony, jedliśmy wesołość cudzą,
Albo pieniądze, albo cudzą cnotę.
Dobrze to duchom, które się zabrudzą,
Pod biczem jędzy wejść w Cyrcejską grotę!
Tam się powszechném podobieństwem łudzą,
Myśląc, że każdy w sobie ma zgryzotę
I fałsz — i tylko tyle ducha bierze,
Ile potrzeba na kształt i na zwierzę.

XXVII.

Na gankach — z czarą w ręku — upior blady,
Z chórałem czarnych w szkarłacie Greczynek,
Nad wielką rzeką — nad rajskimi sady,
W mgle miałem smutek — a w ogniu spoczynek.
Ręce tych kobiet, jak perłowe gady,
Chwytały z mych rąk każdy upominek,
A jam się wzdrygał, i ziębnąc jak głazy,
Rękom proszącym dawałem sto razy.

XXVIII.

Piekło zda mi się — widzę malowawane,
Z ukryciem swoich boleści dla oka;
Na trupach twarze srebrne i różane,
Śniegi na piersiach — pod śniegiem opoka...
Fałsz jakiś czynił, że jako blaszane
Trące się łuski u wielkiego smoka,
Wszystkie te mary owinięte tęczą
Brzęczały... jeszcze dziś, jak srebro brzęczą.

XXIX.

Pustki duchowe to mają do siebie,
Że kiedy szczęście jasne cicho leci
Jak anioł złoty na błękitném niebie,
Które rumieni, oświeca i kwieci:
Blichtr, który ducha do mogiły grzebie,
Wielki swój ogień na mogile nieci,
A gdy go tłuszczą i próchnem utuczy,
Słup wstaje w niebo, skręca się i huczy.

XXX.

W ogniach ja takich zacząłem na drugą
Fałszywą ducha piękność znowu godzić:
Szatanów chciałem panem być, nie sługą,
Ogień mieć w sobie i z ognia się rodzić...
I szczęście, że Bóg nie dał mi tą strugą
Po większe siły te piekielne chodzić;
Szczęście, że woli nie dał z siebie dostać,
Bobym się w straszną był spłomienił postać.

XXXI.

Już miałem w oczach przed sobą tę marę,
Stworzoną niby gdzieś na świata kuli,
Rycerza, który z losu zrobił wiarę,
Z mnichów narzędzie — a oszustów z króli
I ma najwyższy tron świata za karę,
A nigdy się łzą ludzką nie rozczuli,
I ma koronę jakoby z korali,
A gwiazda mu się jedna w mózgu pali...

XXXII.

Już byłem prawie mu podobny z lica,
Z gwiazdy i z chłodu, i z zimnéj rozpaczy:
Gdy nagle ducha ta straszna wichrzyca
Z rąk rozłamanych jak wystrzał kartaczy
Poszła na Polskę... Kapłani księżyca
Jęli uwodzić znowu lud prostaczy!
Straszniejsze jeszcze, bo dawno przeklęte,
Błysnęły w czarnych lasach ognie święte!

XXXIII.

Żony poczęły mężom łamać wiarę,
Dziewczęta zrzucać z się niewinność dusze...
Widziałeś kiedy, jako wróble szare
Pierzchają — jabłoń rzuciwszy lub gruszę,
I niby harfy mając rytm i miarę
Lecą? Podobnie polskie animusze
Do gromad bratnich, do braterskiéj miary
Przywykłe — choćby rzucali sztandary...

XXXIV.

Gdy jeden nad niém*) duch wodzostwo straci,
Wnet wspólny zapał sobie wodzem stawi.
Tak i tu było, że bracia za braci
Stanęli krzycząc: niech Bóg błogosławi!
Chorągwie w takiéj zostały postaci,
Jak krzyże mogił — po wzlocie żórawi:
Nagie się zdały drzewka, na podwórzach
Kwater lub w polu stawiane po wzgórzach.

XXXV.

Mała już liczba przy koronnéj głowie
I przy królewskiéj została osobie.
Kto tracił berło w mieczu, albo w sławie
I czuł, że już sam był złamany w sobie:
Niechaj się skarży, niechaj to opowie...
Ja z tego pieśni na ziemi nie zrobię,
Bom tego ducha związaniem zmocował,
Wziąłem go za krtań i zasztyletował.

XXXVI.

Tożby to było — gdy się Izasławy
Na mękę ducha patrzeli, chcąc zmrozić —
Żebym ja wtenczas był na krzyżu, krwawy,
A nie miał siły jako król zagrozić!..
Strach był, gdy trumnę wskazałem Mścisławy!
Niańki kazałem powiązać i złozić!
I jeszcze jak pan, zgroziwszy książętom,
Poszedłem — własnym nieść pomoc okrętom.

XXXVII.

Aniele duchu! pierwsza twoja trwoga
Pochrześcijańska, czarna wtenczas była,
Gdyś ujrzał swego ducha jako wroga
I poznał, że w nim była twoja siła...

---

*) Nad rycerstwem polskiém, którego to wyrazu trzeba się tu dorozumieć.

Jak tu zhamować wóz, gdy cała droga
W piorunach żądzy z pod kół zaświeciła?
Gdzie tu uderzyć? Co bór, to pochodnie!
Gdzie dom, to węże! — gdzie zamek, to zbrodnie!

XXXVIII.

Jak szatan jaki, któremu świat z ręki
Wyleciał i już przeciw niemu czyni,
Skrzydła ma swoje, i światła i dźwięki,
Jak nowa gwiazda — powietrzna harfini:
Tak jam kaleczył wiatr — ścigałem jęki,
Widząc we wszystkiém twarz, która mię wini,
Twarz moję własną, która już się trzyma
Na wiatrach — swemi patrząca oczyma.

XXXIX.

Zgroza! Lokajstwo w zbrojach — na oblicze
Włożywszy hełmy, staje mi na drodze!...
Kazałem miecze rzucić i wziąć bicze
I miecz jak drzazgę złamałem na nodze...
Sam lecę — słyszę jak ścinam i ćwiczę,
Świszczy mi w ręku rzemień... wszystko w trwodze,
Wszystko ucieka i w bagniska skacze,
Pierwszy raz walka nie jęczy — lecz płacze!

XL.

I porzuciwszy te obiczowańce,
Którzy już byli w powietrznéj rozmowie
I przez czerwone gadali kagańce,
A słowa dębom rzucali po głowie:
Szedłem, ażebym te dzieci szafrańce —
W które podłego ducha wlazło mrowie
Poczęte w fałszu przez złamanie wiary —
Odjął od srebrnéj pierwszéj ducha czary.

XLI.

—Niechaj to mleko, rzekłem, co w lilijach
Zbiera się czystych, nie karmi złodziei!

Ciało jest równe; lecz duch, który w żmijach
Podnosi głowę w burzy i w zawiei,
Dumny, że mu się niewierność na szyjach
Wiesza i usta w ogniu z ogniem klei,
Lud taki, rzekłem — aż na moim grobie
Wprowadzi w ciała duchy równe sobie!

XLII.

A na cóżby to złotym sakramentem
Nalewał Chrystus po dwie ślubne czary?
Gdybyście mieli nie odpędzać wstrętem
Brudniejszych duchów — niższéj od was wiary!
Glina zrobiona czystym dyjamentem
Niech nie buduje domów dla poczwary!
—To mówiąc, moja myśl burzami wzdęta
Kazała wieszać do piersi szczenięta.

XLIII.

I tak mój anioł wielki w obłąkaniach,
Będąc przepaścią i słońcem Polaków,
Olśniony złotem na kijowskich baniach,
Jak ślepy — ciemny anioł, szedł na Kraków,
A już był nie ten, co w życia zaraniach,
Ale jak owca podarta śród krzaków,
Mający w sobie moc zdaje się nową,
Zdjąć łeb — i świecić sobie własną głową.

XLIV.

Jak duch, gdy cały w sobie już jest z szumu,
A lepsze widzi, i zna czém przewinił,
Jeszcze ma prawo, rady wziąć z rozumu,
Lecz mocy nie ma, by z rad ludzie czynił: —
Tak ja, przewodnik jeszcze wielki tłumu,
Chociażem ducha w ciało moje wskrzynił,
Siadłem w Krakowie i przez jakieś czasy
Trzymałem siłą z woza końskie pasy.

XLV.

A na wsze strony już rozwiązłość biegła,
We mnie z najpierwszych węzłów rozwiązana;
Widzę się — suchy, czerwony jak cegła
I cały w zbroi, jak wieża blaszana;
Pod kulą z dłoni — chcę, aby uległa
Pod siłą ludzką — siła już szatana,
Bo ci złoczyńce spuszczeni z łańcuchów
Już mieli wtenczas pomoc innych duchów.
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

(Dokończenia pieśni III. nie ma).

PIEŚŃ IV.

I.

O męko! Czułem, że duch jakiś drugi
Obraca już mną, tak jak słonecznikiem,
Bierze z podemnie najwierniejsze sługi,
Zostawia sam wiatr w grzechu powiernikiem,
Albo kupione za pieniądz Niemczugi
Bez serca — ciągłym szwargocące krzykiem,
Które bywało zamek miodem zlany
Czynią i mózgiem opryskane ściany.

II.

Ja król sam tylko bywało się ważę
Wchodzić, gdy w sieni uczta dogorywa;

Jak odgrzebane przez wicher cmentarze
Leżą podłogi, a głąb sali żywa,
Wyjąca jako wół przez korytarze,
Mieczami sobie łby okropne zrywa,
Lub wroga ławą dębową obarczy,
Lub dzban ma zamiast siekiery i tarczy.

III.

Na takie walki przy miesiąca blasku
Lubiłem kułak żelazny położyć
I przyjść wśród wężów, jak piorun w roztrzasku,
Śmiercią uciszyć i królem zatrwożyć...
Błyskawicznego pełni w oczach piasku,
Gdy przyjdę, oczu nie śmieli otworzyć,
Padali jako chrystusowi stróże,
Myśląc, że anioł-duch przeszedł w purpurze.

IV.

Ale zabójstwo ciągnęło nagrodę,
A hojnie ją dłoń dawała Polaka;
Za każdą w czaszce albo w żebrach szkodę
Niemiec brał już wieś... i rósł ze żebraka.
Poznano pierwszą pod króla podwodę
I bicz — cierń pierwszy Chrystusa — wieśniaka;
A to zostało w krainie na długo,
Że każdy, kto kat — był królewskim sługą.

V.

A jam to czynił, widząc że z wysoka
Jakiś duch większy patrzy i uważa
I ze mnie woli nie spuszcza ni oka,
A milczy — Świętych milczenie przeraża!
Wolałbyś wielki krzyk i jęk proroka,
Albo tysiąc trąb jakiego mocarza,
Niż gdy cię trwoga i ciemność otoczy
. . . . . .

VI.

Kto ten duch? wiecie!.. a ja takiéj twarzy
Lękam się pisząc, że błyśnie pod piórem.
Lud go dziś sobie za świętego waży
I ugwiażdżonym obwija lazurem;
Ale on, jak ja... często dla grabarzy
I dla kościelnych, którzy ciągną sznurem,
Przychód tu swoją drogą kością czynił:
Lecz choć był świętszy odemnie — przewinił!

VII.

W domu jeszcze mi jedna gwiazda blada
Została: siostra, nazwana Swentyną,
Którą wnet chłopków pobożna gromada
Przechrzciła, Tochno mówiąc, zamiast „Tyno.“
„Och no! niech z królem królewna pogada,
Skargi mu niesie, a złe czasy miną“...
Dziwne przeczucie, że świat w to rozkwita,
Aby patronką praw była kobiéta.

VIII.

Jam śnił, że Trójcę rządzącą w błękicie
Tu formą rządu kiedyś wyobrażę,
A ministerstwo prośby dam kobiécie,
Łzę do praw wmięszam, a prawa nie skażę.
Onoż mi siostra moja była skrycie
Takim snem moim: ona w srebrnéj czarze
Niosła łzy ludu — stająca w obronie,
A czarą były jéj żebracze dłonie.

IX.

We snach marzyłem, że to przyszła święta,
Kiedyś na ziemi objawiona ciałem,
Ciągle miłosna i ciągle natchnięta,
Ciągle pod tronem i pod trybunałem,
Wszechmocna łzami kruszyć wszystkie pęta
I prawo czynić przeczystym kryształem,
A jednak żadną nie władnąca groźbą,
Ani rozkazem — jedną tylko prośbą.

X.

I tę mi Biskup wziął! Klątwą zgrożona
Wyszła — pokorna, posłuszna — z Krakowa!
I dotąd jakaś pustynia zielona
Ślad ubożuchny jéj nóżeczki chowa.
Tam po niéj skała była wydrążona,
Którą znalazła węgierska królowa
I na dnie trochę kwiatów albo słomy,
Na któréj dospał snu ten cień znikomy.

XI.

Zdarza się często, że nocni pasterze
W grobach Judei swoich lamp zapomną,
A wędrowiec stąd dziwne myśli bierze,
Widząc światełka pod skałą ogromną;
Sądzi że jakiś duch grobowców strzeże
I swoją myślą napełnia przytomną,
A póki świat się złymi duchy zwaśnia,
Siedzi i lampy te dawne objaśnia.

XII.

Podobnie światło to — małe, lecz złote
Świeciło w moim rozhukanym dworze,
A potém poszło w duchów ciemną grotę,
Jakbyś je z łodzią gdzieś puścił na morze.
Ale przeklęty, kto mi tę zgryzotę
Wlał, która serce me bywało porze;
Więc już nie szedłem daléj walcząc losy,
Alem był w przepaść wleczony za włosy.

XIII.

Po nocach moich szaleństwa i zbytki
I brzęk pieniędzy, albo twarde miody,
Włóczęgi nocne, po ulicach bitki
I napadanie w noc kupców gospody...
Razu jednego głos mię Sulamitki
Zaleciał — dziwnie gorący i młody,
Z umysłu pewnie na wiatr wypuszczony
Przez jeden światłem gołębnik czerwony.

XIV.

—„O! przyjdź! śpiewała, bo gołębi stadem
Wysyłam na wsze wiatry ognie moje;
O przyjdź — z kwiatami czekam, z winogradem,
Na łonie białém złożę i upoję...
O przyjdź — miesiąca i złodzieja śladem,
A otwórz cicho jak anioł podwoje,
A od miesiąca weź kluczy złotego,
Cicho jak ogień szeptaj — bo mię strzegą.

XV.

„Gwiazdy zliczyłam idące na niebie,
A ciebie nie ma, mój piękny i młody;
O! przyjdź, w płomieniach cała czekam ciebie,
Rajskieć gotuję kwiaty i jagody:
Jestem pierzchliwa, jako młode źrebię,
Jestem jak jagnię najsmaczniejsze z trzody,
Jak gołębica jestem nieobronna,
A jestem jak kwiat rajski, cała wonna.

XVI.

„Nie znajdziesz, czegom nie obiecywała,
Lecz obiecuję, czego dusza pragnie;
Przyjdź, a lichtarze złociste zapalę,
Zakadzę drogim wonnym cynamonem,
A jeszcze jaśniéj przez mych ust korale
I jeszcze śnieżniéj zabłysnę ci łonem*)
. . . . . .
. . . . . .

XVII.

I daléj szła pieśń taka w ogniach cała,
Kolor jawiąca w słowach doskonale,
Klejnoty oczu — białą perlę ciała,
Ust uśmiechnionych najżywsze korale...
I po téj pieśni dusza ma wleciała
W ogród zamknięty na małżeńskiej skale;
Bo kłamstwo w pieśni było, że nieszczerze
Jak owca i kwiat wabiła pasterze.

*) Strofa w rękopisie pod wierszowym względem zepsuta i niedokończona.

XVIII.

Czart mi nastręczał tę samę Krystynę
Słodszą, w rajskiego owocu zapachu;
Jakoż w miesięczną wyszła osrebrzynę
Z okna i prawie stanęła na dachu,
Rumieniąc światły mych dachówek glinę —
Biała jak anioł, niby pełna strachu,
Nogę stawiała na blaszanych smokach,
Jak duch na srebrnych widmach i obłokach.

XIX.

Jakieś jedwabne złote pajęczyny
Trzymała w rękach — te rzuciła z góry
I złote one struny i drabiny
Wiodły ją na dół — a tu rynw jaszczury
Paliły ognie, w źrenicach rubiny,
Przekazywały jasne walk (?) purpury,
Gotowe pożrzéć klejnoty i róże,
Póki szła w srebrnéj szaty swojéj chmurze.

XX.

Tak to okradłszy małżonka z klejnotów,
Z kradzieżą w moje ręce się schroniła!
Lecz jam na wszystko już był wtenczas gotów,
Myślałem że grzech zbłocony — to siła!
Sakramentalnych rozbiwca namiotów,
Miłość sączyłem w siebie, jak mogiła,
Do któréj trup w nią zamknięty należy,
A ona ciągle chce mieć co dnia świeży.

XXI.

Odtąd mój zamek zagrał pieśnią nową,
Olbrzymim śmiechem cnoty gwałtownika,
I babilońską zabłysnął królową...
Jak zachód, gdy się nad słońcem zamyka,
Ostatnie idzie mojéj pieśni słowo:
Mieczowy anioł ludu — w ogniach znika
Strącony z gmachów, co się w chmury piętrzą,
Nie przez grzmot — ale jednę myśl najświętszą.

XXII. *)

Na Skałce podniósł starzec drżące dłonie
I klątwę na mnie i na kraj położył;
Na mnie — że jestem nad krajem w koronie,
Na lud — że go strach przed zbrodnią ukorzył...
Siła zebrana w kościołowém łonie,
Ta siła, którą sam lud wiarą tworzył,
Jak wiatr wiejący gdzieś z pod gór, podziemnie
Szła — i wyrwała królestwo z podemnie.

XXIII.

Jeszczem się głośno śmiał i zwykłe czyny
Powtarzał — okiem groźniejszy niż wczora:
A już duchowe nademną krainy
Mięszała burza — i skrzydło upiora
Zwiewało duchów przejasne bursztyny,
Wyzłotę domu i każdego dwora,
Dzień czyniąc smutny, jak on dzień omglony,
Gdy w miasto z lasów zlatują się wrony.

XXIV.

Zda się, że ciągle gdzieś odgłosy dzwonów
Chodzą w mgłach, Bogu ludzkie modły noszą,
A pełne coraz żałobliwszych tonów,
W mgły ciemne biją... płaczem czegoś proszą;
Miasto jakoby wymiótł anioł zgonów,
Place — ulice stały się pustoszą,
Bruk porósł trawą, nikt — tylko kaleki
Przejdą czasami te zielone rzeki.

---

*) W tém miejscu dopisał poeta na brzegu manuskryptu taką waryantę téj strofy:

Na Skałce podniósł starzec drżące dłonie,
Klątwą zagroził... Dziś byłby to mały
Strach, kiedy mało ducha w ludzkiém łonie,
A ciało tylko dorasta do chwały;
Lecz wtenczas jako przed wichrem, gdy wionie,
Duchy się w ciałach jak dęby zachwiały
I ustały się — i znowu poczuły,
Że się jak wody zapleśniałe psuły.

XXV.

Nikt — jedno wrzody i nędza wychodzi
Na słońce, idąc pod kościoł zamknięty,
I tam na trawie albo płacz zawodzi,
Albo też śpiewa jaki kantyk święty...
Chciałem ratować téj tonącéj łodzi,
Zacząć bój jaki — śmiały, choć przeklęty,
Chciałem krwią podnieść do siebie przepaście:
Zwołałem moich chorągwi dwanaście.

XXVI.

Jeszcze dziś widzę — listopad już śnieży —
Ja w zbroi — czekam, czy gdzie zarżą konie...
Wiatr głuchy czasem w ulice uderzy
I ruszy serce głuche w jakim dzwonie;
Czekam — wtém wjeżdża dziewięciu rycerzy
Na plac, złączają chorągwie i dłonie,
Jeden krąg czynią z żałobnych rumaków
I z płaszczów czarnych i z tęczowych znaków.

XXVII.

Na wszystkich, widzę, są grube żałoby,
Wszyscy są jakby z pod jednéj mogiły;
Tylko chorągwie złotemi ozdoby
I kolorami na śniegu świeciły;
Wtém słyszę, zbroje jęknęły, jak groby...
Przywalcie teraz mię Osyaku bryły!
Niechaj raz drugi mój duch nie rozumie
Téj klątwy, która grzmi w chorągwi szumie!

XXVIII.

Przegrzmiała — a ci... nie dość jeszcze na tém,
Jeden po drugim przed ganek jechali,
I u nóg drzewcem trzaskając i kwiatem,
Pełnego w oczach mię łez — przeklinali!
To nic — bo cały już byłem nad światem
I wysłuchawszy ich, wszedłem do sali,
Już odmieniony — jak król już umarłem,
Wszedłem — i o mur jeden się oparłem.

XXIX.

I pytano mię, co? — a ja na murze
Paznokciem skrobiąc, pisałem nazwiska
Te, które były na znamion purpurze
I na turkusie — widziałem je z bliska...
A co ja w dole, Bóg pisał na górze,
Bo kiedy łamią znaki, to Bóg błyska,
A kiedy w króla zobaczy napisie
Choć przeklętego: Mścij się! — to Bóg mści się.

XXX.

Imiona były te: naprzód Strzemieńca,
Potém Topora — Gryfa — Śreniawitów,
Leliwów — daléj poznańskiego Szweńca,
Lisów — Półkozic, ostatnia Rawitów,
Dziewięć! Chorągwi trzy zniknęło z wieńca,
Między chorągwie nie było błękitów...
Może jadące gdzie w ciemnym parowie
Unieśli na wiatr jacy Aniołowie.

. . . . . .

. . . . . .

XXXI.

Wiary we własną je moc opuściły,
A gorsza była dusza, gdy bogata;
Jeden mi wyznał, że mu krwawe siły
Chcące panować, radzą zabić brata;
Innemu rzeczy straszniejsze radziły
Anioły ciemne: by siłami świata
Rządził, a rządząc zorzami złotemi
Czynił zarazę albo głód na ziemi.*)

*) Inne téjże sceny opowiedzenie:
„Pod klątwą twoją już mi dzieci czworo
Zagrzebał wczora wiatr piasku ustami!
A drugi po nim: ja mam żonę chorą
Pod klątwą twoją siedmiu szatanami...
A trzeci: Myśli mię czerwone biorą
Pod klątwą twoją, i krew chłopka plami...

XXXII.

Trzeci mi przyszedł w okropnym przestrachu
I patrząc na mnie twarzą ołowianą,
Taką rzecz szeptał, że w królewskim gmachu
Zadrżało nawet to, co było ścianą!
Ja jeden tylko, jak rycerz w zamachu,
Który ma już dłoń ciężarem porwaną,
Nie uląkłem się grożącego Pana,
Lecz biegłem, jak król pokonać kapłana!...

XXXIII.

Oto ten kapłan, rzekłem, ta gadzina
Chce mię gryść w serce — a wszystkim wiadomo,
Że umarłego pole Piotrowina
Pochwycił ręką kościelną, łakomą.
Ród się daleki teraz upomina,
A on mówi: dar in domini domo
Przed samą śmiercią, śród boleści srogich,
Na wieki wieków złożon dla ubogich.

XXXIV.

Papieru na to starzec nie pokaże
Ani też świadków; bo daru nie było.
Niechże się sprawi, bo ja go ukarzę
Na ciele — a ten grunt zabiorę siłą!
Biskup to słysząc, oddał się pod straże
I rzekł: — Mam wprawdzie świadka pod mogiłą,
Budzić go nie chcę; lecz gdy król obarczy,
A przed sąd wezwie: ten świadek wystarczy.

A czwarty: popęd czuję do kradzieży
Pod klątwą twoją — niech cię grom uderzy!

I szli i kładli mi u nóg znamiona,
I cicho smętni siadali na konie
Jam szeptał, gdy szli, chorągwi imiona
I chował wszystkie w mego ducha łonie
. . . . . .

XXXV.

Rzekł. A te słowa gdy mi doniesiono
W noc i przy pełnych winami puharach,
Wstałem z pochodnią i czoło koroną
Nakrywszy, szedłem na tron, cały w żarach.
Za mną pijaki zbrojne — a z szaloną
Myślą spokojność mieczyska (?) na marach...
Tron otoczyli jak czerwone czarty,
Koło północy było. Sąd otwarty.

XXXVI.

Wkrótce stawiono bladego biskupa,
Do którego ja rzekłem, cały pijany:
— Alboś ty złodziej, albo ty nam trupa
Wywołaj z grobu i z téj białéj ściany!
Wywołaj!.. A on: — Co znaczy ta kupa
Nierządnic? Jeśli ma być trup wezwany,
Jeśli rzecz, która w nocy trzęsie miasty
Świętemi, ma się stać: odpraw niewiasty!

XXXVII.

Strach mię zdjął — one też jak gołębice
Na one słowa same uciekały...
A biskup znowu: Takie tajemnice
Widzieć, ty jeden tylko jesteś Śmiały...
Rzekł; straszna cisza nastąpiła — świéce
Jedna po drugiej same zagasały...
Obejrzałem się — w gmachu było ciemno,
Ja sam — i kapłan stojący podemną.

XXXVIII.

Widziałem, iako cmentarz gdzieś daleki
Anioły boże światłem malowały;
I wstawał stary ktoś — nakształt kaleki
Zbiedzony, a płaszcz miał jak srebro biały;
Potém przydany jemu dla opieki
Stróż anioł podał jakieś kordyjały,
Którymi wzmocniał, i drogę po ziemi
Jak kwiatem zasłał światłami różnemi.

XXXIX.

A on rzekł: — „Twoje wygnawszy (?) rycerze
. . . . . *) twéj żelaznéj zbroi
. . . . przed sobą i w duchu uderzę
Tym duchem, który tu już za mną (?) stoi.“
Jam drżał — jeszcze mię dziś . . . . . bierze
Miecz (?) z tych zamkniętych i czarnych (?) podwoi (?)
Wylatujący. Jak się w trumnie zsechło,
Tak weszło — z twarzy swéj podnosząc czechło.

(Tu się wątek poematu urywa).

---

*) Brakujących słów w całéj téj strofie niepodobna było odcyfrować dla zbyt pokreślonego pisma i także dla zbrukania, jakiemu podległ rękopis. *P. W.*

O wy, którzy mnie jeszcze dziś słuchacie —
Dawnego ducha tajemniczéj mowy!
Niechaj wam pięknie w waszéj śnieżnéj chacie
Ta pieśń ujaśni jaki dzień zimowy!..
Jeśli jaskółce uchrony nie dacie,
Odejdzie od was — smętny, Bóg domowy;
Wiatr wam zawyje grobowemi usty
Tę smętną klątwę: otóż dom wasz pusty...

Pieśń tę zostawiam wiekom, które mają
Potężne ręce i potężne głosy.
Niech jéj w niebiosach głośniéj dośpiewają,
Niż ja, kończący tu bolesne losy...
Anioły moje już przybiegły zgrają —
Tłuką mi serce — targają mi włosy
I nazywają już wielką osobą
I szepcą... i już zapraszają z sobą.

Bądźcież mi zdrowi, moi tegocześni
Bracia — tém tylko różni od śpiewaka,
Żeście lub mędrsi, albo mniéj boleśni
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

A czy to cudzą powieść, czyli własną
Śpiewam: niechaj nikt o to mię nie pyta. —
Gdy dawne gwiazdy zachodzą i gasną:
Nowa — jak słońce różane rozkwita,
Od któréj duchom starym będzie jasną
Praca i boleść dawno już przebyta,
A dziś ze smętkiem . . . i miesiąca
Na długi przyszły czas zmartwychwstająca.

DODATEK.

WARYANTY DO KRÓLA-DUCHA.

Uwaga Wydawcy. — Gdyby się miało drukować wszystkie waryanty, wszystkie coraz inaczéj wykonane to téj, to owéj pieśni redakcye, wszelkie miejsca ciekawe a przemazane, wszystkie wreszcie na brzegu stronic to tu, to owdzie późniéj pododawane dopisy, jakie się znajdują w autografie poety: to zapełnilibyśmy samym tym poematem dobrze dwa takie tomy, jak ten, który wydajemy obecnie. Ogłoszenie całego tego materyału zdawało mi się wszelako nie być odpowiedniém celowi. Koszta wydania znacznieby się przez to powiększyły, a poemat straciłby tylko do reszty na przejrzystości. Dlatego więc wszelkie takie wersye, które się być celujące zdawały w tych wszystkich rozmaitych redakcyach, zestawiłem i ile to tylko było podobném, spoić się starałem ze sobą już w texcie samym. Tu zaś zamieszczam dodatkowo, z całego pozostałego materyału, takie tylko ustępy, które się — czy to dla zalet wybornego wykonania, czy dla szczególniéj godnych uwagi różnic w samym już pomyśle — w oczach moich zdawały zasługiwać koniecznie na ogłoszenie i ocalenie. Trzy razy więcéj zaś, niż wszystko, co się z tego i w texcie i tutaj wydrukowało, pozostawia się w rękopisie.

URYWEK

PLANU KRÓLA DUCHA

ZNALEZIONY W AUTOGRAFIE AUTORA.

I.

Poeta opisuje przyjście słowiańskiego ducha od Armenii — ukazanie się jego w rodzie i w królestwie Popiela — walkę jego z duchem napływowym Lecha — zwyczaje słowiańskie — pogrzeby od Scytów przyjęte i zwyczaj palenia umarłych w łodzi, na wyspach Wołgi zachowywany. Początek skrzydeł używanych przez husarstwo słowiańskie maluje. Mówi nareszcie o swojém jako Popiel uwięzieniu — i o tém, jako został z łańcuchów przez dziewicę Wandę rozkuty.

II.

Napad Germanów i legendę o Rytygierze w téj pieśni poeta maluje — spotkanie się barbarzyńca z resztkami sztuk greckich — dzikość i wrażenie stąd otrzymane — napad na królestwo — śmierć dobrowolną Wandy. Nareszcie tajemnicę tyrańskwa w duchu pierwotnych Słowian tłómaczy poeta — i ucisk narodu pod siłą zatrważającą miecza opisuje.

III.

Wierność pierwszych Słowian i przywiązanie do panów, a razem nieugiętość ducha w męczarniach przedstawia w osobie Harfiarza. Zgon jego — króla okrucieństwo — i ucieczkę wojewody Śwityna opisuje. Nareszcie ucztę ostatnią tyrańskwa — i zatrwożenie się ducha w Popielu na widok zjawiska niebieskiego — a następnie śmierć jego opowiada.

IV.

Początek sił antychrystowych w Polsce — nawiedzenie Piasta przez anioły — i Rze-Pychy Prometeańską kradzież ducha świętego opisuje poeta; ucieczkę jéj z synem Wodanem i pogwałcone przez nią duchy na cmentarzach.

V.

Legendę o Świętopełku, królu Wielkiéj Morawy, i o porwaniu jego żywcem do nieba — a następnie o żywocie jego pośmiertnym na Zauber górze opowiada duch poety. O Pysze — i podejściu Słowian przez rzymskiego cesarza legendę śpiewa. Uśpienie słowiańskiego, pod zdradą uciśnionego, ludu opisuje.

VI.

Zbudzenie ze snu słowiańskiéj potęgi przez Ziemowita— wyobrazę ludu wystawia poeta pod osłoną legendy. Odpór dany Niemcom — sił antychrystowych niemoc ostateczną i zgon Prometeanki słowiańskiéj w téj pieśni opowiedziany.

VII.

Nadchodzącą świętość — i roku tysiącowego przeczucia ludowe śpiewa poeta. Ukazanie się swoje w Słowiaństwie w osobie Mieczysława tłómaczy. Ślepotę i sny genezyjskie ducha — a potém uderzenie jego przez Harfiarza opisuje — Postrzyżyny — zwyczaje i pieśni przy postrzyżynach.

VIII.

Wysłanie swatów do Czech . . . . . wiary uczuciowéj . . . . . .

WARYANTY
DO RAPSODU DRUGIEGO.

I.
„DOKOŃCZENIE.“ *)

I.

Skończył i do nas, którzyśmy tam byli
Zadrżeli — słysząc, że pieśń w tonach spada,
Obrócił mowy: „Wyście ze mną żyli,
Wam duch ostatek téj pieśni powiada:
Ale zasłony więcéj nie odchyli,
Ani co powie nad to, co wypada.
Wszakże tym wężom, które mię na wieży
Gryzły — i wam się jeszcze pieśń należy.

*) Dana tu pieśń pod tytułem „Dokończenie“, stanowi co do treści swojéj widocznie waryantę względem tego, co się zamieściło w texcie, jako „Rapsod drugi“. Ale zamiarem poety zdaje się że było — dać ten ustęp, jako dośpiew do rapsodu o Piaście (stąd napis „Dokończenie“); osobnego zaś rapsodu z tego przedmiotu nie tworzyć. Późniéj zamiaru tego zaniechał. — Znalazło się w rękopisie inne jeszcze obrobienie tegoż samego pomysłu, co ten, który dajemy tutaj. Obrobienie to drugie różni się od niniejszéj redakcyi tylko w niektórych zwrotkach; jest w ogóle mniéj wykończone i mniéj zupełne, aniżeli powyższa wersya. Drukowane było bez żadnych odmian w Dzienniku Literackim lwowskim r. 1865 Nr. 85. Chcących przeto bliżéj je poznać, odsyłam do tego numeru.

II.

Chciałbym — lecz nasze cielesne okowy
Nie pozwalają wyjawić duchowi
Tych rzeczy, które widzą święte głowy,
Gdy spojrzą w oczy sądu aniołowi.
Pieśń ta byłaby jak arka Jehowy,
Byłaby ta pieśń śmiercią człowiekowi
I obłąkaniem, gdyby się ważyła
Więcéj nauczyć, niż krzyż i mogiła.

III.

To jednak wiedzcie, że grom nie uderza
Zaraz na ducha, gdy zeń ciało spadnie.
Duch szuka, widzi, ściska się — rozszerza,
Błyska i gaśnie, czerwieni się — bladnie;
Hasło swe krzyczy — jeśli duch rycerza,
Klnie — gdy przed siłą niewidzialną padnie;
Sztyletu szuka — gdy na wroga wściekły,
Twarz kryje — jeśli z oczu łzy pociekły.

IV.

Długo z nicością kształtu swego walczy,
Aż się przekona, że z ciała obrany.
Takem ja — mój trup rzuciwszy padalczy
I kostur i mój kaptur ołowiany,
Groził ciemnościom: a śpiew bałwochwalczy
Rzucał jak wielki grzmot na zamku ściany.
Nagle uczułem, że myśl moja wściekła
Brzękła — i rojem pszczół z rąk mi uciekła.

V.

Jako rój pszczelny gdy w promyku brzęczy
I opromieni głowę pasiecznika,
A potém mu z rąk, jak wątek pajęczy
Rwie się i z palców jako blask wymyka;
Lub jak z kielicha kryształowéj tęczy,
Który nad głową świeci biesiadnika,
Gdy dłoń go w szale wiwatowym ściśnie,
Szkło brzęknie — a płyn na stronę wytryśnie:

VI.

Podobnie w ciemni duchowi ucieka
Ostatni promyk myśli — téj niebianki,
Którać odchodzi i na ciało czeka,
Na czaszki nowéj — okna i krużganki,
By nieskończona, w kościele człowieka
Swe heroidy znowu i sielanki
Zagrała — albo genijuszu strzałem
Jak nieskończoność — rozbryzgała ciałem.

VII.

Myśl-duch, który tu wieczną walkę zwodzi
Bez czasu będąc, z Czasem — ciała Synem,
Myśl — szelest żagli u płynącéj łodzi,
Myśl ogień — serca karmiony bursztynem,
Ta mię odbiegła... Odtąd duch mój wchodzi
W ciemności strasznym zbluzgane rubinem,
W ciemności! i sam zdaje się niecały,
Jak mara — widzi różnych mar kawały.

VIII.

Tam jakieś wieże, gdzie zlatują górą
Nawały różnych mięs z mieczami w ranach;
Tam coś strasznego, lecz płaszczem i chmurą
Obwiniętego, snuje się po ścianach;
Tam dzieci jakieś świecące purpurą,
Dziatki czerwone, nagie — na kolanach
Latają... straszne, niewinnością święte
O tak, jak gdyby krwie na wiatr bluźnięte."

IX.

—Tu zadrżał śpiewak i mowy obrócił
Do Wilenczanki siostry i rzekł: „Tobie
Winienem, żem znów z czeluści powrócił
Na kępę, gdzie twój duch, jak noc w żałobie,
Nad moją kością porzuconą nucił
Pieśni u Słowian śpiewane na grobie,
I płakał, że mi nie dano potrzebnych
Głazów na kurhan i garnków płaczebnych.

X.

Przez niebo, które świeciło na górze
W otwartéj baszcie, nie mogłem mgłą siny
Wejść, ołowianéj duch podobien chmurze,
Alem się wcisnął przez muru szczeliny.
A wtém ponocni zakrzyknęli stróże:
Król Upior! — Błysły latarnie. Jedliny,
Dęby, modrzewie, cała kępa, wieża
W ogniach. Myślałem, że wojsko uderza!..

XI.

Myślałem, że to ci wymordowani
I ci na stosach niegdyś popaleni,
I ci pocięci i krwią pobryzgani
Idą — gdy drzewa na mnie szły w czerwieni.
Ty sama wtenczas, ty Duch, moja Pani
Rzekłaś: Uciekaj! — A ja śród kamieni
Siadłszy zacząłem gniewy moje ciemne
Roziskrzać, świecąc jak słońce podziemne.

XII.

I byłbym..."— Tu znów oczy u śpiewaka
Zbłysły się jak dwa węgle rozdmuchane,
Pot go zlał, włosy podobne do krzaka
Wstały, szczerniało czoło ołowiane.
A nas już prawie mordowała taka
Pieśń i okropne męki krwią rumiane,
Tak żeśmy wszyscy, jak zmówieni razem,
Wyrwali go z mąk — Ojczyzny wyrazem.

XIII.

Wtenczas on: „Dawne odmykacie blizny
Wywodzicie mię z krainy upiorów.
Zaprawdę: że cień straconéj Ojczyzny
Wywiódł mię z ciemnych i morderczych dworów.
Jak te mgły, które z wodnéj się zgnilizny
Podnoszą rankiem, marami kolorów,
I swe tęczowe niespokojne pasy
Łamią i niosą na wilgotne lasy;

XIV.

Jako te mary, pastuszkom w jesieni
Znajome z blasków, za któremi błądzą
I gdzieś na kopce przeświętych kamieni
Trafiają, i trzód zapomną, i sądzą,
Że są żywymi, w kraju smętnych cieni,
Gdzie Ojców Duchy panują i rządzą:
Podobnie... z równą omamienia władzą
Sny pośmiertelne wstają i prowadzą

XV.

Naszą istotę. Ja za tymi snami
Szedłem, a coraz wyraźniejsze były.
Ojczyzna cała, z dwunastu zamkami,
Na których krwawe kagańce świeciły,
Rosła. Brunatny Mord i Pożar skrami
Skrzydlaty, jako dwie braterskie siły,
I dwa Bożyszcza nad ludu przepaście
Podniosły małych, własnych dum dwanaście.

XVI.

Wszystko co było we mnie, prócz ci erpienia,
Pokazało się na téj bujnéj ziemi.
I szły skłócone z sobą pokolenia,
I pod kurhany spały czerwonemi.
Z uderzonego tak jak duch kamienia
Wyziera ognia oczyma złotemi:
Tak pod uciskiem, pod zgniłością głodów,
Mord wyskakiwał — pierwszy Bóg narodów!

XVII.

Na zamkach ciągły zgiełk i śmiech i czar czach
I stuk ław i brzęk dzieńh i szabel zgrzyty
I gon psów w lasach i łomot na karczach
Zwierza. — Po nocach pełne mar sufity. —
Ja sam w dwunastu raz się razem tarczach
Tak, jako byłem, zielony i zgniły
Zjawiłem nocą, najstraszniejsze chłody
Z ust na zbudzone zionąc Wojewody.

XVIII.

Obudziło je kurów rannych pianie,
I wszyscy w tarcze stalowe spojrzeli,
I z wszystkich się tarcz mój duch patrzał na nie.“
Tu ucichł śpiewak, a myśmy widzieli
To straszne, chłodne upiora patrzanie
I czuli mróz tych Panów na pościeli
Uczuciem ducha przeświadczeni w sobie,
Że taką siłę spojrzeń ma duch w grobie.

XIX.

I była cisza. Aż ta, która wiodła
Pięknością swoją jak złotą pochodnią
Myśli śpiewaka do boskiego źródła
Nad drogi żądzą zwalane i zbrodnią,
Rzekła: „Powiédz nam, jak ta zgraja podła
I duch jęczący ludu wtenczas pod nią
Na ostateczném polu, na ściernisku
Rznęli się mieczem, przy piorunów błysku?

XX.

Powiédz, jak duchy te niewolą psute
I panowaniem cielesném zbrudzone,
Mieczami potém z podłych ciał wyprute,
Rzezią zalękłe, ogniem wypędzone,
Do innych ojczyzn poszły, za pokutę
Wolności nie znać — aż przeanielone
Ducha Świętego zachwycą ustami
I wrócą kochać — walczyć — i żyć z nami.

XXI.

Powiédz, jak one i lwy i tygrysy
Ustępowały przed kwiatem i kłosem,
A łąki w róże się znów i narcysy
Poubierały, wierzb owiane włosem?“ —
Rzekła. Wnet blade u śpiewaka rysy
Wyjaśniły się, i spokojnym głosem
Rzekł: Powiem, jako nieśmiertelna siła
W pieśniarzu onym boskim zwyciężyła.

XXII.

Czy pamiętacie żebraka i sługę,
Lir króla? Jemu w przedstworzonych cieniach
Dano ognisty wóz i z gwiazd framugę
I Duchy żywe, złote — w kół promieniach
Tak powplatane — że kiedy w szarugę
Jesienną wóz ten w mgłach i zawichrzeniach
Nad lasami się pastuszkom pokaże:
Koła jak słońca są i Duchów twarze.

XXIII.

Jedyny anioł z duchowego świata,
Który ma ciało, bo ciałem był święty,
I tak jako trup na płomieniach lata,
Ale trup żywy i cały i święty —
W Judei niegdyś była jego chata,
I płaszcz już z ramion zapalonych zdjęty
I sludze tutaj biednemu zrzucony —
Został na ziemi... On był uniesiony

XXIV.

W niebo na strasznym płomienistym wozie,
Który go porwał przeleciawszy bokiem;
W archaniołowym on jeden obozie
Latarnią zda się — człekiem — i obłokiem.
On jeden mego ducha trzymał w grozie,
Gdym był żyw. On był tym ognistym smokiem,
Który zmocował mię w obec rycerzy,
Kiedym się z gwiazdą bił na zamku wieży.

XXV.

On potém w duchów świętych tajemnicy
Najgłębszéj zasiadł przecudowną chatę
Na szmaragdowych łąkach, przy Kruszwicy,
Nad którą boże dwa twory skrzydlate,
Jak dwa posągi wiejskiéj okolicy,
Stały... A gniazdo ich, mchami brodate,
W ogniu komina po nad chaty czołem
Księżycem zdało się — a ptak aniołem.

XXVI.

Często gdy zbliżę się, to niespodzianie
Z komina dymu wylecą iskrzyska,
A bocian skrzydła otworzy i stanie
W ogniach jako smok. Z dziobu mu wytryska
Żądło i takie wężowe ksykanie,
Że mój duch blady jak od wężowiska
Od téj świętości straszliwéj ucieka,
W ptaku ujrzawszy węża i człowieka.

XXVII.

Pod taką strażą ów Duch Izraela,
A w nim ludowe żyły tajemnice,
Zaklęcia gadów, czarowaniem ziela
Trzaskane hełmy, serca i zbroice.
Czasami ptaków pogrzeby, wesela,
Powietrzne klucze, girlandy — różyce
Stoją na niebie, aż się starzec zjawi,
Głos wyrozumie i pobłogosławi.

XXVIII.

Ciągły nad nim gwar, i struna ciągnąca
Łabędzi ciągle nad nim brzęczy;
Ciągle Siwanna na kręgu miesiąca,
Ciągle Dziedzilla zjawia się na tęczy.
On sam już liry swéj dawnéj nie trąca,
Lecz duchem ludzi wskrzesza albo dręczy
I trzęsie zamków Popielowych ścianą
Pieśnią sztraszliwą — lecz niewyśpiewaną.

XXIX.

Łąki świetniały, a na koniach biali
W opalnych zbrojach z płomiennemi szpady
Jacyś anieli na harc wyjeżdżali,
A po nich narcys był i złote ślady.
Starce sny mieli i prorokowali,
Cud kwitnął, sielskie wstawały gromady,
Ku nowym czasom w ciągłym rozhoworze
Z duchami kwapiąc się. Co daj nam Boże

XXX.

Dziś, jak w dni one! — I walkę wydano
Ostatnią, gdzie mój duch został spożyty.
Z krwi jednę rzekę widziałem rumianą,
I brzeg z tarcz krwawych jak z miesiąców zbity,
I ziemię ogniem strasznym rozerwaną,
I wąwóz pełny wozów, i kobiety
Na wozach w drogich płaszczach i w klejnotach
Krzyczące! — Wielki deszcz i niebo w grzmotach.

XXXI.

Jakby Jadźwingi czarne, białe Serby,
Czerwone Ruśce i różne narody;
I na ogromnych tarczach żywe herby,
I smoki i lwy i krzyże i grody...
I pożar z ziemi i przez ognia szczerby
Na wozach widne różne Wojewody
Na wielką pola krwawego rozwlekłość
Rzucali głosy trąb — a w głosach wściekłość!

XXXII.

I głos szedł z ducha potęgą straszliwą
I stworzenie się na ziemi rozżarło.
Konie latały z ukrwawioną grzywą,
Psy wskakiwały rycerzom na gardło...
Przylatywali z pochodnią straszliwą
Gońce... z oczyma i z twarzą umarłą,
Podobni na krew do kruków łakomych,
A z rozkazami od władz niewidomych.

XXXIII.

Dwanaście razy, w dwunastu obozach,
Odmienił się lud zmartwychwstania siłą.
Dwanaście razy z krwią w czarnych wąwozach
Spłynął, sztandarów sto zbroczonych zgniło!
Szkielety w ogniu stojące na wozach
Jeszcze nie chciały próchnieć pod mogiłą,
Ale do pustych ust poprzykładały
Trąby, i trąbiąc gniły i próchniały.

XXXIV.

Tak było rano — ale o wieczorze
Przeszedłem, ja duch, po całéj krainie;
I wszędzie jakby sen szumiało zboże,
I miasta rosły i Świętych pustynie;
I pastuszkom się na pustym ugorze
Pokazywały cudowne boginie;
I nie podobne były do zaranka
Wieczory, ciche, piękne — jak sielanka.

XXXV.

Wy, coście rytmu Rapsoda słuchali,
Odmieńcie teraz serca i pamięci,
Bo choć był bliski, znowu się oddali
I od zielonéj aż gdzieś sianożęci
Odgłos piszczałek i zapach konwalii
Zniesie... i w złote was niebiosa wświęci,
Śpiewając, jako winy mazał krwawe,
Ofiarowawszy Bogu Miecz i Sławę.

II.

FRAGMENTY

Z INNYCH OPRACOWAŃ.

FRAGMENT PIERWSZY.

A oto zaraz na płomiennéj drodze
Ten, któremu sąd nad globem jest dany,
Widząc, że z mieczem i we krwi przychodzę
Kazał, abym był wężami związany.
A jeden miał gad kuszący się w nodze
I z ogni jasnych u kolan kajdany,
Co wszystko duchy spełniły, nad duchem
Pastwiąc się ogniem wrzkomo i łańcuchem.

Chociaż nie było cielesności żadnéj
W narzędziach kary, ani w saméj karze,
Widziałem moce istności szkaradnéj
I ognie i gad i tych gadów twarze.
Tom cierpiał, aby moc siły zagładnéj,
Zatęchła w ciała żelaznego czarze,
Wyciekła ze mnie, lub spaloną była,
Jako krew żółcią zepsuta i zgniła.

Na wieży mię téj zostawiono, ciału
Nie dawszy ani łez, ani pogrzebu;
I rozpadł się mój trup, i z hukiem strzału
Rozpękł się, a duch szedł grożący niebu.
Tak ognistego nie pomnę zapału,
Jak wtenczas, kiedym na dnie się Erebu
Obaczył żywy, krwią ludzką rumiany —
Poganin dawny — znów między pogany.

Zeszli się do mnie, ale już nie znali
Tego języka, który we mnie śpiewał;
Wszyscy się jednak do mnie zlatywali,
Pytając, gdziem był i w com się odziewał.
Czy jako Jazon chodziłem po fali,
Czy jak Prometej, grom na się rozgniewał?
Widzieli bowiem ci żywota wodze,
Że walką straszną zmęczony przychodzę.

Wtenczas ja do nich: „Judy i Grekowie,
Rzekłem — patrzajcie na mnie, a z postawy
Sądźcie, czy niebo trzymałem . . . . . .
Czy słońce w żółci *) . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

*) Całe to miejsce w rękopisie wydarte.

Stanęli wszyscy, ręce wznieśli w górę,
Hełmy zrzucili z czół, zatlili oczy,
Witając piękną słowiańską naturę,
Brzozy powiewne lekkością warkoczy,
Miast złotych z ognia pełną każdą chmurę,
Gdy się ku morzu złote słońce toczy,
A w mgłach północnych światło swe rozpryska
I tak jak Pan Bóg, w błyskawicach błyska.

Witają sosen czarnych strach grobowy,
Kurhanów piękne i smętne wyżynie,
Nad zagrodami gór ceglane głowy,
I dęby bogi i rzeki boginie...
Witają, a już anielskiéj królowy
Cień przecudowny na zórz karmazynie
Świecił, żeśmy się duchy w chłodnéj stali
Miłością jako lampy zapalali.

O! serce, trzaskaj się, albo te dzieje
Pod blaskiem ducha świętego poczęte,
Jak dziecko, które się do róży śmieje,
Maluj, a czasy one wskrzeszaj święte!
Opisz te pierwsze cudowne nadzieje
Przez chrześcijańskie duchy w ducha tchnięte
. . . . . .
. . . . . .

FRAGMENT DRUGI.

O marneż twoje, aniele ojczyzny,
Starania w kraju podziemnym upiorów!
Duchu świecący gwiaździstemi blizny
Serca — w ciemnicy Supanowych dworów,
Jako te tęcze, które ze zgnilizny
Wodnéj podnoszą się marą kolorów
I gdzieś swe ciche niespokojne pasy
Łamią i niosą na jesienne lasy...

Głowa na wieńcu węży — twoje ciało
Leży od podłéj roztoczone mszycy;
Nic się duchowi podług snów nie stało,
Nic!.. śpi w rozpadłéj od czasów wieżycy —
Świerszczyki dzwonią swą piosnkę i śmiało
Skaczą mu na pierś — anioł błyskawicy
Albo miesięczny duch, w pozłotowinę
Ubrany, zajrzy czasami w ruinę.

Zresztą nikt kości nie pomni haniebnych,
Nikt! nawet stare dziady, pieśni stróże!
Anić kurhanów, ni garnków płaczebnych
Stawiono — bez łez byłyby te króże —
Tylko girlandy pustych dzwonów srebrnych
I ruin zwykłe siostry, polne róże
Bezwonne, kwiatów ciekawe dziewice,
Bujniéj obrosły samotną wieżycę.

Już oto w kurhan jeden zamieniona
Kwiatów staraniem i ziółek robotą
Zakryła się ta wieża krwią czerwona
I wrosła w ziemię... Tam cię wieki gniotą!
Koszula twoja z drutów wyrobiona,
Która się zdała ludziom siatką złotą,
Może dziś jeszcze trwa, jak zdjęte zwoje
Z węża — trwa dłużéj, niżli serce twoje!

O duchu! ale ty w tych prochowiskach
Nie cały! — bo dziś jeszcze tobie śnią się
Straże z orłami razem na urwiskach
Gdzieś odbywane, i w piorunów głosie
Głos Boży — i strach, i na uroczyskach
Z duchami r u n a, i w guślarskiém prosie
Ząb zgrzytający... i do uwiadomień
Użyty wicher, albo mgła — lub płomień.

Tobie się cały poddam — a ty duchu
Najwyższy, myśli moich święty stróżu,
Dyktuj . . . . . .
. . . . . .

Nie — nawet w tobie sen, że jak marmury
Stwardniałeś, duchyć przeciwne urzekły!
Z głowy się lały tobie wężów sznury!
Łzy, jady, śliny, smoły, ognie ciekły —
Wszystko, co piekłem jest w kształtach natury,
Wszystko, z czém próżno bije się duch wściekły,
Przeciwko tobie szło, królu upiorów!
Wszystko — sny nawet dźwięków i kolorów...

A ty, strasznego nadużywszy ciała,
Nie mogłeś nawet — smętny i piekielny —
Bronić się myślą, boć ta odleciała
Z rąk, i uciekła niby promień pszczelny...
Ciemność nad tobą wielka ciągle grzmiała,
Ciągleś w męczarniach czuł, żeś nieśmiertelny!
Owszem, pod ciągłym grzmotowym hałasem
Strach ci i boleść własna — były czasem...

Więc i to boli cię, królu kurhanów
Wiślanych, że gdzieś na zamczyskach żyło
Podobnych tobie dwunastu tyranów,
A ty trzynasty w nich — i pod mogiłą...
Z polerowanych tarcz i roztruchanów
Pokazywałeś zieloną i zgniłą
Twarz, jak z błękitu wyjaśnionéj wody
Wiejący na nich z ust śmiertelne chłody.

Więc i to boli, że tak marną była
Po śmierci twoja moc, próżnym zamachem
Grożąca zbrodniom, marna ducha siła,
Ziębiąca zjawą upiorną i strachem...

Jedno twarz twoja — zielona i zgniła —
Zjawiąca się pod zbrodniarza gmachem
W błysku tarcz, straszna jak Meduzy głowa,
To czyn, potęga twoja pogrobowa!

O marneż twoje, mieczowy aniele
I ciemny zmorem, rzezią Cherubinie,
Czyny w tym świata ogromnym kościele,
Gdzie po kopułach zegar słońca płynie...
. . . . . .

Już duch upadał — i po głośnych dzwonach
Stawała cisza, jak na sąd duchowy;
Anioł szaleństwa był w królów koronach,
Z gnuśnika zrywał obłok purpurowy...
Kiedym usłyszał harfę o dwóch tonach
I hymn słodkiemi gdzieś dzwoniony słowy
Od gwiazd dalekich . . . . . .
. . . . . .

—„Z dwóch teraz kwiatów masz wydać owoce
I z dwóch żywotów mieć tryjumfem trzeci.
Pomożem tobie my, prześwięte moce,
I prawda, która złotą gwiazdą świeci...
Czyń śmiało — niech twój miecz ziemię zgruchoce,
Niech myśl w skrzydlatym hełmie srebrnym leci!
Wicher za tobą ducha idzie cały,
Bądź sprawiedliwy, rozumny — i śmiały!“

Rzekły: jam spojrzał w górę, i zlękniony
Ujrzałem tego, który słońcem włada;
Nademną bliski stał — jak krew czerwony,
Jak jaka dawna dżdżysta Oreada,
Kiedy na błękit wychodzi zamglony
I swe promienie szeroko rozkłada
Złote, a na chłód i wicher jesieni
Wróżbą — sama się jak krew zarumieni.

Ujrzałem — i tak jako napadnięty
Ptak mały na wznak się broniąc położy,
A gdy już ma być ostrym dziobem cięty,
Sam zda się pierś swą wyda i otworzy:
Tak ja, gdy napadł mię ów ogień święty,
Gdy napadł w ogniach mnie ów święty Boży,
W miłości przed nim i w anielskiéj skrusze
Razem oddałem mu światło i duszę.

Co wtenczas było z nią — jakie się działy
Zapłodnień nowych straszne tajemnice,
Jakie w niéj wielkie słońca prawd błyskały,
Jakie piękności tęcze i księżyce?
Nie wiem, — lecz mistrz był w słowie doskonały
I tak zagasił mię jak w słońcach świécę,
Żem zgasł i stracił siebie, aż na nowo
Pan raczył oddać mi żywota słowo.

FRAGMENT TRZECI.

Mgła jakaś wtenczas złota i świecąca
Weszła na światy zmarłych — i duchowie
Którzyśmy tę noc bez gwiazd i miesiąca
Przespali, leżąc z rękami na głowie,
Wstawaliśmy tak... jak lamentująca
Gromada cieni szarych... Kto opowie,
Jak straszne były nasze z tego spania
Wyjście, wspomnienia i lamentowania!

Ci się uczuli... jak Prometeanie,
Złodzieje ognia... trwożni i zalękli,
Bladzi — a lament ich aż w obłąkanie
Wpadał... A inni na chmurach uklękli
I z garści — włosy rzucali w otchłanie,
Gdy inni — ciemni, jak ja, krwią przesiękli
Zbrzydziwszy sobie mieczową robotę
Patrzeli cicho stojąc — w światła złote.

A wtém się jasna pokazała Pani
Na tęczy, która w różach się rozwija,
I rzekła: — Smętni, rozlamentowani!
Oto kształt świata tego Bóg przemija...
Ci tylko jedni — synowie otchłani
I ta, która świat na duchu zabija,
Będą na czasy dwa i dwa miesiące
W jezioro wielkie siarką gorejące

Wrzuceni; a wy oto wszyscy inni
Wracajcie — kędy pszczół ojcowie starzy
I trzódek bożych stróżowie niewinni
Wzdychają, waszéj upatrując straży. —
Rzekła — My zaraz weseli i czynni
Szliśmy na nowych królów i kobziarzy,
Nie wiedząc który gdzie sobie układnie
Łoże i na nie gwiazdą złotą spadnie...

A już kraina żyt, bożemi słowy
Zasiana, ciszy wielkiéj dostąpiła,
I wschodził nad nią ów rok tysiącowy
Wielki, cudowny. Duchom się odśniła
Moc dawna czasów — śpiew Orfeuszowy,
Kamienna przezeń poruszona bryła
Podług tych głosów, które ruch uczynią,
Nagle stająca — nimfą lub boginią.

Odśniło się znów duchom, że widziały —
Przed dwu-tysiącem lat będąc, jak dusze —
Piramid aż do gwiazd rosnące skały,
Przelatujące niebem Perseusze,
To znów Dawida harfę i chorały
Święte . . . . . .
. . . . . .

DO RAPSODU TRZECIEGO.

WARYANTA I.

Początek rapsodu o Piaście według niniejszéj redakcyi, pomijając mało znaczące różnice w wyrażeniu, odpowiada zupełnie początkowym strofom tegoż rapsodu, jak go zamieściliśmy w texcie. Dopiero począwszy od strofy textu XVIII (strona 206) odstępują obie wersye od siebie. Od tego to właśnie miejsca dajemy odmienne to opracowanie poniżéj:

XIV.

Na takiéj uczcie raz Ziemomysłowi
Śpiewano księciu o pradziada czynach.
Tą pieśnią ludzie wzgardzą dziś surowi,
Lecz w niéj jest prawda, jak motyl w bursztynach.
—„Piast się pokłonił Bogu Aniołowi“,
Śpiewał wieszcz w starych pogańskich gontynach,
Gdzie na mogiłce piasku, śród płomieni
Siedział kniaź z panów gromadą w czerwieni.

XV.

W środku siedzieli w szatach purpurowi
Książęta, Pany radne i koniuszne,
A guślarz śpiewał i swojemu snowi
Spraszał za świadki upiory zaduszne...
—„Wonczas uderzył czołem Aniołowi
Piast... i rzekł: — Oto mam dzieciątka słuszne;
Błogosław, proszę, położywszy dłonie
Na moich dziatkach i na mojéj żonie.

XVI.

Lecz anioł nie chciał starszego Wodana,
A błogosławił tylko Ziemowita. —
A żona siadła w kącie zagniewana
Że pychą była. Zazdrosna kobiéta!
Więc kiedy odszedł złoty poseł Pana,
Usiadła w kącie, fartuchem nakryta,
Aż ją zapytał mąż z uśmiechem w oku:
Czego tam smęci, usiadłszy na boku?

XVII.

I rzekła Pycha: — „A toś nie uważał,
Jak anioł naszym Wodanem pomiotał?
Przed Bogiem syna naszego spotwarzał
I mnie... Bogdajby piorun mię zdruzgotał!
Teraz Ziemowit kwiaty będzie stwarzał,
Pszczołami rządził — a bratem szamotał,
A matki swojéj staréj nie posłucha,
A domem całym wzgardzi — bo wziął ducha.

XVIII.

„Niesprawiedliwość mi się wielka dzieje
I krzywda wielka mi przyszła od Boga:
Bóg Ziemowita światłem przyodzieje,
A od Wodana pójdzie wstręt i trwoga...
Teraz patrz — już włos na tamtym jaśnieje,
A twarz Wodana ciemna jest i sroga.
Srodze mię Pan Bóg w żywot mój ugodził,
Ten wziął — a tamten pierwéj się narodził.“

XIX.

I poszedł smętny Piast ku swoim pszczołom,
Sad szczepił, a rój wylatywał złoty
I osłonecznił głowę dwom aniołom
Z tęcz, które weszły jak ogień przez płoty.
A wszedłszy rzekły: — Pozdrowienie ziołom!
Szczęście domowi, gdzie zakwitły cnoty,
A niechaj nie ma snu tyran okrutny
I niechaj nigdy nie śpi! — Czemuś smutny?..

XX.

I rzekł na to Piast: Przebywam w pokoju,
Ale mi żona moja nie śpi cicha...
To mówiąc, ukląkł na kiju — przy zdroju
I szlochał. — Duchy zaś na to: Że Pycha
Że chce w rodzeństwie swojém niepokoju,
Bóg ją z ojczyzny swéj przyszłéj wypycha;
Ty jednak nie trąć słowem ani kijem
Złéj, aż ją sami wygnawszy — zabijem.

XXI.

I płakał gorzko Piast. — A jego żona
Przyzwawszy k' sobie synka Ziemowita,
Podniosła jemu w ramionach ramiona
I rzekła: — Czuj duch, który serca chwyta. —
A dziecko z matki się ciepłego łona
Zaczęło wdzięczyć jak róża rozwita,
Mówiąc: — Oto mam w rączkach moję duszę,
Wezmę, czego chcę — rozkocham, co ruszę...

XXII.

A matka słysząc to — rączki te kładła
Na syna swego czarnego Wodana
I sama on duch aniołowy kradła
I płomieniami czuła się oblana
I synów swoich wszystkie myśli zgadła
I rzekła: — W imię Boga, mego Pana
Czeka mię jakaś wielka droga pilna!
Widzę przed sobą czasy! — jestem silna!

XXIII.

I namówiwszy się z Wodanem rzekła:
— Przybiorę różne do pomocy dusze,
Chociażbym cały świat na siebie wściekła,
Upiorów wojsko podziemne poruszę;
Pójdźmy stąd do trzech pustelników z piekła,
Na górę Zober! — pójdźmy w leśną głuszę,
Gdzie żyją straszni ci trzej pustelnicy
Pod strażą orła, gadziny i lwicy.

XXIV.

Świętopełk, niegdyś król Czech i Morawy,
Zniknąwszy wojsku swemu nakształt mary,
Do nich się udał i piekielne czary
Czynił i wskrzeszał z grobów ogniojawy:
A przecież w grobie śpi bez żadnéj kary,
Znany rapsodom ów monarcha stary,
Owszem na dziadach ma modły śpiewane.
Takiéj korony jak on — ja dostanę. —

XXV.

To mówiąc, wzięła Wodana za rękę
I biegła... a mąż spotkał ją u proga;
Więc rzekła: — Idę patrzeć na jutrzenkę,
Gwiazdę wstającą na końcu rozłoga.
A Piast pogroził — w niebo podniósł rękę
I rzekł: — Jutrzenka jest jak oko Boga:
Przed rankiem wstaje, słońca się nie wstydzi,
Do serc przenika jako miecz — i widzi...

XXVI.

A Pycha fartuch zwinąwszy na głowie
Z synaczkiem biegła po łąkach i rosach.
I napotkali ją dwaj aniołowie
Z kwiatami, z gwiazdy złotemi na włosach.
—Gdzie idziesz? — rzekli; a ona odpowie:
—Gwiazdy północnéj szukam na niebiosach. —
A oni na to: — Od męża uciekłaś,
A gwiazdy szukasz? teraz prawdę rzekłaś.

XXVII.

Znikli — a ona daléj zadyszana
Biegła, Wodana zaś za rączkę wlekła;
A różne na nią wiekuiste Pana
Sługi i różne pochodnice z piekła
Patrzały: jedna jak głowa urwana,
Druga jak ręka, która mieczem siekła,
Upiory, światła w niebiosach podróżne,
Przylatujące na nią — gwiazdy różne.

XXVIII.

I przerażone w niéj duchowe soki
W ocet się ostry kłamstwem zamieniły;
Ogniste za nią leciały obłoki
I po cmentarzach widziała mogiły,
Z których wychodził skier obrus szeroki;
A ciała na dnie jak w szkle widne były,
Przy każdéj kładce i przy każdym moście,
Mogiła jak szkło z ognia — a w niéj koście...

XXIX.

I rzekła: — Wejdźmy na cmentarz Wodanie,
A weźmy duchy przez cielesne bole;
Bo to nauka — przez ciał ogłaskanie
Anioły wolne ducha — brać w niewolę.
Czynią — co zechcesz, skoro w zaprzedanie
Pójdą, a wzrok je twój na wskróś przekole,
A potém w swoje łańcuchy obwinie,
W siebie je wchłonie, sam w ich kości wpłynie.

XXX.

Oto są zgniłe cmentarne próchniska,
Których się dusze po śmierci trzymają.
Zatrwoż je o kość!—nie bój się, że błyska
I światła dziwne po mogiłach wstają. —
Rzekła: a różne zaklęte świetliska,
Zmuszone powstać, wstały wielką zgrają;
Każdy duch z własnym żegnał się kurhanem
I poleciały wszystkie za Wodanem.

XXXI.

I będąc jak bóg, a Pycha boginią,
Przyszli na górę Zober Wodan z Pychą,
Gdzie czarownicy nad leśną pustynią
Nie jednę duszę tak jak listek lichą,
Zwiędłą — na węglach palą, wiatr z niéj czynią,
Służkę zbolałą, nikczemną i lichą,
Lub każą jasnéj chodzić po jeziorze
I koralami ust — psuć sługi boże.

XXXII.

Z tych dusz jakoby wilgotne kolory
Opromieniały pustelników skałę.
Ci we mgle kiedy zaczną swe nieszpory,
A czarne płaszcze swe zamienią w białe:
To pod płytami tych skał czarne bory
Drżą... ptaszki siedzą w liściach oniemiałe,
A daléj srebrne jakieś błyszczy morze,
Jezioro — dzwony dzwoniły w jeziorze.

XXXIII.

I pustelniki te Wodan połamał
Duchem, a matka im rzekła: — Widzicie,
Oto Bóg, który nigdy mi nie kłamał,
Przysłał to cudne pierworodne dziécię.
Chciejcie, co on chce! — On was Bogiem łamał,
Siłami, które w bożym są błękicie,
A wam ta siła więcéj nie zaszkodzi,
Owszem... królestwo ducha ku wam schodzi.

XXXIV.

I pokłonili się trzej pustelnicy
I rzekli: — Czego chce Wodan, my chcemy. –
A Wodan w niebo krzyknął: błyskawicy!
I ogień wielki, z twarzą złotą — niemy
Jak duch — trwający jak mgła — z okolicy
Północnéj — po nad sosny i czeremy
Rozciągnął straszny płaszcz ze złotéj lamy,
Podobny do krwi, ogniska i plamy.

XXXV.

I rzekła Pycha: — Teraz nieomylna
Jestem we wróżbach moich! Pan mię słucha!
Wysłuchał mnie mój Pan Bóg! jestem silna!
Królestwo w ręku mam! Mam berło ducha!
Lecz siła pięciu ludzi i mogilna—
To jeszcze dla mnie nic — podpora krucha!
Mocarzy świata wezwę. Jak prorocy,
Siły już świata mam — lecz wezwę mocy!

XXXVI.

Rzekła: i cesarz wielki Romy — Otto
Usłyszał — i rzekł: — W ręku mam Słowiany!
I szedł na górę sam, a pod ciemnotą
Sosen, pod skałą ukrył swe Rzymiany,
Ukrył girlandę swoich orłów złotą
I miecz narodów wszystkich krwią zbryzgany,
A rzekł do swoich: — Wyostrzcie pałasze!
Słowo wam Lachów dam! już Lachy nasze!

XXXVII.

Rzekł, i na górę wstąpiwszy w koronie,
Uczcił niewiastę i syna i starce,
Mówiąc: Przyniosłem tu duchowi dłonie
A guślarzowi cześć — i téj guślarce.
Albo was wesprę — albo was obronię,
Albo świat, który was nie wyzna — skarcę;
Lecz mi pokażcie téj nocy moc waszą,
A nie na gwiazdach, bo te — zorze gaszą;

XXXVIII.

Ale na ludziach — lecz na królach ziemi
Pokażcie duchów waszych samowładność!
Niechaj Popiela wasza moc oniemi,
A członkom jego da głazu bezwładność;
Niech posągami staną się pięknemi
Królewny, a kształt chowają i ładność
I kolor mają rumieńca na twarzy
Podobny różom i złoconéj zarzy.

XXXIX.

Trzymajcie całą noc wasze książęta
W takiém uśpieniu — lud niechaj to widzi!
Niech ja sam, cesarz, i Rzeszy panięta
Przekonamy się, że Wodan nie szydzi,
Żeś ty prawdziwie przez ducha natchnięta
Królowa, która fałszu nienawidzi,
A żadnéj zdrady nie chowając w ciele
Oszukać nie chce swe nieprzyjaciele! —

XL.

A wtenczas Pycha rzekła: — Tak się stanie,
Jak mówisz: nocy téj Popiela zmrożę.
Wezmę mu siłę, ruch i oddychanie,
Myśli w sen wtrącę, serce mu zatrwożę;
A ty koronę na moim Wodanie
Położysz i sam na Popiela dworze
Weźmiesz odemnie i od mego syna
Hołd. — Niech się stanie czar! bije godzina!...

XLI.

Tu guślarz, który taką pieśń straszliwą
Śpiewał (przytomny przed wieki słyszałem),
Buchnął na węgle siarką i oliwą
I z całym ludu wiejskiego chóralem
Zaczął pogrzebną pieśń i żałobliwą
Nad matką, która duch gwałciła ciałem,
A czasów świętéj miłości nie zgadła
I poszła — i gdzieś bez wiedzy przepadła.

XLII.

A wtém... na zgliszczu tém jakaś kobiéta,
Cała ubrana w bluszcze i w powoje,
Jakoby szatą kwiatami okryta
I płótnem — wzięła ksiąg leżących troje
I widać było, że ze średniéj czyta,
A czasem tylko piękne myśli swoje
I napisaną rzecz na korach drzewa
Okiem rozwiera i w ustach rozgrzewa.

XLIII.

Sen duch — pożéra czas — i wieki lecą
(Tak zaczynała się pieśń téj kapłanki),
A wieki jako błyskawice świecą,
Jak spadające gwiazdy są poranki...
Bóg nasz ucieczką naszą i fortecą,
I myśli nasze święte jak z gwiazd wianki,
I na niebiosach się przyszłych rozwiną,
Wszystko przeminie — lecz one nie miną.

XLIV.

I przyszedł światły duch do Ziemowita
I rzekł: Młodzieńcze wstań i stań się czujny!
Albowiem nocą dziś — jedna kobiéta
Na twoję ziemię rzuca czar potrójny.
Zorze błyskają, mocarz za miecz chwyta
I kruk przeczuwa plon czerwony, bujny.
Czuwaj! ogromna moc, wzięta z miesiąca,
Wodza ci i kraj w osłupienie wtrąca.

XLV.

Tasama siła, którą ty masz bożą,
W cielesną nagle przemieniona władzę,
Wyszła... a już się aniołowie trwożą,
Że Przeciw-Bożnik przyszły wstał w odwadze.
Słońca onę wieść po niebie rozwożą,
A ja przez ciebie ją na świat prowadzę
I tobą małym, jak słoneczną różą,
Czynię rzecz małą — lecz u duchów dużą.

Dalszych strof nie dajemy, gdyż bardzo mało się one różnią od zwrotek stanowiących zakończenie téj pieśni w texcie, począwszy od strony 221.

WARYANTA II

(treścią zupełnie odmienna).

(treścią zupełnie odmienna).

PIEŚŃ I. *)

I.

Parni żywota czcluść otworzono.
Widziałem znowu jakieś święte kraje
I chwilę mego żywota błyśnioną;
Wspomnienie moje jako miesiąc wstaje,

*) Rapsod o Piaście podług obecnéj (zapewne najrychlejszéj) ułożony redakcyi, drukowany był cały w Dzienniku Literackim lwowskim r. 1865 Nr. 83—85. My tu zamieszcza-

Jak miesiąc, który złote swoje łono
Oświeca, w nocy spojrzawszy na gaje,
I w mgłach się zaraz topi tajemniczych
Strwożony pieśni girlandą słowiczych...

II.

Widzę gdzieś, że mię w biednéj chłopa chacie
Z dzieckiem chowano razem Ziemowitem;
Tam różnych duchów zjawione postacie,
Miesięczne bożki, uwieńczone żytem,
Tam w mākach duchy snu — tam w bluszczów szacie
Boginie lasów owiane błękitem,
Piękniejsze, niźli wydać mogę w słowach,
Stały — a miesiąc nosiły na głowach.

III.

Tam duch, z duchami tymi sprzymierzony,
Prosty i dobry wprowadził mię w ciało;
Ale ja — krwawy w sobie i zlękniony —
Na światło boże patrzałem nieśmiało.
Mnież to żyć?.. Miesiąc stawał się czerwony,
Gdym spojrzał; źródło na wstecz uciekało,
Gdym wstąpił nogą w kryształ przezroczysty;
Gdym się w nim przejrzał, byłem trup ognisty.

IV.

Czarność mojego lica niesłychanie
Ojca raziła, ale matce miła.
Ta mi bywało swoje całowanie
Jak ogień daje — do lasów posyła —
Ziół mi zaleca gadzinnych zbieranie,
Kwiatów, którymi ludzka się mogiła
W zamglonéj nocy — przed rannemi mgłami
Zapala cicho w nocy, jak ogniami.

---

my tylko samę Pieśń I, jako nietylko pod względem rzeczy saméj szczególnie godną uwagi, ale i artystycznie zupełnie wykończoną. Dalsze pieśni ani nie są całe, ani też zalet uderzających, dla którychby tu miały być dołożone, nie posiadają.

V.

Ty — mówi do mnie — czarny jak żelazo,
Jesteś serdecznym i zwołanym duchem...
Ty — strasznooki, z krwawą w oczach skazą,
Jak pies z urwanym gdzieś w piekle łańcuchem,
Choć chłop, nie dasz się skalać żadną zmazą,
Ani jak owca w głowę bić obuchem;
Ziemowit biały, jako chléb z pszenicy,
Nie ma téj, co ty, w oczach błyskawicy.

VI.

To też ja, Pychą nazwana u ludu —
A dobrze zowią, bo też pyszną jestem —
Przez ciebie myślę z wieśniaczego brudu
Wyjść, jak wąż z cichym wypełznąć szelestem.
Twój ojciec czeka zjawienia i cudu;
Z pokorną twarzą, z uniżonym gestem
Przyjmuje jakieś ludzie nieznajome,
Młode — dobytku naszego łakome.

VII.

Dwa razy byli już, i ojcu twemu
Jakieś mówili nowe tajemnice,
A mnie szydzili, pytając mię, czemu
Ja złotą nicią szytą mam spodnicę —
I korabiowi na głowie złotemu,
Który Syońską udaje bożnicę,
A na głowie się jako wieża pali,
Nie w głos, lecz z boku cicho urągali.

VIII.

Nawet wrzeciono, że w złotym bursztynie
Umoczyłam je, już im stało w oku...
Niech mię nie kuszą — mówię — bo nie minie
Rok, a odemnie dostaną uroku!
Kość im się która w ciele jak wąż zwinie,
Albo je dotknie złoty bóg z obłoku;
Ręką je złotą — mówię — dotknie który
Duch, gdy błyszcząca w nocy zaklnę chmury.

IX.

Rzekła; a mnie strach zdjął, widząc ją całą
W światłach i w mrokach, i w błyskach i w krzykach;
Coś na korabiu jak ogień łyskało,
Na purpurowych coś łysło podwikach,
A państwo jakieś w niéj ogromne wstało:
Większa niż ta, co bywa w pasiecznikach
Powaga — owszem w duchu swego słowa
Stojąca — była wtenczas, jak królowa.

X.

Alem ja lękał się już ciemną drogą
Chodzić, a drogi nie spróbować do dna;
Jakiś świat większy złamany pod nogą
Miałem; już dusza moja była chłodna,
Już ją ku wielkim ambicyom nie mogą
Porwać te krzyki — i ta niewygodna
Ludowa dusza, w matce mojéj żywa,
Pyszna i pychą własną nieszczęśliwa...

XI.

Bywało, mówię, tak, gdy matka w oczy
Patrzy i dumnéj skry jakiéj wygląda;
Ale mnie smutku wąż i robak toczy,
A dusza — choćby snu na wężach żąda!..
Coś ją okropnie uciska i tłoczy —
Jakiś mrok — czasem anioł się ogląda
W powietrzu z trwogą i z tęsknotą skrytą,
Jak za harfiarzem jakim i kobiétą.

XII.

A nie wiem, że sny topione w błękicie
W jednéj tu ze mną kołyseczce spały;
Że pieśń i piękność żywa w Ziemowicie,
Że on — to harfiarz w sobie doskonały.
Było to piękne i spokojne dziécię,
Włoski mu złote na głowę spadały,
Jakąkolwiek wdział na się szatę grubą,
Zdała się piękną, woniącą i lubą.

XIII.

Wszystko przenikał swą świecącą treścią,
Wszystko czystością zdobił i przenikał;
Ja — szatan przy nim czerwony boleścią —
Czarny zgryzotą — wąż mi z włosów sykał,
Twarz była cała piekielną powieścią,
Ogień zapalał się w oczach — i znikał,
A zły duch wszedłszy w płuca i pod skórę,
Ręce i nogi me wyrzucał w górę...

XIV.

Czasami oczy zatliwszy rubinem,
Pomiędzy dziatki wiejskie nagle wpadnę,
Wlecę — i niby szarym wietrznym młynem
Nakryję, duchy czystymi zawładnę...
Pienią się — rośnie wieść pomiędzy gminem,
Żem szatan — grożą mi śmiercią: nie bladnę...
Czuję się na świat przysłaną poczwarą
Dla kary duchów pustych — sam pod karą...

XV.

I próżno piękne wiejskie one lata
Wydawały swe kwiatki młodociane;
Próżno owita bluszczem ojca chata,
Dąb stary nad nią i ławy drewniane,
Próżno pasieka zawsze w miód bogata
I piękne łąki, zawsze w kwiat ubrane,
Z ojca mojego mię godziły stanem: —
Jam widział państwo moje — pod kurhanem.

XVI.

Tam jacyś wielcy i straszni mocarze
Na tronach złotych wołali mnie k' sobie,
Tam z szyj uciętych zlatujące twarze
Zdały się miłość dla mnie chować w grobie...
A tu — ku mojéj to Bóg zrobił karze —
Chłopstwo — ugięte królewskiéj osobie,
Bojaźń zwierzęca, prawie nieczłowiecza,
Ja sam — już chłopię bojące się miecza...

XVII.

Bywało słyszę o Popiela dworze —
A to już trzeci był z rodu Popiela;
To mi go taki strach, jak gdyby morze
Krwi, uskrzydlonych kwiatów, i głów wiela
Świętych — w tém słowie król... O sądy boże!
Z poza grobowca piorun strachu strzela,
A ty uciekasz z twarzą na los wściekłą,
Stworzywszy sobie swoje własne piekło...

XVIII.

Teraz ci oto torturami grożą
Twe myśli własne — twój cień mieczem macha;
Mogiła twoja pod czerwoną zorzą
Jako na słońcu wystawiona blacha,
Na której węże się Meduzy srożą,
Ściga... i w nocy małe dziecko stracha...
Zakląłeś duchy krwi i męże ziemi:
Przyszły — a teraz uciekasz przed niemi?

XIX.

Próżno... znalazłeś we własnéj macierzy
Dumę i chciwość władzy... i odwagę...
W niéj twoje państwo utracone leży,
W niéj krew kładziona z pieniędzmi na wagę
W piorun zamieni ciebie — a uderzy
Tobą i w świata cię przemieni plagę...
Próżno się chowasz jak skąpca szkatuła:
Ona twój czarny duch przez kość poczuła...

XX.

I raz... gdy była noc, miesiąca nowie
Przyjazne czarom, przyszła mać i rzekła:
U ojca teraz są ci aniołowie,
Którychem złotéj natury dociekła.
Chodź — niech położą ci ręce na głowie,
Niech dadzą ducha strumień... Choć do piekła,
Choćby mi trzeba pójść aż pod mogiłę:
Pójdę, nie zlęknę się — a wezmę Siłę.

XXI.

To mówiąc wlekła mnie za rękę... Czysta
Noc była... Oni na wiejskiém podwórzu —
A noc przejasna, gwiazdami ognista
Szkliła, i świerszcze gdzieś świerkały w zbożu.
Ta noc — o jaka dla mnie przezroczysta
W duchu... w pamięci! jak na pozamorzu
Noc jakaś... dawno woniąca przed laty,
Gdym leciał jak duch konny i skrzydlaty.

XXII.

Za mną gdzieś... piękność swe chłodne westchnienia
Jak wiatr szumiący w skrzydłach posyłała;
Teraz — chłop... w rękach czarnych przeznaczenia
Ugięty w czarną ołowianość ciała,
Stoję przed duchy jasnymi zbawienia;
A duch mój zbity nie drży i nie pała,
Owszem — nić czuje losu zakręconą,
Kręcąc się w ręku matki, jak wrzeciono...

XXIII.

Ona też, w duchu podstępna kobiéta,
Sama się ze mną Bogu nie stawiła;
Lecz drugą ręką wzięła Ziemowita
I przed anioły szła — a blada była...
Fartuchem z głową z korabiem nakryta,
Jak izraelska stojąca mogiła
Kładnąca cienie na cmentarnym piasku,
Wysoka — jak ścierń (?) przy księżyca blasku.

XXIV.

I wiedząc, że duch aniołowy kradła
Ku celom swoim i ku swojéj dumie,
Szlochając — do nóg aniołom upadła
I udawała, że mówić nie umie:
A ja pod fartuch skryty — te widziadła
Złote ważyłem głęboko w rozumie,
Czujący, że w nich leży sprawa boża,
A są duchami bławatków i zboża.

XXV.

Złoci, błękitni... jak nad upiorzycą
Stali nad matką moją — a ja śniady
Kłułem je oczów moich błyskawicą,
Złączony będąc w duchu — z duchem zdrady.
Ona ciemnością była, a ja świécą,
A pochodniami — duchy, a Piast blady
Wyglądał z pod lip ciemnych na te dzieła,
Gdzie moc przeciwko aniołom stanęła.

XXVI.

Padł los... w krwawe me spojrzawszy jelita,
W duchową moję ciemń... w miesiąc sumienny,
Oba na głowę brata Ziemowita
Zlali duch boży... I wnet jak wąż senny
Jąłem poziewać... Piorunami bita
Myśl poleciała w ogniste gehenny,
W Abrahamowe łona, w głąb bałuchów
Ognistych — przeciw duchom... szukać duchów!

XXVII.

Tam w głębi tego duchowego świata
Jako w ciemnicy zagościwszy, widzę
Bywało duchy, które wąż oplata
Lub kręci ciągle wiatr — podobne frydze.
Jeden trup ciałem na płomieniach lata
I przyprowadza ciepłem ku odlidze
Snu lodozorza(?) — że jak fale tają,
A trupy czechła podnoszą i wstają.

XXVIII.

Tam trumien słyszę bywało pękanie,
Tam szmer kościanych gromad — tam powiewy
I zgrzyt i wicher jęków — i szlochanie
I śmiech — i Boga bluźnierstwo — i śpiewy...
Gdyby mi harfy: — byłbym panowanie
Objął śpiewając, a w nią straszne trzewy
Ogniste — jako tragik tu najkrwawszy —
Wszystkie te głosy duchów powpuszczawszy,

XXIX.

Byłbym postrachem ludzi powojował,
Otrętwił... sobie hołd składać przymusił,
Zatrwożył, duchem pogiął — i panował
I wiedzą rzeczy zakazanych skusił...
Ale mnie anioł straszniejszy ratował
I pożar we mnie już zajęty zdusił,
Pokazawszy mi duszę moję ciemną
W straszniejszéj: poszła Niewiasta przedemną...

XXX.

Raz, gdy Piast ojciec duchów odwiedziny
Święcił, miód sycił, zabijał jagnięta;
Gdy kłosów złoto i maków rubiny
Włożywszy sobie na głowę dziewczęta,
Z pieśnią przed wrota przyszły — a ja w siwy
Mrok patrząc sądził, że to jakaś święta
Tęcza się duchów na powietrzu trzyma
I śpiewa smętne pieśni przed wrotyma;

XXXI.

Gdy ten par — i to duchowe zamglenie
Że mnie upadło na świat chmurą złotą,
I przemieniło w anielskie zjawienie
Lud śpiewający z anielską prostotą;
Gdy ona piosnka o drzwi otworzenie
Była mi strachem — sądem — i tęsknotą,
Bo dusza, która w sobie ucho stwarza,
Słyszała w niéj głos jakiegoś harfiarza;

XXXII.

Kiedym był gotów już paść na kolana
I krzyknąć: Boże, skrusz, bo już nie mogę!
Przybiegła matka, jak wąż zadyszana —
Krzyknęła: Woj-dan, chodź — pójdziemy w drogę!
Ukradłam dziecku mojemu duch Pana —
Ukradłam światła moc — zamków pożogę
Wiatr — zaklinanie gwiazd — potęgę całą
Ukradłam dziecku mojemu... gdy spało.

XXXIII.

Chodź — a téj chłopskiéj przed wrotyma tłoce
Dajmy tu nasze wyjadać spiżarnie!..
Rzekła; jam uczuł w niéj okropne moce,
Ogień wyzierał przez oczu latarnie,
Pierś zawichrzona — w gardle wąż grzechoce;
Podobna w lesie zalęknionéj sarnie
Słuchała — i mnie cisnęła do łona,
A była cała wstydem zapłoniona.

XXXIV.

Piękna i straszna przez one rumieńce,
Przez one ognie wchłonięte świecąca,
Porwała wtenczas mię matka na ręce,
I biegła prosto w mrok... Padł blask miesiąca,
Jam płakał — za mną pieśniami ci żeńce
Gonili... za mną chata śpiewająca,
Jakby instrument jaki, nastrojony
Na zlitowane i żałosne tony;

XXXV.

Za mną wieśniacza niewinna pokora,
Za mną zwyczajny los szczęśliwych ludzi...
Mnie ciągle moja w błyskawicach zmora
Ciągle unosi — w grób rzuca i budzi.
Nigdy nie daje mi dosyć wieczora,
Nigdy spokojnéj piersi nie ostudzi,
Nigdy jeść chleba nie daje bezpiecznie...
Tak było wtenczas ze mną — i tak wiecznie.

XXXVI.

Przez jakieś łąki i przez jakieś rosy
Lecieliśmy tak, ja i matka Pycha;
A ciągle, ciągle one żeńców głosy
Noc donosiła błękitna i cicha.
Potém oćmione stanęły niebiosy,
Duchy przeciwne — ogień wąż Tenrycha —
Szatan, przykrywszy sobą ciemne bory,
Jak smok na wiatrach odmieniał kolory.

XXXVII.

Czy nam przeciwne, czyli nam usłużne,
Czy przelęknione o świat, czy ciekawe
Przelatywały komety podróżne,
Jak głowy ludzkie świecące i krwawe...
Jam płakał — matka mi te gwiazdy różne
Pokazywała, a na każdą zjawę
Twarz miała inną... jak wąż, co się mieni
Czasem w purpurze, a czasem w zieleni...

XXXVIII.

Czasem zdało się jéj, że w nocnéj ciszy
Kto do niéj gada: to staje... i slucha...
Ja nic nie słyszę — trwożny: ona słyszy
I mówi do mnie cicho: mamy ducha!
Znów bieży — staje — czy gdzie potok dyszy,
Czy gdzie wiatr jęczy, czy gdzie źródło bucha —
Ona w korabiu złotym wznosi głowę,
I wnet się wdaje z tym szmerem w rozmowę.

XXXIX.

Na każdéj kładce i na każdym moście
Belka pod nią drży — grosz biorą upiory;
Puszczają wszystkie skruchy i żałoście
Grobów — i wszystkie grobowe kolory,
Mogiły jak szkła ogniste — w nich koście,
Cmentarne widma — i duchów nieszpory,
Kruczy straszny skwir — i wiatr złoty skrami
Tumanem wstają i lecą za nami.

XL.

Ale straszniejszy w onéj duchów burzy
Urodził się cel... w duchu téj kobiéty!
Niech nam — rzekła — miecz i król wszelki służy
I wszelki anioł w ciele tu powity.
Kto w pierścień nie chce wejść, a nadto duży,
Niech będzie klęty, piorunami bity;
A kto mi przyjdzie — choćby krwią czerwony,
I z miecza pomoc da: błogosławiony!

XLI.

Niech to rozniesie każda czarna chmura
I każda gwiazda z tą wieścią poleci,
Że mi ugięta cielesna natura,
A mego ducha wszędy pieczęć świeci.
Rzekła — i zaraz jakaś ciemna góra
Jawiła się z mgieł — świadectwo stuleci,
Buki ogromne na sobie nosząca,
Wysoko — blisko już gdzieś aż miesiąca.

WARYANTY
DO RAPSODU CZWARTEGO.

URYWEK I. *)

Wszystko prześwięta cisza ogarnęła
Przed dniem, gdym ja miał ujrzeć światło dzienne;
Matka cedrowe kufry odemknęła —
Szaty zapachły — i zaczynki pszenne,
Pieprzne pierogi dla boga Pokieła,
Mięsiwo w kwiatki ubrane wiosenne
Zapachło — jakby od gwiazd różnobrzmiennych,
Dźwięczność szła piękna od stągwi kamiennych.

Zasób, domowy bóg, z obliczem zwierza,
Zwabiony duchów wesołych robotą,
Z ciemnego, mówią, gdzie siedział, alkierza,
Czarny jak murzyn, wyjrzał twarzą złotą —
Dziewki go śniegiem łabędziego pierza
Zagnały w alkierz — bębniły w rzeszoto,
Aby się długo na świetle nie bawił,
Pozłot nie stracił i nie zmarnotrawił.

*) Są to celniejsze ustępy, wybrane z takich opracowań tegoż rapsodu, które tylko były coraz inaczéj zaczynane, a nigdy nie doprowadzone tak daleko, żeby tworzyły jakąś większą całość. — Powyższy Urywek I stanowi waryantę względem kilku strof w texcie, zamieszczonych na str. 235.

On też jako wilk przemknął się po domu
I wlazł do nory; ale go widziano!
Gdzie on, dom nie zna ubytku i sromu —
Duch dobry — składa dziewczętom na wiano;
Bo on nie często i nie lada komu
Pokaże w ogniu swą twarz pozłacaną,
Lecz rzadko z kątów ciemnych wytknie głowę,
Chyba na wielkie wesele domowe.

Potém więc grajki swoje oszołomne
Muzyki wnieśli w drzewogłośne ściany.
Takie robiono przybory ogromne,
Gdy duch u Słowian miał być postrzygany —
Sakrament, który czynił czoło skromne
I duch — z duchami baranka zbratany,
Tak że się potém snadno z bracią godził,
Winy odpuszczał, a krzywd nie dochodził.

. . . . . .
. . . . . .

Wszystko śmiało się: ja sam jeden, pomnę,
Smętny, i ojciec rozlamentowany.
—„Oto dzień, krzyczał, że państwo ogromne
I lud, przez duchy jasne nawiedzany,
Ma być zawstydzon w duchu swego księcia
Widokiem tego ślepego szczenięcia!..

„Lepiéjże było wejść mi pierwéj w ligę
Z jakim cesarzem lub Neboh-da-carem,
Niż teraz, gdy już mieczyska nie dźwigę,
Biegać — kto prędzéj — z Płowcem lub Chazarem.
O! biednąż mój ród nową ma łodygę!
Ciemnymże na mój ród rzucono czarem!
O pójdąż na wiatr, jak śmiecie, Słowianie,
A Popielnica sława już nie wstanie!

„Lepiéjże teraz chłopkom, z pod kurhana
Tamten srogi duch wygląda czerwony,
Który był jak bicz i gwiazda rumiana
I miecz przez duchy boże zapalony,
Niż ten... niewiastka ślepotą związana,
Błyskotnik jakiś w ciemnościach zielony,
Dziecko, które gdzieś widziało miesiące,
Ślepe jak żebrak — a przerażające!“...

Jeszcze dziś słyszę, i włosy się moje
Jeżą — na straszne te ojcowskie słowa;
A on pięściami tłukł w miedzianą zbroję
I hełmem swym tłukł o uszaki z drzewa;
Potém mnie wzięto na niańki pokoje
Niewiedzącego nic, za co się gniewa
Ojciec i trzaska gniewem ciemną chatę,
Chyba żem dziecko smoka nieskrzydlate...

URYWEK II. *)

Pomnę, że gwarem niby winem spity,
Zasnąłem ślepy: gdy oto duchowie,
Którym ten świat jest, jako z tęcz uwity
Obraz form różnych na słonecznem Słowie,
Przysłali mi sen straszny i zakryty,
Wróżący oczom moim blask i zdrowie,
Przeto że winy ducha, jak rumiane
Słońca świecące, miały być zmazane.

Straszny, największy z duchów obrażonych,
Rozpromieniwszy swe srogie oblicze —
W szatach błękitnych i w ogniach czerwonych
Błysnął mi i znikł... Słyszano, że krzyczę...
Jam rozpowiadał o widziadłach śnionych,
Z ducha gadałem rzeczy tajemnicze;
Z duchów słowiańskich zbudzony najwcześniéj,
Pierwszy stanąłem złoty — w duchu pieśni.

*) Obacz w texcie str. 237 i n.

Aż do samego dnia w różnych natchnieniach,
Niby wysoko lutnia nastrojona,
O gwiazdach tylko smętnych i zjawieniach
Rozpowiadałem. Matka przerażona
Oczu mych blaskiem... W alkierzanych cieniach
Twarzyczka moja biała i szalona —
Mówili ludzie — lała blask miesiąca,
Zbiedniona, ślepa i przerażająca.

Aż mię nadedniem w duchu uciszono,
Ubrano w srebrne szaty całodziane;
Potém do świętych gajów prowadzono,
Gołąbki dano nieść — ofiarowane;
Główkę nakryto kwiateczków koroną,
Przejęto w paski złotem malowane;
I tak w świątynie wprowadzono pańskie
Mnie biedne, ślepe królątko słowiańskie.

Szedłem — a moje myśli pełne trwogi
Malowały mi nigdy niewidziane
Gontyny z cedru, ogniska, trójnogi,
Straszydła żywe ludzi krwią rumiane,
I duchy-bogi i sztandary-bogi,
Sztandary — żywe widziadła miedziane,
Które przestrachem na śmierć ludzi biły,
A przed ludami na boje chodziły...

Myślałem, że Bóg stojący w Arkonie
Jest jako ja... duch ogromny i wieczny —
A gdy go niosą, to miedziane dłonie
Wyciąga i łuk napina słoneczny;
Myślałem, że ma w błyskawicach skronie —
W oczach blask — ręce jak miecz obosieczny,
A gdy chce, to hełm rozgwiżdże padalczy —
Sam idzie — błyska — i za ludzi walczy.

Jużem się cały na to był gotował,
Że się ukorzę, a przed tymi duchy
Upadnę: — gdy mię mój Pan wyratował,
Pan mój — miłośnik niecielesnéj skruchy.
Owszem, abym te szatany wojował
I formę niszczył wewnętrznymi ruchy,
Sto mocy mi dał — od globu i nieba!
Sto sił — i cudem wspomógł, kiedy trzeba...

Pomnę, że stałem przed tymi kapłany,
A wzrok mój blade sobie tęcze snował:
Gdy upior pieśni we śnie ukazany
Rzucił się na mnie w ogniach, i mordował
Oczy me ogniem. — Włos wichrami rwany,
Twarz taka, że się lud rozlamentował,
A inni, którzy złych bogów się bali,
Dary rzuciwszy w ogień — uciekali!

Ducha nie widział nikt: ale widziano,
Że się ja z którym wielkim bogiem biję!..
Pierś mi urosła, sparło się kolano,
Dłoń skrzepła, włosy świstały, jak żmije;
Potém źrenica stała się rumianą —
Pękła... Jak piorun, kiedy we drzwi bije
I rygiel chaty zamkniętéj otworzy
I wejdzie: — tak świat we mnie wstąpił boży,

Słoneczny! — A ja, by Herkulesowy
Anioł — złamawszy ciemność, ani krzykiem
Ani jakiemi objawiłem słowy,
Żem był sam sobie wodzem i świecznikiem;
Ale na ten gmach patrzałem sosnowy,
Poważny, bydła napełniony rykiem,
Gdzie ciągle tłustość na trójnogach pluszczy
I „ach, ach!“ wielkie sosn — od echa puszczy

Dolatywało... Lasów tych szaleństwo
Słyszę — kolorów dotąd widzę blaski...
Anioł, skazany odtąd na męczeństwo
I odzyskanie świętéj pańskiéj łaski —
Wtenczas brał na się swoje człowieczeństwo
I moc — przez piękne te kolorów brzaski,
Które mroczyły modrzew i jedlina,
Wzięty, jak sercem dzwoniąca ptaszyna...

Jakoby szałas, przez belki złocone
Wiązany, leśną widziałem kaplicę.
W niéj lud, kniaź, wodze, supany czerwone,
Wieńce jemioły — skrzydlate zbroice —
Bliżej kapłanka, którą aż z Arkony
Przywiozły białe jak śnieg jałowice,
Ustrzygła mój włos i w czarze z bursztynu
Paliła, a pieśń słowiańskiego gminu

Brzmiała w około: — „Będziesz tak strzyżony,
Jak biała owca... Będziesz tak na świecie
Uciśnion, jako każdy duch rodzony,
Którego woda topi — ziemia gniecie —
Z ciała wypędza ogień-duch czerwony —
Mróz zimą dręczy — ogień pali w lecie —
W podróży wieczna udręczy tęsknota —
A zła wieść czeka przed domem u płota...

„Żona cię zdradzi — przyjaciel udręczy —
Pan cię uciśnie — wróg napadnie zbrojny —
Dziedzic pośmiertny w pracy nie wyręczy —
Grób nie nakryje po śmierci spokojny...
Na coś ty przyszedł od słońc i od tęczy
Na ten świat biedny i w ten dom rozbojny?!
Anieli cię już z ciała nie wydźwigą!
Ludzie chwycili — jak owieczkę strzygą.“ —

Tak ci śpiewali; ale mi na oczach
Inny czar wtenczas stał — kapłanka biała,

Cała w powojach, płótnach i warkoczach
Ubrana — bursztyn nad głową trzymała —
Różany olej w bursztynu przezroczach
Płonął i ogniem dochodził do ciała;
A ona cała w kolorach i wrąca
Była — jak gwiazda z rąk ulatująca.

Jeżeli kiedy mój duch roił Psychę,
Duszę motylem złotym po nad włosy
Świecącą: to téj dziewki widmo ciche —
Białe — w powojach błyszczących od rosy
Było piękniejsze; a tak wielką pychę
Miała i świętość — wmyśloną w niebiosy,
Że zatrzymała się dłoń podniesiona
. . . . . .
. . . . . .

URYWEK III. *)

Drżałem... niepewne jakieś błyskawice
Widząc, że z ogniem wlatują przez skronie;
A wtém mi dano białe gołębice
Trzymać na łonie;
Te drżały — jam drżał, a snu tajemnice
I pieśń śpiewana o harfiarza zgonie
Dziwnie przed mój duch wybłyskały chory,
Jakby z mogiły jednéj — dwa upiory.

I pomnę, żem szedł — i słyszał w około
Szum ludu; a już jasności świadomy,
Roiłem sobie tu hełm — a tam czoło
Ubrane w gromy —
A tam harfiarze ze srebrną jemiołą
Wchodzące w jakieś ciemne złote domy,
Gdzie rubinowe były ognie święte
I trupy jakieś — na głazach porznięte.

*) Jest to odmienne wykonanie myśli przeprowadzonych w texcie w zwrotkach, danych na stronie 240 i n.

I pewny byłem, że mię spotka w progu
Ów najstraszniejszy w śnie wczora widziany,
Porwie i z ogniem odda panu Bogu
Przez nóż rumiany;
Więc znów mi się gdzieś blade kwiaty głogu,
Znów jakieś chwasty, miesięczne kurhany,
Znów jakieś widma niepewne roiły,
Ubrane w ognia kwiaty z pod mogiły.

A wtém pod jakiś mię sklep wprowadzono,
Com czuł po nagłéj głosów ludzkich zmianie;
Potém śpiewano i gusła mówiono —
Ja — na kolanie...
— „Przyjm, Boże, małą owieczkę strzyżoną!
(Chórem śpiewali ci dawni Słowianie)
„Przyjm, co duch światła na powietrzu bierze,
Przyjm, co dać możem my twoi pasterze.“—

Śpiewali — a mnie jak ognian błękitny,
Wypogodzony i niegniewny wcale,
Podnosił z oczu ostatni przedświtny
Obłok — opale;
Potém on zniknął — a ja starożytny
Ujrzałem kościoł nad morzem, na skale...
Dziśbym powiedzieć mógł wszystkie ozdoby,
Wyrznięte w drzewie róże i osoby.

Dziśbym powiedział wszystkie kolorowe
Rzeźby i wszystkie migotne pozłoty
I przezroczystość murów — szum sosnowy,
I morza grzmoty...
Za mną stał ojciec, miecza do połowy
Dobywszy — wyżéj dwóch gołębi loty
Krzyżowały się, jak dwie błyskawice —
Przed sobą wzniosłą ujrzałem dziewicę...

Płótnem i różnym owita powojem...
Dziś jeszcze widzę ją: dziewica biała —
Srebrna — zielonym okwiecona strojem
Przedemną stała...
Kądziel palona różanym zawojem
I dymem skronie wieszczki otaczała;
A ona na mgłach, na łunach rubinu
Trzymała czarkę maleńką z bursztynu.

Z téj czarki płomyk blady podlatywał,
Olej w niéj różą zaprawiony płonął;
Takich czareczek lud w on czas używał,
By wonią wionął...
Bursztyn się cały w powietrzu rozpływał,
A w woni swéj włos ustrzyżony chłonął;
Powinna była zaś kapłanka słońca
W ręku dotrzymać czary, aż do końca...

Jam patrzał... a już czareczka rzezana,
Wylawszy wszystkie ognie swego łona,
Jak rubin we mgle stała się rumiana,
Potém zielona —
Potém w bladości swojéj przemieniana
W różne płomienne ognie — na ramiona,
Na pierś guślarki lała bursztyn święty
W skry, w listki złote, w krople — w dyjamenty...

Wtenczas nie mogłem już mojego wrzasku
Zatrzymać, a wrzask odkrył cudo wzroku!
Wnet ojciec..., matka!.. od lic i zbrój blasku
Ślepłem w natłoku...
Od ludowego krzyku i rozklasku
Głuchłem... Więc naprzód łzy stanęły w oku,
Potém mi jasność odebrały złotą
Pocałowania — i były ślepotą.

Takie cudowne było przedwiekowe,
W duchu olśnione — wzroku odzyskanie...
Wnet jako zwiędły kwiat, podniosłem głowę,
Jak kwiat, gdy wstanie
I na błękity nieba lazurowe
Swoich anielskich piór umalowanie
Roztoczy w pierwszéj poranku godzinie,
A potém znowu chyli się — i ginie...

Spojrzałem — jako żóraw, gdy powraca
Na swój dom, i na szczyt wstąpi olchowy,
A jemu słońce dzienne świat ozłaca,
Ale świat nowy...
Nowa duchowi wróconemu praca!
Nowém obliczem wita próg domowy!
Ściany się zdają stawiane pochyło,
A w domach ciaśniéj, niż miał pod mogiłą.

Tak dla mnie — wieki boleści przebyte
W oczekiwaniu... a potém zawiodły!
Królewskie domy — już nie z głazu ryte,
Lecz z wonnéj jodły,
Z dębowych ramion i z chrustu uwite —
Rzemieślnik podły
Budował; te zaś otaczał wesoły
Sad pełnorodny — gumna i stodoły...

Wszystko ku chłopkom i trzodom zbliżone —
Ku gospodarstwu, nie mieczowi biegło...
Jedna sień tylko miała swą koronę
Jak kurhan — z cegłą...
Tam jakieś w górze krużganki złocone —
Szyby, otwarte na ścieżaj rozległą,
Pooprawiane w brzęczące ołowie
Stały — a w szybach różni aniołowie.

Tam się bywało ranna ciemność rodzi,
I pełno ptasząt śpiewania i pierzchu;
Jak w zawieszonéj na powietrzu łodzi,
Duch snu, zamierzchu...
Lecz kiedy słońce złote dom obchodzi,
To krużgankami na ciemności wierzchu
Jawią się jakieś postaci płomienne
I płyną mgłami — jak łabędzie senne.

To jeden był czar, który mię w duchowe
Wtrącał marzenia... ta łódź — te krużganki —
Te piękne, błędne mroki aniołowe,
Powietrzne szranki...
Niżéj gdym spojrzał: ludu głowy płowe,
Panów kołpaki — futra — dziewic wianki —
Chore żebractwo i pełni litości
Królowie — święci i mądrzy — i prości!

Ławy z modrzewia, które powycinał
Prosty rzemieślnik, i gliniane dzbany,
I król, który się ku dzieciątkom zginał
I leczył rany,
Albo sam skopa tłustego zarzynał,
I swe Supany
Karmił, i miodem rozpalonym poił,
Gdy dziad na stronie swe lireczki stroił...

Tam znów królowa żebraki leczyła,
Od ludu niższa całemi kolany;
I często rańtuch swój zaczerwieniła
Nie swemi rany...
Na takim świecie dusza moja była
Ognista, ciałem ujęta w kajdany —
Nic nie wiedząca, że wewnątrz straszliwa
Burza w niéj wlekła się, jak żółw leniwa.

ODA DO WOLNOŚCI.

Uwaga Wydawcy. Wiersz ten powinien był znaleść pomieszczenie między młodzieńczymi płodami Słowackiego, a zatém na początku tomu Igo. Wyszedł on jako osobna broszurka, razem z hymnem do Bogarodzicy, pod tytułem: — „Oda do Wolności i Hymn, przez Słowackiego. W Warszawie w drukarni stereotypowéj przy ulicy Królewskiéj, w pałacu Dembowskich Nr. 1065. Roku 1830"; format ćwiartkowy, stron 8 i nieliczbowane 2. — Ponieważ jednak rzecz ta nie była mi jeszcze znana, kiedy się tom pierwszy drukował, przeto dołączam go do niniejszego. Utwor powyższy będzie zapewne najsłabszém ze wszystkiego, co tylko Słowacki kiedykolwiek ogłosił. Pomimo to może być pożytecznym dla studyów nad tym poetą, i przeto nie można go było pominąć.

ODA
DO WOLNOŚCI.

I.

Witaj wolności Aniele,
Nad martwym wzniesiony światem!
Oto w Ojczyzny kościele,
Ołtarze wieńczone kwiatem,
I wonne płoną kadzidła!
Patrz! tu świat nowy — nowe w ludziach życie.

Spojrzał — i w niebios błękicie,
Malowne pióry złotemi
Roztacza nad Polską skrzydła;
I słucha hymnów téj ziemi.

II.

A tam, już w cieniu wieków za nami się chowa
Duch niewoli, i dumną stopą depce trony;
Zgina się pod ciężarem skrwawionéj korony,
Mówi — niezrozumiałe z ust wychodzą słowa.
Tak obelisk, co niegdyś pisanym wyrazem
Dziwił ludy, obwiany mgłą kadzideł dymu,
Dziś, przeniesiony do Rzymu,
Niezrozumiały ludom — umarły — jest głazem.

III.

. . . . . cała,*)
. . . . . kościołem.
. . . . . związała,
. . . niebo roztrącał czołem...
Drżącym od starości głosem
Starzec, pochylony laty,
Trząsł dumnych mocarzy losem,
Zaglądał w królów siedziby;
Zaledwo promyk oświaty
Przez ubarwione gmachu przedzierał się szyby.

Jakiś mnich stanął u proga —**)
Kornéj nie uchylił głowy,
Walczył słowami Boga
I wzgardził świętemi kary.
Upadł gmach zachwiany słowy,
Błysnęły światła promienie...
Pierwsze wolności westchnienie
Było i westchnieniem wiary.

IV.

Jak sosny niebotyczne, urośli królowie.
Deptane prawa ludów — gdzież znajdą mściciela?. .
Na Albionu ostrowie
Kromwel — któż nie zna Kromwela?...
On dawną krwią Stuartów zalał stopnie tronu
I nie chciał na nie wstąpić — on pogardził tronem.

I czémże dzisiaj jest król Albionu?
Błyszcząca mara — widziadło,
Księżyc na niebie zamgloném,
A słońce praw oświeca tę postać wybladłą.

---

*) W tém miejscu kawał karty oddarty w exemplarzu jedynym, który mi znany. *P. Wyd.*

**) Luter. *P. Autora.*

Ale wielcy mężowie zasiedli do steru,
Świątynię praw dźwigają tysiączne kolumny: —
Patrzcie, jak długim rzędem za trumnami trumny
Wchodzą w posępne gmachy Westminsteru.

V.

O świat nowy hiszpańskie uderzyło wiosło,
Tam brat zaprzedawał brata...
Na lądzie nowego świata
Żałobne drzewo wyrosło,
Pod którém, schyleni w trudzie
Marząc o szczęściu boleśnie,
Usypiali tłumem ludzie,
Tłumami konali we śnie *)

I śmiercią sen płacili — bo o lepszéj doli
Pod tém się drzewem ludziom o wolności śniło.
Było to drzewo niewoli,
Rosło nad grobem — świat już był jedną mogiłą.

Ostatni więc człowiek skona?
Śmiercią z należnych władcom wypłaci się danin?
O nie! na głos Waszingtona
Zmartwychwstał Amerykanin
I zaprzysiężoną święcie
Wolność okrył wieńcem sławy.

A drzewo śmierci było masztem na okręcie
I zgon niosło na ludy saxońskie — i nawy.

VI.

Więc słońce już w wolności krajach nie zachodzi?
Wolności skrzydła całą osłoniły ziemię.
Godném jest oczu Boga wolnych ludzi plemię,
On bohaterów nagrodzi.

*) W Ameryce znajduje się drzewo nazwane drzewem śmierci, pod którém zasypiający człowiek umiera. *P. A.*

VII.

Jakiż to dzwon grobowy
Z wiejskiego zabrzmiał kościoła?
Idzie tłum pogrzebowy —
Schylone do ziemi czoła,
Trumna, za trumną dzieci —
Smutna przyjaciół drużyna
Bladą gromnicą świeci,
Ciche modły powtarza.
Weszli we wrota cmentarza
Pod trumną ramię syna.
Czarną dręczeni rozpaczą,
Czarną okryci żałobą...

Czemuż płaczą nad sobą?
Bogatą wezmą spuściznę.
Dlaczegoż nad nim płaczą?
W grobie zapomni troski...
Bracia! — on umarł — on był ostatnim z téj wioski,
Co widział wolną ojczyznę.
Synowie jeszcze po nim nie zdjęli żałoby,
Już na wolnéj żyją ziemi.
Idźmy więc nad ojców groby,
Wołajmy bracia nad niemi —
Może usłyszą w mogile...

VIII.

Widziałem, jak młodzieniec w saméj wieku sile,
Strawiony własnym ogniem — przeklął ogień duszy.
Wołał: — Czemuż Bóg więzów moich nie rozkruszy?...
Lecz wszędy cichość grobowa;
A więc sam odpowiadał: — Jestem panem życia! —
Okropne rozpaczy słowa!
Z umysłowych władz rozbicia
Została ta myśl straszliwa....
I bladość śmierci lice wyniosłe okrywa.

Ta jedna myśl tysiączne urodziła myśli;
Straszna cierpienia potęga —
Umysł je rozwija, kréśli,
Z niedowiarstwa marą sprzęga...
O niedowiarstwo! ty piekieł pochodnią
Niszczysz mgłę marzeń i blask urojenia złoty.
Gdzież cnota?... nie ma cnoty!...
I zbrodnia nie jest zbrodnią.
Na niepewnéj ważysz szali
Wzniosłe uczucia w człowieku...
Już wszyscy tak myśleli — i wszyscy wołali:
Jestto chorobą czasu! — jestto duchem wieku!
Ta ciemność była tylko przepowiednią słońca.
Wolności widzim Anioła,
Wolności powstał obrońca.
Podnieście wybladłe czoła!
Daléj — do steru okrętu!
Daléj — na morskie głębinie!
Rzućmy się w odmęt — z odmętu
Może niejeden wypłynie!
Podobni do nurków tłumu,
Co do morskiéj toną fali:
Wśród wirów kręceni szumu,
Już ich fala w głąb porywa;
Ale niejeden wypływa,
Bliski brzegu, lub daleki —
Ten niesie gałąź korali,
Ów w Amfitryt trąbę dzwoni; —
Lecz niejeden zniknie w toni,
W morzu zostanie na wieki.

SPIS RZECZY

W TOMIE DRUGIM.

str.

Beniowski — Ciąg dalszy 5
Pieśń VI 7
Pieśń VII 28
Pieśń VIII 43
Pieśń IX 63
Pieśń X 85
Pieśń XI 105
Pieśń XII 133
Pieśń XIII 146
Pieśń XIV 159
Dodatkowe luźne urywki 174

Król-Duch — Ciąg dalszy 181
Rapsod drugi 185
Rapsod trzeci. Piast 201
Pieśń I . . . . . —
Pieśń II 213
Pieśń III 220
Rapsod czwarty. Miecz a Sława . . . 233
Pieśń I . . . . . —
Pieśń II 247
Pieśń III 266
Pieśń IV 278

str.

Rapsod piąty. Bolesław Śmiały . . . 287
Pieśń I . . . . . —
Pieśń II 301
Pieśń III 313
Pieśń IV 325
Dodatek — Waryanty do Króla-Ducha 339
Urywek Planu Króla-Ducha . . . 341
Waryanty do drugiego rapsodu . . 343
Waryanty do trzeciego rapsodu . . 360
Waryanty do czwartego rapsodu . . 380
Oda do Wolności 391

BIBLIOTEKA NARODOWA

Wiersz Juljusza Słowackiego, wpisany w r. 1841
do albumu E. hr. Kr.

Chciałbym, ażeby tu wpisane słowo,—
Jeśli na wieki ma słowem pozostać,—
Aby słów miało nieśmiertelnych postać,—
Albo posągów piękność marmurową;
Lub jak Walkirzyje, co noszą nad głową
Wieniec z piorunów i we krwi szeleszczą,—
Chciałbym, ażeby miało taką wieszczą
Groźbę—i skrzydła—i twarz piorunową.

Lecz słowo martwe. Ale wy jesteście
Jako Walkirzyje z północy przybyłe:
Pod wasze stopy rzucamy niewieście—
Grobowce wszystkie—a wy na mogiłę
Wstąpcie, a kto wart życia, tego wskrzeście.

3498/Rkps

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
47607
A
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001009826807